KATARZYNA BERENIKA
MISZCZUK
OBSESJA

Katarzyna Berenika Miszczuk

OBSESJA

Copyright © by Katarzyna Berenika Miszczuk, MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Motto

Wstęp

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

Podziękowania

Pamięci mojego Dziadka – Wacława Kubickiego

Obsesje – uporczywie nawracające myśli, obawy, wyobrażenia lub impulsy powstające wbrew woli chorego. Zazwyczaj są postrzegane przez pacjenta jako niepożądane i przymusowe, mają charakter niezgodny z systemem wartości czy przekonań danej osoby. Ich przeżywanie może łączyć się z lękiem i cierpieniem. Przeważnie związane są z obawami dotyczącymi zabrudzenia lub zakażenia, potrzebą porządkowania lub symetrii bądź impulsami do zachowań agresywnych lub bluźnierczych oraz wyobrażeniami o treści seksualnej.

Definicja na podstawie: *Psychiatria, podręcznik dla studentów medycyny*, pod redakcją prof. dr. hab. n. med. Marka Jaremy oraz prof. dr hab. n. med. Jolanty Rebe-Jabłońskiej, wydawnictwo PZWL, Warszawa 2011

***

Wszystkie opisane wydarzenia i sytuacje są fikcyjne.
Zbieżność nazwisk i miejsc jest przypadkowa.

Wstęp

Okolice Warszawy, piwnica

Dłoń odziana w czarną skórzaną rękawiczkę sięgnęła w stronę zimnej, odrapanej ściany. Goły beton był szary i wilgotny, miejscami spływały po nim strużki brudnej wody. W powietrzu unosił się zapach pleśni i ziemi.

Na krzywych, przerdzewiałych hakach wisiała nowa tablica korkowa. Razem z wbitymi w nią czerwonymi pinezkami sprawiała dość wesołe wrażenie. W żadnym razie nie pasowała do zaniedbanego wnętrza.

Palce przesunęły się delikatnie po drewnianej ramie. Z czułością musnęły przybite do niej niewyraźne ziarniste fotografie. W większości wykonano je za pomocą telefonu komórkowego. Nie były najlepszej jakości, jednak bez trudu można było rozpoznać na nich kobiety w różnym wieku.

Tylko jedno zdjęcie było ostre i tylko na jednym kobieta wpatrywała się prosto w obiektyw z zawadiackim uśmiechem rozświetlającym twarz. Pozowała do obiektywu, prostując plecy i kokieteryjnie wypychając do przodu biust. Boczne części fotografii zostały oderwane. Na poszarpanych brzegach widać było części ciał osób, które stały w otoczeniu kobiety.

Zdjęcie wisiało na samym środku tablicy. Było najważniejsze.

Na ziemi, w kurzu, pod topornym stołem, leżało jeszcze kilka zdjęć. Każde przedstawiało inną czarnowłosą dziewczynę. Wszystkie były przedarte na pół, zgniecione i zapomniane.

Odziany w rękawiczkę palec sunął po fotografiach, aż zatrzymał się na jednej i postukał w nią opuszką. Ofiara została wybrana. Niebawem nadejdzie czas, żeby zacząć zabawę i pozbyć się kolejnej.

Dłonie sięgnęły do tablicy i odczepiły zdjęcie. Pinezki uderzyły o drewniany blat, na którym w równym rządku leżały czyste i lśniące skalpele. Małe nożyki wsunięte były w srebrzyste rękojeści.

Przedarte zdjęcie opadło na ziemię.

Dłoń odziana w rękawiczkę sięgnęła po jeden ze skalpeli.

1.

Ten dzień nie zaczął się dobrze. Chyba żaden dzień nie może być dobry, jeśli rozpoczyna się od wstania lewą nogą prosto w zwymiotowany przez swojego kota „kłaczek".

To oczywiste, że później musiało być tylko gorzej.

Wchodząc do szatni pracowniczej w podziemiach Szpitala Wschodniego, spojrzałam na zegarek. Znów byłam spóźniona na odprawę.

Ze wstydem przyznaję, że zdarzało mi się to zastanawiająco często.

Tym razem jednak spóźniłam się nie z własnej winy. Mogę być pesymistką, fatalistką i flegmatyczką, ale mimo wszystko spóźniać się nie lubiłam. Jakiś dureń zastawił mi samochód. Przez pół godziny nie mogłam wyjechać z wąskiego miejsca parkingowego przed swoją kamienicą, czekając, aż mężczyzna o karku grubszym niż moje udo kupi piwo w sklepiku na parterze i łaskawie przesunie swoje bmw.

Normalnie wygarnęłabym mu porządnie, ale zdaję sobie sprawę z tego, że facet o takiej aparycji, ze złotym łańcuchem na szyi, na dodatek właściciel bmw, kupujący rano w osiedlowym sklepiku piwo na Pradze-Północ, nie będzie prowadził ze mną dyskusji.

Spieszyć się? Nie spieszyć? Wyobraziłam sobie, jak rzucam w cholerę tę robotę, pakuję walizki i z kotem pod pachą jadę w tropiki, żeby spać pod palmą i jeść banany.

Kusząca wizja, tylko co by tam jadł mój kot? Poza tym nie lubię bananów.

Jestem nowa, pracuję od niedawna. Wypada się chyba spieszyć…

Mroczna szatnia jak zwykle sprawiała, że po plecach chodziły mi ciarki. Zawsze czułam się w tym miejscu nieswojo i nie lubiłam przebywać tu sama. Metalowe, poszarzałe szafki stały w nierównych szeregach. Ich przerdzewiałe okucia straszyły ostrymi kantami. Dźwięk skrzypiących zawiasów niósł się po wysokim pomieszczeniu, zwielokrotniony echem.

Rzędy szafek upchnięto ciasno obok siebie, bez planu, byle tylko zmieścić ich w podziemiach jak najwięcej. Tworzyły labirynt, w którym łatwo można się było zgubić. Zwłaszcza że namalowane przed laty czarną farbą numery porządkowe rzadko znajdowały się po sobie.

Dotknęłam opuszkami palców łuszczącej się farby. 235 – numer mojej szafki na rzeczy osobiste. Zaczęłam się zastanawiać, czy faktycznie w podziemiach stoi ponad dwieście szafek. Były większe ode mnie, nie byłam w stanie sięgnąć ponad nimi wzrokiem.

Rzuciłam ostatnie tęskne spojrzenie na brudne zakratowane okienko piwniczne umieszczone pod sufitem. Nie przepuszczało wiele światła, nie było nawet widać, co jest za szybą. Wystarczała mi sama świadomość, że za murami

panuje przyjemny, ciepły wiosenny dzień, by zapragnąć machnąć ręką na robotę i czym prędzej wydostać się na zewnątrz.

– Chcę do domu – burknęłam pod nosem i wykrzywiłam usta w podkówkę zadowolona, że w szatni nie ma żywego ducha i nikt nie może zobaczyć, jak dziecinnie się zachowuję.

Powiesiłam na metalowym wieszaku skórzaną kurtkę, a buty wkopałam na zatęchłe dno. Skrzywiłam się, gdy do moich uszu dotarł odgłos świadczący o tym, że spadły na warstwę starego syfu.

Gdy dostałam pozwolenie na użytkowanie tego schowka, przez chwilę chciałam nawet go wyczyścić. Naprawdę! Jednak od lat zalegająca na dnie gruba warstwa naniesionego przez moich poprzedników błota i brudu sprawiła, że szybko zmieniłam zdanie. Kto mógł wiedzieć, co się tam zalęgło? Nie powinnam tego dotykać.

Moje porządki skończyły się na rzuceniu grubej warstwy gazet, które wchłaniając w siebie wilgoć i błoto, powoli integrowały się z dnem szafki, mając stać się jego częścią.

Rozejrzałam się po opustoszałej piwnicy. To miejsce tętniło życiem do ósmej rano. Później na godzinę zalegała cisza, by znów stało się gwarno, gdy nocni dyżuranci po przekazaniu pacjentów na odprawach usiłowali jak najszybciej wrócić do domu. Przez kilka kolejnych godzin panował tu spokój aż do piętnastej, gdy dzienna zmiana, która nie musiała zostawać na nocny dyżur, mogła pójść do domu.

Pod tym względem personel medyczny bardzo przypominał dzieci wychodzące ze szkoły. Każdy biegł do szatni, żeby jak najszybciej zabrać swoje rzeczy i uciec stąd.

Teraz, pomiędzy ósmą a dziewiątą rano, moimi towarzyszami były echo i smród, jaki wydziela intensywnie użytkowane obuwie.

Miałam wrażenie, że każdy element wystroju tego miejsca zadaje mi pytanie: „Aśka, co ty tu robisz? Nie wolisz iść do domu?”.

Nie bez powodu szatnia pracownicza umieszczona była w potencjalnie niewidocznej dla pacjentów części piwnicy.

Kolejne piętra Szpitala Wschodniego stopniowo remontowano. Zielonkawą łuszczącą się farbę zamalowywano brzoskwiniową emulsją, która z założenia miała koić zszargane nerwy pacjentów, podłogi pokrywano nowoczesnym, łatwo zmywalnym linoleum, na którym nie gromadziły się chorobotwórcze drobnoustroje, ale o piwnicy zarząd szpitala zdawał się nie pamiętać. Wciąż wyglądała jak na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy kompleks oddano do użytku. Bladoniebieskie kafelki na ścianach były popękane i poodbijane, podłoga wyłożona brązowo-białą mozaiką skutecznie maskowała brud, a poznaczone zaciekami i grzybem sufity przybrały żółtawy odcień.

Przez głowę przemknęła mi ponura myśl, że dyrektor szpitala

najprawdopodobniej nigdy nie postawił na najniższym poziomie budynku swoich stóp w markowych włoskich butach. Nie potrzebował przecież szafki pracowniczej. Miał pokój z szafą i seksowną sekretarkę w zestawie.

Narzuciłam biały fartuch i zamknęłam drzwiczki na dwie przepisowe kłódki, które musiałam sobie kupić. Przy wejściu do szatni wisiała karta informująca, że zarząd szpitala nie ponosi odpowiedzialności za rzeczy osobiste personelu pozostawione w szatni, jeśli szafka nie była zamknięta na co najmniej dwie kłódki.

Kupiłam dwie najtańsze. Nie wiem, co pracownicy trzymali w swoich szafkach poza śmierdzącymi chodakami, ale kilku osobom przyszło do głowy (może na złość dyrekcji?), by obwiesić swoje szafki ciężkimi kłódkami pasującymi raczej do krat w drzwiach garażowych niż do wąskich drzwiczek o szerokości czterdziestu centymetrów, które można było sforsować byle kopniakiem.

Ściskając pod pachą torebkę, pobiegłam przez piwniczne korytarze pełniące funkcję łączników między budynkami szpitala, rozrzuconymi niczym klocki na rozległym, częściowo zalesionym terenie.

Kierowałam się w stronę najbardziej oddalonej od głównego kompleksu części E, w której mieścił się oddział psychiatryczny.

Lekko zziajana dotarłam do dwóch staromodnych wind, których żelazne drzwi zabezpieczone były zamkami na czworoboczny klucz, ciążący mi w kieszeni. Żadna z wind nie stała na poziomie piwnicy.

Czas uciekał. Postanowiłam wbiec po schodach.

– Dzień dobry – usłyszałam za sobą.

Odwróciłam się zaskoczona. Byłam tak skupiona na szybkim dotarciu na odprawę, że nie zauważyłam stojącego w cieniu salowego. Mężczyzna opierał się o wysoki aluminiowy wózek na brudną bieliznę, podpisany czarnym markerem „Psych Biel Cz”.

Miał na sobie typowy szpitalny ubiór: zieloną bluzę i spodnie. Jedyną ekstrawagancją były ostatnio bardzo modne crocsy we wściekle żółtym kolorze. Ja nosiłam śliwkowe. Były niezwykle wygodne, ale brzydkie jak noc. Moje stopy wyglądały w nich jak dwa pontony.

Gwoli ścisłości, to i bez tych butów wyglądały jak pontony, niemniej jednak nie chciałam tego podkreślać obuwiem. Najlepiej się czułam w szpilkach. Niestety, nie wolno było w nich chodzić po szpitalu. Jeszcze bym obdarła obcasem cenne szpitalne linoleum!

– Dzień dobry – odpowiedziałam.

– Nie ma co iść schodami. Już ściągnąłem windę. Zaraz zjedzie – oświadczył. – Proszę poczekać.

Mówił prawdę, żaróweczki ukryte pod plastikowymi guzikami paliły się na czerwono. Przysunął wózek bliżej metalowych drzwi wind, zastawiając mi tym samym drogę na schody. Kółka wiekowego wózka zaskrzypiały nieprzyjemnie,

raniąc moje uszy. Był pełen czystej pościeli.

– Może ma pan rację – ustąpiłam niechętnie, rezygnując z konfrontacji.

Mężczyzna przyglądał mi się uważnie. Poczułam wstyd, że widzi, jak spóźniam się do pracy. Potwierdzałam tym samym złośliwy stereotyp, że lekarze są zawsze spóźnieni. Cholera…

Stanęliśmy obok siebie w krępującej ciszy. Skupiliśmy się na windach.

Poprawiłam fartuch, obciągnęłam rękawy, przełożyłam torebkę na drugie ramię i odgarnęłam włosy. Czułam się coraz bardziej nieswojo. Nie wiedziałam, czym mam zająć ręce.

Tej przeklętej windy ciągle nie było.

Zerknęłam na salowego. Gapił się na mnie. A przynajmniej takie miałam wrażenie, bo przy jego zezie rozbieżnym nie mogłam mieć stuprocentowej pewności.

Odwróciłam wzrok. Udałabym, że całkowicie pochłania mnie obserwacja wyświetlacza nad windami, pokazującego, na którym piętrze znajdują się kabiny, jednak dźwigi w budynku E były tak stare, że nie miały wyświetlaczy. Miały za to metalowe skrzypiące kraty, które trzeba było dokładnie zamykać, bo inaczej winda nie chciała ruszać.

Wyjęłam z kieszeni fartucha telefon i zaczęłam udawać, że coś sprawdzam, gdy tak naprawdę na zmianę wchodziłam do menu głównego i z niego wychodziłam.

Oto ja, proszę państwa – Joanna Skoczek, młoda lekarka, w trakcie specjalizacji z psychiatrii, niezdolna do podjęcia niezobowiązującej rozmowy w oczekiwaniu na windę. Od razu człowiek nabiera zaufania do tego zawodu, czyż nie?

Dzisiaj zdecydowanie nie był mój dzień. Chciałam wrócić do domu.

– Tu w podziemiach nie ma internetu – usłyszałam.

Speszona zamknęłam klapkę pokrowca na telefon. Wpatrywał się w urządzenie z krzywym uśmiechem, zupełnie jakby przejrzał moje małe oszustwo.

– Sprawdzałam esemesy – poczułam się w obowiązku wytłumaczyć.

Od razu skarciłam się w myślach. Po co się tłumaczę?! Przecież nie muszę. Zniecierpliwiona zaczęłam tupać nogą.

Pracowałam w Szpitalu Wschodnim od dwóch miesięcy. Obiekt był bardzo duży, zatrudniano tu setki lekarzy, pielęgniarek, salowych i pracowników administracji. Jednorazowo mogło być hospitalizowanych ponad siedmiuset pacjentów na czternastu oddziałach. Nie licząc rzecz jasna tak zwanych dostawek, czyli łóżek stojących na korytarzach. Można by spokojnie przyjąć, że w całym kompleksie znajduje się naraz ponad tysiąc osób.

Jakimś cudem jednak codziennie spotykałam tego samego salowego.

W każdym razie wydawało mi się, że jest salowym, choć mógł też pracować w pralni, bo zwykle widziałam go, jak transportuje kontenery na bieliznę.

– Dzisiaj trochę później, hm? – zagadał.

– Tak, miałam problem z dojazdem – odpowiedziałam nerwowo.

W duchu zaczęłam przeklinać te windy. Już dawno zdążyłabym wbiec na trzecie piętro, gdybym nie czekała na ich przyjazd. Zwłaszcza w tych paskudnych butach.

Szlag by to trafił!

Wtem za szklaną szybką pojawiło się upragnione światło. Winda zatrzymała się z głośnym zgrzytem. Salowy rzucił się do drzwi, by szarmancko je przede mną otworzyć. Czworokątny klucz miał przytroczony na długim łańcuchu do paska przy workowatych portkach. Wyciągnął go z kieszeni, o mało nie wyrywając sobie szlufki w spodniach. Otworzył odrapane drzwi i rozsunął kratę.

Wiedziałam, że wysiądzie, pchając wózek, na pierwszym piętrze, w związku z czym podziękowałam mu uśmiechem, wsunęłam się na tył windy i stanęłam w kącie. Gdy metalowy kontener wjechał do środka, podłoga kabiny opuściła się o kilka centymetrów. Zacisnęłam dłonie w pięści i wsunęłam je do kieszeni fartucha, żeby mężczyzna niczego nie zauważył. Nie lubiłam jeździć windami. Świadomość, że znajduję się w metalowej klatce, która w każdym momencie może spaść, zawsze odrobinę mnie paraliżowała.

Na szczęście podróż upłynęła nam w ciszy.

– Do zobaczenia. – Salowy uśmiechnął się do mnie, gdy winda stanęła na jego piętrze.

Z jednej strony poczułam ulgę, że wysiadł, ale z drugiej – lekki niepokój, że zostałam w tej wiekowej windzie sama. Zasunęłam kratę.

– Do widzenia.

Chwilę później wysiadłam na trzecim piętrze. Nie zawracałam sobie głowy zamykaniem szybu windy. Na pomoc rzucił mi się około siedemdziesięcioletni ochroniarz, który całymi dniami przesiadywał na krześle przy kracie zabezpieczającej wejście na piętro przez klatkę schodową.

Zawsze mnie zastanawiało, w jaki sposób mógłby nam pomóc, gdyby rozwścieczony pacjent postanowił nas pozabijać, używając do tego celu chociażby własnych rąk.

Ruszyłam szybkim krokiem. Pokój odpraw był na końcu korytarza.

Na trzecim piętrze oprócz pokoi lekarskich i sekretariatu oddziału znajdowały się cztery zamykane izolatki, w których na obserwacji przebywali świeżo przyjęci pacjenci, jeszcze niezdiagnozowani bądź tacy, którzy zagrażają życiu swojemu lub innych. Jeden z nich stał przy szybie w drzwiach, kiwając się monotonnie do przodu i tyłu. Wskazał palcem na nadgarstek.

Nie wiedział, jak się nazywa i gdzie się znajduje, ale był głęboko przekonany

o tym, że kosmici inwigilują każdy jego krok za pomocą latarni ulicznych. Nawet on zdawał sobie sprawę z tego, że jestem spóźniona…

Odetchnęłam głęboko, przygotowując się na pełne potępienia komentarze profesora, i wsunęłam czworokątny klucz do zamka w drzwiach, za którymi znajdowała się mała sala konferencyjna.

Profesor, siwy brodacz, usiłujący chyba nieudolnie upodobnić się do Świętego Mikołaja, zmierzył mnie pełnym niechęci spojrzeniem, ale o dziwo, nie skomentował spóźnienia. Lekarz dyżurny nie przerwał czytania zmęczonym głosem relacji ze swojej zmiany. Wydawało się, że w ogóle mnie nie zauważył.

Po cichutku zamknęłam drzwi i usiadłam na jednym z wolnych krzeseł, usiłując wtopić się w otoczenie.

Odchyliłam się, żeby oprzeć plecy. Nagle krzywe siedzenie, na które z ulgą opadłam, przechyliło się pode mną niebezpiecznie i głośno zatrzeszczało. Rozrzuciłam ręce na boki i złapałam się kurczowo siedzącej obok oddziałowej. Moja torebka z głośnym stukiem upadła na ziemię.

Pielęgniarka zmierzyła mnie długim spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Mruknęłam niewyraźne „przepraszam” i postanowiłam, że pod żadnym pozorem nie będę się ruszać na tym zdradliwym krześle. Torebkę zostawiłam na podłodze. Niech sobie tam poleży do końca odprawy.

Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Druga rezydentka, moja koleżanka Urszula, puściła do mnie oko z końca sali. Karol, doświadczony doktor psychiatrii, z którym dzieliłyśmy pokój lekarski, szepnął jej coś do ucha. Zachichotali.

Profesor Sieradzki zgromił ich spojrzeniem zza swoich bezoprawkowych okularów, ale znów powstrzymał się od komentarza.

To było do niego niepodobne…

Poczułam się jeszcze gorzej. Naprawdę wiele bym dała, żeby wrócić do domu, położyć się do łóżka, nakryć kołdrą i udawać, że mnie nie ma.

Zerknęłam na zakratowane brudne okno, za którym rozciągał się sielski widok na drzewa i błękitne niebo. Zaczęłam się zastanawiać, co było przyczyną mojej chandry. Do kocich wymiotów już się przyzwyczaiłam, tak samo do praskich karków z bmw. Pokiwałam głową do swoich myśli. To wszystko przez wczorajszy telefon od mamy. Znowu przypominała mi, ile mam lat, i wypominała, że powinnam znaleźć męża, bo umrę smutna i samotna.

Moja matka myślała przyszłościowo, w przeciwieństwie do mnie miała wszystko zaplanowane na co najmniej czterdzieści lat do przodu. Najwyraźniej mój pogrzeb też już znalazł się w jej planach…

Dyżurny skończył czytać raport dotyczący porad na szpitalnym oddziale ratunkowym, czyli SOR-ze – zgodnie z tym, co mówił, konsultował tam całą noc. Współczułam mu, ale jeszcze bardziej współczułam sobie. Dzisiaj, niestety,

wypadała moja kolej na całodobową pracę.

Hm, a może to dzisiejszy dyżur był powodem złego humoru? Nie da się tego wykluczyć…

Referujący lekarz wyrwał mnie z zamyślenia:

– Dyżur przekazuję pani doktor Joannie Skoczek. – Podał mi grubą księgę raportów, w której musiałam się podpisać i przypieczętować swój los na najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

– Dobrze, dziękuję. Będę do dziesiątej, potem muszę jechać na uczelnię. – Sieradzki zdjął okulary, co było sygnałem, że odprawa się zakończyła. – Jeśli macie do mnie jakieś sprawy, to musicie zdążyć do dziesiątej.

Wstałam i wyszłam z innymi na korytarz. Czas zacząć kolejny cudowny dzień pracy.

– Aśka, czemu się spóźniłaś? – zapytała Urszula, wchodząc za mną do pokoju lekarskiego.

Pokój był wąską kiszką, w której ledwo mieściły się stojące pod dłuższą ścianą trzy biurka. Każde biurko i krzesło było inne. Wydawało się, że zostały tu przyciągnięte z oddziałów, w których wymieniano sprzęt, bądź osobno zakupione przez trzech sfrustrowanych pracowników, którzy chcieliby pracować w przyjaznych warunkach. Podłoga wręcz usiana była kablami prowadzącymi do przedłużaczy oraz stertami papierów z historiami chorób pacjentów, którzy zostali wypisani już dawno temu, ale ponieważ nie mieliśmy szafek na dokumenty, to rzucaliśmy je na stosy pod ścianą.

– Jakiś idiota zastawił mi samochód i nie mogłam wyjechać – burknęłam.

– Ja to ci się dziwię, że mieszkasz w takim miejscu. – Westchnęła i podeszła do okna.

Otworzyła je na tyle szeroko, na ile pozwalała zamontowana krata.

Stara, aluminiowa rama mająca chyba więcej lat ode mnie była nieszczelna. Jeszcze nie miałam okazji przetrwać zimy na tutejszym oddziale, ale za to w nadchodzące wielkimi krokami wakacje będę mogła poznać na własnej skórze, co oznacza brak klimatyzacji.

W szpitalu, w którym poprzednio pracowałam, warunki były nieporównywalnie lepsze. Po rozwodzie wolałam jednak zrezygnować z pracy mimo niewątpliwych zalet, jakimi były klimatyzacja i wyremontowana łazienka pracownicza. Przeprowadziłam się z powrotem do Warszawy, z której wyjechałam tuż po studiach razem, z jak mi się wówczas zdawało, miłością mojego życia.

– Miejsce jak miejsce. – Wzruszyłam ramionami.

Usiadłam za swoim biurkiem. Na szczęście nie musiałam go z nikim dzielić. Nie cierpiałam bałaganu, jaki ludzie robią w pracy. Ja musiałam mieć tu idealny porządek. Na szczęście natręctwa mi nie groziły. Najlepiej świadczył o tym stan mojej kuchni.

– Nie boisz się, że ktoś cię tam napadnie i zgwałci? – drążyła temat koleżanka.

– Nie.

Zanurkowałam pod stół, żeby uruchomić zakurzony komputer, który najlepsze lata miał już za sobą. Mam wrażenie, że wszystko w tym szpitalu pokrywała warstwa kurzu.

– Aleś ty dzisiaj mało rozmowna – prychnęła Urszula. – Co się tak boczysz?

Miała rację. Byłam w fatalnym nastroju. Zwykle to ona zrzędziła, a ja usiłowałam poprawić jej nastrój. Przez chwilę patrzyłam bezmyślnie, jak wyciąga z torebki jogurt i zabiera się do śniadania.

– A co mam ci powiedzieć? – Znów westchnęłam. – To Praga-Północ, ale nie rejon trójkąta bermudzkiego, tylko Szmulki. Znam wszystkich pijaczków, a blokersi chyba wyginęli albo przenieśli się do osiedli pod miasto. Nocami może być nieciekawie, ale tak jest wszędzie.

– W sumie racja… mnie tylko raz okradli, i to w Śródmieściu – przyznała.

– Poza tym Praga się rozwija. Zobaczysz, że to niedługo będzie centrum kultury stolicy, a moje mieszkanie w kamienicy zwiększy swoją wartość kilkakrotnie.

– Taa… zobaczymy.

– Metro już jest.

– Co już jest? – Do pokoju wpadł Karol.

Bardzo go lubiłam. Był wysokim blondynem pod pięćdziesiątkę, ale młodym duchem, co nie pozwalało mu zwolnić tempa nawet na chwilę, a uzewnętrzniało się między innymi barwnymi strojami. Codziennie zakładał spodnie w innym, szalonym kolorze. Dzisiaj miał fioletowe.

– Metro na Pradze – wyjaśniła Urszula.

– Praga? – zdziwił się teatralnie. – A to jeszcze Warszawa?

Karol od urodzenia mieszkał po lewej stronie Wisły. Jak każdy rodowity warszawiak wyznawał patriotyzm lokalny. Lewobrzeżni uważali, że druga strona miasta tak naprawdę nie jest już stolicą. Z kolei prawobrzeżni byli głęboko przekonani o tym, że ich część miasta jest piękna, ale niedoceniana, a po lewej mieszkają same słoiki – jak zwykło się nazywać tu ludność napływową z innych miast.

Po cichu zgadzałam się z częścią postulatów mieszkańców prawego brzegu Wisły. Gdyby odrestaurować przedwojenne kamienice, których było naprawdę dużo, okazałoby się, że Nowy Świat nie jest ani ładny, ani wyjątkowy.

Jako słoik wolałam zbyt intensywnie się nie kłócić.

– To ty na wiochę jeździsz pracować? Taki wsiowy dochtor z ciebie? – zakpiłam ze słów kolegi.

Szpital Wschodni znajdował się na prawym brzegu Warszawy. Dlatego

kupiłam tu mieszkanie. Chciałam mieć blisko do pracy.

– Oj, Asiu, Asiu, taka zła już od rana? – Roześmiał się i zasiadł za swoim biurkiem. – Poczekaj, aż pójdziesz do pacjentów. Nasze pieszczoszki na pewno poprawią ci humor.

Wpatrując się w monitory komputerów, czekaliśmy, aż szpitalny system raczy się włączyć. Bez dostępu do bazy nie mogliśmy zlecać badań ani tworzyć wpisów w historiach chorób pacjentów. Gdy raz na jakiś czas dział informatyczny robił aktualizację systemu, cały szpital był jak sparaliżowany.

Wstałam lewą nogą – mruknęłam i zaczęłam przeglądać papierowe karty pacjentów.

Na szczęście dzisiaj dostałam tylko jednego nowego chorego.

W myślach zakpiłam z wielkiej komputeryzacji w medycynie. Skończyła się na tym, że i tak wszystko obowiązkowo trzeba było pisać ręcznie, a potem wprowadzać do systemu. Znacznie wydłużyło to już panującą biurokrację.

Przeleciałam wzrokiem notatki dyżurnego na temat nowego pacjenta. Miał schizofrenię. W wywiadzie osobniczym wieloletnie nadużywanie narkotyków. Został przyjęty po tym, jak pobił żonę, a ona wezwała policję. Zleconych na stałe leków nie przyjmował. Mogłam się założyć, że nie żałował sobie narkotyków.

Czas pójść do pracy.

– Asiu? – zagadnął Karol.

– Tak?

– Chcesz czekolady? Wyglądasz, jakbyś potrzebowała.

2.

Pokoik przyjęć, przystosowany do użytku chyba ze starego schowka na miotły, był jeszcze mniejszy od kanciapy, która służyła nam jako pokój lekarski. W dodatku pozbawiony był okien. Kwaśny odór potu siedzącego naprzeciwko mężczyzny osaczał mnie ze wszystkich stron. Cieszyłam się, że badanie fizykalne miałam za sobą i od pacjenta oddzielał mnie blat biurka.

– Chciałabym z panem porozmawiać – zaczęłam.

Niestety, dobry humor, który pojawił się rano po ograbieniu Karola z tabliczki czekolady toffi, po paru godzinach się ulotnił.

– Nie chce mi się gadać! – warknął pacjent.

– Rozumiem, na pana miejscu też nie miałabym ochoty, ale jeżeli poświęci mi pan kilka minut, to będę mogła wypełnić wszystkie papiery, z których się mnie rozlicza. – Poklepałam trzymany na blacie notatnik.

Starałam się go przekonać, że jestem takim samym szarym człowiekiem jak on, który co dzień musi tłumaczyć się szefowi i ma przed sobą mnóstwo niepotrzebnej roboty. Często łamało to pierwsze lody pomiędzy mną a nowym pacjentem.

Tak na oko stupięćdziesięciokilogramowy mężczyzna zaczął się kiwać na zbyt małym dla niego krześle. Do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu. Drewno ostrzegawczo zaskrzypiało. Obserwowałam go, zastanawiając się, czy jak zleci i rozwali sobie łeb, będę za to odpowiedzialna.

Pewnie tak…

Pacjent Sylwester Kartynowicz od początku nie współpracował. Łaskawie pozwolił mi osłuchać sobie serce i płuca oraz zmierzyć ciśnienie tętnicze krwi. Wszystko bez zdejmowania przepoconej podkoszulki bez rękawów. Uniósł ją na tyle, bym sięgnęła stetoskopem do wilgotnej, lepiącej się skóry. Na nic więcej się nie zgodził. Nawet nie chciał wejść na wagę lekarską. Postanowiłam odłożyć pełne badanie na później, kiedy odrobinę się uspokoi.

Został przyjęty do szpitala na mocy artykułu dwudziestego trzeciego ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. Zapis ten pozwala hospitalizować pacjentów bez ich zgody, jeśli ich zachowanie sugeruje, że zagrażają swojemu życiu bądź życiu i zdrowiu osób trzecich. Napompowany furią i narkotykami Kartynowicz podpadał pod ten artykuł.

Szczerze podziwiam policjantów, którzy zdołali go spacyfikować i przywieźć do nas na oddział ratunkowy.

– Proszę mi powiedzieć, jak pan tutaj trafił – poprosiłam grzecznie.

– To jakaś pierdolona pomyłka! – ryknął. – Nic nie zrobiłem tej suce! Nie wiem, czemu zadzwoniła po policję.

Pokiwałam głową, zupełnie jakbym się z nim zgadzała. Nie widziałam żony

Kartynowicza. Swoją wiedzę czerpałam jedynie z karty przyjęcia wypełnionej przez lekarza dyżurnego. Zamieścił tam relację policjantów, którzy, kolokwialnie mówiąc, przedstawili mieszkanie pacjenta jako „zapleśniałą melinę śmierdzącą kałem", a jego żonę jako „biedną kobietę ze złamanym nosem i najprawdopodobniej połamanymi żebrami".

– Tym bardziej musi mi pan opowiedzieć, jak było naprawdę – oświadczyłam. – Musi pan podać swoją wersję, bo na razie wiem tylko to, co powiedzieli policjanci.

– Pierdolone, kłamliwe psy! – skomentował cichszym głosem.

Wydawało się, że z mężczyzny uszło powietrze. Ale tylko trochę. Zaciskał dłonie w pięści, jakby chciał w coś bądź kogoś uderzyć. Szybko oceniłam odległość, która nas dzieliła. Odsunęłam się nieznacznie, udając, że usiłuję lepiej usadowić się na krześle. Przysunęłam bliżej siebie kubek z lurowatą kawą rozpuszczalną, którą wbrew procedurom wniosłam. Nauczyłam się na zajęciach z samoobrony, prowadzonych przez byłego komandosa, że najlepiej złapać kubek bądź szklankę za dno i uderzyć nim w przeciwnika. Siła przeniesiona na wąskie brzegi naczynia zamienia je w kastet.

Jeszcze nigdy nie musiałam bronić się przed pacjentem. Zawsze jednak mógł być ten pierwszy raz. Psychiatrzy czasami padają ofiarą pacjentów. Kartynowicz był potężnym mężczyzną. Znalazłabym się w nie lada opałach, gdyby postanowił się na mnie wyżyć za poniesione i wyimaginowane krzywdy.

– Coś tam powiem – mruknął. – Ale jak mnie wkurwisz, to przestanę mówić.

– Nie przechodziliśmy na ty, panie Kartynowicz. Jestem pana lekarzem prowadzącym, a nie koleżanką. – Wyraźnie wytyczyłam pomiędzy nami granicę.

Nic nie odpowiedział. Spojrzał tylko spode łba.

– W dokumentacji mam napisane, że przyjechał pan do szpitala pod eskortą policji, czy to prawda? – zapytałam.

– Tak.

– Skąd pana przywieźli? – zapytałam, mimo że znałam odpowiedź.

– Z domu.

– Dlaczego? Kto wezwał policję?

– Ta pierdolona suka wezwała policję! Tylko się kłóciliśmy, a ta lafirynda zamknęła się w sypialni i zadzwoniła po psy! Jak tylko wrócę do domu, to zatłukę sukę.

– Panie Kartynowicz, spokojnie. Proszę mi opowiedzieć o sobie. Czy kiedy przyjechała policja, był pan pod wpływem alkoholu albo narkotyków?

Mężczyzna znowu nabrał powietrza i zamknął się w sobie.

„Za ostro" – skrytykowałam się w myślach.

– Pana milczenie rozumiem jako sprzeciw, tak? – Udałam, że pilnie notuję coś w notatniku.

– Nie. Znaczy tak. To znaczy wypiłem jedno piwo. To nie zbrodnia!

Badania laboratoryjne przy przyjęciu wykazały dwa promile alkoholu we krwi. Wypił więcej niż jedno piwo. Dodatkowo badanie na obecność narkotyków wskazywało, że zażył dopalacze. Była to nowa plaga oddziałów psychiatrycznych, a ostatnio także pediatrycznych.

– Wiem, że kilka lat temu została u pana zdiagnozowana schizofrenia paranoidalna – powiedziałam. – Pana żona przekazała policji takie informacje.

– Już na nic nie choruję.

– Ale pytam o przeszłość. Gdzie pan się leczył? Leżał pan w jakimś szpitalu? Chodził do lekarza? Kto pierwszy postawił to rozpoznanie?

– Dwa lata temu byłem w Drewnicy. Trafiłem tam, jak przyćpałem. Oni twierdzili, że mam schizofrenię. – Zaskoczył mnie nieoczekiwanym wyznaniem. – Ale już mi przeszło.

Na usta cisnęła mi się kąśliwa uwaga, że takie choroby raczej nie przechodzą. Nie cierpiałam takich pacjentów. Wiem, że jako lekarz powinnam być pełna empatii i zrozumienia. Jednak o ile współczucie wobec staruszki z lękami albo młodego człowieka z depresją przychodziło mi bez trudu, o tyle miałam problem z empatią wobec agresywnych typów, którym na ich życzenie narkotyki i wóda wyżerały mózgi, a oni pasożytowali na społeczeństwie, ciągnąc od państwa zasiłki.

– Rozumiem. A może mi pan powiedzieć, kiedy leżał pan w Drewnicy?

Drewnica, czyli Wojewódzki Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych „Drewnica" w Ząbkach, to bardzo dobry ośrodek. Niestety, zaniedbany tak jak wszystkie szpitale psychiatryczne w naszym kraju.

– W październiku albo listopadzie. Na jesieni jakoś.

– A czy ma pan jakieś karty wypisowe z tamtego miejsca? Jakąś dokumentację pobytu?

– Nie.

Zanotowałam w pamięci, żeby skontaktować się ze skatowaną żoną i poprosić o przyniesienie papierów, które pomogłyby mi zweryfikować słowa pacjenta.

– Długo pan leżał w szpitalu?

– Ze dwa miesiące.

– A jakie miał pan objawy?

Wzruszył ramionami.

– Żadnych.

– Gdyby nie miał pan objawów, lekarze nie trzymaliby pana aż dwa miesiące. Proszę sobie przypomnieć. Liczy się każdy szczegół.

– To wszystko wina tej suki. Wtedy też zadzwoniła po policję. Ona ma kochanka! Suka pieprzona! Lafirynda! – wykrzykiwał.

Drzwi pokoju przyjęć otworzyły się nieco szerzej. W szczelinie pojawiła się twarz mojego kolegi, Karola Dąbkowskiego. Najwyraźniej zaalarmowały go wrzaski. Miło, że dał znak, iż ktoś zareaguje, gdy pacjent mnie zaatakuje.

– Dzień dobry panu – przywitał się grzecznie z pacjentem. – Usłyszałem krzyki. Czy coś się stało?

– Nie, wszystko jest dobrze. – Posłałam mu uspokajający uśmiech. – Rozmawiamy o żonie pana Kartynowicza.

– Rozumiem. Gdybyś czegoś potrzebowała, będę w pokoju obok. Do widzenia panu.

Pacjent zaczął ciągnąć troczki przy kapturze bluzy. Zauważyłam, że robił to, gdy się denerwował.

– Sądzi pan, że żona zadzwoniła po policję, bo ma kochanka? – zapytałam.

– Oczywiście, że tak. Ten sukinsyn pierdolony za mną łazi. Dzwoni do domu. Przychodzi, jak mnie nie ma. Wiem, że przychodzi, bo przestawia meble. A ta pinda wmawia mi, że nic nie jest przestawione. Oni chcą zrobić ze mnie wariata, chcą się mnie pozbyć. Ta głupia suka wymyśliła pewnie, że jak mnie zabije, to zabiorą całą forsę i wyjadą.

– Jest pan majętnym człowiekiem? – ciągnęłam go za język.

W historii choroby było zaznaczone, że od piętnastu lat pobiera rentę.

– Tak. Prowadzę mały interes na boku. Wie pani, tutaj kupię, tam sprzedam. Z tego są bardzo duże pieniądze.

– A gdzie pan trzyma te pieniądze? W banku? Bo poza nim to niebezpiecznie w dzisiejszych czasach.

– Ja wiem! Wszyscy czekają, jak uczciwego człowieka okraść. Ja mam te pieniądze w domu. Chowam je w tapczanie. Nawet ta suka nic nie wie. Nie znajdzie ich.

Zapisałam w notatniku krótką informację o tym, że pacjent cierpi na urojenia prześladowcze i wielkościowe. Mimo wszystko postanowiłam zweryfikować jego słowa, gdy na rozmowę przyjdzie małżonka. Cholera wie, może rzeczywiście trzyma w tapczanie pieniądze, tylko nikt mu nie wierzy?

Przypomniała mi się historia pewnej kobiety z manią. Uparcie twierdziła, że jest właścicielką kopalni złota w Afryce. Nikt jej nie wierzył podczas jej kilkumiesięcznego pobytu w szpitalu. Pacjentka niewątpliwie cierpiała na manię i jej nie leczyła, a urojenia o takiej treści idealnie pasowały do objawów kobiety. Okazało się jednak, że naprawdę miała kopalnię złota. Jak została jej właścicielką? Nie udało nam się tego ustalić.

Karol twierdził, że profesorowi, który był jej lekarzem prowadzącym, do dzisiaj głupio, kiedy wspomni się przy nim tę historię. Podobno reaguje nerwowo, nawet gdy ktoś tylko powie słowo „kopalnia”.

– A proszę mi jeszcze powiedzieć coś o narkotykach, które pan przyjmował.

Co to było? – zapytałam.

– Marihuana.

– Tylko?

– Tak.

– A dopalacze? Bo to też są narkotyki.

– To nie są narkotyki. – Pokręcił głową.

– To, niestety, są narkotyki.

– Nieprawda.

– A brał pan dopalacze? – Zmieniłam metodę.

Wolałam nie wdawać się z nim w polemikę. Ludzi można podzielić z grubsza na dwa rodzaje: tych, którzy uważają piwo za alkohol, i tych, którzy traktują je jako rodzaj gazowanej herbaty. Z dopalaczami sprawa ma się podobnie. Niektórzy po prostu nie chcą tego przyjąć do wiadomości.

– Zdarzało się, że brałem – odpowiedział.

Westchnęłam w duchu. Od czasu zmiany ustawy o narkotykach, w myśl której dopalacze także zaliczono do tej kategorii, ich producenci co chwilę zmieniają składy i nazwy swoich produktów. Sprzedają je jako talizmany albo środki pochłaniające wilgoć. Co jakiś czas mówi się w telewizji o zatruciach w różnych regionach Polski, nalotach na dilerów, a z każdą kolejną zmianą ich działań skład syntetycznych chemikaliów staje się coraz bardziej groźny.

Mogłam już założyć, że w mózgu mojego pacjenta doszło do nieodwracalnych uszkodzeń nierokujących poprawy.

Przeprowadziłam jeszcze wywiad rodzinny, nie spodziewając się w nim specjalnych odkryć, i podpytałam pacjenta o życiorys.

Potem odprowadziłam go do sali, którą zajmował, i przeszłam się na szybki obchód do reszty swoich pacjentów, by z każdym chociaż przez chwilę porozmawiać i sprawdzić, jakie efekty przynosi leczenie.

Było już dobrze po trzynastej, gdy udało mi się wrócić do pokoju lekarskiego. Czułam się, jakby ktoś przepuścił mnie przez wyżymaczkę. Nie miałam siły, by utrzymać lekki, uprzejmy uśmiech. Miałam wrażenie, że mięśnie twarzy są jak stwardniała plastelina, która nie może się odkształcić.

– Mówię ci, że lewa to ta po lewej ręce leżącego. Głupi jesteś – dotarły do mnie słowa Uli.

Usiadłam z westchnieniem za biurkiem i spróbowałam uruchomić komputer. Zawieszał się, kiedy zbyt długo był na nim wygaszacz ekranu. Teraz także odmówił współpracy.

Zaraz się popłaczę.

– Aśka nam powie – stwierdził Karol i wychylił się na krześle, żeby lepiej mnie widzieć zza ramienia koleżanki. – Dyskutujemy o tym, która strona łóżka jest lewa. Masz jakiś pomysł? Co ci przychodzi na myśl?

– Co takiego?

Otworzyłam usta ze zdziwienia, bo tak zaskoczyła mnie irracjonalność pytania. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy łóżko ma strony.

– To zagadnienie wydaje się bardzo proste, jednak jest niespodziewanie skomplikowane – powiedział. – Takie pytanie zadał mi dzisiaj jeden z pacjentów i szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia, co mu odpowiedzieć. A czuję się zmuszony do odpowiedzi, bo pacjent twierdzi, że lewa strona łóżka jest zdradliwa i jej nie ufa. Aśka, co o tym sądzisz?

– Że twój pacjent ma dziwny problem.

– No tak, ale powiedz, która strona łóżka jest według ciebie lewą? – upierał się.

– Lewa strona? To chyba ta, na której śpię… – bąknęłam na odczepnego.

– Twoja odpowiedź wiele wniosła. – Urszula parsknęła na i tak już brudny monitor. – Chociaż jest lepsza niż Karola. Wiesz, co powiedział pacjentowi?

– Nie.

– Że lewa strona łóżka to ta od ściany. Czaisz? Nasz filozof stwierdził, że nieważne, w którą stronę stoi łóżko, bo lewa jest od ściany.

– No jakoś tak mi przyszło do głowy – mruknął zawstydzony.

– A ja uważam, że lewa to ta, która jest po lewej stronie, gdy się leży na łóżku na plecach – przekonywała Urszula.

Pokiwałam głową. Wydawało się to logiczne. Tak samo traktowaliśmy pacjenta: jego lewa ręka to ta, która jest po lewej stronie jego ciała, a nie ta, która z naszej perspektywy jest lewą. Ogólnoświatowe jednoznaczne określenie w kręgach medycznych, która strona pacjenta jest prawa, a która lewa, z całą pewnością miało wpływ na zmniejszenie liczby amputacji niewłaściwych kończyn.

– A mnie się wydaje, że lewa to ta, na którą się patrzy – upierał się Karol.

– Dobrze, że nie jesteś chirurgiem. Na pewno zdrową kończynę byś uciął – mruknęłam i przestałam słuchać ich sporu.

Nawet w pokoju lekarskim nie ukryję się przed zwariowanymi rozmowami.

Szpitalny system komputerowy zdołał się odwiesić. Otworzyłam profil nowo przyjętego pacjenta i zaczęłam przepisywać kilka stron swoich notatek. Czułam w kościach, że dzisiaj będzie ciężki dyżur.

– Jest jeszcze jakaś czekolada? – zapytałam z nadzieją.

3.

Stanęłam przy konsoli pielęgniarek. Wysoki blat niczym mur oddzielał korytarz od części przeznaczonej dla personelu. Za biurkiem znajdowało się małe, zamykane na klucz, przeszklone pomieszczenie, gdzie trzymano leki, ciśnieniomierze oraz sprzęt do pobierania krwi. Zerknęłam na plastikowy zegar na ścianie. O tej godzinie, późnym popołudniem, na pewno było już zamknięte w ochronie przed złodziejami, których w szpitalach nie brakowało.

Rozłożyłam papierową historię choroby pacjentki na blacie i z luźnych byle jak wsuniętych kartek wyłowiłam tę, na której pisałam w zeszłym tygodniu. Pozostałe papiery zebrałam byle jak i odłożyłam na bok. Najwyraźniej prowadzącemu pacjentkę chirurgowi było wszystko jedno, w jakiej kolejności leżą. Nie byłam tak wielką pedantką, żeby porządkować mu dokumentację.

Konsultowałam pacjentkę operowaną niedawno z powodu kamicy pęcherzyka żółciowego. Miał to być prosty i łatwy zabieg. Wykonano go metodą laparoskopową. Nacięto powłoki ciała w czterech miejscach i wprowadzono do brzucha mechaniczne trokary, za pomocą których usunięto chory narząd. Po zabiegu, mimo że operacja trwa dłużej od klasycznej, znacznie szybciej dochodzi się do zdrowia. Niestety, pacjentka od lat cierpiąca na depresję rozsypała się psychicznie po zabiegu.

Zostałam wezwana kilka dni temu na pomoc. Zwiększyłam dawki leków, które na stałe przyjmowała, a teraz przyszłam skontrolować postępy. Nie oczekiwałam cudów. Na zauważalny efekt działania leków przeciwdepresyjnych trzeba czekać zwykle około czterech tygodni. Niemniej jednak chirurg uparł się, żeby przyjść skonsultować jego pacjentkę przed wypisem, więc przyszłam.

Stukając długopisem w kartkę, odbiegłam na chwilę myślami od szpitala i gorączkowo zaczęłam się zastanawiać, ile czekolady dzisiaj zjadłam. Poklepałam się po brzuchu. Muszę przestać poprawiać sobie w ten sposób humor. Na razie idzie mi w cycki, ale moja dobra passa może się skończyć.

Oczami wyobraźni zobaczyłam się jutro. Po dyżurze pójdę do sklepu i zrobię porządne zakupy, a potem ugotuję obiad. Złożyłam sobie taką obietnicę. Zacznę zachowywać się jak dorosła. Koniec z odmrażaną pizzą.

Starannym pismem zapisałam swoje uwagi na karcie konsultacji. Chirurdzy nie piszą czytelnie swoich porad. To chyba ich cecha gatunkowa – zdolność do bazgrania niepojęta przez zwykłych zjadaczy chleba. A może po prostu mają własną czcionkę, której nikt nie zna?

Po chirurgicznej konsultacji siadaliśmy zwykle w pokoju lekarskim z Urszulą i Karolem, starając się odcyfrować niechlujne bazgroły i domyślić, co autor miał na myśli. Dopiero potem mogliśmy przepisać jego światłe uwagi do komputera i wcielić je w życie.

Nie chciałam być takim lekarzem. Swoje konsultacje zawsze zapisywałam czytelnie, żeby nie dodawać nikomu roboty. Przeciwnie zachowywał się Karol – uważał, że gdy nieczytelnie zapisze wszystkie swoje zalecenia, będzie to rodzaj zemsty na chirurgach.

Potoczyłam spojrzeniem po korytarzu chirurgii. Podobało mi się tutaj. W przeciwieństwie do psychiatrii panowała tu cisza. Nie było słychać wrzasków ani kłótni. Owszem, do uszu docierały dźwięki szpitala, ale takie jak zbyt głośno ustawiony telewizor w którejś z sal, kroki odwiedzających czy cicha rozmowa rodziny oczekującej w korytarzu. Nie przeszkadzały za bardzo.

No i ten zapach. Zupełnie inna bajka niż na psychiatrii. Na chirurgii unosił się zapach środków czystości i odkażaczy. Okazjonalnie, w części oddziału, w której hospitalizowani byli pacjenci z zakażonymi, niegojącymi się ranami, tak zwanym odcinku brudnym, można było poczuć smród zgnilizny, który starano się jednak za wszelką cenę kamuflować.

Zapach chirurgii był znacznie przyjemniejszy od woni niemytych ciał pacjentów i dymu papierosowego, które utrzymywały się na psychiatrii. Cicha zgoda na palenie na oddziałach psychiatrycznych była od wielu lat przedmiotem dyskusji. Oficjalnie w szpitalach nie wolno było palić nikomu – ani pacjentom, ani personelowi. Jednak nie znalazł się jeszcze odważny, który odmówiłby hospitalizowanemu na psychiatrii pacjentowi, na głodzie narkotykowym, papierosa na uspokojenie. Dość nieszkodliwego w porównaniu z substancjami przyjmowanymi przez niego wcześniej.

Westchnęłam. Może jednak popełniłam błąd, wybierając tę specjalizację? Może lepsze byłoby grzebanie się w ludzkich wnętrznościach niż umyśle?

Zauważyłam, że moje wzdychanie nie umknęło uwadze dwóch pielęgniarek siedzących po drugiej stronie konsoli. Speszona wróciłam do spisywania konsultacji. Nie chciałam dawać im pretekstu do plotek. Zdawałam sobie sprawę z tego, że o psychiatrach krąży mnóstwo krzywdzących anegdot.

Znanych jest też kilka prawdziwych historii, ale to szczegół…

Z rozbawieniem pomyślałam, że nie zaliczam się do najnormalniejszych przedstawicieli gatunku. W końcu notorycznie gadam do siebie!

Obok mnie zatrzymała się tęga dziewczyna w ciasnym fartuchu opinającym jej bujne kształty, który nie pozostawiał wiele wyobraźni. Długie, ufarbowane na czarno włosy zaczesała za uszy. Z pewną dozą fascynacji przyglądałam się jej rzęsom. Były zbyt długie i gęste, by mogły być dziełem natury. Zapewne przedłużyła je u kosmetyczki. Zza ich firanek spoglądały jasnoniebieskie oczy.

Oparła się ciężko o wysoki blat konsoli i wydęła usta, po czym westchnęła jeszcze głośniej ode mnie. Gdy nie doczekała się reakcji ze strony pielęgniarek, ostentacyjnie spojrzała na pozłacany zegarek na swoim nadgarstku i postukała długimi czerwonymi paznokciami w blat biurka.

Zauważyłam, że siedzące po drugiej stronie pielęgniarki nieznacznie zesztywniały. Udawały, że nie zauważyły pojawienia się dziewczyny. Nadal przekładały papiery, przepisując lekarskie zlecenia do zeszytów.

Łatwo można było wyczuć zmianę nastroju. Jakby nagle zrobiło się chłodno.

– Tomek jeszcze nie wrócił z bloku? – zapytała kobieta niskim, zmysłowym głosem.

Chciałabym mieć taki głos. Niestety, Bozia mi go poskąpiła, podobnie jak długich nóg, które tej pretensjonalnej dziewczynie sięgały chyba do szyi. Równoważyły jej wielki tyłek i odrobinę zbyt wydatny brzuszek. Wydaje mi się, że żaden mężczyzna nie patrzył na jej brzuch, tylko skupiał się na tych nienormalnie długich nogach.

Zerknęłam na farbowane włosy. W przedziałku pojawiły się jasne odrosty. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego kobiety farbujące się na czarno wyglądają sztucznie. Zwykle na pierwszy rzut oka widać, że to nie ich naturalny kolor. Może to kwestia karnacji? Jestem naturalną brunetką, a włosy pasują do mojej bladej cery i nie sprawiają wrażenia sztuczności.

Skarciłam się w myślach za dekoncentrację. Wróciłam do konsultacji. Jak tak dalej pójdzie, to nigdy jej nie zapiszę i stąd nie wyjdę.

A może to była podświadoma ucieczka ze swojego oddziału? Może marnowałam tutaj tak dużo czasu, bo nie chciało mi się wracać do siebie?

Znowu to zrobiłam. Skoczek! Weź się w garść! Pisz tę cholerną konsultację!

– Nie widziałyśmy doktora Stalowca – odparła oschle starsza pielęgniarka.

Druga, rudowłosa kobieta obcięta na pazia, skupiła się wyłącznie na piorunowaniu wzrokiem natręta. Już nie udawała, że przekłada papiery. Gdyby jej spojrzenie mogło zabijać, farbowana czarnulka dawno wyzionęłaby ducha.

Nazwisko lekarza wydało mi się znajome.

– Przepraszam, pracuje tu doktor Stalowiec? – wtrąciłam się.

– Tak, pani doktor. – Ja w przeciwieństwie do dziewczyny zasłużyłam na uśmiech pielęgniarki.

– Chyba go znam. Byłam na jednym roku z Tomkiem Stalowcem – wyjaśniłam. – Może to ten sam.

– Doktor Stalowiec jest rezydentem. To możliwe, że się państwo znają. Teraz jest na bloku operacyjnym. Zaczął zabieg o czternastej. – Spojrzała na zegar wiszący na ścianie naprzeciwko konsoli. – Wydaje mi się, że powinien skończyć za niecałą godzinę. Chce pani doktor zostawić mu jakąś wiadomość?

– Nie, nie! – Pokręciłam głową. – Może to nie on. Dziękuję.

– Dobrze, pani doktor.

Zdałam sobie sprawę, że jestem obserwowana przez dziewczynę stojącą obok. Postanowiłam nie zwracać na nią uwagi. Wróciłam do spisywania zaleceń. Po chwili cycate dziewczę odeszło, obwieszczając wszem wobec, że udaje się do

domu. Pielęgniarki odetchnęły z ulgą.

– Wreszcie sobie poszła – mruknęła ta obcięta na pazia.

– Jakaś nowa lekarka? – zapytałam.

– Stażystka – prychnęła w odpowiedzi. – Wyżej sra, niż dupę ma. Myśli, że jak skończyła studia, to pozjadała wszystkie rozumy.

Starsza pielęgniarka zachichotała.

– Doktor Stalowiec wpadł jej w oko. Najchętniej nawet do szatni by za nim weszła, gdyby mogła.

– Wygląda na taką, co nie będzie miała oporów – dodała pierwsza.

– Oj, Iwona, Iwona – westchnęła starsza kobieta. – Narzekasz, zupełnie jakby doktor i tobie wpadł w oko.

– Nic podobnego – syknęła ruda, jeszcze bardziej podkreślając, że łamacz damskich serc i jej zawrócił w głowie.

Postanowiłam jak najszybciej ulotnić się z tego oddziału, zanim niechcący zostanę zamieszana w jakąś walkę. Podałam papiery i pożegnałam się ze sztucznym uśmiechem.

– Gdyby coś się działo z pacjentką, to mam dzisiaj dyżur. W razie problemów pomogę – powiedziałam i opuściłam oddział.

Przez przeszklone drzwi weszłam na klatkę schodową. Oddział chirurgii znajdował się na siódmym piętrze budynku A. Mogłam zejść schodami, ale mi się nie chciało. Kiedy indziej popracuję nad mięśniami łydek. Teraz moim priorytetem było jak najszybsze dostanie się do mieszczącej się w piwnicy budynku B stołówki, żeby zjeść obiad. Bez wychodzenia na dwór musiałam zjechać do łącznika w piwnicy.

Odruchowo poprawiłam włosy, uśmiechając się do swojego odbicia w chromowanych drzwiach dźwigu.

Ku mojemu zaskoczeniu drzwi windy rozsunęły się przede mną od razu po wciśnięciu guzika.

We wnętrzu stały dwa wysokie aluminiowe wózki do przewozu brudnej bielizny. Wyjrzał zza nich pracownik pralni, którego spotkałam rano.

Jak Boga kocham – to naprawdę jakieś głupie szczęście, że ciągle na niego wpadam.

– Aaa, dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry.

– Znowu się spotykamy.

– Tak wyszło. – Patrzyłam zniecierpliwiona na czerwone cyfry na wyświetlaczu, które malały irytująco wolno.

Cieszyłam się, że wózki oddzielają mnie od mężczyzny. Zerknęłam na niego w lustrze, które zajmowało jedną ze ścian kabiny. Przyglądał mi się. Nie odwrócił wzroku, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały. Wróciłam do obserwowania

wyświetlacza.

Coraz bardziej mnie irytowało, że pod wpływem wzroku tego mężczyzny zaczynałam wpadać w panikę. Powinnam chyba czuć się w takiej sytuacji doceniana i pożądana, a nie zastanawiać się, czy facet nie jest przypadkiem psychopatą.

Chyba zaczynałam cierpieć na chorobę zawodową. Wszędzie widziałam szaleńców.

Zdążyłam trochę mu się przyjrzeć spod rzęs. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Szopa kasztanowych włosów sterczała mu, jakby przed chwilą wstał z łóżka. Miał niebieskie oczy z zauważalnym zezem rozbieżnym. Poczułam się głupio, że problem sprawia mi wybranie oka, w które powinnam patrzeć. Nie potrafiłam powiedzieć, jakie miał usta. Dolną połowę twarzy zakrywała gęsta, kręcona broda o ton jaśniejsza od włosów. Gdyby nie to, że był bardzo chudy, przypominałby drwala. Zezowatego drwala.

– Jestem Łukasz.

Gdy się odezwał, podskoczyłam zaskoczona. Oparłam się ciężko o ścianę.

– Hm, Asia – odpowiedziałam zakłopotana swoją reakcją.

Przesunął wózki do przodu i podał mi rękę. Miałam opory, lecz uścisnęłam mu dłoń, żeby nie wyjść na dziwaczkę. Miał mokre ręce, ale powstrzymałam się przed wytarciem dłoni o fartuch. Nie chciałam robić mu przykrości.

Jeszcze bardziej przytuliłam się do ściany, by wózek mnie nie przygniótł.

– Idziesz do domu? – zapytał.

– Chciałabym, ale mam dzisiaj dyżur – odparłam.

– Tak, dyżury to chyba najgorsza część pracy lekarza, co?

– Jeśli ktoś cierpi na bezsenność, całkiem nieźle się na nich bawi. – Uśmiechnęłam się krzywo.

– Pewnie idziesz coś zjeść? – zmienił temat.

– Eee… tak.

– Może pójdę z tobą? – zaproponował. – Tylko odstawię te wózki do innego bloku. To nie potrwa długo, a potem…

– Chciałam wziąć jedzenie na wynos i zjeść na oddziale – weszłam mu w słowo i zrobiłam przepraszającą minę. – Mam dużo roboty. Tonę w papierach i sam rozumiesz…

– Och, no tak… rozumiem.

Źle się czułam, że skłamałam, jednak jeszcze gorzej znosiłam myśl, że zamiast zjeść w miłej atmosferze, będę szła z jedzeniem przez cały szpital, żeby potem męczyć się z zimnym posiłkiem przy biurku.

Ponadto istniało zagrożenie, że zostanę przez kogoś zauważona i zagoniona do roboty.

Dyżurowałam dzisiaj z lekarką, która na co dzień nie pracuje na oddziale,

tylko przychodzi kilka razy w miesiącu. Wróżyło to więcej pracy. Niedofinansowanej psychiatrii nie stać na to, by zatrudniać na oddziale tylu lekarzy, aby mogli wziąć wszystkie dyżury w miesiącu. Zatrudniano więc takich, którzy przychodzili tylko na dyżury. W związku z tym, że nie pracowali tu na co dzień, to nie wiedzieli, jakie mamy leki, kto z jakiego powodu tutaj leży i gdzie znajdują się czyjeś dokumenty.

Nie cierpiałam takich dyżurów. Trzeba było w zasadzie niańczyć tę drugą osobę.

– Też chciałbym zostać lekarzem – powiedział salowy.

– Och, tak?

– Teraz studiuję wieczorowo fizjoterapię, ale potem, jak już finansowo stanę na nogi, będę próbował dostać się na lekarski.

– W takim razie trzymam kciuki – odparłam zupełnie szczerze.

– Dzięki. – Uśmiechnął się szeroko.

Ja mogłam podczas sześcioletnich studiów liczyć na pomoc finansową rodziców. Nie każdy może pozwolić sobie na ten komfort. A niestety nie da się pracować, by się utrzymać, i zarazem studiować medycynę, która nawet gdy płatna i „wieczorowa", to zajęcia ma w ciągu dnia.

Drzwi windy otworzyły się. Salowy mocno popchnął wysoki wózek, by przeskoczyć próg. Windy zawsze zatrzymywały się na najniższym poziomie trochę poniżej podłogi. Wózek ze zgrzytem podskoczył i rozpędzony wyjechał z kabiny. Dobiegło nas głośne przekleństwo poprzedzone gwałtownym zatrzymaniem się wózka.

Wyszliśmy z windy. Stażystka z chirurgii, którą spotkałam przed chwilą na oddziale, masowała ramię. Rękaw jej białego fartucha ubrudzony był smarem.

– Ty debilu! – wrzasnęła na salowego. – Uważaj, jak jedziesz tym wózkiem!

– Przepraszam, nie chciałem. Żeby wyjechać z windy, trzeba mocniej pchnąć wózek. Nie widziałem pani – zaczął się tłumaczyć mężczyzna.

– Jesteś za tępy nawet na prowadzenie wózków, przygłupie! – syknęła dziewczyna.

– Hej, hej. – Uniosłam ręce. – Chyba nie ma co się tak unosić.

– Odpieprz się! – warknęła.

Odwróciła się na pięcie i wściekła ruszyła korytarzem. Najwyraźniej nie miała już ochoty jechać windą.

– Ale milutka – mruknęłam z niedowierzaniem.

– Nie chciałem – powtórzył Łukasz.

– Nie przejmuj się smarkulą. Zdarza się. – Wzruszyłam ramionami. – Do widzenia.

Odchodząc łącznikiem do budynku B, czułam na plecach jego spojrzenie, ale nie odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy się nie mylę.

Dźwięk moich kroków odbijał się echem w pustym łączniku. Szara farba, którą przed laty pomalowano ściany, odchodziła płatami, opadając gdzieniegdzie na posadzkę. Mozaika składała się z brązowych i brudnożółtych płytek. Może kiedyś były białe, ale teraz najlepszym określeniem był brudnożółty. Idealna sceneria na horror. Brakowało tylko maniaka w masce dzierżącego w dłoniach zakrwawioną siekierę. Zaśmiałam się nerwowo ze swoich głupich pomysłów.

Mam zbyt bujną wyobraźnię. Moja matka zawsze mi to wypominała. W zasadzie ta moja wiecznie niezadowolona rodzicielka ciągle coś mi wypominała. Była na przykład przekonana, że mój rozwód był błędną decyzją. Zupełnie zapomniała, że kilka lat wcześniej pomysł na wyjście za mąż tak samo jej się nie podobał.

A już całkiem zawiodłam ją wyborem specjalizacji. Przecież każdy wie, że psychiatra to szaleniec, który przejmuje od swoich pacjentów wszystkie ich choroby, prawda?

Szczerze podejrzewam, że prędzej zwariuję od jej narzekania niż z powodu swojej pracy.

Jutro do niej zadzwonię. Podczas poprzedniej rozmowy pokłóciłyśmy się. Może jak oczyszczę atmosferę, to humor mi się poprawi. Pocieszona tą myślą weszłam do stołówki.

W przeciwieństwie do piwnicznego korytarza tutaj atmosfera była bardzo przyjemna. Sprzyjała długiemu przesiadywaniu przy smacznym posiłku. Było czysto i pachniało dobrym jedzeniem. Niedawno wyremontowana sala przypominała wnętrza nowoczesnej restauracji albo kawiarni. Sprawiała wrażenie oazy, miejsca, w którym człowiek może chociaż na chwilę zapomnieć, że znajduje się w szpitalu. O ile oczywiście jego podejrzeń nie wzbudzi obecność dużej liczby osób w białych fartuchach.

Zamówiłam szybko jedzenie, wzdychając w duchu, że muszę je zabrać na śmierdzący oddział.

– No proszę, proszę! Kotlet schabowy z kapustą? – usłyszałam za sobą kpiący głos. – Taka delikatna dziewczyna zamierza pochłonąć porcję jak dla wielkiego chłopa?

Odwróciłam się do Karola, lekarza z mojego oddziału.

– A ty co tu robisz? – zdziwiłam się. – Nie pojechałeś do domu?

– Kończyłem uzupełniać papiery i trochę mi zeszło – wyjaśnił. – Wiesz, jak to jest.

Wiedziałam, Karol nie radził sobie z dokumentami. Cud, że jeszcze ani razu nie zgubił historii choroby pacjenta w tym bajzlu na swoim biurku.

Zamówił to samo co ja. Także na wynos.

– Nie chce mi się gotować w domu – wyznał. – Zamierzam kupić po drodze jakieś dobre piwo, odgrzać kotleta w mikrofalówce i spędzić miłe popołudnie przed

telewizorem.

– Zazdroszczę ci.

– Telewizora czy piwa?

– Dzisiaj to chyba piwa…

– Masz ochotę na alkohol? – Zaśmiał się. – Ty?

Wiedział, że mam słabą głowę. Dałam temu dowód, kiedy fałszowałam podczas karaoke, którego chyba do końca życia będę się wstydzić. Jakiś tydzień temu Urszula zrobiła u siebie imprezę dla znajomych z pracy i ze studiów. Zaprosiła nas do swojego domu w Brwinowie i urządziła przyjęcie w iście amerykańskim stylu – z masą ludzi i masą alkoholu.

Karol był w siódmym niebie, kiedy okazało się, że większość jej koleżanek to samotne i dużo młodsze od niego kobiety. Humor pogorszył mu się dopiero wtedy, gdy wyszło na to, że nawet po alkoholu nie są zainteresowane łysiejącym facetem z lekkim piwnym brzuszkiem, choćby miał nie wiadomo jak duże poczucie humoru.

– Mam na to ochotę bardziej niż na dyżur. – Stuknęłam go palcem w nieco wystający brzuch. – A ty nie powinieneś za dużo pić.

– A co innego mam do roboty? – Westchnął. – Może jak kiedyś będziemy mieć razem dyżur, to zaszalejemy?

– Czemu nie. – Zaśmiałam się.

– Zawsze możemy nałykać się psychotropów z szafki z lekami – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Może wtedy lepiej zrozumiemy pacjentów.

– Już tak nie fantazjuj.

Wzięłam podane mi jedzenie.

– Idę na oddział, zanim mi wystygnie. Cześć.

– Do zobaczenia.

4.

Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie pokoju lekarskiego. Było już po dwudziestej. Długa wskazówka na moich oczach ze zgrzytem przesunęła się i wskazała cyfrę pięć. Oparłam się wygodnie na krześle i w myślach podsumowałam dzisiejsze dokonania. Zrobiłam wieczorny obchód, sprawdziłam zlecenia, odesłałam drugiego dyżuranta na SOR, załatwiłam niecierpiące zwłoki sprawy. Teoretycznie mogłam wypić kubek kakao i pójść spać w nadziei, że gdy coś się wydarzy, to przynajmniej choć trochę pośpię.

No cóż… mogłabym, gdyby chirurgia nie wezwała mnie na konsultację w sprawie majaczącego pacjenta. Narzekając pod nosem, ruszyłam do obowiązków, żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

Po całym dniu siedzenia na niewygodnym krześle potrzebowałam ruchu. Już w piwnicy, po upewnieniu się, że nikt mnie nie widzi, wykonałam kilka skłonów i zaczęłam rozciągać się na schodach. Czułam, że moje mięśnie są napięte do granic możliwości.

Żałowałam, że opuściłam w tym tygodniu trening judo. Chodziłam na judo, od kiedy przeprowadziłam się do Warszawy. Po wielkim powrocie do stolicy postanowiłam zmienić swoje życie. Nie chciałam już być Aśką, która boi się głośno powiedzieć własne zdanie. Zamierzałam stać się silną, niezależną kobietą niepotrzebującą do szczęścia silnego ramienia mężczyzny.

Zaczęłam kupować buty na wysokich obcasach, malować paznokcie na modne kolory i trenować judo. Redaktorki z „Cosmo” byłyby ze mnie dumne.

Piwniczny korytarz był dość straszny o tej porze. Objęłam się ramionami i przyspieszyłam kroku. Teraz już nie było mi do śmiechu, gdy myślałam o mordercach z siekierami. Nie było bardzo późno, światła ciągle się paliły, jednak odrapane ściany miały w sobie coś przerażającego. Tak filmowcy wyobrażają sobie podziemia szpitali psychiatrycznych.

Jak widać, słusznie.

Zatrzymałam się gwałtownie. Za sobą usłyszałam szelest. Odwróciłam się. Korytarz był pusty. W oddali złowrogo migotała świetlówka, stukając dogorywającym starterem. W załomach murów czaiły się cienie udające zbłąkane potwory. Rzuciłam czujne spojrzenie na podniszczoną podłogę pewna, że gdzieś obok przebiegł szczur.

– Halo? – zapytałam na wszelki wypadek.

Po chwili zganiłam się w myślach za niczym nieuzasadnioną paranoję. Było jeszcze wcześnie! O dwudziestej kończył się czas odwiedzin. Na pewno rodziny pacjentów nie zdążyły opuścić budynku. Prawdopodobnie poza mną ktoś jeszcze błąkał się po labiryncie korytarzy, a echo sprawiło, że wydawało mi się, że jest tuż obok.

Odchrząknęłam, by pozbyć się kluchy w gardle, i pewniejszym głosem zawołałam:

– Halo?

Nikt mi nie odpowiedział.

Znałam judo, miałam zrobione paznokcie, ale w życiu oglądałam zbyt dużo horrorów, żeby spokojnie spacerować po pustych szpitalnych podziemiach. Nie było powodów, by ryzykować.

Nie zwlekając dłużej, truchtem dotarłam do podziemi budynku A i wjechałam pustą windą na siódme piętro. Dopiero tam poczułam się bezpiecznie.

Szarpnęłam za klamkę szerokich, przeszklonych drzwi prowadzących na oddział. Ani drgnęły. Uderzyłam się dłonią w czoło. No tak… O tej godzinie były zamknięte. Personel wyprosił już wszystkich odwiedzających.

Cudownie.

Przysunęłam się do drzwi, żeby zajrzeć do środka. Niestety, były tak szczelnie oblepione plakatami reklamującymi konferencje naukowe i instrukcjami na temat tego, czego nie można robić w szpitalu, że nie byłam w stanie niczego dojrzeć w środku. Przez chwilę korciło mnie, by zerwać którąś z plansz, ale się powstrzymałam. Jeszcze ktoś mnie zobaczy i narodzi się nowa anegdota o psychiatrach.

Wcisnęłam dzwonek domofonu, który zgodnie z napisaną markerem informacją miał połączyć mnie z dyżurką pielęgniarek. Gdy nie otrzymałam odpowiedzi, zadzwoniłam do dyżurki lekarskiej. Wiedziałam, że nie ma co wciskać guzika z napisem „Sekretariat", bo po piętnastej nie było już tam żywego ducha.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczęłam wciskać na zmianę guziki do obu dyżurek w rytm popularnej piosenki.

Brzęczyk zaczął cykać, oznajmiając, że mogę wejść do środka. Szybko szarpnęłam klamką, zanim dobra dusza, która umożliwiła mi otwarcie drzwi, zmieni zdanie. Morelowy korytarz był pusty. W oddali zauważyłam metalowy wózek do rozwożenia leków. To dlatego pielęgniarki nie odpowiadały. Przyszłam w momencie, gdy były zajęte wydawaniem pigułek i podłączaniem kroplówek.

Postanowiłam się obsłużyć i podeszłam do konsoli, gdzie zaczęłam szukać historii choroby pacjenta, do którego mnie wezwano. Znalazłam ją na wierzchu pokaźnej kupki papierów. Ponieważ nadal nie spotkałam nikogo, komu mogłabym powiedzieć, że już jestem, wsadziłam historię choroby pod pachę i ruszyłam na poszukiwanie pacjenta.

Po zbadaniu chorego, który majaczył z powodu podania silnych leków przeciwbólowych, zastałam już pielęgniarki przy biurku.

Te same, z którymi miałam do czynienia rano.

– Dobry wieczór – przywitałam się jeszcze raz i uniosłam papiery. – Nikogo

tu nie zastałam, więc poczęstowałam się historią.

– Nic się nie stało, pani doktor – odpowiedziała z uśmiechem starsza pielęgniarka. – A co z naszym pacjentem?

– Ma typowe objawy po środkach przeciwbólowych – odpowiedziałam. – Dostał mieszankę paracetamolu z lekiem opioidowym. Mógł po tym mieć wahania nastroju i odczuwać oszołomienie. Tym bardziej w jego podeszłym wieku. Osoby starsze i dzieci czasami mają tak zwane objawy paradoksalne po zwykłych lekach.

– To co? Hydroksyzynkę mu podać? – zapytała.

– Napisałam wszystko w karcie konsultacji. – Podałam jej papiery i pokazałam palcem, gdzie zaczynają się moje zalecenia. – Tu i tu. Dobrze byłoby go jeszcze trochę nawodnić.

– Już wołam lekarza, żeby to podstemplował – powiedziała. – Proszę chwilkę poczekać, pani doktor, może będzie chciał o coś spytać.

Druga pielęgniarka, o ile dobrze zapamiętałam – Iwona, siedziała naburmuszona. Wyprostowała się, gdy za moimi plecami rozległy się ciężkie kroki lekarza. Oblizała umalowane czerwoną szminką usta.

– Co tam? – rozległ się obok mnie głęboki głos.

Musiałam zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy. W jednej chwili zrozumiałam, dlaczego cycata stażystka polowała na niego w szatni, a pielęgniarka Iwona nie spuszczała z niego swojego naburmuszonego wzroku.

Gdy oparł się o konsolę, zauważyłam olbrzymie dłonie.

– Aśka? – Uśmiechnął się szeroko. – Tak mi się wydawało, kiedy podchodziłem, że skądś znam te czarne loki. Co ty tu robisz?

– Tomek! – Także się ucieszyłam.

Chirurg był bardzo przystojny, ale surowy. Miał kwadratową szczękę z nitkami ostrego, lekko rudawego zarostu dookoła wąskich, mocno zaciśniętych ust. Włosy, chyba delikatnie kręcone, miał bardzo krótko, po żołniersku ścięte. O ile udało mu się ukryć w ten sposób rozkoszne loki, o tyle nie mógł zamaskować swoich długich rzęs.

Złapał mnie w niedźwiedzi uścisk. Iwona nie spuszczała z nas swojego lodowatego wzroku.

– Aśka Kaczmarczyk! – Tomek nie mógł wyjść z podziwu. – Wieki się nie widzieliśmy!

– Już nie Kaczmarczyk. – Postukałam paznokciem w identyfikator przyczepiony do kieszeni fartucha. – Teraz Skoczek.

– Och, jesteś mężatką? – Usłyszałam w jego głosie nutę zawodu.

Wzrok Tomasza powędrował do moich dłoni w poszukiwaniu obrączki. Ale tam pozostała jedynie bledsza linia na skórze.

– Już nie. – Uśmiechnęłam się krzywo i wsunęłam ręce do kieszeni. – To długa historia.

– W takim razie zapraszam cię do pokoju na kawę. A co tam u mojego pacjenta? – zainteresował się szybko, widząc wiele mówiącą minę starszej pielęgniarki.

– Już wpisałam zalecenia pani doktor. Musi pan tylko tu podbić. – Podała mu tekturową podkładkę z kartą zleceń.

Pospiesznie przebiegł spojrzeniem przez tabelkę, w którą pielęgniarka wpisała zalecone przeze mnie leki i płyny. Wyciągnął z kieszeni pieczątkę i przystawił ją obok.

– Co ja bym bez pani zrobił, pani Elu? – powiedział. – Zginąłbym na pewno.

– Oj, doktorze. – Zarumieniła się i zachichotała, mimo że mogłaby być prawie jego babcią.

Najwyraźniej Tomek lubił korzystać ze swojego uroku. Poczułam pomiędzy łopatkami jego dłoń, gdy delikatnie skierował mnie w stronę pokoju lekarskiego. Z rozbawieniem uznałam, że także zaczynam ulegać jego czarowi.

Kiedy zostałam posadzona na wersalce i obdarzona kubkiem z kawą rozpuszczalną, który teraz ściskałam w dłoniach, Tomek przeszedł do pytań. Rozparł się wygodnie na krześle naprzeciwko mnie.

– To opowiadaj, Asia! Co u ciebie? Wyjechałaś od razu po studiach, prawda?

Byliśmy w tej samej grupie dziekańskiej, wprawdzie nie jako bliscy przyjaciele, niemniej spędziliśmy sześć lat na tych samych zajęciach. W którymś momencie byłam nawet zafascynowana chirurgią i zapisałam się do koła chirurgicznego, którego Tomek był przewodniczącym. Szybko jednak odkryłam, że to nie dla mnie. On, jak widać, podążył za swoim marzeniem.

– Wyjechałam za narzeczonym po ostatnim egzaminie. – Wzruszyłam ramionami. – Staż odbyłam już w Gdańsku.

– A dlaczego wyjechaliście?

– On stamtąd pochodził. Był informatykiem. Swoje studia skończył rok wcześniej. Wyjechał nad morze i czekał na mnie, aż dołączę najszybciej, jak się da.

– I to zrobiłaś.

– Tak.

Chyba zbyt wyraźnie słychać było gorycz w moim głosie, bo Tomek się zmieszał. Spojrzał na opróżniony do połowy kubek w swoich dłoniach. Odchrząknął.

– Słuchaj, przepraszam, jeśli byłem wścibski. Po prostu nie widzieliśmy się, sam nie wiem, pewnie już z pięć lat.

– Spokojnie. Po prostu jeszcze trochę przeżywam. – Upiłam duży łyk obrzydliwej w smaku kawy. – Wzięliśmy ślub, gdy byłam na stażu. Potem dostałam się na rezydenturę z psychiatrii i wszystko było super.

– Ale…?

– Ale on znalazł sobie w międzyczasie dziewczynę…

– Och, przykro mi.

– Mnie już nie. Najwyraźniej nie poświęcałam mu tyle czasu i uwagi, ile potrzebował.

Odstawiłam kubek. Nie miałam już zamiaru pić tej kawy. Nie dość, że nie będę mogła zmrużyć oka, to jeszcze dostanę niestrawności.

– Rozwiedliśmy się ze Sławkiem, a ja wróciłam tutaj. Na stare śmieci – zakończyłam.

W przeciwieństwie do Tomka nie pochodziłam z Warszawy. Moja rodzina mieszkała w Siedlcach. Nie chciałam jednak wracać do rodziców z podkulonym ogonem. Zwłaszcza że Sławek nigdy im się nie podobał. Byłam przekonana, że czekałyby mnie codzienne wymówki i niewybredne komentarze o zmarnowanym życiu. Wolałam być panią swojego losu i zamieszkać w stolicy, mając za towarzysza kota, którego zresztą kupiliśmy z mężem.

To był mądry kot. Od początku nie cierpiał Sławka i nawet sikał mu do butów.

– Ludzie spoza branży przeważnie nas nie rozumieją – westchnął Tomek, usiłując tym mnie pocieszyć.

Poniekąd się z nim zgadzałam. Komuś związanemu z medycyną łatwiej było zaakceptować, że partner może nie wracać na noc do domu, że musi dłużej zostać w pracy, a gdy już z niej wyjdzie, to musi siedzieć w książkach. Że nie może jechać na urlop, kiedy chce, i tak dalej. Często wbrew woli byliśmy niewolnikami swojej pracy.

Sławek tego nie rozumiał.

– Mój poprzedni, dość długi związek rozpadł się przez jedną konferencję – wyznał Tomek.

– Jak to?

– Pojechałem na dwa dni do Wiednia. Prezentowałem tam pracę na temat chirurgicznego leczenia przewlekłych owrzodzeń. Mojej dziewczynie bardzo nie podobał się ten wyjazd. Była okropną zazdrośnicą. Chyba myślała, że będę w hotelu pił wódkę i kochał się, z kim popadnie.

– A nie piłeś?

– Pić, piłem, ale żeby kochać się, z kim popadnie? – Puścił do mnie oko. – Aż tak niewybredny nie jestem.

– Przykro mi, że się rozstaliście.

– A mnie nie. To najwyraźniej nie była ta jedyna. Zresztą to już historia, minął prawie rok.

Poplotkowaliśmy jeszcze chwilę na temat znajomych. Przez swój wyjazd nad morze, który teraz wydawał mi się wręcz banicją, straciłam kontakt z ludźmi ze studiów. Z radością wysłuchałam więc nowinek.

– Muszę się zbierać – powiedziałam, niechętnie zerkając na zegarek. – Jestem na oddziale sama, bo koleżanka poszła na SOR. Dziwię się, że jeszcze nikt mnie nie szuka.

Poklepałam się po kieszeniach w poszukiwaniu telefonu, który zawsze musiałam mieć na dyżurze. Był na miejscu. Miałam szczęście, że podczas mojej nieobecności na oddziale nie przydarzyło się nic złego.

– Szkoda, dobrze nam się gada. Dyżur od razu zrobił się przyjemniejszy. Odprowadzę cię kawałek – zaoferował się.

– A ty dziś nie operujesz? Nie musisz tu zostać?

– Obstawiamy dyżur w trzy osoby. Teraz trwa operacja. Ja zostałem do pilnowania oddziału i ewentualnie konsultacji na terenie szpitala, jeśli zajdzie taka potrzeba. Około północy będziemy się zmieniać. Nikt na razie nie woła mnie na ratunek, więc mogę wybrać się na mały spacer.

– A nie lepiej się przespać? – zdziwiłam się. – Jeśli pójdziesz potem na blok, nie zmrużysz oka przez całą noc.

– Spokojnie. Napiłem się kawy, będzie teraz działać. Odprowadzę cię, wrócę i spróbuję na chwilę się położyć, ale pewnie coś się zacznie dziać. Rzadko kiedy można pospać na chirurgii.

Pokręciłam głową. Gdybym miała wypadek i trafiła nad ranem w ciężkim stanie do szpitala, to nie chciałabym być operowana przez lekarza, który przez cały dzień pracował na oddziale, a potem nie spał całą noc, tylko stał na bloku. Raczej nie ma wtedy tak pewnych rąk jak po kilku choćby godzinach snu.

Stanęliśmy na klatce schodowej przed windami.

– Fajnie było spotkać się po latach – powiedział z radością. – Ciągle nie mogę w to uwierzyć!

– To tak jak ja. Nie spodziewałam się, że cię tu zastanę.

– Pracuję w tym szpitalu od niedawna – wyznał. – Zacząłem robić specjalizację na Banacha, ale się przeprowadziłem i nie pasowały mi dojazdy. Jechałem do pracy przez Śródmieście prawie półtorej godziny.

– A gdzie mieszkasz?

– Kupiłem zapuszczony, jednopiętrowy domek za Markami. Postanowiłem, że sam go wyremontuję. – W jego głosie wyraźnie słychać było dumę. – Na razie nie mam na to wiele czasu. Dom wymaga sporo roboty. Mam tylko nadzieję, że nie przeceniłem swoich możliwości.

– Marki? – Pokiwałam głową. – To masz dobry dojazd.

Szpital Wschodni znajdował się niedaleko trasy wyjazdowej na Marki.

– A nie narzekam. Chociaż powiem ci szczerze, że na razie ten dom to prawdziwy koszmar. Nie stać mnie było na nic w lepszym stanie i myślałem, że kupno domu do remontu to dobre rozwiązanie, ale niestety. To skarbonka. W zimie mieszkałem na parterze, bo na piętrze nie ma dobrej izolacji i ciepło ucieka. Za

dużo forsy szło na opał, więc przykręciłem kurki. Zamarzła mi woda w rurach, pojawił się grzyb… – Machnął ręką. – Ech, chyba wpakowałem się w niezłe bagno.

Gdy weszliśmy do kabiny windy, zerknęłam w lustro. Tomek nie spuszczał ze mnie wzroku. Nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się znacząco i puścił do mnie oko.

– Musimy teraz częściej się spotykać, skoro odnowiliśmy znajomość – powiedział.

– Chyba niezły z ciebie kobieciarz, co? – zakpiłam, przypominając sobie wpatrzone w niego pielęgniarki. – Jesteś jak chirurg z dowcipów.

– Ja? – zdziwił się ze śmiechem. – Nie wiem, o czym mówisz.

– No, nie wiem, czy powinnam spędzać z tobą dużo czasu. Masa kobiet się za tobą ogląda. Jeszcze któraś postanowi mnie wyeliminować jako konkurencję.

Parsknął ubawiony.

– Nie mów, że jest coś, czego się boisz – odparł. – Co najwyżej czeka cię walka w kisielu, a raczej żelu do USG.

Głośno się śmiejąc, wysiedliśmy w piwnicy i wpadliśmy na dobrze mi znanego pracownika pralni. Pchał aluminiowy wózek korytarzem koło windy. Pomimo że pojemnik był szczelnie zamknięty, czuć było specyficzny zapach zgnilizny i krwi. Musiał przewozić materiał biologiczny z bloku operacyjnego do specjalnego składu w budynku H.

Zamrugałam zaskoczona. Byłam przekonana, że pracuje w pralni. Nie spodziewałam się go na terenie szpitala w godzinach wieczornych. Może dorabiał też na bloku operacyjnym?

Szpitale nie miały teraz swoich spalarni. Amputowane kończyny, wycięte organy czy po prostu chusty i opatrunki mające kontakt z wydzielinami człowieka albo krwią, nie wspominając o igłach, probówkach czy strzykawkach, musiały być utylizowane przez zajmujące się odpadami medycznymi firmy zewnętrzne, które spełniały surowe europejskie normy. W związku z tym odpady, zamiast natychmiast je spalić, należało przewieźć do specjalnego magazynu, gdzie leżały przez kilka godzin. Stamtąd w określonych porach odbierali je pracownicy firm utylizacyjnych.

Mężczyźni zmierzyli się spojrzeniami.

– Dobry wieczór – powiedział Łukasz.

– Dobry wieczór – odpowiedziałam.

Tomek się nie odezwał. Zlustrował tylko mężczyznę lekceważącym spojrzeniem i wrócił do opowieści o swoim domu i postępach w remoncie.

Łukasz szedł kilka kroków przed nami. Zgarbił się i zwolnił. Wydawało mi się, że nawet przechylił lekko głowę, by słyszeć, o czym mówimy. Niebawem jednak skręcił w korytarz prowadzący do budynku H, w którym mieścił się magazyn, i zniknął nam z oczu.

Nagle dotarł do nas zapach dymu papierosowego. Skręciliśmy za załom muru. Tuż przed nami stała pacjentka, paląc nerwowo papierosa. Miała około trzydziestu lat, a jej niezdrowo wychudzone ciało szczelnie owijał tandetny szlafrok w panterkę. Unosił się na obfitym biuście, który nie powinien mieć aż takich rozmiarów przy niskiej wadze właścicielki. Stała w kapciach na koturnie ozdobionych czarnym futerkiem. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Zauważyłam też na jej kostce mały tatuaż – kontur motyla.

Zaalarmowana naszymi krokami odwróciła się i posłała nam spłoszone spojrzenie. Ukryła papierosa za plecami. Po chwili na jej twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech. Spomiędzy uchylonych warg wydostały się pasemka szarawego dymu.

– Ach! Doktor Stalowiec – zaszczebiotała zachrypniętym głosem wieloletniej palaczki. – Dobry wieczór!

– Co pani tutaj robi? – Tomek zmarszczył brwi.

– A tak, wyskoczyłam na papieroska. – Zaśmiała się i wyciągnęła zza pleców rękę z tlącym się papierosem. – Jednego małego przed snem.

Zatrzepotała rzęsami.

– Na terenie szpitala nie wolno palić – powiedziałam.

Moje słowa puściła mimo uszu. Ba, nawet nie odwróciła się w moją stronę. Nie spuszczała wzroku z Tomka. Wręcz pożerała go spojrzeniem. Szlafrok rozchylił się jej odrobinę, ukazując czarną, atłasową koszulkę nocną. Zadziwiła mnie. Nie widziałam jeszcze pacjentki, która miałaby w szpitalu atłasową koszulkę.

A myślałam, że już wiele widziałam.

– Pani… – Tomek zająknął się, zjeżdżając spojrzeniem na koszulkę.

Miałam ochotę go zdzielić.

– Marylo! – odparła z udawanym wyrzutem i strzepnęła popiół z papierosa na posadzkę.

Poprawiła włosy spięte w zgrabny kok, ale podniszczone farbą i trwałą ondulacją. Przyglądałam się jej zdumiona. Miała na twarzy pełen makijaż. Ja nawet poza szpitalem nie nosiłam tak perfekcyjnego.

– Oczywiście. – Posłał jej zniewalający uśmiech. – Szukałem w pamięci pani nazwiska, pani Marylo.

Biedny Tomek wydawał się bardzo zawstydzony. Nie byłam pewna tego, co go tak speszyło. Fakt, że nie pamiętał jej nazwiska, czy czarna koszulka z głębokim dekoltem?

– Panno – poprawiła go. – Mądrawska, Maryla Mądrawska.

Kobieta zaciągnęła się papierosem i rzuciła mi taksujące spojrzenie. Mina pacjentki wskazywała, że chyba nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Z jej twarzy mogłam wyczytać jedynie pogardę.

No tak… ja nie miałam doklejanych rzęs.

– Panno Marylo, jest pani przed operacją. Radzę wstrzymać się z paleniem na kilkanaście godzin – poprosił ją Stalowiec. – Dla pani dobra.

– A pan doktor będzie mnie operował? – Znowu zatrzepotała rzęsami.

– Nie. – Pokręcił głową. – Operację przeprowadzi nasz najbardziej doświadczony chirurg naczyniowy. Niemniej jednak, jeśli bardzo pani zależy, chętnie przyjdę na operację i stanę do niej w asyście.

– Będę wdzięczna! – O mało nie zadusiła się dymem, ucieszona słowami Tomka.

– Proszę już iść na oddział, panno Marylo.

– A przyjdzie pan do mnie jeszcze na wieczorny obchód?

– Oczywiście.

– Do zobaczenia, doktorze! – Puściła do niego oko.

Pomachała na odchodne. Gdy ją minęliśmy, obejrzałam się jeszcze przez ramię. Zamiast pożegnania posłała mi pełne jadu spojrzenie. Najwyraźniej wiele by dała, by znaleźć się na moim miejscu i wędrować ze Stalowcem ciemnymi korytarzami szpitala.

Kiedy byliśmy już całkiem daleko, dobiegł nas zwielokrotniony przez echo głos Łukasza, który musiał spotkać tę kobietę na swojej drodze, a także urocza odpowiedź pacjentki Tomka:

– Proszę pani, tu nie wolno palić!

– Spieprzaj, dziadu, będę robiła to, na co mam ochotę!

Aż pokręciłam z niedowierzaniem głową. Jak większość osób nie szanowała personelu, a swoje chamskie zachowanie usprawiedliwiała tym, że – jak nazwa wskazuje – służba zdrowia jest od służenia…

– Z czym przyszła tu ta pacjentka? – zapytałam zaciekawiona.

Nie wyglądała na ciężko chorą. Była szczupła, trzymała się prosto, szła równym krokiem. Poza zachrypniętym głosem nałogowej palaczki nic u niej nie odbiegało od normy. No, chyba że do ogólnie pojętych odchyleń można zaliczyć zamiłowanie do motywu panterki i samotnego włóczenia się po piwnicznych korytarzach.

– Nie mam pojęcia – odparł z rozbrajającą szczerością Tomek.

– To ty jej nie leczysz?

– Przysiągłbym, że widzę babkę pierwszy raz. Chociaż gdzieś już ten szlafroczek mi mignął.

– A pójdziesz na jej operację?

– Jeśli nie będę miał lepszych rzeczy do roboty… – Parsknął. – Tuż po odprawie, gdy przedłużę zlecenia pacjentom, zawijam się i schodzę z dyżuru. Nikt mi nie płaci za nadgodziny. Teoretycznie nawet na odprawie nie powinienem siedzieć, bo płacą mi tylko do ósmej rano.

Pokiwałam głową. Na naszym oddziale poza godzinną odprawą istniało

magiczne pół godziny, za które nikt nikomu nie płacił, i teoretycznie żadnego z lekarzy nie powinno wtedy być na psychiatrii. Dniówka trwała siedem godzin i trzydzieści pięć minut. Dzień pracy zaczynaliśmy o ósmej rano. W związku z tym wszyscy teoretycznie powinni wyjść z pracy o piętnastej trzydzieści pięć. Z kolei zgodnie z umową popołudniowy dyżur rozpoczynał się od szesnastej. Gdyby nie to, że wszyscy nie wyrabiali się z pracą i nie wychodzili na czas, to przez pół godziny nikogo nie powinno być na oddziale.

A pacjenci? No cóż… nimi zarząd szpitala przejmował się najmniej.

– Ciekawe, jaką operację będzie miała ta pacjentka – dumałam na głos.

Tomek skrzywił się.

– Będziemy o niej rozmawiać? Miałem nadzieję, że po moich traumatycznych opowieściach na temat nowego domu opowiesz coś o swoim lokum.

– Nic na to nie poradzę. – Wzruszyłam ramionami. – Po prostu zaintrygowało mnie to, z czym tu przyszła panna Maryla. Nie wygląda na bardzo chorą.

– Czekaj! – Tomek zatrzymał się i pacnął dłonią w czoło.

– Co?

– Już wiem, dlaczego została przyjęta! Pamiętam to z odprawy.

– No dlaczego?

– Przyszła na operację żylaków.

Usiłowałam przypomnieć sobie jej szczupłe nogi. Może faktycznie miała kilka węzełków poszerzonych chorobowo żył…

– Palenie tuż przed zabiegiem raczej jej zaszkodzi – parsknęłam.

– Na pewno lekarz prowadzący ją ostrzegł. Ale z głupotą nie wygrasz.

5.

– Dyżur przekazuję doktorowi Maciejowi Łukaszewskiemu – zakończyłam czytanie porannego raportu.

Raport przekazywałam sama. Lekarka, która dyżurowała ze mną, pojechała około siódmej rano do swojej pracy w innym szpitalu psychiatrycznym w Warszawie. Nie pojmowałam, jak po dyżurze może iść na oddział. Ja marzyłam tylko o swoim łóżku mimo czterech godzin snu, które udało mi się złapać pomiędzy pierwszą a piątą rano, gdy w magiczny sposób wszyscy pacjenci się uspokoili i żaden nowy nie zawitał na SOR.

Profesor Sieradzki wydawał się głęboko zamyślony podczas czytania moich opowieści z dyżuru. A tak naprawdę chyba w ogóle mnie nie słuchał. Cały czas zerkał niespokojnie na zakratowane okno. Mimo że nie kalał się dyżurami od co najmniej dwudziestu lat, miał podkrążone oczy, zupełnie jakby także nie spał tej nocy.

Podałam Karolowi księgę raportów. Miał dzisiaj wściekle pomarańczowe spodnie i brązową marynarkę ze sztruksu. Jak zwykle udało mu się uzyskać obraz szalonego psychiatry, do czego chyba uparcie dążył każdego dnia. Kiedyś żona jednego z pacjentów nie chciała mu uwierzyć, że jest lekarzem prowadzącym jej męża. Była święcie przekonana, że Dąbkowski to pacjent podszywający się pod doktora. Karol miał wtedy na sobie – po raz pierwszy i ostatni w życiu – jasnofioletowe, a w zasadzie lila spodnie.

Nigdy więcej ich nie włożył.

Karol przekazał księgę dalej, do wiecznie zaspanego rezydenta trzeciego roku – Maćka, który nie mógł się wyspać, odkąd urodziły mu się bliźniaki. Przybił pieczątkę pod moimi wypocinami i złożył zamaszysty podpis. Następnie wstał i położył księgę na biurku profesora. Starszy mężczyzna wzdrygnął się, gdy tekturowa okładka stuknęła o drewniany blat.

– Co? Och, tak. – Poprawił okulary i przystawił swoją pieczątkę.

Mogę się założyć, że nie słyszał ani jednego słowa z mojego raportu.

– No dobrze. – Ostentacyjnie popatrzył na zegarek. – Muszę wyjść o dziesiątej. Szybko zrobimy obchód.Padałam z nóg. Miałam nadzieję, że nie wpadnie na jeden ze swoich genialnych pomysłów i nie każe mi zostać po godzinach. Na szczęście jego dzisiejsze roztargnienie sprawiło, że zupełnie o mnie zapomniał.

– Idźcie do siebie. – Wygonił nas z sali konferencyjnej. – Spotkamy się za dziesięć minut na korytarzu. A! Pani Krysiu! Proszę zostać na chwilę.

Pielęgniarka oddziałowa, tęga matrona, przed której kwaśną miną wszyscy pacjenci drżeli ze strachu, a tak naprawdę kobieta o gołębim sercu, z westchnieniem opadła na krzesło. Najwyraźniej także nie miała dziś ochoty na

wymysły szefa.

Posłusznie wymknęliśmy się na korytarz. Karol pognał na papierosa, a my z Ulą wpadłyśmy do pokoju lekarskiego. Zaczęłam się pakować, by zniknąć profesorowi z oczu jak najszybciej. Wiedziałam, że jeżeli ucieknę, to o mnie zapomni i nie będzie się zastanawiał, dlaczego nie zostałam na obchodzie.

– Aśka, jak ty trzymasz linię? Co robisz? – zajęczała Ula, wyciągając z plecaka plastikowe opakowanie wypełnione strzępkami sałaty pekińskiej, plasterkami ogórka i pokrojoną w kostkę papryką. Nie dodała do sałatki nawet łyżeczki majonezu.

– Nic – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– No przecież musisz coś robić. Spójrz na siebie!

Posłusznie powędrowałam wzrokiem za jej palcem wskazującym. Nie byłam szalenie szczupła. Najlepszym określeniem mojej sylwetki byłoby słowo „przeciętna". Miałam spore piersi, który raczej mi przeszkadzały, zwłaszcza na treningach judo, brzuch z cellulitem i okrągły tyłek nieźle prezentujący się w obcisłych spodniach. Pomyślałam gorzko o swoich zbliżających się trzydziestych urodzinach. Miałam nadzieję, że co najmniej do czterdziestki pośladki mi nie oklapną.

– Masz sylwetkę klepsydry – zajęczała. – Ja też taką chcę! A musiałam odziedziczyć po mamusi kształt pieprzonego jabłka…

– Ula, ja mam duże piersi i tyłek – wyjaśniłam. – To dlatego wydaje ci się, że mam wąską talię.

– Lepsze cycki niż brzuch…

– Przecież to nie twoja wina. Genetyki nie przeskoczysz. – Spakowałam już wszystko w torbie i zamknęłam ją zadowolona. – Poza tym mówiłaś, że masz niedoczynność tarczycy. Kiedy wyregulujesz hormony, na pewno wszystko wróci do normy.

Moja koleżanka od niedawna borykała się z tarczycą. Cierpiała na chorobę Hashimoto. Jej organizm wytwarzał przeciwciała do komórek własnej tarczycy i nieodwracalnie niszczył ten organ. Można było tylko uzupełnić brakujące hormony, łykając codziennie tabletki.

– Mam wszystkie objawy uboczne tego cholerstwa. – Urszula wykrzywiła usta w podkówkę. – Zaczęłam tyć, ciągle chce mi się spać, mam zaparcia i przysięgam, że nawet włosy zaczęły mi się przetłuszczać.

– Ale za to masz śliczną cerę. – Usiłowałam ją jakoś pocieszyć, zaskoczona tym przypływem szczerości.

– Wolałabym mieć nadczynność tarczycy – biadoliła dalej, głucha na moje słowa. – Byłabym szczupła i śliczna. Nawet by mi nie przeszkadzało to, że oczy stały się wyłupiaste. Przynajmniej nie musiałabym się malować i udawać, że są większe niż w rzeczywistości.

– Oj, Ulu…

Znałam Ulę od niedawna, mimo to można powiedzieć, że się zaprzyjaźniłyśmy. Od powrotu do Warszawy nie odnowiłam kontaktów ze starymi znajomymi, bojąc się pytań o rozwód. Kontakty towarzyskie utrzymywałam jedynie z kolegami pracy.

I oczywiście z moim kotem.

Nie do końca wiedziałam, jak się zachować i jakimi słowami pocieszyć koleżankę. Chyba jednak coś w tym było, że psychiatrami często zostawały osoby w jakiś sposób nieprzystosowane do życia w społeczeństwie. Właśnie tak się teraz czułam.

– No co? Taka prawda. Tyję teraz jak świnia – dalej się uzewnętrzniała. – A czy przybyło mi chociaż trochę w biuście? Oczywiście, że nie. Rośnie mi wyłącznie brzuch! Jaki ty masz rozmiar miseczki? D? E?

– D…

– No widzisz! A ja muszę sobie watą stanik wypychać, żeby cokolwiek odstawało od żeber… – W jej oczach zabłyszczały łzy.

– Hej! – Do pokoju wkroczył Karol w chmurze dymu papierosowego. – Kto sobie wypycha watą stanik?

– Słyszałyśmy, że ty. Chcesz o tym porozmawiać? – Ula uśmiechnęła się do niego przymilnie. Łzy w jej oczach szybko obeschły. Nie było już po nich śladu.

– Okej, okej! – Uniósł ręce w obronnym geście. – Nic nie słyszałem. Niemniej jednak lojalnie ostrzegam, że kiedy któraś z was uśnie na kanapie podczas dyżuru ze mną, to wiedziony wrodzoną ciekawością obmacam ją w poszukiwaniu waty!

– Idę do domu! – Skorzystałam z chwilowej poprawy nastroju Uli i wydostałam się na korytarz. – Do zobaczenia!

– Poczekaj!

Karol wyskoczył za mną. Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Powiedz mi tylko, czy coś się działo z moją pacjentką z trójki – poprosił.

– Czytałam o niej na odprawie – powiedziałam z naganą.

– Wiem. – Posłał mi skruszony uśmiech niegrzecznego ucznia. – Nie słuchałem. Skupiłem się na Sieradzkim. Jestem przekonany, że nasz profesor knuje coś bardzo, bardzo niedobrego. Wiesz, w stylu dodatkowych, obowiązkowych dyżurów dla wszystkich, za które nie zobaczymy pieniędzy, bo szpital jest zadłużony.

Zaśmiałam się. Faktycznie profesor miał dzisiaj minę, jakby zamierzał wykręcić nam jakiś niezły numer.

– Nic się nie działo z twoją pacjentką – uspokoiłam kolegę. – To samo co w zeszłym tygodniu. Żadnej poprawy. Jak miała omamy, tak ma je nadal.

– Te same?

– W zasadzie to nie. Pojawiło się coś nowego. – Zmarszczyłam brwi, usiłując sobie przypomnieć, o czym mówiła.

Po wieczornym obchodzie, kiedy krótko rozmawiałam z każdym pacjentem, miałam lekki mętlik w głowie. Przy prawie sześćdziesięciu pacjentach można zapomnieć, co mówiły poszczególne osoby.

– Coś nowego? Szatan spacerujący po korytarzach już jej nie wystarcza? – Westchnął zmęczony.

Pacjentka, o której rozmawialiśmy, sprawiała mu dużo kłopotów. Najpierw nie było do końca wiadomo, z jakim schorzeniem została przyjęta, a gdy Karol już rozpoznał u niej schizofrenię, okazało się, że nie reaguje na leki tak, jak powinna.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Tym razem to niespacerujący szatan.

Pacjentka zasłynęła w zeszłym tygodniu próbą wmówienia personelowi, że diabeł stuka kopytami po korytarzu. Okazało się, że stuki, o które jej chodziło, wydawały chodaki profesora. Niektórzy po cichu zgadzali się z pacjentką, że Sieradzki ma w sobie coś z króla podziemi.

– Mówiła, że ściana ją goni – wyjaśniłam.

– Ściana?

– Tak. Powiedziała, że ściana ją goni – powtórzyłam.

– A czemu ją goni?

– Bo chce ją zamurować.

– Bo chce ją… Zaraz. Jaja sobie ze mnie robisz, co? – Podrapał się po głowie. – Słyszałem już wiele rzeczy w swojej karierze, ale czegoś równie idiotycznego jeszcze nie.

– To idź z nią porozmawiać. Przekonasz się, czy żartuję. – Puściłam do niego oko i poklepałam go po ramieniu. – Idę. Bo jeśli nie pójdę, to ktoś będzie czegoś ode mnie chciał. Powodzenia!

– Tak, tak – odparł pogrążony w rozmyślaniach Karol.

Zostawiłam go na korytarzu i ruszyłam do wyjścia. Ochroniarz otworzył przede mną kratę zamontowaną na klatce schodowej. Po kilku chwilach byłam poza oddziałem i jak na skrzydłach wpadłam do szatni. Poczułam się tak, jakby ktoś ściągnął mi z ramion olbrzymi ciężar. Uwielbiałam schodzić z dyżurów. Nic nie sprawiało mi większej radości niż zakończenie pracy. Nie mogłam się doczekać, kiedy położę się do łóżka z tabliczką czekolady i zapomnę o wszystkim, co widziałam przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

A nie… zaraz… przecież od dziś miałam się racjonalnie odżywiać. W takim razie kupię czekoladę z orzechami. Kwasy omega, magnez. Samo zdrowie.

Szatnia pracownicza była teraz pełna ludzi. Stukały metalowe drzwiczki szafek, szeleściły ubrania. Była to szatnia koedukacyjna, ale zmęczeni lekarze, pielęgniarki czy ratownicy w ogóle się tym nie przejmowali. Obok mężczyzny w slipkach stała kobieta zakładająca bluzkę. Nie było miejsca na wstyd. Każdy

chciał jak najszybciej opuścić te posępne mury, nawet jeśli ceną za zaoszczędzony czas był widok koronki czy rozciągniętych majtek.

Wszędobylski zapach zapoconych skarpetek zdawał się unosić w powietrzu niczym niewidzialna mgła, idealnie na wysokości mojego nosa.

Zaskoczona przyjrzałam się krzywo osadzonym w zawiasach drzwiczkom szafki. Z jednej z trzech szczelin, które pewnie służyły też jako wywietrznik i wentyl bezpieczeństwa, by metalowe szafki nie wybuchły od nagromadzonego w nich skarpetkowego smrodu, coś wystawało. Jakaś kartka. Spróbowałam złapać ją paznokciami, ale zamiast wyciągnąć, wepchnęłam ją do środka. Spadła na dno mojej szafki.

Otyły sąsiad po lewej wyciągnął dezodorant i prewencyjnie obsikał się nim w takich ilościach, jakby nie zamierzał się myć przez tydzień. Nic nie widząc poprzez mgiełkę piżmowego zapachu, otworzyłam kłódki blokujące dostęp do wnętrza szafki. Obok moich butów, na zmurszałym dnie, leżała biała koperta.

Zaskoczona ukucnęłam i wzięłam ją do rąk. Nie było adresata ani nadawcy. Zamiast tego ktoś narysował na niej długopisem krzywe serduszko. Koperta nie wyróżniała się niczym innym: to jedna z tych zwykłych, białych, które można kupić zapakowane po dwadzieścia pięć sztuk. Była zaklejona.

Rozejrzałam się dookoła. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszyscy byli zaaferowani przebieraniem się.

Wsunęłam palec wskazujący pod odstający brzeg i rozerwałam papier, uważając, by nie zniszczyć zawartości.

W środku znajdowała się złożona na cztery biała kartka papieru. Zanim ją otworzyłam, naszły mnie wątpliwości. Może otarłam czyjś samochód na parkingu? Właściciel wyśledził mnie w szatni i wrzucił do szafki list z żądaniem zadośćuczynienia lub jakąś groźbą?

Ale jeśli chodziłoby o stłuczkę, to po cholerę rysowałby na kopercie serduszko? I skąd znał numer mojej szafki?

– Przepraszam bardzo, spieszę się do pracy – wyperfumowany sąsiad usiłował przecisnąć się obok mnie, ściskając w dłoniach pękatą torbę lekarską.

Podniosłam się i przytuliłam do metalowych szafek, żeby przepchnął za mną swój piwny brzuch. Miał podkrążone z niewyspania oczy. Po dyżurze pędził do kolejnej pracy. Ciekawe, dlaczego musiał mieć kilka posad? Nie wystarczało mu na rachunki czy wręcz przeciwnie – nie stać go było na kolejną kochankę, której za wszelką cenę chciał udowodnić, że lekarze zarabiają u nas tak dobrze jak w zachodnich serialach?

Gdy chmura zapachu jego dezodorantu zniknęła, odsunęłam się w kąt, by już nikt mnie nie popychał, otworzyłam list i przebiegłam wzrokiem linijki:

Nie mogę przestać o Tobie myśleć.

Cały czas mam Cię w mojej głowie.

Twój Wielbiciel

Aż sapnęłam z oburzenia, składając na czworo ten list miłosny. W każdym razie takim mi się wydawał. Niepokojące, ale jednak wyznanie.

Został wydrukowany, więc poza zamiłowaniem nadawcy do czcionki Arial niewiele mogłam o nim powiedzieć. Wsunęłam list do koperty i położyłam na półce w głębi szafki. Po nieprzespanej nocy nie chciałam nawet zastanawiać się nad tą wiadomością. Potrzebowałam snu.

Szatnia prawie opustoszała. Szybko przebrałam się i powiesiłam fartuch na wieszaku. Obwiązałam szyję fioletową apaszką i zapięłam kurtkę. Pod wpływem impulsu sięgnęłam po kopertę z listem i wepchnęłam ją do kieszeni.

W drzwiach zderzyłam się z mężczyzną w dżinsowej kurtce. Przewróciłabym nas oboje, gdyby jedną ręką nie złapał się szafki, a drugą nie schwycił mnie za łokieć. Zachwiałam się na obcasach, ale zdołałam utrzymać równowagę.

– Ojej, przepraszam! – krzyknęłam.

O mało co nie staranowałam Łukasza.

– Przepraszam – powtórzyłam i szybko się odsunęłam.

– Nic się nie stało, Asiu – odpowiedział. – Gdzie się tak spieszysz?

– Do domu. Jestem padnięta po dyżurze.

– Rozumiem. Jedziesz autobusem? Tramwajem? Mam samochód, mogę cię gdzieś podrzucić albo zawieźć do domu. To żaden kłopot.

– Dziękuję, ale też mam samochód.

Na jego twarzy pojawił się zawód.

– Szkoda.

– Do zobaczenia! – Pomachałam mu ręką i pognałam po schodach na parter.

Odetchnęłam z ulgą, gdy zostawiłam go za sobą. Cieszyłam się, że przyjechałam autem, co stanowiło bardzo dobrą wymówkę. Miałam dość Łukasza, był nachalny. Nie opuszczało mnie wrażenie, że niedługo otworzę lodówkę i znajdę go w środku szczerzącego zęby obok zapleśniałego sera i zwiędniętej sałaty…

Wyszłam na dwór i skierowałam się w stronę parkingu, który wydzielony był z trawnika obok głównego gmachu szpitala. Oficjalnie nie był parkingiem. Odkąd szpital zbudował lądowisko dla helikopterów, nie było powierzchni, którą można by przeznaczyć na miejsca postojowe dla samochodów pracowników. Mogliśmy parkować wszędzie, tylko nie na parkingu dla pacjentów (oni musieli płacić za wjazd i postój, więc nie opłacało się nas tam wpuszczać). Zostawał nam trawnik. Dyrekcja mimo to odliczała nam sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie od pensji z racji korzystania z możliwości parkowania.

Oślepiło mnie światło poranka. Zmrużyłam oczy i ruszyłam do samochodu, byle jak najszybciej zasiąść za kierownicą i znaleźć się w domu. Za załomem muru zobaczyłam Tomka.

Kłócił się z jakąś kobietą.

6.

Kobieta krzyczała na Tomka i gwałtownie gestykulowała. Palcem wskazującym dźgnęła go kilka razy w klatkę piersiową i wskazała budynek szpitala.

Udając, że nie interesuje mnie ich kłótnia, zaczęłam szukać w kieszeniach kurtki kluczyków do samochodu. Mijałam kłócące się postaci, nie patrząc w ich stronę, ale nadstawiłam ucha.

Zorientowałam się, że kobieta wypowiadająca głośne pretensje pod adresem mojego kolegi to pielęgniarka z chirurgii, naburmuszona Iwona, która z nim dyżurowała.

Dobiegły mnie strzępki ich rozmowy:

– To twoja wina! To wszystko twoja wina!

– Nic nie zrobiłem! Po prostu tak wyszło.

– Ja wiem, że coś zrobiłeś! Ona od początku zachowywała się podejrzanie.

– No właśnie! Sama widzisz. Zachowywała się podejrzanie. Wszystko jest w dokumentach.

– Coś tu jest nie tak.

– Wszystko dobrze się skończy.

– A jeśli nie?

– Nie zamierzam ciągnąć tej dyskusji. Daj mi już spokój. Aśka?

Zaskoczona odwróciłam się w ich stronę. Poczułam, jak na moje policzki wpełza rumieniec wstydu. Czyżby zauważyli, że podsłuchuję?

– Aśka! Zaczekaj! – Pomachał do mnie. – Odprowadzę cię! Do widzenia, Iwono. Mam nadzieję, że przestaniesz konfabulować.

Mężczyzna podbiegł do mnie, objął mnie ramieniem i szybko poprowadził w stronę samochodów. Odwróciłam się i zerknęłam na pielęgniarkę. Stała z dłońmi zaciśniętymi w pięści i odprowadzała nas pełnym złości spojrzeniem. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

Pięknie. Pracowałam tu od dwóch miesięcy, ale już zdążyłam znaleźć sobie wroga.

Wyswobodziłam się z uścisku Tomka i skierowałam się w stronę samochodu. Nie podobało mi się, że wykorzystał mnie do ucieczki przed pełną pretensji pielęgniarką. Chociaż z drugiej strony sama byłam sobie winna: trzeba było nie podsłuchiwać.

– O co jej chodziło? – zapytałam.

– Odejdźmy dalej. Mogę odwieźć cię do domu.

– Nie, dzięki. Przyjechałam samochodem.

Zerknął na moje szpilki na prawie dziesięciocentymetrowych obcasach.

– W nich prowadzisz? – zapytał.

– Mam baleriny na zmianę.

Wiem, że nie opłacało się zakładać szpilek, skoro miałam do przejścia może czterdzieści metrów po parkingu, ale nic nie poradzę na to, że jestem uzależniona od wszelkich prób wydłużenia swoich kończyn.

Ortalionowa kurtka Tomka szeleściła przy każdym kroku. Szliśmy w stronę mojego opla. Nie wiedziałam, gdzie mam kluczyki, bo zamiast do torebki wepchnęłam je do którejś z zapinanych na guziki kieszonek. I nie pamiętałam do której.

Tomasz położył sportowy plecak na dachu mojego samochodu i popatrzył w dal. Chyba sprawdzał, czy Iwona już sobie poszła, czy nadal stoi tam, gdzie ją zostawiliśmy, i usiłuje zamordować nas wzrokiem.

– I co? Poszła już? – zapytałam.

– Tak… – Nadal miał nietęgą minę i głęboką zmarszczkę na czole. Postukał kłykciami w dach opla. – Jeździsz takim rzęchem?

– Wypraszam sobie. To świetne auto. Jak na moje potrzeby wręcz idealne.

– A to co? – Tomek chwycił w locie kopertę, która wypadła mi z kieszeni.

– Oddaj! – Poczułam, jak na policzki wypełza mi rumieniec.

Tomasz trzymał w dłoniach kopertę z serduszkiem. Nie wiedziałam, co myśleć na temat tego liściku, i wolałabym, by został moją tajemnicą.

– A cóż to? – Na twarzy kolegi pojawił się głupkowaty uśmiech.

– Nic takiego. – Spróbowałam wyrwać mu list, ale odskoczył z chichotem.

– Liścik miłosny? No, Asiu, Asiu… wygląda na to, że masz wielbiciela. Któż to taki?

Skrzywiłam się. Nie miałam się czego wstydzić. Przecież to nie była moja wina, że ktoś się we mnie zadurzył. Tomek zachowywał się jak dzieciak. Brakowało tylko, żeby uniósł rękę z listem i kazał mi spróbować go sobie odebrać.

– Jeśli cię tak ciekawi, to sobie przeczytaj – prychnęłam i dodałam złośliwie: – Może kiedyś wykorzystasz taki pomysł.

Wyjął list i głośno odczytał:

– Zabawne. Wiesz, co za artysta go przesłał?

– Nie mam pojęcia. – Znalazłam kluczyki. – Wrzucił go do szafki w szatni.

– No nie! Na pewno wiesz. Musisz mieć jakieś podejrzenia. Mnie możesz od razu wykluczyć. Nie wpadłbym na taki pomysł. Jestem bardziej bezpośredni.

– Naprawdę nie wiem, kto to może być.

– Nikt się ostatnio koło ciebie nie kręcił? – naciskał. – Przecież ktoś musiał podejrzeć, jaki masz numer szafki. Może to sąsiad z szatni?

Wyobraziłam sobie wyperfumowanego grubasa. Aż się wzdrygnęłam, gdy przypomniałam sobie duszący, piżmowy zapach jego dezodorantu.

Potem pomyślałam o Łukaszu. Zawsze pojawiał się przy windach, kiedy akurat byłam obok. Raz chciał ze mną coś zjeść, a dzisiaj zaproponował, że mnie

odwiezie. Jeżeli to nie były próby nawiązania bliższej znajomości, chyba nie znam się na ludziach.

– Może to ten facet z pralni…? – zdradziłam swoje myśli i od razu tego pożałowałam.

– Ten, którego widzieliśmy w piwnicy? – Od razu skojarzył. – Oczywiście! Widziałem, jak się psychol na ciebie gapił.

– Nie nazywaj go tak – zaprotestowałam i wyrwałam mu list.

Mina od razu mu zrzedła.

– Naprawdę ci się podoba?

– Nie! – wykrzyknęłam odrobinę za głośno.

Rozejrzałam się, czy nikt mnie nie słyszał. Na szczęście parking był pusty.

– Nieładnie tak o kimś mówić – syknęłam.

– Jezusie, Aśka? Nie zgrywaj przedszkolanki. Żartowałem.

– Przepraszam. – Wrzuciłam list do samochodu. – Miałam ciężki dyżur.

– Nawet mi nie mów.

– O co chodziło tej pielęgniarce? – Gładko zmieniłam temat. – Powiesz mi?

Tomkowi od razu pogorszył się humor. W jednej chwili uśmiech zniknął z jego twarzy. Poczułam mściwą satysfakcję.

Złapał plecak i zarzucił go na ramię. Zaczął bawić się szlufką. Powiódł spojrzeniem po parkingu. Wyraźnie grał na czas.

– Aaa tam – mruknął. – Nic takiego.

– Nie wyglądało to jak „aaa tam" – przedrzeźniałam go.

– Dobra, powiem ci, ale tylko ze względu na naszą przyjaźń – postanowił. – Pamiętasz tę pacjentkę z piwnicy?

– Chodzi o tę palącą przed operacją?

– Tak.

– W szlafroczku w panterkę?

– Tak…

– Którą czarowałeś, że będziesz na jej operacji?

– Okej, okej. Nie powinienem był się naśmiewać z twojego „listu miłosnego". – Zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. – Przestań się na mnie wyżywać.

– Masz za swoje.

– Asiu, Asiu… powiem ci szczerze, że jestem coraz bardziej zadowolony z tego, że odnowiliśmy znajomość.

W odpowiedzi prychnęłam. Jego teksty nie robiły na mnie wrażenia.

– Co z tą pacjentką? – Naprowadzałam go na temat, którego nie chciał rozwinąć.

– Zniknęła.

– Co?

– Nie wiadomo, gdzie polazła. Nie wróciła na oddział. Do tego zniknęły jej rzeczy osobiste, komórka i ubrania.

– Jak mogła zniknąć?

Nic z tego nie rozumiałam. Pacjenci psychiatryczni nie mają zwykle oporów przed próbą ucieczki, ale po co kobieta skierowana do szpitala na planową operację żylaków, na którą zapewne czekała kilka miesięcy, miałaby uciekać?

– Pewnie się przestraszyła. – Tomek machnął ręką.

– I tak po prostu sobie poszła? – Nie wierzyłam. – Nikomu nic nie powiedziała?

– Zabrała swoje rzeczy. Nie ma innego wytłumaczenia. Zdarza się, że pacjentów w ostatnim momencie nachodzą wątpliwości. Przeważnie po spotkaniu z anestezjologiem, który tłumaczy, w jaki sposób mogą umrzeć podczas zabiegu.

– To dlaczego pielęgniarka miała pretensje do ciebie?

– W trakcie wieczornego obchodu zauważyłem, że jej nie ma, ale nikomu o tym nie powiedziałem. – Skrzywił się.

– Czemu, na litość boską?

– Myślałem, że poszła na fajkę. – Wzruszył ramionami. – Skąd miałem wiedzieć, że zwiała? Nie zaglądam pacjentom do szafek. Nie sprawdziłem, czy zniknęły jej ubrania i rzeczy osobiste. Uważałem, że robię jej przysługę. Gdyby pielęgniarki dowiedziały się, że pali przed zabiegiem, toby ją opieprzyły z góry na dół.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– I co teraz zrobisz?

– Ja? Nic. Następni dyżurni będą się martwić. Dzwoniłem do niej, ale nie odbiera. Nic więcej nie mogę zrobić.

Gdy pacjent samowolnie oddala się z oddziału, wszczyna się specjalne postępowanie, o którym mówią szpitalne procedury. Najpierw zostaje poinformowana ochrona, która przeszukuje teren szpitala, potem wykonuje się telefon do rodziny, o ile przy przyjęciu pacjent podał kontakt do najbliższych. Należy też zaznaczyć w historii choroby pacjenta, że oddalił się z oddziału bez wiedzy personelu, i można westchnąć nad jego głupotą.

– Jadę – poinformowałam Tomka. – Zaraz usnę na stojąco. Do zobaczenia.

– Cześć – mruknął.

– Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze.

– Pewnie tak…

Gdy wyjeżdżałam z parkingu, stał w tym samym miejscu i mi się przyglądał. Ciekawe, o czym myślał. O zaginionej pacjentce?

7.

Warszawa, Praga-Północ

Dłonie w czarnych skórzanych rękawiczkach opierały się o kierownicę. Wystukiwały niecierpliwy rytm. Na siedzeniu pasażera leżał aparat fotograficzny. Był nowy. Zielona dioda na obudowie sygnalizowała w pełni naładowaną baterię. Czekał na swój czas.

Niecierpliwe dłonie sięgnęły po aparat. Trzymały go na wysokości kierownicy. Były gotowe w każdej chwili z niego skorzystać.

Samochód stał w cieniu, w wąskiej uliczce. Nikt nie zwracał na niego uwagi. O tej godzinie na ulicach nie było tłumów. Mieszkańcy okolicznych kamienic już dawno udali się do pracy. Co jakiś czas mijały go zmęczone matki, zbyt zajęte pilnowaniem wyrywających się dzieci i dźwiganiem siatek z zakupami, by zwrócić uwagę na samotnego kierowcę siedzącego w samochodzie. Tylko jeden starszy pan wyprowadzający na smyczy dwa pekińczyki omiótł go uważnym spojrzeniem. Po chwili jednak ruszył dalej, gdyż pupile pociągnęły go w stronę pobliskiego skweru.

W końcu dłonie drgnęły pełne podniecenia, gdy ofiara wyszła ze sklepu po drugiej stronie ulicy. Była w krótkiej skórzanej kurtce z podniesionym kołnierzem, by ochronić szyję przed chłodnym, wiosennym wiatrem. Spod kołnierza wysuwała się fioletowa apaszka. Czarne loki unosiły się na wietrze, jakby przeczesywane palcami.

Kobieta niosła w jednej ręce foliową siatkę wypełnioną warzywami i butelkę coli w drugiej. Rozejrzała się na boki przed przejściem dla pieszych. Pewnym krokiem ruszyła przez ulicę.

Nie podejrzewała, że ktoś ją obserwuje.

Dłonie w czarnych rękawiczkach uniosły się. Zdjęły osłonę z obiektywu. Migawka poruszyła się kilka razy, zapisując w pamięci aparatu podobiznę kobiety. Zbliżenie jej twarzy ukazało cienie pod oczami i zmęczone spojrzenie.

Przeszła przez wąski chodnik w stronę pobliskiej bramy prowadzącej do wąskiej studni pomiędzy kamienicami. Obiektyw skierował się na metalową tabliczkę przybitą do ściany budynku, na której białymi literami napisana była nazwa ulicy i numer.

Tu mieszkała.

Osłona wróciła na swoje miejsce, a aparat został wyłączony. Dłonie schowały go do schowka obok miejsca dla pasażera. Objęły mocno kierownicę i zacisnęły się na niej tak mocno, że aż zaskrzypiała skóra. Nie mogły się doczekać, gdy zacisną się na gardle kobiety, a następnie przesuną ostrzem skalpela po jej śnieżnobiałej skórze, zostawią na niej, niczym na kartce papieru, swój podpis.

8.

Pacjent przyglądał mi się naburmuszony. Przeniosłam go z izolatki do sali ogólnej. Wylądował w jednym pokoju z mężczyzną po próbie samobójczej, cierpiącym na ciężką depresję, który postanowił przestać się odzywać, i z wesołym staruszkiem z klasyczną schizofrenią paranoidalną, przekonanym o tym, że jest wybrańcem Boga.

Nie bałam się, że pacjenci zrobią mu krzywdę, tylko że on może im coś zrobić. Ich ukradkowe, spłoszone spojrzenia, które od czasu do czasu posyłali w jego stronę, utwierdzały mnie w tym przekonaniu. Mój pacjent stanowił dla nich zagrożenie, był drapieżnikiem.

Kartynowicz stanowił bardzo kłopotliwy przypadek. Tak jak podejrzewałam, testy z krwi i próbki moczu, które pobraliśmy od niego przy przyjęciu, wskazywały, że przyjmował marihuanę i substancje często występujące w dopalaczach.

Nadal miał na sobie śmierdzący podkoszulek i bluzę z troczkami, które pamiętałam z dyżuru sprzed dwóch dni. Nadal też odmawiał mi pełnego badania – miałam jednak szczęście. Karol podczas swojego dyżuru poświęcił się, nafaszerował go środkami uspokajającymi i zbadał. Może mężczyzna po prostu nie chciał, żeby badała go kobieta? Niemniej jednak Karol stał się moim bohaterem. Obiecałam mu dobre piwo.

– Jak się pan dzisiaj czuje? – zapytałam po raz kolejny.

Poprzednie próby nawiązania kontaktu spotkały się z jego całkowitą obojętnością.

Mężczyzna siedział na swoim łóżku przy parapecie. Bawił się zapalniczką. Co chwilę zapalał i gasił ogień. Miałam poważne wątpliwości, czy to bezpieczne, biorąc pod uwagę znajdujące się niedaleko jego dłoni brudnobiałe firanki nieudolnie usiłujące przysłonić ciężkie, metalowe kraty w oknach.

Nie mogłam mu jednak zabrać zapalniczki, dopóki nie zrobi czegoś, co usprawiedliwiłoby moje posunięcie. Nie był dzieckiem.

– Panie Kartynowicz?

Wzruszył ramionami.

– Czy czuje pan jakąś różnicę po dwóch dniach spędzonych u nas? – próbowałam dalej. – Dostaje pan leki. Czy widzi pan jakąś zmianę?

– Chujowo jest – burknął.

Odetchnęłam z ulgą. Zareagował. Przez chwilę bałam się, że zastosowałam zbyt duże dawki leków i niechcący go otumaniłam.

– Proszę bez wulgaryzmów. Czyli uważa pan, że jest gorzej?

– Nie.

Zaczynałam tracić cierpliwość. Dzisiaj o jedenastej miała przyjść do mnie

jego katowana żona. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś o wcześniejszym leczeniu i przyjmowanych lekach.

– Kiedy wyjdę?

– Na pewno spędzi pan tutaj tydzień – poinformowałam go. – Musi pan pozostać na obserwacji podczas przyjmowania leków.

– Chcę wyjść.

– Rozumiem, ale proszę pana o cierpliwość.

Szybko dokończyłam obchód i wróciłam do pokoju lekarskiego. Odetchnęłam z ulgą. Urszula siedziała koło swojego biurka i katowała się kolejną sałatką mającą, znając ją, maksymalnie sto kalorii. I zero smaku.

– Jak tam twój pączuś w maśle? – zapytała z ustami pełnymi sałaty.

– Kartynowicz? – Zdziwiłam się, że o niego zapytała.

– Taaa. Mój pacjent leży z nim na sali. Wiesz, ten kuzyn Jezusa. Wyznał mi dzisiaj, że panicznie boi się twojego pączusia, bo on na pewno jest sługą szatana. Już pomijając tę całą diabelską otoczkę, myślisz, że naprawdę może mu coś zrobić? Bo mój schizofrenik jest trochę upierdliwy ze swoim głoszeniem słowa bożego o każdej pełnej godzinie. Jak go za bardzo wkurzy…

– Cholera wie… – Przygryzłam wargę. – Powinnam go może przenieść na izolatkę? Wydaje się jednak całkiem spokojny.

Pomijając nerwową zabawę zapalniczką, rzecz jasna.

– Zapytaj profesora.

– Przecież już poszedł.

– To zapytaj Karola. Jest najstarszy.

Karol, zupełnie jakby słyszał naszą rozmowę, wpadł do pokoju z zadowoloną miną. Dzisiaj miał jasnozielone spodnie. Poprawił sztruksową marynarkę i sięgnął do kieszeni, z której wystawało kilka opakowań papierosów. Wyglądał, jakby obrabował kiosk na parterze.

– Usłyszałem dzisiaj świetny dowcip od pacjenta! – wykrzyknął. – Chcecie też usłyszeć?

– No dawaj – zachęciła go Ula.

– Jaki jest najlepszy sposób na lekką depresję?

Patrzyłyśmy na niego wyczekująco.

– Kąpiel z bąbelkami! A jaki jest najlepszy sposób na ciężką depresję?

Każda z nas znała odpowiedź, bo nie sposób było nie usłyszeć wcześniej tego dowcipu, pracując na psychiatrii. Niemniej Karolowi jakoś udało się dożyć pięćdziesiątki w nieświadomości, więc nie chciałyśmy mu robić przykrości.

– Jaki? – zapytałam.

– Kąpiel z suszarką! – Zarechotał zachwycony dowcipem i opadł na krzesło.

Uśmiechnęłyśmy się grzecznie.

Drzwi pokoju lekarskiego otworzyły się. Wsunął przez nie głowę ochroniarz.

Jego łysinka zalśniła w świetle jarzeniówek. Staruszek odszukał moje spojrzenie i uśmiechnął się nieśmiało.

– Przepraszam, że państwu przeszkadzam, ale przyszła żona pana Kartynowicza – powiedział, a następnie dodał znacznie ciszej: – Albo jego brat…

– Słucham?

– Nic, nic. Żartowałem. – Wycofał się czym prędzej.

Zerwałam się z miejsca i zaczęłam zgarniać papiery, na których zanotowałam oszczędne informacje, którymi podzielił się ze mną pacjent. Wreszcie miałam okazję je uzupełnić!

Żona pacjenta czekała na mnie w pokoju przyjęć. Gdy weszłam do środka, maleńki pokoik wydał mi się jeszcze mniejszy. Przyznam, że spodziewałam się drobnej, sponiewieranej, zastraszonej kobietki.

Nie mogłam bardziej się mylić.

– Dzień dobry. – Żona Kartynowicza wstała ze swojego miejsca i na powitanie kiwnęła mi chłodno głową. – Przyniosłam dokumenty, których pani doktor potrzebowała.

– Dzień dobry. – Usiadłam za biurkiem i rozłożyłam przed sobą notatki.

Obok leżał pokaźny segregator wypełniony kartami informacyjnymi z poprzednich hospitalizacji pacjenta. Czekała mnie co najmniej kilkugodzinna lektura.

Przyjrzałam się małżonce i zerknęłam w dokumenty. Czarno na białym miałam napisane, że według relacji policjantów żona Kartynowicza to „biedna kobieta ze złamanym nosem i najprawdopodobniej połamanymi żebrami".

Faktycznie, miała wciąż lekko spuchnięty nos, który podejrzanie upodobnił się do kartofla, i wyraźne zasinienia powiek, jednak trzymała się prosto i nic nie wskazywało na cięższe urazy. Nie wyglądała też na biedną. Sądząc po jej wzroście (tak na oko metr dziewięćdziesiąt) oraz szerokich barach, to raczej Kartynowicz mógłby wyjść ze starcia z nią w kawałkach. Był wysoki, ale nie aż tak jak szanowna małżonka. Jeśli już, to górował nad nią wyłącznie masą.

Miała na sobie sukienkę w drobny kwiecisty wzór. Przetłuszczone platynowoblond włosy spięła w wysokiego koka, który czynił ją jeszcze wyższą. Nerwowo stukała o blat biurka pomalowanymi na wściekle różowy kolor długimi tipsami, zdolnymi według mojej pobieżnej oceny przeciąć tętnicę szyjną.

– Jak się pani czuje? – zapytałam. – Wiem z relacji policjantów, że mąż był agresywny…

– A tam! Nie pierwszy raz mi przywalił i pewnie nie ostatni. – Wzruszyła ramionami.

– Proszę mi opowiedzieć o dopalaczach. Mąż je stosuje?

– Tak, to dlatego tym razem nie dałam mu rady. Dają mu jakiegoś kopa. Robi się silny jak skurwysyn. – Dla zaakcentowania swoich słów uderzyła pięścią

w blat.

Kartynowicz naprawdę dobrze wybrał sobie małżonkę. Pasowali do siebie idealnie.

Zerknęłam na lurowatą kawę, o której zapomniałam kilka dni temu. Nikt jej dotąd nie wylał i nie umył kubka. Przysunęłam bliżej siebie potencjalny kastet.

– Proszę mi opowiedzieć o mężu – poprosiłam.

***

Pierogi z mięsem stanowiły teraz szczyt moich marzeń. Lekko gumowate i podejrzanie ciągliwe, mimo wszystko były jednak znacznie smaczniejsze od każdych, jakie zdołałabym przygotować samodzielnie.

Uwielbiam pierogi z mięsem.

Siedziałam w szpitalnej knajpce, zawzięcie je przeżuwając. Rozkoszowałam się ciepłym posiłkiem. Miałam co prawda mieć dzisiaj w domu romantyczny obiad z kotem, ale gdy po rozmowie z żoną Kartynowicza i wypełnieniu sterty papierów zorientowałam się, że już jest szesnasta, stwierdziłam, że na poprawę nastroju mogę zjeść dziś ciastko i dopiero pojechać do domu.

Ciastko zamieniło się pod wpływem głodu w talerz pierogów, kubek kompotu i eklerkę na deser, ale przecież kot się o tym nie dowie.

Potoczyłam spojrzeniem po wnętrzu stołówki. Pierogi trafiały się tu tylko raz na jakiś czas, w związku z czym sala była pełna zadowolonych przeżuwaczy. Od kasy razem ze swoją tacą właśnie odszedł Tomek. Stanął na środku i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu wolnego miejsca.

Uniosłam rękę i mu pomachałam. Siedziałam przy małym dwuosobowym stoliku. Spokojnie mógł się do mnie dosiąść.

– Cześć. – Zadowolony rozsiadł się naprzeciwko mnie.

– Hej.

Przysunęłam bliżej eklerkę, z której aż wylewała się bita śmietana. Zaczęłam się zastanawiać, czy rozsądne było przyzywać go do siebie, skoro właśnie zamierzałam ubabrać się czekoladą i bitą śmietaną.

Zerknął na ciastko i moje nieudolne próby, żeby zjeść je z godnością za pomocą widelca od pierogów, ale nie skomentował tego.

– Jak tam twoja zaginiona pacjentka? – zagaiłam rozmowę.

– Daj spokój. – Wpakował sobie do ust całego pieroga i zaczął go intensywnie gryźć.

Cierpliwie czekałam, aż przełknie, nie przestając rozbrajać ciastka widelcem.

– Gumowaty trochę – skwitował po przełknięciu. – Ale smaczny.

Nabił na widelec kolejny pieróg, ale zamiast go ugryźć, powiedział:

– Nie znalazła się. Iwona ciągle mnie obwinia o jej zniknięcie.

– A szukaliście jej? Przecież są procedury…

– Taa, ochrona niby przeszła się po piwnicach i parku dookoła, ale nic nie znaleźli. Rodziny żadnej nie miała, a w każdym razie nie podała danych podczas przyjęcia do szpitala, więc nie było do kogo zadzwonić.

– Może ją znajdą. Skoro tak, to chyba zawiadomili już policję i ona chyba powinna jechać do niej do domu, nie?

– Wszystko mi jedno. – Wzruszył ramionami. – Jej strata, że nie będzie miała pięknych nóżek.

Pogodziłam się z faktem, że będę musiała się ubrudzić. Widelec zupełnie nie zdał egzaminu. Zbyt dużo śmietany wylewało się z ciastka, gdy z niego korzystałam. Takie marnotrawstwo! Złapałam eklerkę i wpakowałam sobie do ust, odgryzając za jednym zamachem połowę tego, co mi jeszcze zostało. Mimo że byłam przekonana, iż dodatkowe centymetry od razu ułożą się zadowolone w moim tyłku i cyckach, nie mogłam przestać się zachwycać pyszną czekoladą i śmietaną.

– Ubrudziłaś się – zwrócił mi uwagę Tomek, kiedy pochłonęłam deser.

Przyglądał się jak zahipnotyzowany, gdy oblizywałam usta.

– Już?

– Jeszcze zostało ci trochę na górnej wardze.

Postanowiłam wytrzeć się serwetką. Miło mi się z Tomkiem flirtowało, ale nie byłam przekonana, czy jest to ktoś, z kim chciałabym czegoś więcej. Dokończyłam ciastko i wytarłam ręce.

– Idę do domu. – Podniosłam się ze swojego miejsca. – Smacznego.

– Już idziesz? – Wyraźnie się zmartwił.

– Jestem umówiona na obiad z pewnym przystojniakiem. – Puściłam do niego oko. – Pochodzi z Persji i ma piękne, błękitne oczy, w których można zatonąć.

– Z kim?!

– Ma na imię Kołtun, a jego ulubionym zajęciem jest darcie mi mebli i wylizywanie sobie tyłka. – Poklepałam Tomka po ramieniu. – Do zobaczenia!

9.

Kiedy wychodziłam ze szpitalnej knajpki, miałam doskonały humor. Na pewno swój udział miały w tym pierogi, czekolada i zabawna mina Tomka, gdy opisywałam mu przystojniaka z Persji. Dobry humor zniknął, gdy otworzyłam swoją szafkę w szatni. Na podłogę wypadła biała koperta z krzywym serduszkiem. Znowu nie było nadawcy.

Fakt, że dostałam pierwszy list, był nawet zabawny. Pokazałam go w ramach dowcipnego przerywnika w pokoju lekarskim. Nikt nie miał pomysłu, od kogo może pochodzić. Rozbawiony Karol zasugerował nawet, żebym powiesiła go na tablicy informacyjnej szpitala z prośbą kontakt.

Po moim trupie.

Jeden list mógł być śmieszny. Jednak anonimy bywają raczej przerażające. Nie cierpię niespodzianek. Nie podoba mi się, że nie znam nadawcy i muszę cierpliwie czekać, aż się ujawni. Długo wahałam się, czy otwierać kopertę, czy po prostu ją wyrzucić i nie psuć sobie nerwów. Oczywiście ciekawość zwyciężyła.

Zerknęłam na rozerwaną kopertę, która leżała teraz obok, na siedzeniu pasażera. Położyłam ją na złożonej kurtce skórzanej. Było dziś za ciepło, żeby ją zakładać, a ponadto po przeczytaniu liściku podskoczyło mi ciśnienie i zrobiło się gorąco.

Koperta mnie irytowała. Miałam wrażenie, że woła do mnie z siedzenia, napraszając się, bym zwróciła na nią jeszcze więcej uwagi. Była taka jak poprzednio. Bez czegoś charakterystycznego, po czym można by zidentyfikować nadawcę. Jedynie serduszko zostało narysowane innym kolorem.

Jeszcze w szatni, wiedziona ciekawością, rozerwałam kopertę i wyjęłam ze środka złożoną na czworo kartkę:

Czerwień, kolor krwi, wygląda pięknie na tle Twojej białej skóry.

Twój Wielbiciel.

Zerknęłam na czerwoną bluzkę, którą miałam na sobie. Doszłam do wniosku, że tajemniczym wielbicielem musiał być ktoś, kogo znam, albo chociaż spotkałam dzisiaj na korytarzu.

Kandydatura lekko przerażającego mnie pracownika pralni jak na razie wydawała się najbardziej prawdopodobna. Zwłaszcza że spotkałam go dziś przy windach. Jak zwykle. Na pewno widział moją bluzkę pod rozpiętym fartuchem.

Niby niewinny liścik, a jednak sprawił, że włosy stanęły mi dęba. Długo nie mogłam się pozbierać po jego przeczytaniu. Zmęczenie wywołane pracą gdzieś zniknęło. Jak automat wsiadłam w samochód i ruszyłam w drogę do domu.

Niebawem wepchnęłam się na ostatnie wolne miejsce na małym parkingu

nieopodal swojej kamienicy. Wyłączyłam silnik i spojrzałam na siebie w lusterku.

Odetchnęłam głęboko.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam do swojego odbicia. – Zaraz wejdziesz do domu, pod kołdrę, najesz się czekolady i obejrzysz ulubiony serial.

Podbudowana tą perspektywą zgarnęłam swoje rzeczy i wysiadłam. Ściskałam w dłoni feralną kopertę, nie do końca wiedząc, co powinnam z nią zrobić. Wyrzucić? Zatrzymać? Czy istnieje jakakolwiek statystyczna szansa, że osoba, która pisze mi o krwi, zostanie kiedyś moim mężem? Jeśli tak, to liścik wypadałoby zatrzymać. Będzie można pokazać go później dzieciom, żeby mogły ponabijać się z ojca.

Kot już na mnie czekał w drzwiach, pełen pretensji, że nie przybiegłam do domu najszybciej, jak się dało, by dać mu jeść. O dziwo, z rozpaczy nie zżarł żadnej rośliny, żeby ją potem z pretensją zwymiotować na biały dywanik łazienkowy.

Kołtun był dwuletnim białym persem. Osiągnął już maksymalny wzrost i teraz rósł jedynie wszerz od nadmiaru jedzenia i braku ruchu. Swoje imię zawdzięczał nienawiści, jaką żywił do wszelkiego rodzaju szczotek i grzebieni. Już jako kociak miał więcej kołtunów niż gładkiego futra.

Jego wysoki miauk przeszedł w złowieszczy mruk, gdy zdał sobie sprawę, że zamiast do kuchni ruszyłam w stronę łazienki.

Skręciłam więc do kuchni.

Tylko samotny psychiatra może być sterroryzowany przez własne zwierzę. Normalny człowiek nie dałby się aż tak zdominować.

Wsypałam mu do miseczki kocie chrupki i skrzywiłam się, gdy zauważyłam, że się skończyły. Jeśli nie chciałam dawać mu wędliny ze swojej kanapki na śniadanie, to musiałam się ubrać i zejść do sklepu. Zerknęłam przez okno. Było już po osiemnastej, niedługo się ściemni. Najpierw poszłam jednak pod prysznic. Miałam ochotę zmyć z siebie oddział psychiatryczny i wszystkie zmartwienia.

Zadowolony i pełen karmy Kołtun położył się na ubraniach, które rzuciłam na podłogę, idąc do łazienki. Czerwona bluzka stanie się więc po jego wylegiwaniu biała. Kocur miał cudowną zdolność linienia wyłącznie na ciemniejszych od siebie tkaninach.

Potoczyłam spojrzeniem po zabałaganionym mieszkaniu. Wyglądało raczej na studencką dziuplę niż dom poważnej pani doktor. Kawalerka nie była duża, bo na większy metraż nie było mnie po rozwodzie stać, a bank nie miał zamiaru pożyczyć mi nawet złotówki więcej. Wolałam kupić mniejsze mieszkanie i samochód, niż tłuc się codziennie komunikacją miejską. Mimo ograniczonych nakładów zdołałam wyremontować tę garsonierę tak, by sprawiała miłe wrażenie. A raczej sprawiałaby, gdybym w niej częściej sprzątała.

Mimo wszystko stwierdziłam, że nie jest na tyle źle, żebym musiała rzucać

się do sprzątania. Wzięłam więc prysznic.

– Kołtun, idę na zakupy – powiedziałam, wychodząc z łazienki.

Kot zdążył się już przenieść z mojej bluzki na swoje miejsce na wersalce. Rozłożył się na plecach i nadstawił tłusty brzuszek, żeby go podrapać. Zawsze mnie tym rozczulał.

– Idę na zakupy. – Dla świętego spokoju pogłaskałam go po brzuchu i zaczęłam się ubierać.

Za oknem zaczęło się ściemniać. Latarnie delikatnie rozświetlały wiosenny mrok. Miałam nadzieję, że sklep po drugiej stronie ulicy będzie czynny i co najważniejsze, będą w nim mieli ulubioną karmę Kołtuna.

Zaczynało do mnie docierać, że balansuję na cienkiej granicy oddzielającej zdrowe osoby mające pupili od tak zwanych kociarzy, którzy swoje życie podporządkowują futrzakom i ich potrzebom.

– Myślisz, że powinnam znaleźć sobie faceta? – zapytałam kota.

Spojrzał na mnie błękitnymi oczami z lekkim zezem rozbieżnym, a następnie ziewnął rozdzierająco.

Miał płaski perski pysk, zadarty nosek, zeza, a w nocy chrapał. Jak go nie kochać?

– Masz rację – odparłam, z przykrością zdając sobie sprawę, że zaczynam go traktować jak osobę. – Muszę sobie znaleźć faceta. Bez obrazy, Kołtunie. Grzejesz w nocy w łóżku tak mocno, że nikogo mi w nim nie brakuje, ale chyba… chyba mam jeszcze inne potrzeby.

Wyszłam z mieszkania, zostawiając go na wersalce, nic nierozumiejącego i mającego kompletnie gdzieś moje problemy.

Od rozwodu minęło ponad pół roku. Pomimo że Sławek, mój eksmąż, był święcie przekonany, że nasze rozstanie w ogóle mnie nie obeszło, bo przecież i tak nie miałam dla niego czasu, ja bardzo to przeżyłam. Myślałam, że będziemy zawsze razem, że urodzę mu dzieci. Wydawało mi się, że skoro przysięgaliśmy sobie miłość, to coś dla niego znaczyło.

Dopiero po rozwodzie zrozumiałam, dlaczego nie wzięliśmy ślubu kościelnego. Sławek tłumaczył mi, że nie mamy pieniędzy na wielkie weselisko, a on chce wszystko zorganizować tak, żebyśmy niczego nie żałowali.

To nie była prawda. Teraz to wiedziałam. Po prostu nie był pewien, czy chce być ze mną przez całe życie. Ślub cywilny wziął tylko dlatego, żebym przestała mu wiercić dziurę w brzuchu.

Pogrążona w niewesołych rozmyślaniach weszłam do osiedlowego sklepiku. Oprócz karmy dla kota kupiłam podpaski, czekoladę i chrupki ziemniaczane. Miałam ochotę wziąć jeszcze wino, żeby się pochwalić przed Kołtunem ze łzami w oczach, że nabyłam pełen zestaw silnej i niezależnej kobiety, ale przecież nie mogłam się upić. Musiałam iść jutro do pracy.

Cholerna emancypacja. Życie było znacznie prostsze, gdy jedynym wysiłkiem kobiety było leżeć i pachnieć.

Wyszłam ze sklepu. Rozejrzałam się na boki przed przejściem. Pomimo że minęła już dwudziesta i był środek tygodnia, kręciło się tu mnóstwo ludzi. Jedni szli do licznych na Pradze barów, inni wracali do domów z pracy. Zerknęłam w stronę swojego samochodu zaparkowanego nieopodal. Zauważyłam, że ktoś obok niego stoi.

Zamiast przejść przez ulicę, ruszyłam w tamtym kierunku.

– Dobry wieczór, szanownej pani!

Aż podskoczyłam przestraszona tym szorstkim głosem.

Na ławce, skąpani w świetle latarni, siedzieli bezdomni, którzy pomieszkiwali w piwnicach mojej kamienicy. Zdjęli z głów czapki i posłali mi szczere, szczerbate uśmiechy. Ich zaczerwienione twarze zmęczone wieloletnim nadużywaniem alkoholu wydawały się spuchnięte i rozmyte. Zupełnie jakby wódka zbierała się pod ich skórą i ją zniekształcała.

– Dobry wieczór – odparłam zmieszana.

– A gdzie też pani wędruje? – zagadnął jeden z nich.

– Zdawało mi się… – Odwróciłam się w stronę samochodu.

Nie było przy nim nikogo. Zaskoczona potoczyłam spojrzeniem dookoła. Tajemniczy cień przypominający sylwetkę człowieka nachylającego się do drzwi mojego auta zniknął.

– Wydawało mi się, że zobaczyłam kogoś koło mojego samochodu – dokończyłam niepewnie. – Ale już nikogo nie widzę…

– Nie, tam nikogo nie ma – zaprzeczył jeden z nich, także patrząc w tamtym kierunku.

– Teraz – sprostował drugi.

– Teraz?

– Teraz – upierał się drugi.

Podczas tej dyskusji przenosiłam spojrzenie z jednej twarzy na drugą, tak podobnych do siebie przez nałóg.

– Kogoś tam panowie widzieli? – podchwyciłam.

– A ktoś tam był, ale spokojnie. Pewnie tylko przechodził. Dużo ludzi wychodzi teraz z psami – usiłował mnie uspokoić pijaczek. – Taka godzina.

– Pewnie tak – zgodziłam się. – No dobrze. Dobranoc, panom.

– Jakby co, to my popatrzymy na samochód, proszę się nie martwić.

– Dziękuję bardzo.

– Do widzenia – odparli zgodnie.

Usłyszałam za plecami dźwięki odkorkowywanych butelek. Przebiegłam przez ulicę. Przed wejściem do kamienicy jeszcze raz spojrzałam w stronę parkingu. Obok mojego samochodu nie było nikogo. W oddali zobaczyłam błysk,

zupełnie jakby światło latarni w czymś się odbijało.

***

Dłonie odziane w skórzane rękawiczki założyły osłonę. Aparat uchwycił postać kobiety tuż przed tym, jak weszła do budynku. Przez chwilę patrzyła prosto w obiektyw.

Dłoń przesunęła się po srebrnej karoserii starego opla. Samochodu należącego do niej.

10.

Warszawa, Szpital Wschodni

Kierowca białej furgonetki, Michał Sternowski, podjechał do szlabanu zagradzającego wjazd na parking Szpitala Wschodniego. Ponury budynek niknął w szarości poranka.

Mężczyzna sięgnął do pokrętła radia. Z żalem przyciszył muzykę, pomimo że stacja puszczała właśnie jego ulubiony kawałek. Zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej i niecierpliwie zabębnił palcami po kierownicy. Nie miał czasu na rozkoszowanie się muzyką. Spieszył się do domu. Żona urodziła kilka dni temu ich pierwsze dziecko, a przedwczoraj wróciła z noworodkiem do domu. Chciał jak najszybciej do nich dołączyć. Szpital Wschodni był ostatni na jego trasie. Zaraz będzie w domu.

Wcisnął klakson.

Odsunął szybę i pomachał przyjaźnie ochroniarzowi, który, obudzony z drzemki, wychylił się przez okienko małej metalowej budki. Sternowski zawsze zastanawiał się, jak strażnicy wytrzymują w niej latem i zimą. We wnętrzu musiały panować albo nieznośne upały, albo szczypiący mróz.

– Dzień dobry! – krzyknął Sternowski.

Ochroniarz potarł zmęczone, załzawione oczy i ziewnął.

– Dzień dobry! Przyjechałem po odpady! – ponownie zawołał, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

Uniósł granatową podkładkę, do której przypiął karty przekazania odpadów. Na specjalnym druku było miejsce na dane zleceniodawcy, numer samochodu odbiorczego, a także masę ładunku. Odwiedził dzisiaj kilka placówek. Pod pustym dokumentem miał poprzednie, skrupulatnie wypełnione.

– Cześć, Michał – powitał go ochroniarz i zaczął podnosić szlaban. – Wcześnie dzisiaj przyjechałeś. Jeszcze nie ma piątej.

– Lepiej wcześniej zacząć i wcześniej skończyć – odparł mężczyzna. Wolał nie wdawać się w dyskusję. Nie powinien tracić cennego czasu. – Poza tym chcę zdążyć z powrotem, zanim zaczną się korki.

– Co racja to racja. Bezpiecznej drogi.

Szlaban uniósł się, a biała furgonetka podskoczyła na wściekle pomarańczowych progach zwalniających i wjechała na teren szpitala.

Sternowski od kilku lat pracował w firmie odbierającej odpady z placówek medycznych. Przyzwyczaił się do wczesnych godzin pracy. Zdołał je nawet polubić. Dzisiaj jednak przecierał oczy ze zmęczenia. Kilkudniowa córeczka była wyjątkowo grzeczna. Spała w nocy, a gdy budziła się z głodu, tylko cichutko

kwiliła. Sternowski był jednak zdenerwowany, bo praktycznie spędził całą noc, nasłuchując, czy dziecko oddycha.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie podejść na oddział pediatryczny i zapytać któregoś z lekarzy, czy to normalne, że jego dziecko tak mało płacze. Szybko jednak porzucił ten pomysł. Półprzytomny o tej godzinie lekarz z pewnością nie będzie miał ochoty na niezapowiedzianą wizytę odbiorcy odpadów. Michał postanowił, że poszuka informacji w internecie i namówi żonę, by jak najszybciej umówiła wizytę u pediatry w przychodni.

Skierował furgonetkę w stronę magazynu na końcu posesji należącej do szpitala. Szary, betonowy klocek otaczały drzewa ukrywające jego brzydotę. Do magazynu można było dostać się na dwa sposoby: przez podwórze, idąc wzdłuż asfaltowej drogi i samochodów personelu zaparkowanych na trawniku, bądź łącznikiem w piwnicy.

Zaparkował tyłem, kierując bagażnik w stronę niskiej rampy, z której łatwiej było ładować za pomocą wózka worki z odpadami. Tuż nad jego samochodem, na ścianie budynku był wymalowany żółtą farbą olbrzymi napis: „Blok H".

Na dłonie Sternowski założył mocne rękawice, które miały chronić przed skaleczeniem. Starał się zawsze je mieć. Dość się nasłuchał historii o pracownikach, którzy niechcący zakłuli się igłą z krwią zakażoną wirusem zapalenia wątroby typu C albo wirusem HIV. Miał rodzinę, musiał o siebie dbać. Zaczął się zastanawiać, zerkając na rękawiczki, czy nie powinien zmienić pracy ze względu na zdrowie żony i córeczki. Godziny mu odpowiadały, więc równie dobrze mógł zatrudnić się w piekarni i rozwozić nad ranem pieczywo. Chleb nie zrobi mu krzywdy.

Pracownik magazynu już na niego czekał, tupiąc niecierpliwie na brzegu rampy. W dłoniach ściskał formularz podobny do tego, z którym nie rozstawał się Sternowski. Przywitali się zdawkowo i weszli do wnętrza. Sternowski pchał przed sobą metalowy wózek z koszem, do którego zamierzał przepakować worki z odpadami. Wózek terkotał na nierównościach, co chwilę podskakując. Popękane kafelki i wyszczerbiony od dziesięcioleci beton były godnymi przeciwnikami gumowych opon.

– Dużo dzisiaj? – zapytał Sternowski, mocniej napierając na wózek, by pokonał nierówny próg.

– Jak zawsze – mruknął magazynier. – Niecałe pół tony.

W pomieszczeniu unosił się specyficzny zapach. Michał był przyzwyczajony. Pomimo że worki i pojemniki były szczelnie zamknięte, dookoła nich unosił się odór krwi, psującego się mięsa i chemikaliów. Sternowski na początku pracy miał mdłości, ale po pewnym czasie przestał czuć smród, który podstępnie wnikał w ubranie i tapicerkę siedzeń w furgonetce. Czasami tylko żona informowała go z obrzydzeniem, że koszula śmierdzi gorzej niż zwykle.

– Odpady z wczoraj. – Magazynier ziewnął, ukazując ubytki w uzębieniu.

W równym rzędzie pod ścianą stały białe kontenery o pojemności około stu litrów, w których leżały czerwone worki z folii polietylenowej. Każdy z nich był mocno zawiązany i oznaczony specjalnymi kodami samoprzylepnymi.

W kącie pomieszczenia stała olbrzymia waga, na którą mogły wjechać kontenery. Większość przewoźników z firmy Michała nie zawracała sobie głowy ważeniem worków i wierzyła na słowo magazynierom. Michał nikomu nie wierzył, zawsze wszystko sprawdzał. Magazynier wiedział, że szybko nie powróci do przerwanej drzemki.

Sternowski najpierw zabrał się do sprawdzania żółtych owalnych pojemników z czerwonymi nakrętkami, do których wrzucane były igły i inne ostre przedmioty mające kontakt z czynnikami zakaźnymi. W każdej dyżurce pielęgniarek znajdował się pojemnik, do którego po pobraniu krwi trzeba było wrzucić igłę.

Michał sprawdził, czy pojemniki są prawidłowo zamknięte, i po zważeniu swojego wózka zapakował je do niego, by ponownie zweryfikować wagę i zanotować w swoich dokumentach. Magazynier patrzył na to z pełną niechęci miną. Nie zamierzał pomagać nawiedzonemu kierowcy. Uważał, że skoro jest on takim służbistą i bawi się w powtórne ważenie, to niech sam sobie pracuje.

Sternowski odwiózł żółte pojemniki do furgonetki i wytoczył z niej dwa białe kontenery, które miał zostawić w zamian za te, które zabierze ze szpitala. Szpital Wschodni dzierżawił je od firmy, dla której mężczyzna pracował.

Zważył pusty kontener i wjechał na wagę pierwszym wypełnionym. Waga zgadzała się z tą, którą podał magazynier.

Pracownik szpitala zaczął przytupywać nogą. Obcas drewnianego chodaka stukał w obluzowaną płytkę podłogową, która wydawała dźwięk przypominający skrobanie sztućcem po talerzu.

Michał skrzywił się, ale nie skomentował jego zachowania. Zamknął klapę kontenera na kłódkę, odwiózł go i zabezpieczył specjalnymi pasami we wnętrzu furgonetki. Wrócił do magazynu.

– Człowieku, długo jeszcze?! – warknął magazynier, ostentacyjnie zerkając na zegarek. – Moja zmiana zaraz się kończy.

– Został jeden kontener – burknął Michał. – Tylko go zważę i już mnie nie ma.

Pchnął ostatni, najbardziej wypełniony wózek w stronę wagi. Ku jego zdziwieniu ten ani drgnął. Pchnął go jeszcze raz mocniej, zapierając się stopami podłogę.

– Coś z sił opadłeś… – zakpił magazynier.

– Ile powinien ważyć? – sapnął Sternowski.

– Dwieście pięćdziesiąt trzy kilo – odparł magazynier, patrząc w swoje

dokumenty.

Sternowski spojrzał na licznik. Wskazywał coś zupełnie innego.

– Wyświetla się trzysta jeden – poinformował go.

– Niemożliwe!

– Niech pan zobaczy – Michał zaparł się pod boki zadowolony z siebie i odsunął od wagi, by zrobić miejsce magazynierowi.

Wreszcie jego obsesyjne sprawdzanie na coś się przydało. Szpital chciał oszukać jego firmę utylizującą, i on zdobył na to dowód. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym szefowi. Może dostanie premię? Pieniądze bardzo by się teraz przydały. Mógłby kupić śliczne ubranko dla córeczki, które widział w sklepie. Było takie drogie…

– Coś jest nie tak! – Magazynier nie mógł uwierzyć. Raz po raz zerkał na wyświetlacz i kartę przekazania odpadów, którą trzymał w dłoniach. – Sam ważyłem ten pojemnik wieczorem, a szef sprawdzał.

– Może ktoś jeszcze coś dorzucił? – zasugerował Sternowski.

Zrobiło mu się żal magazyniera, który był tak zaskoczony nieprawidłową wagą, że wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Niemożliwe. Wszyscy salowi wiedzą, że nie wolno niczego wsadzać do pojemników, które mają już założoną pokrywę…

– To co teraz? – Nagle do Sternowskiego dotarło, że przez nieprawidłową wagę kontenera mogą wyniknąć kłopoty, które opóźnią jego powrót do pracy.

Od razu stracił dobry humor. Nawet wizja premii go nie cieszyła.

– Zajrzyjmy do środka – zaproponował magazynier.

– Nie, nie wolno nam zaglądać do środka – gwałtownie zaprotestował Michał. – To niezgodne z przepisami. Worki muszą trafić do spalarni w stanie nietkniętym. Za wszelkie uszkodzenia ja będę odpowiadał.

– Przecież nie mówię, że mamy je rozpakować – żachnął się magazynier. – Chcę je tylko przeliczyć. Zgodnie z moimi notatkami w środku powinno być dziesięć dużych worków i sześć małych. Może faktycznie ktoś coś dorzucił. To co? Sprawdzimy?

– No, na coś takiego chyba mogę się zgodzić. – Wciąż nie był pewien, czy właściwie postępują.

Magazynier odłożył na ziemię podkładkę z papierami i stanął na palcach, żeby zajrzeć do kontenera. Sięgnął do środka i wyciągnął jeden z czerwonych worków. Położył go na ziemi obok siebie.

Sternowskiemu serce podeszło do gardła, gdy zauważył, że mężczyzna robi to gołymi rękami. Teoretycznie w żadnym z czerwonych worków nie powinno być igieł. Jednak, jeśli w którymś znajdowała się na przykład amputowana kończyna, można było się ukłuć ostrym fragmentem kości.

– Może ja – zaproponował. – Mam rękawiczki. Nic mi się nie stanie.

– Przecież tu nie ma nic ostrego – burknął magazynier.

Poczerwieniał, wyjmując jeden z cięższych worków. Gdy przeniósł go ponad krawędź kontenera, zaczęła wyciekać z niego krew z ropą.

– Obrzydliwość! – ryknął mężczyzna, rzucając bezceremonialnie worek na ziemię.

Michał patrzył na to z przerażeniem. Sądząc po kształcie wypełniającym czerwony wór, w środku znajdowała się amputowana na wysokości uda noga otyłego człowieka. Miała prawo być ciężka, a tym bardziej mieć ostre krawędzie, które mogły przeciąć worek.

– Może jednak ja – upierał się. – Chyba że woli pan zrobić sobie krzywdę. Nie ma pan nawet rękawiczek jednorazowych!

– A jak pan chcesz – mruknął magazynier i odsunął się od przeciekającego worka.

Sternowski pokręcił głową z niedowierzaniem na taki brak wyobraźni. Powoli sięgnął do kontenera i ostrożnie zaczął wyjmować worki, z szacunkiem kładąc je na posadzce. Starał się niczego nie uszkodzić, pomimo że szczątki i tak za chwilę miały trafić do spalarni.

Zmarszczył brwi, gdy pomiędzy workami zobaczył coś czarnego.

– To dziwne – mruknął.

– Hę?

– Coś tam chyba jest. Ciężko mi sięgnąć. Chwileczkę.

Stanął na palcach i pochylił się nad krawędzią kontenera, bardzo przechylając się do jego wnętrza. Szarpnął za wyjątkowo ciężki worek i odsłonił coś, co leżało pod nim.

Wrzasnął. Krzyczał tak przeraźliwie, jak jeszcze nigdy w życiu.

– Co jest? – Magazynier odepchnął go i zajrzał do kontenera. – O ja pierdolę!

W jednej chwili zrozumiał, że nie zejdzie szybko ze zmiany. A w każdym razie nie zejdzie z niej przed przyjazdem policji.

Spomiędzy worków, ukryta na samym dnie kontenera, wystawała zmasakrowana głowa czarnowłosej kobiety. Wpatrywała się oskarżycielskim wzrokiem w mężczyznę, zupełnie jakby oczekiwała od niego, że wskaże winnego jej śmierci.

11.

Zatrzymałam się przed szlabanem prowadzącym na teren szpitala. Wcisnęłam hamulec, by samochód nie cofnął się po pochyłym wjeździe. Ochroniarz, zamiast jak co dzień stać karnie przy swojej budce i wpuszczać pracowników, witając ich zdawkowym uśmiechem, obserwował teraz zaparkowane kilka metrów dalej wozy transmisyjne największych polskich stacji telewizyjnych. Nic sobie nie robiąc z zakazu parkowania na przyległym chodniku, zaczęły rozstawiać się tuż za ogrodzeniem.

Co się dzieje? Pożałowałam, że w drodze do pracy, zamiast jak zwykle słuchać radia, włączyłam płytę. Kurczę, dziś trzeba było słuchać radia. Może coś strasznego się stało?

Zerknęłam na znanych z ekranu dziennikarzy, w popłochu poprawiających fryzury, które z uporem mierzwił wiatr. Niestety, nie docierały do mnie słowa, które w podnieceniu wyrzucali z siebie do mikrofonów.

Były wszystkie kanały informacyjne. Zaniepokoiłam się. Czyżby w nocy zdarzył się tu jakiś wypadek? Spojrzałam na budynek szpitala, oczekując widoku poczerniałych od płomieni ścian albo zawalonego dachu. Nie mogłam sobie przypomnieć, kto miał dzisiaj dyżur na psychiatrii. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie stało się mu nic złego.

Szpital wyglądał jak zwykle. Jedynym odstępstwem od normy były zaciekawione twarze pacjentów w niemal każdym oknie.

– Halo! – zawołałam przed otwarte okno, mając nadzieję, że zwrócę na siebie uwagę ochroniarza.

Nie pomogło. Poczułam, jak drętwieje mi stopa wciskająca hamulec.

Odsunęłam szybę i wystawiłam głowę.

– Halo! Chcę przejechać! – krzyknęłam. – Proszę pana!

Obok mnie zatrzymał się z rykiem czarny motocykl z czerwonymi manetkami i napisami. Wsunęłam głowę do samochodu.

Kierowca maszyny uniósł lustrzaną szybkę w kasku zasłaniającą twarz i powiedział:

– Wydaje mi się, że pani nie usłyszał.

Już miałam mu odburknąć, co myślę o nim i jego smrodliwym pojeździe, który wydalał więcej spalin niż mój opel, gdy ochroniarz odwrócił się w naszą stronę. Najwyraźniej zaalarmował go ryk potwora, na którym siedział mężczyzna.

Niespiesznie ruszył w naszym kierunku, wesoło pogwizdując. Zupełnie jakby do wjazdu nie ustawiła się już kolejka zniecierpliwionych kierowców, którzy spóźnią się do pracy albo na wizytę u lekarza. Zazdrościłam mu spokoju. Ja na jego miejscu zapadłabym się pod ziemię.

Zła, że znowu spóźniam się nie ze swojej winy, zaczęłam kręcić

przedpotopową korbką, by zamknąć okno. Gdy szlaban podniósł się na tyle, by mój samochód się pod nim zmieścił, ruszyłam z kopyta, chcąc wyprzedzić motocykl.

Udało się. Mój dzień od razu stał się lepszy.

Zauważyłam, że dookoła magazynu w bloku H stały radiowozy. Zaparkowałam na jednym z ostatnich miejsc w pobliżu. Obok niepozornego budynku, który na co dzień nie wzbudzał zainteresowania, kręciło się mnóstwo ludzi: policjantów, pracowników ochrony szpitala, administracji, a także zwykłych gapiów. Jako że pogoda dopisała, przed policyjnymi barierkami tłoczyła się spora grupa pacjentów w szlafrokach i kapciach, którzy wyszli z oddziałów, nie przejmując się, że przegapią śniadanie.

Obok mnie z rykiem zatrzymał się motocykl. Jakby mnie śledził! Mógł zatrzymać się wszędzie, ale wybrał miejsce obok mnie. Owiała mnie chmura spalin. Ostentacyjnie zakasłałam.

Otworzyłam bagażnik, żeby wyciągnąć torbę. Kątem oka obserwowałam kierowcę. Zsiadł z maszyny. Zdjął kask i rękawice. Z kieszeni kurtki wyciągnął paczkę papierosów i wsunął jednego do ust. Był bardzo wysoki i barczysty.

Moje spojrzenie zsunęło się z jego pleców na pośladki, mocno opięte dżinsowymi spodniami.

– Na terenie szpitala nie wolno palić – zwróciłam mu uwagę i zatrzasnęłam bagażnik.

Odwrócił się i uśmiechnął. Wyjął z ust niezapalonego papierosa i wsunął z powrotem do paczki.

Cholera… Miał ładny uśmiech. Cała złość na jego smrodliwy pojazd od razu zniknęła.

Szybko otaksowałam go wzrokiem, by sprawdzić, czy mogłabym z kimś takim być. Nabrałam tego niechlubnego zwyczaju po rozstaniu ze Sławkiem. Szukałam kandydata na potencjalnego męża przeświadczona, że jeśli tego szybko nie zrobię, zostanę sama do końca życia. Tak naprawdę, to tak nie myślałam, ale matka zdołała mi to skutecznie wmówić.

Cholera… niedawno stwierdziłam, że może już mi przeszło, bo powstrzymywałam się przed skanowaniem sylwetek Tomka i kolegów z oddziału.

Niestety, przystojny motocyklista sprawił, że chętka na faceta powróciła.

Nie miał obrączki ani śladu po niej sugerującego, że zdejmuje tę „ozdobę", idąc na podryw. Jego szelmowski uśmiech przypominał mi kokieteryjną minę Roberta Downeya Jr. W zasadzie to cały przypominał tego aktora. Miał brązowe włosy, lekki zarost otaczający usta warte grzechu i czekoladowe oczy, w których czaił się uśmiech.

Mogłabym się założyć, że jedną z jego ulubionych rozrywek było podrywanie dziewczyn na motor. Całe szczęście, że mnie motocykle przerażały równie mocno jak rowery.

Ten motocyklista zdecydowanie nie nadawał się na męża. Jako kandydat do spędzenia szalonej nocy jak najbardziej, o ile lubi się skórzane kurtki i dobrą prezencję. Poza gorącą nocą chyba jednak nie miał wiele do zaoferowania.

A szkoda. Naprawdę wielka szkoda…

– Kim pani jest? – zapytał, bawiąc się paczką papierosów.

Jego głos dopełnił obrazek niegrzecznego chłopca. Lekko zachrypnięty, głęboki, pełen niewypowiedzianych obietnic.

Naprawdę wielka szkoda… Muszę się stąd szybko ulotnić, bo jeszcze padnę mu do stóp.

– Nie pana interes. – Spojrzałam na zegarek, który potwierdził moje spóźnienie. – Do widzenia.

Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam w stronę budynku E. Zdecydowałam, że przebiorę się w fartuch po odprawie. Nie chciałam denerwować profesora.

– Do zobaczenia! – Usłyszałam za swoimi plecami.

Odwróciłam się w kierunku motocyklisty. Szkoda, że nie nadawał się na męża. Pewnie mielibyśmy fajne dzieci. Po mnie byłyby mądre, a po nim ładne.

W oknach budynku psychiatrii było pełno stężałych z ciekawości twarzy. Najwyraźniej zamieszanie na terenie szpitala stało się sensacją także na naszym oddziale. Niedobrze. Mieliśmy kilku pacjentów, którzy nie powinni się zbytnio ekscytować.

Ominęłam wiekową windę i zaczęłam wspinać się po schodach. Przez chwilę zastanawiałam się, czy w piwnicy czatuje na mnie salowy ze swoim wózkiem. Dzisiaj się nie doczeka. O mało co nie zaśmiałam się ucieszona swoją decyzją.

Wsunęłam głowę do pokoju odpraw. Byli już wszyscy poza profesorem. Opadłam na krzesło obok Uli i Karola.

– Znowu się spóźniasz. – Karol pogroził mi palcem.

– Nie mogłam wjechać na teren szpitala – powiedziałam. – Ochroniarz podziwiał wozy transmisyjne, zamiast pilnować szlabanu.

– Już wiesz, co się stało? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– Nie uwierzysz! – pisnęła Urszula.

– Co się stało? Powiedzcie!

– To dlatego nie ma profesora. Siedzi na spotkaniu z dyrektorem, żeby opanować tę, jak to ujął, nietypową sytuację dla szpitala – wyjaśnił Karol.

– Ale co się stało? – nie mogłam wytrzymać.

– Znaleźli trupa – szepnął konspiracyjnie.

– Całkiem martwego. Usiłują go teraz zidentyfikować – dodała Ula.

– No trupy to zwykle są martwe… – mruknęłam. – A co takiego wyjątkowego jest w tym, że ktoś umarł w szpitalu? Przecież to się zdarza.

– Trupa znaleźli w magazynie, zamordowanego – dopowiedziała Ula.

– Podobno znalazł go pracownik odbierający odpady medyczne. Ktoś upchnął zwłoki w koszu na odpady!

– Słyszałam, że to kobieta.

– Ciekawe, czy ją znaliśmy.

– No do czego to doszło…

– Myślicie, że dziennikarze wejdą do szpitala?

– A po co komu dziennikarze? Lepiej wpuściliby tu kilka pogodynek…

Ula i Karol byli w wyśmienitych humorach i przerzucali się informacjami i żarcikami. Najwyraźniej znalezienie zwłok w makabrycznym miejscu poprawiało psychiatrom nastrój.

– Ale kto to zrobił? – Nie mieściło mi się to w głowie. – I po co?

– Policja jest po to, żeby wszystko wyjaśnić. – Urszula poklepała mnie po ramieniu. – Kręcą się po całym szpitalu od kilku godzin.

– A czyj to trup? – zapytałam.

– I to jest właśnie w tym wszystkim najzabawniejsze. – Karol był ucieszony jak małe dziecko. – Podobno to nasza pacjentka!

– Żartujesz?! – syknęłam.

– Nie!

– A skąd macie takie informacje? – zdziwiłam się.

– Jedna z pielęgniarek poszła rano do magazynu zobaczyć, o co ta cała afera, i przepytała policjanta.

– A która to taka odważna?

– Oddziałowa.

No tak. Nie zdziwiło mnie to. Pani Krysia miała zadatki na śledczego. Żaden policjant nie byłby w stanie ukryć przed nią prawdy.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem, przyglądając się parze podnieconych plotkarzy obok mnie.

Szpital to specyficzne miejsce pracy. Nieważne, czy jest duży, czy mały – zawsze stanowi organizm rządzący się swoimi prawami. Wielu pracowników traktuje go jak drugi dom, zwłaszcza jeśli spędzają w nim średnio ponad siedemdziesiąt godzin tygodniowo.

Gdyby dobrze to rozegrać, udałoby się zapewne dzięki śmieciówkom lekarzy spędzać w szpitalu cały tydzień, czyli sto sześćdziesiąt osiem godzin. Oczywiście sto sześćdziesiąt osiem godzin pracy. Po co komu sen, jedzenie i przerwa na siusiu?

Służba zdrowia nie musi sikać. To powszechnie znany fakt.

Szpital to miejsce, w którym większość pracowników się zna. Jeśli nie osobiście, to z widzenia. Po pewnym czasie kojarzy się wszystkich.

A jeżeli się zna tylu ludzi, to się o nich plotkuje. Czasem miałam wrażenie, że nawet ściany miały tu uszy.

Ostatnią głośną plotką była historia internisty z endokrynologii, który miał

romans z pielęgniarką. Trzeba przyznać, że długo utrzymali związek w tajemnicy – brawa dla nich. Niestety, wszystko się wydało, gdy postanowili kochać się na umywalce w pokoju lekarskim.

Dlaczego akurat na niej? Nie wiem. Nikt nie wie, chociaż oczywiście spekulowano na ten temat. Pewnie wysłużona kanapa im się znudziła.

Łatwo domyślić się zakończenia tej historii, bo cały szpital dowiedział się o ich romansie. Podczas namiętnych chwil umywalka niestety nie wytrzymała ciężaru pielęgniarki i odpadła ze ściany razem z kafelkami, które poraniły kobietę.

Najpierw kochankowie usiłowali sami opanować sytuację. Gdy się nie udało, postanowili poprosić o pomoc. Internista zawołał kolegę chirurga, by pomógł mu opatrzyć rany kochanki. Pomimo że próbowali zatuszować sprawę, wszystko się wydało.

Szczerze im współczułam, ale nie potrafiłam nie śmiać się z opowieści, która w szpitalu stała się legendą. Do dzisiaj, gdy idę na endokrynologię do pokoju lekarskiego, to zerkam na nową umywalkę, żeby sprawdzić, czy nadal wisi.

Karol spojrzał ostentacyjnie na zegarek i zniesmaczony cmoknął.

– Minął już kwadrans akademicki. Jeśli profesor nie przyjdzie przez kolejne pięć minut, idę do pacjentów – stwierdził.

Profesor nie przyszedł, więc wszyscy odeszliśmy do pacjentów. Wrócił, kiedy zajęliśmy się już swoimi sprawami. Miał pretensje, że nie poczekaliśmy trzydziestu pięciu minut, jak lojalni pracownicy, którym zależy na premiach…

12.

Warszawa, Szpital Wschodni

Marek Zadrożny był lekarzem medycyny sądowej. Lubił swoją pracę i wykonywał ją z przyjemnością, fascynowała go. Każde ciało traktował jak zagadkę do rozszyfrowania. Nie przeszkadzały mu zapachy ani makabryczne widoki. Dla niego liczyło się tylko rozwiązanie.

Rodzina nie akceptowała tego, czym się zajmował. Gdy jako jedyny z rodu prawników postanowił zostać lekarzem, nie byli zadowoleni, ale wybaczyli mu tę fanaberię. Widzieli go jako kardiochirurga, neurochirurga, chirurga plastycznego, najlepiej szybko z tytułem profesorskim. Taki zawód ich syna nie był wymarzony, ale mógł satysfakcjonować.

Rodzice Marka szybko jednak zapomnieli, że przystali na wybór jego drogi życiowej. Gdy skończył studia, zaczęli odczuwać wstyd i szok. Nie spodobało im się, że ich potomek postanowił zająć się martwymi pacjentami. Członkom warszawskiej palestry wydawało się to nie na miejscu. Uważali, że jego decyzja zaszkodzi ich karierom.

Marek nie utrzymywał bliskich kontaktów z krewnymi. Odciął się od nich zaraz po studiach, by poświęcić się tym, którzy go interesowali. Zmarłym.

Komisarz Sebastian Pol przyglądał się Zadrożnemu, gdy ten usiłował ukucnąć w dżinsowych, ale wzmacnianych specjalnymi płytkami spodniach motocyklowych. Lekarz podał skórzaną kurtkę młodej aspirantce wpatrzonej w niego jak w obrazek. Komisarz spojrzał z naganą na podwładną, ale zupełnie nie zwracała na niego uwagi, bo gapiła się tylko na Zadrożnego. Pol westchnął i przewrócił oczami.

Marek zamruczał coś do siebie i wciągnął jednorazowe rękawiczki. Założył też jednorazowy fartuch, by ochronić ubranie przed płynami ustrojowymi, i zbliżył się do trupa.

Był jedynym znanym komisarzowi medykiem sądowym, który na miejsca zbrodni stawiał się na motocyklu, mając potrzebny sprzęt w plecaku. Zwykle lekarze przyjeżdżali samochodami, a pęsety, termometry, linijki, wymazówki i skalpele wozili w metalowych walizeczkach. Używali tylko jednorazowych rękawiczek, a Marek dodatkowo zawsze zakładał fartuch z włókniny, żeby nie pobrudzić sobie ciuchów.

Zdaniem Sebastiana było to bez sensu, bo przez tę fizelinkę i tak wszystko mogło przecieknąć.

Podszedł bliżej i zawisł Zadrożnemu nad głową, przyglądając się zwłokom.

– Kiedyś pękną ci te portki przy trupie – zauważył złośliwie.

– Seba, Seba, Seba – westchnął lekarz. – Zapewniam cię, że mój tyłek ma się dzięki takim spodniom świetnie. Jędrny niczym dojrzała brzoskwinka. Prawda, pani aspirant?

Zawstydzona kobieta oderwała spojrzenie od pośladków Marka i szybko odeszła.

– Mam nadzieję, że odda mi kurtkę, co? – zapytał Marek, błyskając uśmiechem.

Znali się z Sebastianem od przedszkola. Przeszli wszystkie etapy podwórkowej przyjaźni – od bijatyki, gdy Marek zaczepiał młodszą siostrę Sebastiana, po pożyczanie drobnych na gumę, pierwsze papierosy i piwo za śmietnikami na osiedlu. Połączyło ich braterskie uczucie.

To do Sebastiana Zadrożny wprowadził się po tym, gdy majętna rodzina usiłowała go wydziedziczyć, by zmusić do zmiany planów na przyszłość. Sebastian akurat wyjeżdżał na roczną misję do Afganistanu, dzięki czemu Marek miał jego mieszkanie dla siebie.

Rodzinie Zadrożnego nie udało się go złamać odcięciem od pieniędzy. Pokazał, że da sobie radę. Po latach zaakceptowali jego wybór, a z kurka z rodzinnymi pieniędzmi znowu zaczął płynąć strumień, dzięki czemu Zadrożny wykonywał swój zawód hobbistycznie, a żył dzięki odsetkom na lokatach i zyskom z giełdy.

Sebastian Pol nie miał tak łatwego życia, jednak na biedę nie narzekał. Pochodził z zamożnej rodziny policjantów i żołnierzy. W przeciwieństwie do przyjaciela przejął rodzinną tradycję. Najpierw odsłużył kilka lat ku chwale ojczyzny, a potem szybko przeskoczył przez stopnie policyjnej hierarchii. Był jednym z młodszych komisarzy, odznaczonym za zasługi dla kraju.

Współczuł przyjacielowi, że ten przez całe dzieciństwo uciekał z domu, by święta spędzać z Polem i jego rodziną.

– Co mi powiesz o denatce? – zagadnął komisarz. – Poza tym, że tu leży i jest martwa?

Medyk sądowy rozejrzał się. Na miejscu zbrodni było wyjątkowo tłoczno. Magazyn, ze spokojnego miejsca odwiedzanego tylko przez salowych, magazynierów i odbiorców odpadów, stał się nagle celem całych wycieczek.

Technicy kryminalni zabezpieczali ślady z białego kontenera. Inni robili zdjęcia bądź zaglądali do worków w poszukiwaniu kolejnych niespodzianek. Wszędzie unosił się smród rozkładających się ludzkich szczątków, ale pracownicy policji i zakładu medycyny sądowej zachowywali się profesjonalnie. Nikt nie zwymiotował po oględzinach amputowanej stopy cukrzyka.

Pracownik spalarni, który znalazł zamordowaną, niczego nie dotykał. Od razu po dokonaniu makabrycznego odkrycia zadzwonił na policję.

Zadrożny wykonał już swoją robotę. Najpierw obejrzał kontener, w którym

znajdowała się denatka. Następnie obserwował, jak technicy wyjmują czerwone worki i odsłaniają ciało, by położyć je na białej folii. Obejrzał zwłoki w ubraniu, a potem z pomocą techników rozebrał ciało kobiety, aby dokładnie przyjrzeć się skórze w poszukiwaniu uszkodzeń. Dzięki temu dostrzegł też plamy opadowe i ustalił przypuszczalny czas zgonu. Technicy kryminalni powkładali części garderoby i jeden kapeć z futerkiem do sterylnych torebek, które miały pojechać do laboratorium kryminalistycznego.

– A gdzie Zołza? – zapytał Marek, przerywając na chwilę oględziny.

– Już poszła. Przecież, cytuję: „nie będzie stała w tym smrodzie". – Komisarz wzruszył ramionami. – Zostawiła mnie tutaj, żebym się z tobą użerał.

– Nawet nie poczekała na moją pierwszą opinię? – Lekarz udał rozpacz.

Zołza, a tak naprawdę Natalia Świetlik, miała około czterdziestu lat i czterdziestu kilogramów nadwagi. Paliła niczym smok – około czterdziestu papierosów dziennie, a śmierdziała niczym stara popielniczka. Jak głosiła plotka powtarzana szeptem wśród policjantów, spomiędzy jej mocno zaciśniętych wąskich ust nigdy nie wydostało się miłe słowo. Potrafiła zgnoić każdego, nawet jeżeli niczym jej nie podpadł. Wydawało się wręcz, że jej życiowym celem jest uprzykrzenie życia jak największej liczbie osób.

Świetlik była prokuratorem i dość często współpracowała z Polem. Według Marka oznaczało to, że jest zdolna do ludzkich uczuć i podświadomie go lubi. Pol uważał, że prosi delegaturę o niego wyłącznie dlatego, że jest jej ulubionym chłopcem do bicia. Poza tym zawsze bez szemrania odwalał za nią całą robotę.

Zołza nie lubiła zwłok. Nienawidziła odoru śmierci i wydzielin z martwych ciał. Marek nie mógł zrozumieć jej życiowego wyboru. Za każdym razem, gdy się widzieli, wytykał jej, że powinna się przekwalifikować i zacząć pracować w cukierni. Nienawidziła go za to.

– Słyszałem, że szczeniaczki uciekają na jej widok. – Westchnął.

– Tak, też słyszałem. Dawaj mi jakieś konkrety, Marku. Coś, z czym mogę zacząć pracować.

Lekarz westchnął i jeszcze raz przyjrzał się denatce wcześniej odzianej w szlafroczek w panterkę. Zaczął się zastanawiać, gdzie zgubiła jeden z futrzastych kapci – może spadł jej ze stopy, gdy uciekała przed mordercą?

– Kobieta, około trzydziestki. Chociaż trudno powiedzieć… – zaczął.

– To pewnie jedna z pacjentek. Myślę, że poznamy jej wiek z karty szpitalnej. – Komisarz pokiwał głową, zapisując w kołonotatniku słowa kolegi.

– Ciekawe, czym się zajmowała w życiu. Te usteczka pełne botoksu wyglądają jak napuchnięte… Sztuczne rzęsy, silikonowe cycki. Myślisz, że była gwiazdką porno? Ja tam za często nie oglądam, ale może ją kojarzysz? Przecież raz na jakiś czas rekwirujecie takie rzeczy przestępcom, nie? Może występowała na jakiejś taśmie… hm… dowodowej?

– Nie wydurniaj się. Mów dalej – syknął Pol, łypiąc okiem, czy nikt z ekipy nie słyszał dowcipów kolegi.

– W ogóle nie ma z tobą zabawy. Ta praca ci nie służy. – Marek z trudem podniósł się z kolan.

Przez głowę przebiegła mu myśl, że chyba zaczyna się starzeć. Miał dopiero trzydzieści sześć lat, więc zdecydowanie za wcześnie na zwyrodnienia w stawach kolanowych. To na pewno wina tych sztywnych spodni.

– Tak na oko trzydzieści lat. Nałogowa palaczka, a fajki przyspieszają starzenie skóry. Swoją drogą przypomina z twarzy Zołzę, nie sądzisz? Dogadywałyby się na papierosku.

Sebastian postanowił zignorować tę uwagę.

– Około metra sześćdziesięciu wzrostu, jakieś pięćdziesiąt kilogramów wagi, żylaki na nogach. Na biedną nie wygląda, musiała czymś zapłacić za silikonowe cycki. Na lewej kostce bocznej tatuaż w kształcie krzywego motylka.

– Czas zgonu?

– Sądząc po temperaturze głębokiej w mięśniach, stężeniu pośmiertnym i plamach opadowych, oceniałbym, że jakieś osiem, może dziesięć godzin temu. – Zerknął na zegarek. – Ale trudno powiedzieć, tutaj w nocy jest chłodno.

– Czyli, w skrócie, w nocy – mruknął komisarz Pol.

– Tak, między dziesiątą a pierwszą w nocy, ale na wszelki wypadek poszerz widełki czasowe.

– Przyczyna zgonu?

– Na pierwszy rzut oka zagardlenie przez zadławienie.

– Co? Mówże po ludzku.

– Po ludzku będziesz miał w raporcie, żeby Zołza widziała, o czym mowa – stwierdził złośliwie Zadrożny. – Naprawdę mam ci zrobić wykład o metodach zabójstw?

– To chociaż przetłumacz to zagardl… przez zadław… Błysnę przed Zołzą.

– Okej. Śmierć przez odcięcie dopływu krwi do mózgu przez zaciśnięcie naczyń albo dróg oddechowych w szyi nazywamy zagardleniem. Zagardlenie dzieli się na powieszenie, kiedy denat sam sobie dał radę, zadzierzgnięcie, kiedy morderca zadusił go… powiedzmy, szalikiem albo sznurkiem i zadławienie, kiedy użył w tym celu gołych łap. Tutaj morderca użył swoich dłoni do uduszenia denatki. – Marek ukucnął jeszcze raz przy ciele kobiety i wskazał palcem na jej szyję. – Na skórze widać wyraźne zasinienia, na mięśniach pewnie też będą. Wydaje mi się, że układają się w kształt palców. Poza tym ma wylewy podspojówkowe, bezwiednie oddała mocz.

– Zadzierzgnięcie, zagardlenie, zadławienie – prychnął z niesmakiem Pol. – Jakbyście pieprzone doktory nie mogły po prostu mówić, że sukinsyn kogoś udusił.

Podążył wzrokiem za dłonią przyjaciela i ukucnął, by lepiej przyjrzeć się

fioletowym siniakom na bladej skórze. Podczas pracy w wydziale kryminalnym zdołał liznąć trochę wiedzy na temat zmian pośmiertnych na ciałach. Wiedział, że świeże siniaki, czy jak wolał mówić Marek: podbiegnięcia krwawe, przez pierwsze kilkanaście godzin po zgonie miały barwę czerwoną, fioletową lub różową. Kolor brązowy i żółty pojawiał się po około dwudziestu godzinach albo kilku dniach, gdy wynaczyniona krew ulegała rozkładowi.

– Duże łapy ją dusiły? Małe? – dociekał.

– Cholera wie… – Zadrożny przyłożył rękę do śladów. – Chyba mniejsze niż moje, ale trudno powiedzieć.

– Da się zdjąć odciski palców?

– Z szyi? – parsknął. – Wątpię. No, ale tym niech się zajmą twoi technicy, nie ja.

– A oko?

Spojrzeli na okaleczoną twarz denatki. Morderca wyłupił kobiecie prawe oko i zabrał je ze sobą jako makabryczną pamiątkę, a na lewym policzku wydrapał ostrym przedmiotem cyfrę – krwawą czwórkę.

– Wydłubane *post mortem*. To dlatego nie ma w ogóle krwi. Serce już nie pompowało jej do tętnic – wyjaśnił patolog. – Czysta robota.

– Sukinsyn…

– To ten sam? – zapytał Marek.

– Wszystko na to wskazuje – odparł ponuro Sebastian. – I numeracja pasuje.

– Dlaczego wrócił? Dlaczego teraz?

– Nie wiem. Jeśli jednak to on, możemy się spodziewać kolejnych ofiar.

– Zołza pewnie jest wniebowzięta. Wreszcie będzie mogła się wykazać po tym, jak spartaczyła robotę pół roku temu.

Przed sześcioma miesiącami Warszawą wstrząsnęła seria tajemniczych morderstw. Opinia publiczna dowiedziała się tylko, że sprawca okalecza swoje ofiary. Policja była dyskretna i powściągliwa, by nie sprowokować nawiedzonych naśladowców do podobnych zbrodni.

Morderca, zwany po cichu przez funkcjonariuszy Okulistą, zabił i okaleczył trzy kobiety w ciągu trzech tygodni. Były w różnym wieku, miały różne zawody, mieszkały w różnych dzielnicach. Dwie były samotne, jedna miała męża i dziecko. Zdawało się, że łączył je jeden szczegół: czarne, kręcone włosy. Jednak i pod tym względem morderca nie był konsekwentny. Nie interesowało go, czy czerń i skręt włosów są naturalne, czy powstały u fryzjera. Nie miał dla niego także znaczenia kolor oczu ofiar. Zawsze jednak zabierał ze sobą jedno z nich, prawe.

Do tej pory nie udało się złapać mordercy, chociaż prowadząca sprawę Natalia Świetlik poruszyła niebo i ziemię, by go odnaleźć i najlepiej własnoręcznie zaciągnąć za kudły przed sąd.

Dobrze zacierał ślady, zawsze miał rękawiczki. Na drugim miejscu zbrodni

odnaleziono tylko odrobinę pudru i kawałek lateksowej rękawiczki. Okulista był perfekcjonistą, dbał o każdy szczegół.

Przeważnie porzucał ofiary w miejscu, w którym mordował. Tak było pół roku temu i teraz. Opustoszały nocą magazyn był świetnym miejscem. Jeśli krzyczała, nikt nie mógł jej usłyszeć.

– Jest coś pod paznokciami? – zapytał Pol.

– Technicy wzięli wymazy – powiedział Marek. – Chyba się broniła, bo połamała paznokcie. Słuchaj… ale czemu oko?

– Nie wiem – odpowiedział Sebastian.

Magazyn przyprawiał go o dreszcze. Usilnie starał się nie patrzeć w stronę wybebeszonych przez techników czerwonych worków z resztkami ciał pacjentów szpitala. Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie na świeże powietrze.

– Nasza profilerka twierdzi, że to dziwne. Zwykle seryjni mordercy zabijają, by uzyskać satysfakcję, zaspokoić się seksualnie poprzez morderstwo – wyjaśnił komisarz. – Okulista jest inny.

– Czemu?

– Profilerka twierdzi, że oko jest dla niego specyficznym trofeum, że ma jakieś znaczenie. Mówi, że jest w tym ukryta symbolika.

– Brednie – skwitował Zadrożny.

Był głęboko przekonany o tym, że wszelkiej maści psychologowie, profilerzy, a nawet niektórzy psychiatrzy plotą trzy po trzy i nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do tego, co mówią.

– Liczę na to, że tym razem popełnił jakiś błąd. – Sebastian westchnął i bez większej nadziei po raz ostatni zerknął na zwłoki.

– Jeśli nie, to najdalej za tydzień znowu będziesz miał sposobność, żeby się wykazać – skwitował wesoło Marek.

Sięgnął do suwaka worka foliowego, w którym ułożone było ciało ofiary, i szczelnie go zasunął. Obaj nie przyznaliby tego za żadne skarby, ale odetchnęli z ulgą, gdy denatka przestała ich straszyć upiornie pustym oczodołem. Foliowy worek z zawartością mógł być teraz przetransportowany do Zakładu Medycyny Sądowej przy ulicy Oczki w Warszawie. Tam wysyłano wszystkie ciała z województwa mazowieckiego, które wymagały sekcji.

Marek wstał ze stęknięciem, po raz kolejny zastanawiając się nad stanem swoich kolan. Sebastian podniósł się znacznie zwinniej, co nie umknęło uwadze medyka.

Do Zadrożnego podszedł jeden z techników kryminalnych, około dwudziestopięcioletni. W dłoniach trzymał formularze przesłania zwłok.

– To będzie tak – zaczął mówić, zawzięcie żując gumę miętową, jakby zależała od tego jego zdolność odczuwania zapachów po pobycie w magazynie. – Komisarz będzie musiał podpisać tutaj, a pan patolog tutaj.

Zadrożny zmierzył niechętnym spojrzeniem pryszczatego młodzieńca, który najwyraźniej uważał, że pozjadał wszystkie rozumy. Nie cierpiał takich chłopaków. Być może dlatego, że zachowywał się podobnie w ich wieku. Cisza pomiędzy nimi przedłużała się. Technik stał z wyciągniętymi dłońmi, w których ściskał formularz.

– No… podpisze pan? – zapytał.

– A gdzie? – zapytał grzecznie Marek.

– No tu jest miejsce dla patologa. – Młody mężczyzna stuknął długopisem w wolne pole.

– Ale ja nie jestem patologiem.

Sebastian zerknął na kolegę i przewrócił oczami. Najwyraźniej młody technik jeszcze nigdy nie miał okazji pracować z Zadrożnym i nie wiedział, jak należało się do niego zwracać.

– Jak to nie? – zdziwił się chłopak. – Przecież przyjechał pan z sądówki, badał ciało, a teraz pojedzie pan robić sekcję.

– Tak.

– Czyli jest pan patologiem.

– Nie.

– To kim pan jest?

Marek uśmiechnął się zadowolony z siebie.

– Jestem lekarzem medycyny sądowej – wyjaśnił. – Pojęcie „patolog" odnosi się do specjalisty w zakresie patomorfologii. A ja nie jestem patomorfologiem. Jestem lekarzem medycyny sądowej. Jasne?

Piegowaty technik zaczerwienił się po czubki włosów. Nawet gumę przestał żuć tak zawzięcie.

– Tak, zrozumiałem. To nie jest rubryka dla patologa, tylko dla lekarza sądowego.

– Nie.

– Nie? – jęknął.

– Lekarz sądowy to biegły powołany przez sąd. Biegły może mieć jakąkolwiek specjalność. Może być nawet proktologiem. Wiesz, kto to proktolog? To lekarz od odbytu. Czy ja wyglądam na lekarza od odbytu?

– Całkiem niezły z ciebie dupek. – Sebastian nie wytrzymał i wyrwał technikowi formularz.

Podpisał się w swojej rubryce, a następnie wepchnął papiery koledze. Zwrócił się do swojego zaaferowanego podwładnego, który już całkiem zapomniał o gumie.

– Kowalski, możemy już uznać, że chrzest bojowy w miejscu pracy zaliczyłeś.

– Pamiętaj. Jestem lekarzem medycyny sądowej, ewentualnie medykiem sądowym. – Marek nie mógł się powstrzymać przed powiedzeniem ostatniego

słowa. – Żadna inna nazwa nie jest dopuszczalna.

Technik uciekł. Zadrożny ze śmiechem odwrócił się do przyjaciela, który zaczął krążyć po magazynie, błądząc spojrzeniem po ścianach i podłodze.

– Coś jest nie tak. Okulista zostawiał ofiary w miejscu, w którym je zabijał. Magazyn na odpady to miejsce odludne, pozbawione monitoringu i ochrony, ale czy naprawdę nikt niczego nie zauważył? Ryzykował morderstwo w takim miejscu? – Pol drapał się po brodzie końcówką długopisu, którą przed chwilę przygryzał. Obrócił się kilka razy dookoła własnej osi. – Jeśli nie zabił jej tutaj, to gdzie?

– Może to nie on. – Marek wzruszył ramionami. – Może jakiś naśladowca?

– Zgadza się numer i oko… a te szczegóły nie zostały podane do publicznej wiadomości. Skąd naśladowca by o nich wiedział?

– Może profilerka ci powie…

– Kim była ta kobieta? Jeśli to pacjentka, to w jaki sposób wywabił ją z oddziału, na którym leżała? Musiała go znać – dywagował komisarz.

– A może miał na sobie fartuch lekarski – wtrącił medyk. – Dowiedziono naukowo, że fartuch wzbudza zaufanie. Mógł założyć uniform i przejść do dzieła.

– Sukinsyn – powtórzył jeszcze raz Sebastian.

– No cóż… raport dam ci później. Jeśli będziesz chciał przyjść na sekcję, to zapraszam, ale pewnie nie będzie na niej nic odkrywczego, jeśli to ten sam psychol.

– Spoko. Najpierw postaram się ją zidentyfikować.

– Idę poszukać swojej kurtki. Będziesz miał mi za złe, jeśli porwę tę śliczną aspirantkę na kawę? Muszę jej jakoś podziękować za pilnowanie moich rzeczy.

13.

Gdy po obchodzie wróciłam do pokoju lekarskiego, miałam nadzieję, że reszta dnia przebiegnie spokojnie. Z raportu pielęgniarek dowiedziałam się, że mój niesforny pacjent Kartynowicz przyjął wszystkie zalecone leki. Udało mi się nawet normalnie z nim dzisiaj porozmawiać. Wciąż jednak nie przebrał się w czysty podkoszulek i bluzę. Śmierdział niemożliwie.

Czułam, że wszystko zaczęło się układać.

Ktoś uchylił ostrożnie drzwi, zanim mój sterany życiem komputer zdołał się zalogować po wygaszeniu do szpitalnego systemu. W powstałej szparze pojawiła się zatroskana twarz starszego ochroniarza. Zmarszczki brużdżące jego policzki zdawały się dziś jeszcze głębsze niż zwykle.

– Pani doktor? – Spojrzał na mnie.

– Słucham? Coś się stało? – Zmartwiłam się.

– Przyszedł do pani policjant. Chce porozmawiać o morderstwie…

Urszula i Karol wytrzeszczyli oczy i od razu nadstawili ucha. Od rana podnieceni prowadzili dyskusję na temat tajemniczego ciała z budynku H. Nie mogli się doczekać, by ktoś dostarczył na oddział nowe plotki.

– Ze mną? – zdziwiłam się.

– Tak, z panią doktor – potwierdził.

– A o czym?

– Nic więcej mi nie powiedział. – Ochroniarz zaczął się kajać. – A ja nie zapytałem. Nie wiem, czy można pytać o takie rzeczy policjanta.

– Ale to na pewno policjant? – dociekałam.

A mało to wariatów, którzy mogą się podszywać? W końcu pracowałam na psychiatrii, musiałam być gotowa na każdą ewentualność.

– Pokazał mi odznakę. Wyglądała na prawdziwą. Poza tym chyba ma pistolet pod kurtką. Coś mu się wybrzusza pod pachą.

No cóż… dobrze, że pod pachą, a nie w spodniach! Bogu dzięki, że nie skomentowałam tego głośno.

– No dobrze, już idę – powiedziałam do ochroniarza i podniosłam się z krzesła.

Nie chciałam przeszkadzać kolegom w pracy i wypraszać ich z pokoju na czas rozmowy, w związku z czym zaprowadziłam policjanta do maleńkiego pokoiku przyjęć. A w każdym razie tak im wytłumaczyłam swoje postępowanie. Prawdę mówiąc, po prostu nie chciałam, żeby Karol i Urszula podsłuchiwali. Dwa pokoje lekarskie znajdujące się obok miały drzwi w ścianie. Nikt tych drzwi nie używał, od zawsze były zastawione biurkami z obu stron. Jednak świetnie było słychać przez starą dyktę, co się tam dzieje. Mogłam się założyć, że gdybym zajęła pokój, w którym przebywali Ula i Karol, nie zdołaliby pokonać ciekawości

i pobiegliby do sąsiedniego gabinetu, żeby podsłuchiwać.

Oczywiście nie miałam żadnej gwarancji, że nie będą podsłuchiwać przez drzwi pokoju przyjęć, ale wątpię, aby ich ciekawość była tak duża, by stali na korytarzu i przytulali się do drzwi. Chociaż z drugiej strony znajdujemy się na oddziale psychiatrii… poza zabieganym i nielicznym personelem pewnie mało kto uznałby to zachowanie za dziwne.

Policjant był wyraźnie zaskoczony, że siedzimy w pomieszczeniu bez okien, ale nie skomentował tego. Wyjął kołonotatnik i położył go na biurku.

Krzesło, na którym ostatnio siedział Kartynowicz, rozpadło się wczoraj na kawałki, gdy nowy pacjent także zaczął się na nim bujać. Pani Krysia postanowiła zniwelować ryzyko kolejnych uszkodzeń pacjentów i kazała wstawić do pokoju niewywrotowy fotel o brudnym obiciu.

Policjant usiadł na fotelu i przysunął go do blatu. Mężczyzna był wysoki. Kościste kolana sterczały mu do góry, gdy usiadł okrakiem, by wygodniej sięgać biurka. Wyglądał w tej chwili całkiem komicznie.

Zerknęłam na kubek ze starą kawą, który ciągle stał tu, gdzie go zostawiłam. Nie miałam wyboru. Musiałam go umyć. Przysunęłam naczynie bliżej, żeby tym razem go nie zapomnieć, kiedy będę wychodzić.

– No więc tak. – Policjant przerzucił kilka stron w notatniku i otworzył go na czystej stronie. – Zacznijmy od początku. Nazywam się Sebastian Pol, jestem komisarzem warszawskiej policji. Pracuję nad sprawą morderstwa, które popełniono tej nocy na terenie szpitala. Pani doktor Joanna Skoczek?

Zerknął na identyfikator przypięty do kieszeni mojego fartucha i nie czekając na odpowiedź, zapisał w notatniku: dr Joanna Skoczek.

– Lekarz – mruknęłam.

– Słucham?

– Nie mam stopnia doktora. Nie robię doktoratu – wyjaśniłam.

– Rozumiem – odparł, chociaż widziałam po jego minie, że nie rozumie.

– W dokumentacji nie powinien pan tytułować mnie doktorem, bo nim nie jestem. Utarło się zwracać w ten sposób do lekarzy na znak szacunku, ale w dokumentach nie należy tak pisać. To niepoprawne.

Posłusznie zapisał w notatniku: lek. med. Joanna Skoczek.

– Bez „med.” – wtrąciłam.

– Słucham?

– Nie ma kogoś takiego jak lekarz medycyny. To oczywiste, że lekarz jest absolwentem medycyny. Nie ma innych lekarzy. Powiedzenie „lekarz medycyny” to masło maślane… Chociaż zamiast weterynarz można mówić lekarz weterynarii. Może to dlatego niektórzy zaczęli mówić: lekarz medycyny? Jednak nie należy tak robić. Zgodnie z ustawą i dyplomem po ukończeniu uniwersytetu medycznego dostaje się tytuł lekarza – zaczęłam się plątać. – Ale może niech pan zapisze, jak

ma pan ochotę. Przepraszam, już nie będę przerywać. Gdy się denerwuję, to dużo mówię…

Posłusznie skreślił „med.” w swoich notatkach.

– Przypomina mi pani kogoś – mruknął pod nosem.

– Słucham?

– Nieważne. Proszę mi powiedzieć, kiedy ostatni raz widziała pani dok… pani – zająknął się, zerkając na swoje notatki – Marylę Mądrawską?

– Kogo?

W pierwszej chwili nie skojarzyłam nazwiska. Tyle się ich przewijało na szpitalnych oddziałach i w dokumentacji. Nie mam dobrej pamięci do imion i nazwisk. Za to zapamiętywałam jednostki chorobowe.

– Maryla Mądrawska – powtórzył komisarz.

– Maryla… Maryla Mądrawska. – Zapatrzyłam się w przestrzeń i nagle doznałam objawienia. – Żylaki!

– Słucham?

– To pacjentka chirurgiczna, miała żylaki. Została przyjęta na oddział chirurgii do zabiegu – wyjaśniłam szybko. – Nie była pacjentką psychiatryczną.

„Chyba że jej zamiłowanie do lamparcich cętek i kapci z futerkiem świadczyło o pewnych odchyłach” – pomyślałam, jednak nie powiedziałam tego głośno.

– Tak, to pacjentka z innego oddziału. Zadziwiające, ile pani o niej wie… – przerwał.

Szybko zanotował coś w swoim notatniku. Speszyłam się. Chyba trzeba było nie odpowiadać. Jeszcze zaczną mnie o coś podejrzewać albo, nie daj Boże, ciągać po sądach.

– Spotkałam ją kilka dni temu. Rzucił mi się w oczy jej szlafrok – wyjaśniłam. – Trudno go nie zapamiętać…

Uśmiechnął się pod nosem.

– To ona jest tą zamordowaną pacjentką, którą znaleziono w magazynie? – zapytałam zaciekawiona.

– Tak. Jest pani jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą, dlatego prosiłbym o odpowiedź na kilka pytań.

– Dobrze. – Pokiwałam głową i dodałam, zanim zdążył powiedzieć chociaż słowo: – Dlaczego ktoś ją zabił?

– Tego staramy się dowiedzieć.

– Myśli pan, że to przypadek? Była w złym czasie, w złym miejscu? A może od dawna ktoś na nią polował?

Komisarz wyprostował się w fotelu. Podejrzewam, że usiłował wzbudzić we mnie respekt. Pewnie by mu się to udało, gdyby nie to, że ja, siedząc na krześle, znajdowałam się znacznie wyżej od niego, a dodatkowo jego kościste kolana

sterczały dość zabawnie.

– Proszę wybaczyć, to poufne informacje – odpowiedział.

– Rozumiem.

Nie mogłam się powstrzymać. Z przekory chciałam zobaczyć, jak długo ze mną wytrzyma.

– A jakim cudem pan komisarz mnie znalazł?

– Rozmawiałem z doktorem Stalowcem. – Przekartkował kołonotatnik. – Wyznał, że spacerowaliście nocą po piwnicy i spotkaliście denatkę.

Poczułam, jak czerwienię się po koniuszki włosów. Powiedział to niedbale, ale przeczulona na tym punkcie byłam przekonana, że usłyszałam nutę drwiny.

– Czy możemy już przejść do moich pytań? – zapytał.

– Tak…

– Doktor Stalowiec zeznał, że spotkaliście panią Mądrawską podczas spaceru po piwnicy. O której godzinie to mniej więcej było?

– To nie był spacer – zaprotestowałam oburzona jego drwiną. – Byłam na chirurgii na konsultacji. Spotkałam tam doktora Stalowca, z którym kiedyś studiowałam. Po konsultacji odprowadził mnie na oddział. Te piwnice nocami są przerażające. Nie było w tym nic zdrożnego.

– Dobrze, dobrze – odparł z westchnieniem. – Naprawdę, nie interesuje mnie, co jest pomiędzy państwem. Interesują mnie tylko fakty.

Nie wiedziałam dlaczego, ale odniosłam wrażenie, że skłamał. Może widziałam w życiu zbyt wiele filmów o policjantach, którzy szukają każdej, nawet najmniejszej wskazówki? Z drugiej jednak strony, czy moja znajomość z Tomkiem może być jakąkolwiek wskazówką?

– Nic pomiędzy nami nie ma – burknęłam.

– O której godzinie spotkaliście Mądrawską? – przepytywał dalej.

– Było po jedenastej wieczorem. Dokładniej mówiąc, jedenasta dwanaście, kiedy wyszliśmy z chirurgii. Jechaliśmy windą może trzy minuty, plus pięć minut szliśmy łącznikiem… Chyba spotkaliśmy ją około jedenastej dwadzieścia.

– Jestem zaskoczony precyzją odpowiedzi – stwierdził komisarz, otwierając szeroko oczy.

– Spojrzałam na zegarek. To znaczy na chirurgii. Spojrzałam na zegarek, przestraszyłam się, że już jest późno, że za długo byłam poza swoim oddziałem. Dlatego pamiętam dokładną godzinę.

– Jak zachowywała się Mądrawska, gdy ją spotkaliście?

– Paliła w piwnicy papierosa.

– Czy tam można palić?

– Nie. Na całym terenie szpitala jest zakaz palenia.

– Tak po prostu przeszliście obok?

– Nie, zwróciłam jej uwagę, że nie wolno palić w podziemiach, a Tomek ją

rozpoznał jako jedną z pacjentek swojego oddziału.

– Rozpoznał? Nie powinien wiedzieć, kto leży na jego oddziale?

Poczułam się w obowiązku odrobinę wybielić kolegę.

– To duży oddział, ma około sześćdziesięciu łóżek plus dostawki. Tomek ma prawo nie znać dobrze pacjentów, których nie prowadzi, czyli którzy nie leżą na jego odcinku.

– Odcinku?

– Nasza chirurgia dzieli się na cztery umowne części: ogólną, inaczej ostrą, naczyniową, onkologiczną i septyczną, tak zwaną brudną.

Wszystko skrupulatnie zapisał.

– Na której leżała Mądrawska?

– Miała mieć operowane żylaki kończyn dolnych, więc zakładam, że na naczyniówce.

– Co się dokładnie stało, gdy spotkaliście Mądrawską? Proszę nie pomijać żadnych szczegółów. Nawet coś, co wydaje się pani nieistotne, może mieć dla nas duże znaczenie.

Posłusznie opisałam mu praktycznie słowo po słowie przebieg dziwacznej rozmowy, podczas której kobieta flirtowała ze Stalowcem.

– Czy jeszcze kogoś spotkali państwo w podziemiach? – zapytał na koniec.

Przypomniałam sobie, że tak. Spotkaliśmy przecież Łukasza.

– Tak, minęliśmy pracownika pralni. Wiem, że pani Mądrawska także go spotkała, bo dobiegły do nas jej pretensje, gdy zwrócił jej uwagę, że w piwnicy nie wolno palić papierosów.

– Gdzie ze sobą rozmawiali?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Nocą w podziemiach dziwnie niosą się dźwięki. Nie potrafię panu powiedzieć, w którym mogli być korytarzu.

– Jak nazywa się ten pracownik pralni?

– Wiem tylko, że ma na imię Łukasz. Jest wysoki, bardzo szczupły. Ma trochę niechlujną brodę. I zeza.

Komisarz wydawał się rozbawiony moim opisem.

– To na koniec jeszcze jedno pytanie. Co pracownik pralni robił w nocy w piwnicy?

Najpierw wzruszyłam ramionami, ale potem przypomniałam sobie, w jakich okolicznościach go spotkaliśmy.

– Pchał wózek na odpady medyczne – powiedziałam.

– Słucham?

– Pchał wózek na odpady medyczne. Nieźle z niego śmierdziało. Pewnie przewoził odpady z bloku operacyjnego – wyjaśniłam. – Może poza pracą w pralni dorabia sobie na bloku?

– A gdzie mógł się kierować?

– Jak to gdzie? Do magazynu w bloku H, oczywiście.

14.

Rozmowa z policjantem wytrąciła mnie z równowagi na cały dzień. Jak szalona rozpamiętywałam każdy jej szczegół. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że pacjentka, którą jeszcze tak niedawno widziałam, została zamordowana. Zabita przez kogoś umyślnie, tak po prostu.

Nie mieściło mi się w głowie, że w taki sposób można zginąć w szpitalu. To specyficzne miejsce, można powiedzieć, że kostucha jest tutaj gościem honorowym. Jednak przeważnie przychodzi do ludzi starych, schorowanych bądź w bardzo złym stanie, którym po prostu nie można pomóc. A teraz okazało się, że szpital ma ciemne zaułki, w których może czaić się szaleniec.

Obawiałam się, że mój dzisiejszy dyżur nie będzie należał do najprzyjemniejszych. Przecież spaceruję tymi samymi piwnicznymi korytarzami co ta biedna kobieta!

Drugim powodem, dla którego tej nocy niemal nie zmrużyłam oka, było moje zachowanie podczas rozmowy z całkiem przystojnym komisarzem. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, było to, że na palcu serdecznym nie nosił obrączki ani nie miał po niej śladu.

Bardzo mnie zaniepokoiło, że znowu odezwały się moje demony. I nie chodziło mi o chwilową bliskość. Nie! Ja od razu chciałam znaleźć męża! Drugi raz w ciągu jednego dnia! Najwyraźniej mój organizm bronił się wszelkimi sposobami przed spędzeniem życia w towarzystwie kota.

Byłam na siebie zła. Chciałam być silną i niezależną kobietą! Nosiłam szpilki, malowałam paznokcie i miałam treningi judo! Mężczyzna nie był mi potrzebny.

Ze złością zatrzasnęłam swoją szafkę w szatni, w piwnicy szpitala. Nikt nie zwrócił uwagi na mój mały wybuch gniewu. Większość pracowników była zła, że musiała przychodzić do pracy. Od otwarcia szpitala w latach osiemdziesiątych metalowe szafki przeżyły niejeden atak agresji.

Wychodząc z szatni, spotkałam Tomka. On także nie miał dobrego humoru.

– Cześć, piękna – przywitał mnie.

– Taa, cześć – mruknęłam. – Słyszałam, co się stało z twoją pacjentką.

Na jego czole pojawił się głęboki mars. Tomek, dotychczas dumnie wyprostowany, zgarbił się i opuścił ramiona.

– To nie była moja pacjentka – zaprzeczył zmęczonym głosem, zupełnie jakby powtarzał tę kwestię wielokrotnie.

– Wczoraj odwiedził mnie komisarz i o nią pytał.

– Co mu powiedziałaś? Że była moją pacjentką?

Zdziwiłam się, że tak nerwowo zareagował.

– Nie. Powiedziałam, że spotkaliśmy ją w piwnicy. Co cię ugryzło?

– Mam dużo nieprzyjemności. – Potarł dłonią twarz.

Zauważyłam głębokie cienie pod jego oczami, sugerujące, że nie spał zbyt wiele. Zatrzymałam się i dotknęłam jego ramienia.

– Tomku, dobrze się czujesz? Bo źle wyglądasz.

Uśmiechnął się zadowolony z okazanej troski.

– Wszystko dobrze. Po prostu profesor się na mnie wyżywa. Pamiętasz naszą pielęgniarkę Iwonę? Podkablowała do ordynatora, że pacjentka włóczyła się w nocy po szpitalu, a ja tego nie zgłosiłem. Teraz wszyscy uważają, że zginęła przeze mnie.

Jakkolwiek by na to patrzeć, było w tym stwierdzeniu trochę racji. Okazał się zbyt pobłażliwy dla nieposłusznej pacjentki.

Nie wolno nam niczego wymuszać na pacjentach. Nie powinniśmy ich nawet dotykać wbrew ich woli, co czasami ociera się o absurd w izbie przyjęć, gdy pijany mężczyzna rzuca się z pięściami na personel. Niemniej jednak powinniśmy przestrzegać regulaminu. A on wyraźnie zabraniał pacjentowi przebywania poza jego oddziałem. Oczywiście w praktyce przepis nie był respektowany. Znudzeni pacjenci uwielbiali włóczyć się po szpitalu, chodzić do kawiarni czy kiosku. Mimo wszystko nie powinni robić tego w nocy.

– Chyba masz na pieńku z tą pielęgniarką – zauważyłam, przypominając sobie ich kłótnię na parkingu.

– A weź mi nic nie mów. – Machnął ręką i rozejrzał się dookoła, czy nikt nas nie podsłuchuje. Zniżył głos do szeptu: – Pamiętasz powiedzenie ze studiów: „Nie bierz dupy ze swojej grupy”?.

Nagle wszystko stało się jasne. Iwona go nienawidziła tak bardzo, jak tylko może kobieta odrzucona.

– O, to masz przerąbane – zaśmiałam się.

Najpierw był oburzony, ale potem na jego twarzy pojawił się chłopięcy, niesforny uśmiech.

– Tak, niestety, nie wiedziałem, co czynię.

Miałam co do tego poważne wątpliwości.

– Teraz Iwona chce mnie zmusić, żebym do niej wrócił. – Westchnął i spojrzał zainteresowany na torbę z jedzeniem i bluzę, którą wzięłam, żeby nie zmarznąć w nocy. – Masz dzisiaj dyżur?

– Tak. – Skrzywiłam się, jakby nawet myślenie o tym mnie bolało.

– Uważaj na siebie. Nie chodź w nocy po piwnicach – przestrzegł mnie Tomek, a z jego twarzy zniknęły ślady rozbawienia.

– Och, nie mam zamiaru. Komisarz napędził mi stracha.

– No i słusznie – skwitował. – Nie wiem, co tu się wyrabia, ale mam nadzieję, że złapią tego psychopatę.

– Ta, ja też.

Doszliśmy do rozwidlenia korytarzy piwnicznych, w którym nasze drogi się rozchodziły.

– Do zobaczenia. – Stalowie cmoknął mnie w policzek na pożegnanie, ale zamiast od razu się odsunąć, złapał mnie za ramię i szepnął niskim głosem: – Uważaj na siebie. Gdybyś czegoś potrzebowała, od razu do mnie dzwoń. Będę o tobie myślał.

No proszę, tak szybkiego rozwoju naszej znajomości się nie spodziewałam. Tomek po raz kolejny mnie zaskoczył. W chwilę po tym, jak przyznał się, że sypiał z pielęgniarką, postanowił mnie poderwać… Zaczęłam się zastanawiać, kiedy rzucił Iwonę. To nie musiało być dawno temu.

Naszła mnie ostatnio chętka na faceta, ale Stalowiec z całą pewnością nie był brany pod uwagę.

– Jasne, cześć – odparłam i uwolniłam się z jego uścisku.

Odwróciłam się na pięcie, żeby dojść korytarzem do budynku psychiatrii. Kilkanaście metrów przed sobą zobaczyłam znajomą twarz. Łukasz patrzył na mnie spode łba. Odwróciłam się i zerknęłam przez ramię, czy rozgniewane spojrzenie nie jest przypadkiem kierowane do Tomasza, ale chirurg zniknął już w bocznym odgałęzieniu korytarza.

Najwyraźniej spojrzenie salowego było przeznaczone dla mnie. Cudownie…

– Dzień dobry – powiedziałam, stając przed windą, tuż obok jego aluminiowego wózka na brudną bieliznę.

– Dzień dobry – burknął.

Zaczęłam się zastanawiać, co go dzisiaj ugryzło. Aż tak poruszył go widok Tomasza? Może to i lepiej? Wolałabym, żeby nie robił sobie złudnych nadziei. Poza tym istniała szansa, że jeśli mu się znudzę, to przestanie za mną łazić.

– Masz dzisiaj dyżur?

Pogrążona w swoich rozmyślaniach przestraszyłam się, kiedy niespodziewanie się odezwał. Przez chwilę wpatrywałam się w niego z otwartymi ustami. Nie miałam pojęcia, co do mnie przed chwilą powiedział.

– Słucham? – zapytałam.

– Pytam, czy masz dyżur – powtórzył i wskazał na trzymaną przeze mnie torbę.

– Tak, niestety. – Uśmiechnęłam się.

Tak naprawdę trochę cieszyłam się z dzisiejszego dyżuru. Dzieliłam go z Karolem. Lubiłam z nim pracować, bo dużo mi tłumaczył i zawsze służył dobrą radą. Poza tym w przeciwieństwie do mnie lubił chodzić na SOR i konsultować nowo przyjętych pacjentów. Uważał, że to rozwijające.

Też tak uważałam, o ile to on zajmował się konsultacjami.

– Ja też mam dzisiaj dyżur – poinformował mnie Łukasz. – Dorabiam na bloku, kiedy pralnia jest zamknięta.

Ha! Czyli tak, jak podejrzewałam!

– Och, przykro mi – powiedziałam, spodziewając się, że takiej reakcji ode mnie oczekuje.

– Nie ma powodu. Lubię zostawać nocą w szpitalu. Podoba mi się, że jest wtedy tak cicho – wyznał. – Można zrobić tu wszystko, wszędzie zajrzeć. Nikt niczego nie zauważy. Czasami wyobrażam sobie wtedy, że jestem kimś więcej.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Nie spodobały mi się jego słowa. Nie wiedziałam, jak na nie zareagować.

Winda zatrzymała się na naszym piętrze i uratowała mnie przed odpowiedzią. Łukasz otworzył drzwi kluczem i odsunął zardzewiałą kratę. Cofnął się i gestem wskazał, żebym pierwsza weszła do środka.

– Ja nie jadę na samą górę – wyjaśnił.

Posłusznie weszłam na tył windy. Podłogę kabiny pokrywało brudne linoleum, którego po latach używania nie sposób było domyć żadnym środkiem. Oparłam się plecami o ścianę obłożoną drewnianymi panelami. Przymknęłam oczy i odetchnęłam głęboko, kiedy podłoga opadła, bo do środka wjechał ciężki wózek pełen czystej, wykrochmalonej pościeli.

Zaczęłam się zastanawiać, czy jego już policja przepytywała w związku z morderstwem.

– Niezła afera z tym trupem, prawda? – zapytał, jakby czytał mi w myślach.

– Tak, trochę to przerażające – mruknęłam i mimowolnie się wzdrygnęłam. – Rozmawiałam z tą kobietą, zanim… zanim to się stało.

– Ja też. Paliła w piwnicy. Zwróciłem jej uwagę, że nie można tego robić, i kazałem wracać na oddział. Powiem ci, że niektórzy ludzie dostają to, na co zasłużyli.

Odwrócił się w moją stronę. Na wszelki wypadek wbiłam spojrzenie w jego nos, żeby nie było mu przykro, że nie wiem, w które oko powinnam patrzeć. Stresowało mnie to.

– Co przez to rozumiesz? – zapytałam.

– Nie była dobrym człowiekiem. – Wzruszył ramionami.

Winda zatrzymała się na jego poziomie. Odsunął kratę i wypchnął wózek. Tuż przed tym, zanim zostawił mnie samą w windzie, dodał:

– Niektórzy ludzie nie zasługują na to, żeby żyć.

***

Przeglądałam gorączkowo notatki dotyczące Kartynowicza. Postanowiłam wszystko uporządkować. Postanowienie pojawiło się tuż po tym, jak profesor wykazał się niezwykłą jak na siebie aktywnością i zażądał od wszystkich podwładnych dokładnych raportów na temat stanu zdrowia prowadzonych przez nich pacjentów.

Karol i Ula uwijali się jak w ukropie. Co chwila wyrywali sobie zszywacz do papieru albo podkradali plastikowe koszulki na dokumenty. W przeciwieństwie do mnie byli dużymi bałaganiarzami, którzy nie przejmowali się na co dzień biurokracją. Ja musiałam tylko przepisać do komputera notatki z ostatnich dni. Oni musieli jeszcze wszystko połączyć i odnaleźć się w bałaganie, który panował na ich biurkach.

– Cholera jasna. – Karol spojrzał na zegarek. – Jak na złość zaraz jeszcze zwali mi się na głowę konsultacja chirurgiczna.

– Idziesz na chirurgię? Mogę iść zamiast ciebie. Już kończę swoją robotę – zaproponowałam, chociaż wcale nie miałam ochoty tam iść.

Mieliśmy dzisiaj wspólny dyżur. Oznaczało to, że któreś z nas będzie musiało chodzić na oddziały, by konsultować zgłoszonych pacjentów. Karol był starszy stopniem, więc teoretycznie to on powinien się tym zająć. Oczywiście to robił, a mnie zostawiał pilnowanie oddziału. Dyżury z Dąbkowskim były jak wakacje. Praktycznie nic nie musiałam robić, bo on robił to za mnie. I jeszcze się cieszył, że nasza praca jest taka rozwijająca. Jak tu go nie lubić?

– Nie, nie, broń Boże. Oni mają przyjść do mojej pacjentki – szybko wytłumaczył Karol.

– Serio? Przyjdą rano? – Ula nie wierzyła. – Chirurdzy? Przecież oni nie ruszają tyłka przed dwunastą.

Ja także nie dowierzałam Karolowi. Zabiegowcy unikali konsultacji jak ognia. Odwlekali wszystko do granic możliwości bądź, jak kto woli, do nieprzyzwoitości. Czasami miałam wrażenie, że po cichu liczyli na to, że pacjent, do którego są wzywani, umrze, zanim dotrą na miejsce.

– Chyba ci się przesłyszało – skwitowałam. – Niemożliwe, że przyjdą tak wcześnie. Musiałeś pomylić godziny.

– Dostałem telefon od sekretarki, że potwierdzili przyjście. A teraz, cholera jasna, nie mogę znaleźć dokumentacji tego przeklętego pacjenta. Najpierw nie chce łykać leków, które mu przepisałem, a potem łyka sznurówki! Mam go serdecznie dość.

Dla zaakcentowania swojej złości uderzył pięścią w zszywacz. Nic mu to nie dało. Mała, metalowa zszywka nie miała najmniejszych szans w konfrontacji z czterdziestoma stronami historii choroby. Nawet nie zdołała się przebić na wylot, nie mówiąc już o zagięciu brzegów.

– Twoja empatia powala na kolana – zakpiła Ula.

– Zobaczymy, jaką będziesz miała minę, gdy któryś z twoich nawpycha się wydłubanego ze ściany tynku albo zeżre plastikowy kubeczek, w którym są podawane leki – powiedział Karol z nietypową jak na niego goryczą.

Miał rację. To nic fajnego. Jeden z moich pacjentów zjadł raz taki kubeczek. Najwyraźniej przegryzł go przed połknięciem, bo pojemnik nieźle poharatał go od

środka. Mało brakowało, a by umarł.

Kubeczek był plastikowy, więc na rentgenie nie było widać, na jakiej wysokości przewodu pokarmowego utknął. Gastroenterolodzy postanowili sprawdzić za pomocą gastroskopu, czy kubeczek nie zatrzymał się w przełyku. Znaleźli go, ale ugrzązł na dobre. Przy próbie wyciągnięcia kubeczka kleszczykami ostra krawędź rozerwała pacjentowi przełyk. Chirurdzy musieli otworzyć mu klatkę piersiową, żeby go zszyć. Leżał potem ze dwa miesiące na intensywnej terapii z powodu zapalenia śródpiersia.

A wszystko dlatego, że nie pozwoliłam mu wyjść na przepustkę, by się nachlał. No cóż… taka praca. Z powodu połknięcia kubeczka facet nie wyszedł na przepustkę jeszcze przez kilka miesięcy. To się dopiero nazywa terapia antyalkoholowa!

Drzwi pokoju zadrżały, gdy ktoś energicznie do nich zapukał. Jako że siedziałam najbliżej wejścia, podniosłam się, by je otworzyć. Za drzwiami stał Tomek.

– Och, co tu robisz? – zdziwiłam się.

– Przyszedłem na konsultację. – Uniósł podkładkę z dokumentami.

Zauważyłam stojącą za nim cycatą stażystkę, którą już miałam okazję poznać. Miała dzisiaj bluzkę z bardzo głębokim dekoltem, spod którego wystawała koronka różowego stanika. Fartuch oczywiście miała rozpięty. Nie po to włożyła różowy stanik, żeby go nie było widać. Kusa mini odsłaniała niebotycznie długie nogi, których oczywiście jej pozazdrościłam.

– Przyszliśmy do twojego pacjenta? – zapytał Tomek.

– Nie, to pacjent Karola. Wchodźcie, zmieścicie się. A co się stało, że tak wcześnie?

– Dzień dobry! – Stalowiec i stażystka przepchnęli się obok mnie do malutkiego pokoju.

Tomek oparł się o niską szafkę i przysiadł na niej jednym półdupkiem, a stażystka przycupnęła pod oknem. Zaaferowany jej dekoltem Karol od razu ustąpił dziewczynie miejsca. Dzięki temu mógł nad nią stać i bezczelnie podziwiać koronki.

Spryciarz.

– A jakoś tak dzisiaj wcześnie zawitałem. Pomyślałem, że na psychiatrię to wpadnę z przyjemnością. – Tomek puścił do mnie oko i wygodniej usadowił się na szafce.

Papiery za jego plecami przechyliły się niebezpiecznie. Jeszcze chwila i spadną na ziemię. Serce zabiło mi żywiej, gdy zdałam sobie sprawę, że to moje historie chorób i że jeśli spadną i się pomieszają, spędzę godzinę na porządkowaniu bałaganu.

Ula wytrzeszczyła oczy i raz po raz zerkała albo na mnie, albo na chirurga.

Widziałam, że ledwie powstrzymuje się przed komentarzem. Spokojnie można było sobie wyobrazić trybiki, które przesuwają się z zawrotną prędkością w jej plotkarskim umyśle. Urszula była dumna z faktu, że wie wszystko o wszystkich. O mało teraz nie wybuchła, gdy zdała sobie sprawę z tego, że istnieje coś, o czym wcześniej nie słyszała.

– Masz dzisiaj dyżur? Nic nie mówiłeś – odparłam, ignorując jej miny.

– Teoretycznie nie mam, ale jedna dziewczyna ma sytuację podbramkową i prosiła, żebym się z nią zamienił. Jest samotną matką, a jej dzieciak rzyga dalej, niż widzi. Nie miała szans na znalezienie opiekunki.

– Uuu, ale jesteś rycerski – zakpiłam.

– Może skoczymy razem na kolację, skoro oboje mamy dyżur? – zaproponował.

Nie byłam pewna, czy Tomek zauważył, że wszyscy w pokoju słuchają z uwagą naszej pogawędki. Z drugiej strony był pozerem. Może taki miał cel?

No, prawie wszyscy słuchali Tomka i mnie. Zerknęłam na Karola. Starszy kolega zdawał się zajęty rozbieraniem wzrokiem stażystki. Jeszcze chwila, a ślina zacznie mu cieknąć po podbródku prosto w jej dekolt.

– Zdzwonimy się, a teraz zajmij się konsultacją, skoro udało ci się tak wcześnie na nią dotrzeć – odpowiedziałam na odczepnego.

Tomek nie poczuł się napomniany. Wesoło majtając nogami, odwrócił się do Karola po więcej szczegółów na temat pacjenta.

Za to cycatka miała minę, jakby chciała za pomocą swoich tipsów wydrapać mi oczy.

I serce – tak dla pewności, żebym na pewno sczezła w męczarniach.

Dąbkowski szybko opowiedział o amatorze sznurówek. Gdy chirurg ze swoją towarzyszką wyszli na poszukiwania pacjenta, w pokoju zapadła cisza. Tak, jak sądziłam, nie trwała ona długo.

– Aśka! Czemu nic mi nie mówiłaś?! – syknęła z pretensją Ula.

– A niby o czym? – mruknęłam.

No przecież Stalowiec się do ciebie przystawia! – Jej twarz przybrała odcień ciemnej czerwieni.

Najwyraźniej roznosiła ją wściekłość.

– No i? – zapytałam.

– No pół szpitala straciło dla niego głowę.

– No i?

– No i?! No i?! W ogóle się nie da z tobą poplotkować! Jesteś wstrętna! Jak mogłaś mi nie powiedzieć, że coś jest pomiędzy tobą a nim?!

– Nic nie ma pomiędzy nami. Znamy się ze studiów. Ochłoń i poplotkuj sobie o Karolu i stażystce – prychnęłam.

Ula jakby na zawołanie odwróciła się w swoim obrotowym fotelu w stronę

naszego kolegi i wbiła w niego pełne jadu spojrzenie.

– A ty co?! – zaatakowała. – Zobaczyłeś cycki i o mało gały ci nie wyleciały!

– Wypraszam sobie. – Karol poprawił palcem wskazującym okulary do czytania, które stale mu się zsuwały z nosa. – Na nikogo się nie gapiłem.

– Sorry, Karol, nawet ja zauważyłam – zaśmiałam się.

– Okej. – Uniósł dłonie na znak kapitulacji. – Jestem mężczyzną. Mam prawo od czasu do czasu sobie popatrzeć. To całkowicie normalne zachowanie dla przedstawiciela mojej płci. Zwłaszcza że stażystka, o której mowa, eksponowała swoje gruczoły piersiowe w sposób zachęcający do oględzin.

Zauważyłam, że Ula czerwienieje jeszcze bardziej i poprawia golf. Miała kompleks na punkcie swoich piersi, które duże nie były. Plasowały się gdzieś na poziomie jajek sadzonych.

Ciekawa reakcja… Czyżby Karol jej się podobał? Nasz podstarzały Karol w kolorowych spodniach?

– A zauważyłyście, jakie ona ma piękne oczy? – zachwycał się, najwyraźniej gorączkowo starając się odwrócić naszą uwagę od biustu stażystki. – Jeszcze nigdy takich nie widziałem.

– Ma sztuczne rzęsy! – warknęła Ula. – Nie ma w niej nic prawdziwego. Cycki pewnie też ma plastikowe…

– Pal licho rzęsy – żachnął się Karol, nie zwracając uwagi na komentarz odnośnie do piersi. – Ma niesamowicie niebieskie tęczówki. W takie oczy mógłbym patrzeć godzinami.

– Naprawdę oczy są jedyną cechą, która zauważyłeś? – Tym razem ja nie mogłam się powstrzymać od komentarza.

Byłam pewna, że przez cały czas wpatrywał się wyłącznie w dekolt dziewczyny. Ani razu jego spojrzenie nie powędrowało wyżej.

– Oczy to okna duszy. Uważam, że wiele można z nich wyczytać – skwitował Karol.

Przeniósł się z powrotem na krzesło i opadł na nie z westchnieniem. Wbił rozmarzone spojrzenie w przestrzeń. Mogłam się założyć, że to nie oczy stażystki wizualizował sobie teraz w głowie.

– Karolu, a ile ty masz lat? Bo naprawdę dobrze wyglądasz – zapytała nagle Ula.

– Czterdzieści siedem – odparł, nie przeczuwając podstępu, mile połechtany komplementem.

– A stażystka ma dwadzieścia cztery albo mniej. Nie jest ci wstyd? Mógłbyś być jej ojcem, stary zbereźniku – wycedziła Ula.

– Od razu zbereźnik… Jesteście wstrętne.

Nie, tylko się trochę z ciebie nabijamy – dodałam. – Chcesz czekolady na

pocieszenie?

15.

Zegar wybił dziesiątą wieczorem. Ziewnęłam przeciągle i potarłam zamykające się oczy. Nie mogłam pokonać senności, która mnie opanowała. Byłam sama w pokoju lekarskim, więc pozwoliłam sobie na nieskrępowane ziewanie i przeciąganie się. Była późna wiosna. Pomimo że ciągle trwał sezon grzewczy, to w starym budynku psychiatrii z powodu nieszczelnych okien było chłodno. Moje zatoki postanowiły wykorzystać tę niepowtarzalną okazję.

Nadrobiłam zaległości w dokumentacji medycznej i nawet posprzątałam trochę na biurku Uli. Uzbierała na nim niezłą kolekcję kubków ze starą kawą.

Jeszcze raz zerknęłam na zegarek. O dwudziestej odbyłam ostatni, wieczorny obchód, zaordynowałam dodatkowe leki i uspokoiłam kłócących się pacjentów. Wcześniej spędziłam cztery godziny na szpitalnym oddziale ratunkowym. Na szczęście nie musiałam tam być w nocy. Karol miał to zrobić. Byłam mu za to dozgonnie wdzięczna i obiecałam, że kupię dobre piwo. Tak naprawdę to nie robił mi wielkiej przysługi, bo lubił siedzieć na SOR-ze. Niemniej jednak czułam, że powinnam się odwdzięczyć.

Dąbkowskiego podniecało ciągłe stykanie się z nieznanym i diagnozowanie zawszonych pijaków, których policja zbierała z ulic. Każdego trzeba było skonsultować psychiatrycznie, jeśli miał omamy albo urojenia. Mnie także rósł poziom adrenaliny w takich przypadkach, jednak nie z radości, ale raczej z obawy, że złapię świerzb.

Miałam nadzieję, że nie będzie wielu takich pacjentów i Karol zdoła przywlec się na psychiatrię i zdrzemnąć kilka godzin.

Rozłożyłam wersalkę z wygnieceniem pośrodku i rzuciłam na nią swój śpiwór. Przebrałam się w dres, który traktowałam jak piżamę, i nałożyłam na niego różową bluzę polarową, żeby nie zmarznąć. Na to wszystko nałożyłam jeszcze fartuch, żeby udawać poważną panią doktor.

Karolowi przygotowałam równie niewygodną wersalkę w pokoju lekarza dyżurnego, który przylegał do mojego. Miałam nadzieję, że jeśli wróci w nocy na oddział, to nie będzie się tłukł po kątach, tylko grzecznie pójdzie spać.

Rozsiadłam się na łóżku i wyciągnęłam z kieszeni fartucha telefon. Odkryłam esemesa od Tomka. Nie udało nam się pójść na kolację, bo trafił mu się pacjent z wypadku, który wymagał pilnego poskładania w całość. Pisał teraz, że dopiero zszedł z bloku, i obiecał, że kiedyś zabierze mnie do knajpy o lepszym standardzie niż szpitalna garkuchnia.

Położyłam się z westchnieniem i pociągnęłam nosem. Na chwilę przymknęłam oczy, zastanawiając się, czego tak naprawdę chcę od życia. Ula miała rację – powinnam skakać ze szczęścia, że Stalowiec zwrócił na mnie uwagę. Był przystojny, wysoki, świetnie się rozumieliśmy. W zasadzie nie miałam do

niego zastrzeżeń. No i mamie by się spodobał – w końcu lekarz.

A jednak nie piszczałam z ekscytacji na pomysł wspólnej kolacji. Sama nie wiem dlaczego. Zupełnie jakby czegoś zabrakło, jakby coś nie zagrało w odpowiednim momencie. Samotna starość zbliżała się nieuchronnie. Kołtun będzie zachwycony.

Wyczerpała mi się bateria w telefonie. Zaklęłam pod nosem i wstałam. Musiałam mieć naładowany telefon, gdyby Karol mnie potrzebował.

Zaczęłam przekopywać torbę w poszukiwaniu ładowarki. Dezodorant potoczył się z grzechotem po podłodze, wypadły zapasowe skarpetki, po chwili na dnie został tylko gruby podręcznik, który nosiłam w złudnej nadziei, że kiedyś go przeczytam. Ładowarki nie było. Na pewno wzięłam ją z mieszkania. Byłam o tym święcie przekonana. Zawsze miałam ją pod ręką, bo mój supernowoczesny telefon czasem nie trzymał naładowanej baterii nawet przez dobę.

Musiałam ją zostawić w kieszeni kurtki. Przypomniałam sobie, że wyjęłam ją z torby, by podładować telefon podczas jazdy samochodem. Potem wepchnęłam skręcony kabel do kieszeni.

Nie miałam wyboru. Musiałam zejść do szatni.

Po cichu wyszłam z pokoju lekarskiego i mrużąc oczy od światła palącego się w korytarzu przez całą dobę, ruszyłam w stronę klatki schodowej.

Na oddziale panował nietypowy spokój. Wszyscy pacjenci położyli się spać. Nikt nie krzyczał, nie pojękiwał, nie szukał kosmitów. Niespotykane.

Z dyżurki pielęgniarek dobiegł mnie przytłumiony głos telewizora.

Ochroniarz nie pilnował kraty, pewnie także się zdrzemnął, korzystając z chwili ciszy. Musiałam poradzić sobie z zamkiem. Delikatnie, żeby nikogo nie zaalarmować, zamknęłam kratę za sobą i zbiegłam po schodach.

W piwnicy zatrzymałam się porażona panującymi tu ciemnościami. Nie cierpiałam chodzić tędy sama, na dodatek w nocy. Kompletnie nie rozumiałam, czemu ktoś gasił nocą światło w korytarzach. Czyżby to przynosiło aż takie oszczędności?!

Sięgnęłam do kontaktu na ścianie. Świetlówki włączyły się z głośnym sykiem i zamigotały kilka razy. Każda po kolei zapłonęła, oświetlając coraz dalsze metry podłogi. Jako że każda plastikowa osłona była inna, to korytarz pokryły wzory kolorowych świateł, od czystej bieli do brudnej żółci. Poczekałam, aż przejście rozświetli się do miejsca, w którym znajdował się kolejny kontakt, i dopiero wtedy ruszyłam przed siebie szybkim krokiem.

Idąc, zerkałam w ciemne odnogi korytarza. O tej godzinie każda zawieszona na ścianie gaśnica wydawała się przyczajonym mordercą, który tylko czeka, żeby mnie zabić, a zwłoki ukryć w magazynie na odpady.

Zapaliłam kolejne światła i skręciłam w odnogę korytarza, która miała mnie zaprowadzić do szatni. Wszędzie panowała niezmącona cisza, którą przerywały

jedynie mój chrapliwy oddech i pociąganie nosem. Postanowiłam zabrać z kieszeni kurtki także opakowanie chusteczek higienicznych. Szpitalny papier toaletowy, którego używałam do wycierania nosa, miał fakturę niemal papieru ściernego.

Szatnia oczywiście także była pogrążona w ciemnościach. Nie mogło być inaczej.

Wcisnęłam włącznik światła i cierpliwie czekałam przy wejściu, nasłuchując uważnie kroków mordercy. Gdy wszystkie światła już się zapaliły, a ja niczego nie usłyszałam, zagłębiłam się między szafki. Po chwili znalazłam się przed swoją, ozdobioną przez poprzedniego właściciela czerwonym serduszkiem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Ładowarka była tam, gdzie ją zostawiłam – w kieszeni kurtki. Poza nią w szafce znajdowało się coś jeszcze. Już miałam zamknąć drzwiczki, gdy zobaczyłam pomiędzy butami białą kopertę.

– Znowu? – jęknęłam do siebie.

Rozerwałam kopertę i przebiegłam wzrokiem list:

Twoje piersi. Idealne.

Twój Wielbiciel.

Ścisnęło mnie w żołądku ze strachu. Ten list był przerażający, obleśny, w pewien sposób perwersyjny. Nie spodobało mi się, że ktoś pisze o moich piersiach. To nie jego interes. Mimowolnie dotknęłam biustu, jakby ten gest mógł go jakoś obronić przed zakusami Tajemniczego Wielbiciela. Przez chwilę pozazdrościłam Uli, że nie ma piersi, które mogłyby wpaść komuś w oko.

– Pieprzony zboczeniec – mruknęłam, chowając list do kieszeni fartucha.

Postanowiłam dowiedzieć się za wszelką cenę, który to dowcipniś zostawia mi te liściki, a następnie donieść na niego do kadr za molestowanie pracownika. Moje piersi czuły się molestowane.

Nagle usłyszałam szelest przy wejściu do szatni. Przestałam grzechotać kluczykami do szafki, którymi bawiłam się, posyłając w myślach wiązankę przekleństw pod adresem mojego wielbiciela.

Zaczęłam nasłuchiwać.

Dźwięk się nie powtórzył, więc odetchnęłam z ulgą. Może to mysz albo szczur? Żyły sobie spokojnie w szpitalnych piwnicach. A w każdym razie sugerowały to pułapki na gryzonie porozkładane po kątach.

Postanowiłam jak najszybciej wrócić na oddział, gdzie mogłam względnie bezpiecznie spędzić noc.

Zamknęłam szafkę na dwie kłódki i ruszyłam w stronę wyjścia.

Tajemniczy szelest powtórzył się. Serce zabiło mi mocniej. Wyraźnie usłyszałam skrzypnięcie podeszwy buta.

– Halo?! – zawołałam. – Jest tu kto?!

Odpowiedziała mi cisza. Spojrzałam na zegarek. Było w pół do jedenastej, nikogo o tej godzinie nie powinno być w szatni. Przyspieszyłam kroku, chcąc jak najszybciej się stąd wydostać.

– Halo?! – zawołałam jeszcze raz.

Nagle zgasło światło.

Pisnęłam przerażona i odruchowo odskoczyłam do tyłu. Wpadłam na szafkę, która na szczęście się nie przewróciła i nie pociągnęła za sobą kolejnych niczym gigantyczne kostki domina. Osunęłam się na podłogę, ciężko dysząc. Moje plecy opierały się o zimny metal. Kompletnie nic nie widziałam. Niskie okienka piwniczne nie przepuszczały wiele księżycowej poświaty, zresztą wysokie szafki skutecznie zasłaniały maleńkie okienka umieszczone pod sufitem.

Zacisnęłam dłonie w pięści. Poczułam, że ciągle trzymam w dłoni klucze. O mało nie popłakałam się ze szczęścia. Pamiętając dobrze zajęcia z samoobrony, wsunęłam klucze pomiędzy zaciśnięte palce prawej ręki. Zamieniłam w ten sposób moją dłoń w broń. Ostro zakończone klucze stały się pazurami, których nie powstydziłby się komiksowy bohater Wolverine o metalicznych szponach wyrastających mu z dłoni na każde zawołanie.

Świetlówki nie wyłączyły się same. Nie było fotokomórki. Ktoś musiał wcisnąć przycisk przy drzwiach. Pytanie brzmiało – kto? I dlaczego? W dzień pewnie uczyniłby to nadgorliwy sprzątacz albo ochroniarz. W nocy raczej nie mogłam liczyć na poczciwego ochroniarza po sześćdziesiątce, którego w razie potrzeby obaliłabym jednym kopniakiem. Na pewno nie był to ktoś z niewinnymi zamiarami, bo odpowiedziałby na moje wołanie.

W szatni panowały egipskie ciemności. Poczekałam cierpliwie, aż moje oczy choć trochę przyzwyczają się do mroku.

Wycofałam się rakiem i wskoczyłam do tunelu utworzonego z szafek. Chciałam zmylić przeciwnika, ale zamiast tego zmyliłam siebie. Nie miałam pojęcia, w którą stronę powinnam się kierować, żeby trafić do wyjścia. Poczułam, jak strach coraz silniej zaciska pętlę na moim gardle, gdy bezradnie rozglądałam się dookoła. Nie chciałam zginąć w taki sposób.

Kto będzie karmił Kołtuna, kiedy mnie zabraknie?

Wszystko wyglądało inaczej niż za dnia. Wszystkie szafki były identyczne, cienie wydłużyły się, a każdy korytarz, w który się zagłębiłam, kończył się ślepo. Szłam powoli wzdłuż szafek, usiłując sobie przypomnieć, w którą stronę powinnam pójść. Co chwilę zatrzymywałam się, nasłuchując, jednak tajemnicze kroki nie powtórzyły się.

Miałam wrażenie, że krążę po wąskich korytarzach co najmniej godzinę. W końcu zobaczyłam daleko przed sobą prostokąt światła wpadającego z korytarza. Odetchnęłam z ulgą i praktycznie ze łzami w oczach rzuciłam się w tamtym kierunku.

Biegnąc, odwróciłam się jeszcze i spojrzałam za ramię. Wydawało mi się, że coś usłyszałam.

Nagle na kogoś wpadłam! Silne ręce złapały mnie za ramiona. Pod światło nie widziałam twarzy swojego prześladowcy.

Wrzasnęłam przeraźliwie, jakby mnie ktoś obdzierał ze skóry, i zaczęłam się wyrywać tajemniczemu mężczyźnie.

– Aśka! Aśka, uspokój się! Co się stało?!

Wbiłam napastnikowi pięść w brzuch.

Jęknął i zgiął się w pół, pociągając mnie za sobą na ziemię. Upadłam ciężko na tyłek. Zderzenie z podłogą wycisnęło ze mnie całe powietrze i o mało nie odgryzłam sobie przy tym języka. Miałam wrażenie, że zęby zadzwoniły o siebie tak głośno, że na pewno któryś z nich się złamał.

Zamilkłam i zamrugałam zaskoczona. To był Karol!

Klęczał obok mnie, trzymając się za żołądek. Jego blada zazwyczaj twarz była purpurowa, a na czoło wystąpiły poszerzone żyły. Oczy wyszły mu z orbit, gdy gorączkowo usiłował zaczerpnąć tchu.

O Boże!

– Karol! Karol! Nie zrobiłam ci krzywdy? – Złapałam go za ramiona i pomogłam mu usiąść.

– Spokojnie, tylko trochę mnie zaskoczyłaś – wysapał przez zaciśnięte usta.

Okulary zsunęły mu się na czubek nosa. Policzki powoli zaczęły odzyskiwać zwyczajne kolory. W końcu zdołał odetchnąć. Cały czas masował brzuch.

– Ale masz lewy sierpowy – stwierdził i westchnął.

– Masz szczęście, że nie dostałeś z prawej! – Uniosłam rękę z kluczami.

Oczy mu się zaokrągliły. Spojrzałam na swoje dłonie. Nie pojmowałam, dlaczego uderzyłam go lewą ręką, skoro to w drugiej trzymałam potencjalną broń. Czyżby zadziałała podświadomość? Tak naprawdę bałam się skrzywdzić prześladowcę?

– Gdybyś trzepnęła mnie prawą, miałbym teraz te klucze wbite w wątrobę – skwitował. – Co się dzieje?! Czemu biegasz po szpitalu w ciemnościach, wrzeszczysz i atakujesz ludzi?

Zaczerwieniłam się.

– Przepraszam. Poszłam do szatni po ładowarkę do komórki, którą zostawiłam w kurtce. Kiedy byłam w środku, ktoś zgasił światło. Przysięgłabym, że słyszałam, jak skradał się za mną pomiędzy szafkami. Przestraszyłam się, że to ten morderca, co zabił pacjentkę w magazynie. Zaczęłam uciekać i wpadłam na ciebie. Myślałam, że to ty mnie gonisz.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Podniósł się i otrzepał bordowe spodnie, a następnie poprawił zsuwające się okulary. Podał mi rękę i pomógł wstać.

– Chodź. Zobaczymy, czy ktoś tam jest – zaproponował.

– Nie, nie. Lepiej wróćmy na oddział – odpowiedziałam lękliwie.

– Nie poznaję cię, Aśka. Przed chwilą o mało mnie nie zabiłaś, a teraz boisz się sprawdzić, kto ci narobił strachu? Pójdziemy razem i nic się nie stanie. Zostawiłem w szafce polar. Chętnie bym go zabrał. Nic nam nie będzie, no chodź – namawiał Karol.

Niechętnie weszłam między szafki. Trzymałam się blisko, praktycznie depcząc mu po piętach. Czułam, jak list zostawiony przez tajemniczego wielbiciela, który przed szaleńczym biegiem po szatni wsunęłam do kieszeni fartucha, pali teraz moją skórę przez kilka warstw ubrań.

– Halo, jest tu kto? – głośno zapytał idący obok mężczyzna.

Tak jak się spodziewałam, nikt nie odpowiedział. Gdy doszliśmy do jego szafki, Karol zatrzymał się i rozejrzał.

– Co robisz? – szepnęłam.

– Nasłuchuję, czy gdzieś obok nie ma potwora – odszepnął.

– Głupi jesteś! – warknęłam i uderzyłam go w ramię oburzona tym, że się ze mnie naśmiewa. – Naprawdę coś słyszałam.

– Asiu, nie twierdzę, że czegoś nie słyszałaś. Po prostu nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby ktoś się na ciebie zaczaił.

– A zamordowana pacjentka?

Zmarszczył brwi i podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Chyba nie mógł znaleźć odpowiedzi, która by mnie usatysfakcjonowała.

– Wiesz… wydaje mi się, że to mógł być wypadek – powiedział.

Parsknęłam śmiechem.

– Wypadek? Chcesz powiedzieć, że ktoś ją przez przypadek zamordował?

– Chodzi mi o to, że podziemia szpitala są rozległe. Przecież wiesz, że zimą bezdomni i narkomani wdzierają się do dolnych piwnic. Może ta pacjentka zobaczyła coś, czego nie powinna, albo po prostu spotkała złego człowieka?

Jego wytłumaczenie wydało mi się całkiem logiczne. Pod piwnicami, w których obecnie się poruszaliśmy, znajdowały się jeszcze jedne, pełne rur i kabli, tak zwane pomieszczenia techniczne. Żyły w nich koty szpitalne, szczury, a także bezdomni. Ochroniarze i konserwatorzy, zwłaszcza zimą, mieli sporo roboty, naprawiając zniszczone wejścia wentylacyjne, którymi poza kocurami, żądnymi odpadków ze stołówki, do podziemi dostawali się także bezdomni.

– Może to nawet był ktoś, kogo znała – dywagował Karol, wyciągając z szafki kanarkowożółty polar.

– To kto zgasił światło, kiedy byłam w szatni? I czemu się nie odzywał, jak wołałam? Czemu się skradał? – dociekałam.

– Może światło zgasił ktoś, kto przechodził po prostu korytarzem? Nie wiedział, że jesteś w środku, myślał, że szatnia jest pusta i zgasił światło? – zastanawiał się głośno Karol. – A potem poszedł sobie i nie słyszał, jak wołałaś?

– Słyszałam, jak ktoś się skrada – upierałam się.

– A jesteś tego pewna? Może to tylko wyobraźnia? Przecież nikogo tu nie znaleźliśmy. Nie rozpłynąłby się w powietrzu. No, chyba że to duch!

– Okej, okej – skapitulowałam pokonana jego argumentami. – Jestem już spokojniejsza. A teraz wracajmy na oddział. Najbezpieczniej będę się jednak czuła za kratami.

Dąbkowski zachichotał, ale posłusznie zamknął szafkę i ściskając pod pachą zrolowany polar, ruszył za mną w stronę wyjścia.

Wciąż byłam przekonana, że ktoś jeszcze był w szatni, a gdy weszliśmy pomiędzy regały, to minął nas innym korytarzem i uciekł. Wolałam już jednak o tym nie dyskutować. Karol od wielu lat pracował na psychiatrii. Widział w swoim zawodzie już niejedno. Kilka niewyjaśnionych spraw dało mu podstawy do wiary w… „metafizyczne alternatywy". Nie chciałam, żeby zaczął mnie przekonywać, że duchy istnieją. Nie miałam na to dzisiaj ochoty.

– Nie ma pacjentów na SOR-ze? – zagadnęłam.

– Odpukać, jakoś na razie po mnie nie dzwonią. – Zerknął na zegarek. – Może będzie dobra noc?

– Miejmy nadzieję.

Także zerknęłam na zegarek. Nie błądziłam po szatni przez godzinę. Może kilka minut kluczyłam w ciemnościach.

Na drewnianej ławce przy wejściu do szatni siedział i jadł kanapkę, jakby nigdy nic, Łukasz. Ten widok tak mnie zaskoczył, że aż przystanęłam.

– Dobry wieczór – przywitał go jowialnie Karol i wyminął mnie, kierując się w stronę korytarza prowadzącego do budynku psychiatrii.

– Dobry wieczór – powtórzyłam jak echo, wpatrując się w Łukasza.

– Masz dzisiaj dyżur – bardziej stwierdził, niż zapytał, ignorując nasze pozdrowienia.

– Tak… – mruknęłam w odpowiedzi.

Karol zaczął się oddalać korytarzem.

Już miałam odejść, ale poczułam silną potrzebę dowiedzenia się prawdy. Wskazałam palcem na wyjście z szatni.

– Czy to ty zgasiłeś tam światło?

– Nie, ja przed chwilą tutaj przyszedłem. Chciałem znaleźć spokojne miejsce, żeby zjeść kolację – odparł.

– Aha, a nie widziałeś nikogo, kto by stąd wychodził?

– Nie.

– No dobrze, to dobranoc – powiedziałam i odwróciłam się na pięcie, żeby dogonić odchodzącego Karola.

– Słodkich snów, Asiu. – Dobiegły mnie jeszcze jego słowa.

16.

Warszawa, ul. Wojciecha Oczki, teren należący do Zakładu Medycyny Sądowej

Marek przysiadł na oparciu drewnianej ławki pomalowanej przed laty zieloną farbą olejną. Zniszczona przez zmieniające się pory roku odłaziła teraz płatami. Mężczyzna zdarł paznokciem kawałek farby i obserwował, jak powoli opada na ziemię. Tuż nad chodnikiem wiatr popchnął go w stronę sterty cegieł i styropianowego ocieplenia, ustawionych przez robotników w pobliżu metalowego ogrodzenia.

Zakład Medycyny Sądowej po wielu latach doczekał się gruntownego remontu. Budynek wzniesiony w 1926 roku miał się przeistoczyć w ośrodek jak z amerykańskich seriali kryminalnych. Zielonkawe kafelki z czasów komuny i wiecznie brudne obudowy świetlówek miały odejść w zapomnienie.

Bibliotekę Uniwersytetu Medycznego, znajdującą się do tej pory na piętrze, przeniesiono do nowego budynku obok siedziby uczelni przy ulicy Trojdena. W związku z tym z Zakładu Medycyny Sądowej zniknęli wszędobylscy studenci, którzy plątali się po korytarzach o najróżniejszych porach dnia.

Markowi – w przeciwieństwie do wykładowców i innych lekarzy – nie przeszkadzała ich obecność. Nawet żałował, że nie będzie już tylu okazji, by przypadkiem wpaść na ładną studentkę. Teraz mógł obserwować adeptki medycyny jedynie podczas zajęć sekcyjnych. A niewiele można było dostrzec przez ich szczelne fartuchy. Poza tym cera większości kobiet stojących nad zwłokami nabierała niezdrowego, zielonkawego odcienia, przez co znacznie traciły one na atrakcyjności.

Mężczyzna zerknął przez ramię na zamknięte na głucho wejście do kaplicy. W jej wnętrzu rodziny mogły mieć nabożeństwa pożegnalne najbliższych, których zwłoki przywieziono do Zakładu. Pomyślał, że nie chciałby być żegnany z całą tą pompą, kwiatami i wieńcami. Wolałby, żeby rodzina pochowała go szybko i zapomniała o sprawie bez większego rozczulania. Żeby nie tracili czasu na wspomnienia.

– Zapalisz? – Wyciągnął pudełko papierosów w stronę Sebastiana Pola.

– Nie, dzięki. Powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

Komisarz kręcił się niespokojnie po podwórzu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Wsadzał dłonie do kieszeni kurtki, by zaraz je wyjmować.

– Nie usiądziesz? – Zadrożny wskazał miejsce obok siebie na ławce.

– Siedzieć w tym smrodzie? Nie, dziękuję.

Młody komisarz był wyjątkowo podenerwowany. Tupał nerwowo nogą i co

chwilę się rozglądał, jakby spodziewał się, że Okulista może wyskoczyć nagle z krzaków. Markowi przemknęło przez myśl, że przyjaciel raczej obawia się prokurator Świetlik niż nieuchwytnego mordercy.

– A co ty dzisiaj taki kąśliwy? Zołza nadepnęła ci na odcisk? – zapytał zaciekawiony.

– Nadepnie, jak nie przyniosę jej w zębach twojego raportu! – warknął Pol.

– A zdajesz sobie sprawę z tego, że to ona powinna uczestniczyć w sekcji, a nie ty? – zauważył z przekąsem Marek.

– Ostrzegam cię lojalnie, jak przyjaciel: przestań robić sobie ze mnie żarty. – Sebastian usiadł ciężko na ławce, pomimo wcześniejszych oporów. – Nie mam nastroju. Całe śledztwo się sypie. Pracujemy dzień i noc, szukając powiązań. Musisz szybko dać mi coś, z czym będę mógł pracować…

Marek spuścił z tonu. Przydusił papierosa o oparcie ławki i rzucił peta na ziemię. Sebastian posłał mu drwiące spojrzenie.

– No co? – Zadrożny wzruszył ramionami. – Ludzie rzucają niedopałki, gdzie chcą, a mnie nie wolno? Panie władzo, przecież nikt nie widzi.

– Raport.

Zadrożny westchnął teatralnie, ale posłusznie odpowiedział. Wiedział, kiedy nie należało przeciągać struny. Sebastian był na granicy wybuchu.

– Tak, tak, raport – odrzekł pojednawczym tonem. – Wydrukuję ci go zaraz, ale za wiele z niego nie wyczytasz.

– Jak to? – Pol był zawiedziony.

Śmierć pacjentki otrzymała najwyższy priorytet, więc od razu przeprowadzono sekcję. Już podczas oględzin i badania Marek myślał, że nie wytrzyma w towarzystwie przyjaciela. Komisarz niecierpliwie kręcił się dookoła stołu i wtrącał nic niewnoszące uwagi. Wyprosił go grzecznie przed końcem sekcji, bo inaczej i on, i technicy by zwariowali.

Marek część swoich wniosków przedstawił mu już wczoraj, ale w ostatecznym raporcie zestawił jeszcze najważniejsze cechy morderstwa z podobnymi sprzed kilku miesięcy.

– Ten sam *modus operandi* co poprzednio – powiedział.

– Jesteś pewien?

– Tak, to Okulista. Wrócił.

– Kurwa – mruknął Sebastian.

– Papierosa?

Jego towarzysz pokręcił przeczącą głową. Rzucił palenie rok temu i nie zamierzał wracać do nałogu.

Marek kontynuował:

– Tak jak powiedziałem na miejscu zbrodni, była to śmierć poprzez zagardlenie, czy jak wolisz, kobieta została uduszona. Sprawca jest praworęczny,

nacisk prawej dłoni był silniejszy. Na dłoniach miał lateksowe rękawiczki z pudrem. Znalazłem na szyi drobiny. Usiłowała się bronić, ale raczej nie zrobiła napastnikowi krzywdy. Dusząc ją, usiadł na niej okrakiem albo chociaż oparł kolano o jej klatkę piersiową, bo miała połamane dolne żebra.

Pol kiwał ponuro głową. Jak do tej pory wszystko zgadzało się z oględzinami ofiar Okulisty sprzed pół roku. Stare raporty znał na pamięć.

– Prawe oko zostało wyłupione już po śmierci, bardzo precyzyjnie. Wiedział, co robić. Na twarzy wyciął ostrym narzędziem cyfrę cztery. Rany są w miarę płytkie, ale brzegi nieposzarpane. Narzędzie było ostre, a on używał go z wprawą. Możliwe, że to był skalpel, ale to tylko moje gdybanie. Nacięcie także zostało wykonane *post mortem*.

– Jakieś ślady wykorzystania seksualnego?

– A powiem ci, że na dwoje babka wróżyła. – Zadrożny w zamyśleniu zaczął skubać swoją kozią bródkę. – Mimo wszystko skłaniałbym się do tezy, że coś chyba było.

Sebastian wyprostował się jak struna. To była jakaś nowość. Poprzednie ofiary Okulisty nie były przez niego wykorzystane. A w każdym razie sekcja nie wykazywała tego jednoznacznie.

– Co masz na myśli? Znalazłeś ślady gwałtu?

– Właśnie nie wiem. Wiesz, to tak naprawdę bardzo trudno stwierdzić.

– No jak to trudno? – zafrapował się Pol.

– Po pierwsze, pobrałem wymazy i tak dalej, ale jeśli miał prezerwatywę to, za przeproszeniem, dupa. Po drugie, jeżeli babka była już podduszona albo martwa i się nie broniła, to nie znajdę żadnych zasinień, kapujesz?

Sebastianowi zrobiło się niedobrze. Spojrzał na swojego przyjaciela z przerażeniem. Nie był pewien, czy odważyłby się zaglądać martwej kobiecie w majtki. Mierziło go, że Zadrożny tam zaglądał, a co więcej – wpychał wymazówki.

– Twoja praca jest obrzydliwa – wyznał szczerze.

– Przez większość czasu tak. Jednak z drugiej strony nikt do mnie nie strzela i na mnie nie wymiotuje. A tobie chyba zdarzyło się już co najmniej kilka razy, że naćpany kryminalista się na ciebie zbełtał.

– Wolę rzygi od tego, czym ty się zajmujesz. Mów dalej o denatce.

– No to wracając do wykorzystywania seksualnego, znalazłem kilka pęknięć śluzówki.

– Gdzie?

Marek popatrzył na niego uważnie. Sebastian gwałtownie poczerwieniał, bo zdał sobie sprawę, że podłożył się koledze do dalszych docinków.

– Seba, to ty jeszcze nie zabawiałeś się z dziewczyną?! Mam w domu stary podręcznik do ginekologii. Pożyczę ci, to sobie poczytasz, co się wtedy dzieje. –

Roześmiał się.

– Tylko dlaczego zmienił sposób postępowania? – Pol uznał, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie zmiana tematu. – Na poprzednich ofiarach nie było śladów gwałtu.

– A dlaczego znowu zaczął mordować? – zapytał Marek. – Może coś wyzwoliło w nim mordercze instynkty, ale tym razem jest bardziej sfrustrowany i musi się wyładować? Zapytaj o to swoich profilerów, niech uzasadnią te swoje pensje.

17.

Szpitalna knajpka jak zwykle w porze obiadowej była pełna ludzi. Zdecydowaną większość stanowił biały personel szukający chwili wytchnienia od codziennych obowiązków. W fartuchu nie wyróżniałam się z tłumu.

Usiadłam w najdalszym kącie sali, plecami do ściany. Mogłam swobodnie błądzić spojrzeniem po pomieszczeniu znad swojego talerza z czekoladowym rogalikiem i filiżanką kawy z dużą ilością cukru. Nie trzeba mi było nic więcej do szczęścia.

Zauważyłam Tomka od razu, gdy wszedł. Nie tylko zresztą ja. W jego stronę odwróciło się, niby przypadkiem, kilka głów – głównie młodych lekarek i pielęgniarek. Stalowiec zwracał na siebie uwagę. W porównaniu z otaczającymi go wymizerowanymi i niewyspanymi doktorami był jak model albo aktor, który właśnie skończył zdjęcia.

Na jego twarzy zagościł nieśmiały chłopięcy uśmiech, zupełnie jakby zawstydzało go poruszenie, jakie wywołał. Ucieleśniał marzenie wielu kobiet.

Pozer.

Doskonale zdawał sobie sprawę z okazywanego mu uwielbienia i pławił się w nim przy nadarzającej się okazji.

Lawirując pomiędzy stolikami, podszedł do lady i zamówił obiad. Kasjerka zatrzepotała sztucznymi rzęsami. Wyglądała, jakby jedna z tych nieszczęsnych rzęs wpadła jej do oka. O mało nie parsknęłam śmiechem.

Chwilę później odwrócił się, dzierżąc w dłoniach tacę z parującym jedzeniem. Potoczył spojrzeniem po kafeterii w poszukiwaniu wolnego stolika. Mogłam wręcz usłyszeć jęki zawodu w ustach mijanych kobiet, które miały cichą nadzieję, że się do nich dosiądzie. W końcu spojrzenie Tomka spoczęło na mnie. Uśmiechnął się i ruszył w moim kierunku.

Najwyraźniej wygrałam dzisiaj obiad ze szpitalną gwiazdą.

Nagle za ramię złapała go cycata stażystka z chirurgii. Taca mojego kolegi przechyliła się niebezpiecznie, ale zdołał utrzymać równowagę i brukselka usypana w mały kopiec na talerzu nie sturlała się na ziemię.

Nie słyszałam, o czym rozmawiają, ale z zainteresowaniem obserwowałam zajmujący spektakl. Dziewczyna, ciągle trzymając go za ramię, drugą ręką poprawiła włosy, a następnie niby niechcący zjechała dłonią z czerwonymi tipsami wzdłuż policzka, po szyi aż do głębokiego dekoltu. Tomek nie mógł nic na to poradzić. Jego spojrzenie zawędrowało w stronę koronki różowego stanika wystającej z ciasnego fartucha.

Dziewczyna cały czas coś mówiła, wdzięcząc się niemiłosiernie. Język jej ciała był bardzo prosty. Nawet ja pojmowałam jego znaczenie.

Może o to chodziło? Może powinnam zafundować sobie czerwone staniki

i dzięki temu skutecznie zapolować na męża? Tylko czy na pewno szukałam faceta, który leciał głównie na bieliznę? Miło by było, gdyby polubił także mnie.

Stalowiec pokręcił przecząco głową i lawirując tacą, usiłował uwolnić rękę. W końcu udało mu się to zrobić bez upuszczenia jedzenia na podłogę. Zaimponował mi.

Cycatka spochmurniała. Tomek jeszcze raz pokręcił głową i w gorszym nastroju ruszył w moją stronę. Stażystka zauważyła, gdzie się kieruje. Posłała mi najbardziej jadowite spojrzenie, jakie kiedykolwiek widziałam.

Stalowiec postawił tacę na moim stoliku, nawet nie pytając o zgodę. Jedna z brukselek zsunęła się ze stosu i potoczyła po talerzu.

– Cześć, Aśka, co słychać? – spytał jakby nigdy nic, pochylił się i cmoknął mnie w policzek.

Prawie usłyszałam jęk zawodu unoszący się w sali.

– Cześć, nic ciekawego. Poza tym, że połowa knajpki zamierza mnie teraz zamordować z zimną krwią – odparłam beztrosko.

– Co? – Udał, że nie rozumie.

– Połowa tych bab się w tobie podkochuje. – Dla zaakcentowania swoich słów machnęłam łyżeczką do herbaty. – Mogę teraz liczyć na ich dozgonną nienawiść.

– Nie żartuj. Wcale nie.

Wyprostował się i rozejrzał. Od razu kilka głów szybko się odwróciło, udając, że wcale go przed chwilą nie obserwowało.

– No może… – Na jego twarz wypełzł szeroki, leniwy uśmiech. – No proszę, nie wiedziałem, że jestem taki popularny!

Wyprostował się jeszcze raz i poprawił fartuch na szerokich ramionach. Kobiety wróciły do pożerania go wzrokiem.

– Myślałby kto – zakpiłam i wgryzłam się w rogalik. – Ta stażystka o mało nie rozebrała się przed tobą, żebyś tylko zwrócił na nią uwagę.

– Czyżbym wyczuwał nutę zazdrości?

– Chciałbyś – prychnęłam.

– Mam mały problem z tą stażystką. Chyba nie wyrażam się wystarczająco jasno, że nie jestem nią zainteresowany.

Wyciągnął w moją stronę rękę, za którą go złapała. Zostawiła na niej cztery ślady swoich tipsów.

– Zobacz! – poskarżył się.

– Czerwone jak jej stanik.

Gdy upewnił się, że nie będę mu współczuć, gładko zmienił temat:

– Widzę, że postanowiłaś się zdrowo odżywiać. – Wskazał rogalik.

On na obiad zamówił talerz warzyw i chude mięso. Byłam pod wrażeniem. Powinniśmy dawać pacjentom przykład, ale niech ktoś mi pokaże kardiologa, który

nie lubi ociekających tłuszczem frytek.

Ja nie zamierzałam się katować dla innych. Bez przesady.

– Mam nadzieję, że pójdzie mi w cycki – mruknęłam, wgryzając się w rogalik.

– Ja nie mam zastrzeżeń.

Przewróciłam oczami.

– Swoją drogą wybrałaś słabe miejsce – zmienił temat.

Posłałam mu zaskoczone spojrzenie, jako że usta miałam pełne czekolady.

– Kilka stolików dalej, dokładnie naprzeciwko mnie, siedzi Iwona i się na mnie gapi – wyjaśnił teatralnym szeptem.

Odwróciłam się i napotkałam wzrok kobiety. Czym prędzej wróciłam spojrzeniem do Tomka, który nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą zrobiłam.

– Aśka! – syknął. – Zwariowałaś?! Teraz będzie przekonana, że o niej rozmawiamy.

– A nie robimy tego? – Zaśmiałam się, kiedy w końcu zdołałam przełknąć.

Mimo złości posłał mi rozbawione spojrzenie.

– Masz jeszcze tu czekoladę. – Sięgnął dłonią ponad stołem i opuszką starł mi tę drobinkę z policzka.

Gwałtownie poczerwieniałam i cofnęłam się. Zaskoczona własną reakcją sięgnęłam po serwetkę i otarłam nią usta. Co do cholery? Skąd ten rumieniec?!

– Dzięki – burknęłam.

Tomek jakby nigdy nic zajął się swoim jedzeniem, od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę o tym, co dzisiaj działo się u niego na oddziale. Chyba zrozumiał, że nie mam ochoty na romanse, i wycofał się na bezpieczną pozycję.

Mogłam w spokoju zająć się jedzeniem rogalika, który nie wiedzieć czemu przestał mi smakować. Nagle zrobił się zbyt słodki. Wręcz mdlący.

– Słuchaj, Aśka, mam propozycję.

Uniosłam spojrzenie znad talerza, obawiając się tego, co zaraz mogę usłyszeć.

– Co powiesz na to, żebyśmy gdzieś razem wyskoczyli? Napijemy się, może potańczymy… Co ty na to? Przyjadę po ciebie dzisiaj wieczorem.

Wyprostowałam się na krześle. Teraz apetyt zupełnie zniknął.

– Hm, nie wiem, co odpowiedzieć – mruknęłam wymijająco, grając na czas.

– Podaj adres, żebym wiedział, dokąd przyjechać – odpowiedział, zerkając na mnie spod rzęs.

– Słuchaj, Tomku… – Ściszyłam głos, żeby nikt nas nie podsłuchał. – To nie jest dobry pomysł. Ja niedawno zakończyłam związek, który nieźle mnie poharatał psychicznie. Nie jestem gotowa na randki.

– Chodzi ci o to, co widzisz? O te wszystkie laski, które się na mnie gapią?

– Co? Nie – zaprzeczyłam zaskoczona.

– Nie śpię z całym szpitalem! – warknął Tomek.

Z jego policzków odpłynęła cała krew, a spojrzenie stało się ostre i pełne niechęci.

– Zaraz, zaraz. – Uniosłam dłonie w obronnym geście. – Niczego takiego nie sugerowałam. Po prostu ja… ja ciągle nie czuję się gotowa.

Wpatrywał się we mnie ze złością przekonany, że właśnie go obraziłam.

– To nie jest twoja wina, tylko moja. – Usiłowałam go udobruchać. – Jesteś cudownym facetem. Tylko ja… na razie jest mi dobrze tak, jak jest. Chyba nie mam ochoty zmieniać tego stanu rzeczy.

– Nie rozumiem cię, Aśka. Powinnaś zapomnieć o tamtym nieudaczniku.

– Wiem, wiem… tylko na razie to ja czuję się największym nieudacznikiem pod słońcem. Nawet żoną nie potrafiłam być. – Skrzywiłam się i wstałam, by nie ciągnąć dłużej tej rozmowy. – No nic. Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale na razie go nie przyjmuję. Wybacz.

Zabrałam swoją tacę i odniosłam do wózka. Nie odwróciłam się w stronę Tomka. Wychodząc z knajpki, czułam na plecach jego palący wzrok.

Szłam noga za nogą korytarzem, nie miałam ochoty wracać do pracy. Usłyszałam za sobą szybkie kroki. Nagle ktoś mocno uderzył mnie w ramię. Zachwiałam się, o mało nie upadając.

– Przepraszam! – warknęła pielęgniarka, nie odwracając się nawet.

Poznałam po charakterystycznym uczesaniu i rudym kolorze, że to Iwona, była przyjaciółka Tomasza. Ciekawe, ile takich „przyjaciółek” będzie na mnie odreagowywać swoje porażki.

Pomasowałam ramię, rozczulając się nad sobą. Przecież nie zrobiłam nic złego! Uśmiechnęłam się do faceta i od razu wszystkie baby mnie znienawidziły. Pod względem plotek szpital był chyba jednym z najgorszych miejsc.

Postanowiłam pójść do szatni, zanim wrócę na oddział. Chciałam znaleźć się tam w świetle dnia, żeby pozbyć się głupiego przeświadczenia, iż w każdej chwili może tam na mnie wyskoczyć maniak z siekierą. Miałam nadzieję, że nie znajdę w szafce kolejnego liściku. Poszukałam w kieszeni fartucha kluczy i zacisnęłam na nich dłoń, by dodać sobie odwagi.

Przed wejściem do szatni zastałam cycatą stażystkę kłócącą się z Łukaszem. Oboje ucichli, gdy wyszłam zza zakrętu.

– Idiota! – warknęła jeszcze dziewczyna i odwróciwszy się na pięcie, ruszyła przed siebie.

Jej pochmurne spojrzenie spoczęło na mnie, jakbym była przyczyną jej wszystkich problemów.

– Z drogi, dziwko – syknęła.

Uskoczyłam na bok, by i od niej nie dostać w ramię. Poziom nienawiści w tym miejscu zaczynał mnie drażnić.

– Jak się odzywasz do lekarki, smarkulo! – ryknął za nią Łukasz.

– Idź lepiej zmywać siki z podłogi! – odwrzasnęła. – Tylko do tego się nadajesz!

Wciąż usiłowałam pojąć, co właściwie zaszło, gdy Łukasz dotknął mojego ramienia. Mimowolnie się wzdrygnęłam.

– Idę powiedzieć jej do słuchu – zaproponował wciąż w wojowniczym nastroju.

Spojrzałam na jego twarz. Skupiłam wzrok na miejscu, w którym zrastały mu się brwi, bo oczywiście nie mogłam podjąć decyzji, w które oko patrzeć. Wydawało mi się, że w lewe, ale nie byłam stuprocentowo pewna.

– Daj spokój. Najwyraźniej ktoś jej nadepnął na odcisk i przeniosła swoją złość dalej – zaprotestowałam.

Nie chciałam eskalować konfliktu. Poza tym miałam prawie pewność, że popsułam jej humor, jedząc obiad w towarzystwie Tomasza. Nie widziałam jednak powodów, by zwierzać się z tego Łukaszowi.

– No dobrze – odparł udobruchany. – Pięknie dzisiaj wyglądasz, Asiu.

No wspaniale! Kolejny…

– Eee, dzięki – mruknęłam.

Cofnęłam się o krok i wyswobodziłam ramię z jego uścisku.

– Mam coś do załatwienia, więc wiesz… – Machnęłam ręką w stronę szatni.

– Poczekaj.

Wypowiedziałam w myślach przekleństwo i zatrzymałam się, przywdziewając na twarz uprzejmy uśmiech.

– Tak?

– Ja… chciałbym…

Przyglądałam mu się wyczekująco. Nie kłamałam, że mam coś do załatwienia. Od co najmniej kilku minut powinnam być na oddziale, żeby przejść się przed końcem pracy po salach moich pacjentów i zdać raport lekarzowi dyżurnemu.

A gdy to zrobię, będę mogła iść do domu.

– Chciałbym zaprosić cię na randkę – wypalił Łukasz.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie wydzielam jakichś feromonów. A może po prostu wyglądam na tak zdesperowaną, iż wszyscy panowie uważają, że się z nimi umówię?

– Łukaszu… wydaje mi się, że to nie jest dobry pomysł – bąknęłam.

– Dlaczego? – Podszedł bliżej.

– Po prostu to nie jest dobry moment. Nie szukam nikogo do towarzystwa.

– Nie musimy być ze sobą – odpowiedział szybko, wytrącając mi argument.

– Spotykanie się prowadzi do czegoś stałego. Bardzo mi przykro, Łukaszu. – Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym dodać. – Muszę wracać do pracy. Do

widzenia.

Chciałam jak najszybciej wydostać się z podziemi.

– Myślałem, że idziesz do szatni! – zawołał, a ja zatrzymałam się w pół kroku.

– Zmieniłam zdanie – odparłam zaskoczona i zakłopotana.

Wyminęłam go i szybkim krokiem ruszyłam w stronę budynku psychiatrii. Nie odważyłam się odwrócić ani spojrzeć przez ramię.

18.

Do szatni, niczym ostatni tchórz, zeszłam po pracy z Ulą. Chciałam mieć obstawę na wypadek ponownego spotkania Tomka, Łukasza, Iwony albo cycatej stażystki. Liczba osób, których powinnam unikać, rosła w zastraszającym tempie. Naszły mnie niepokojące wizje, że zanim skończę rezydenturę, cały szpital przestanie się do mnie odzywać.

Uli niczego nie wyjaśniłam. O piętnastej udałam, że chcę przez chwilę pogadać bez gumowego ucha Karola. Niby starszy od nas, a plotkuje jak małolata. Urszula, żądna pikantnych szczegółów, z radością przystała na propozycję spaceru do szatni.

– To opowiedz coś o tym seksownym chirurgu. – Wierciła mi dziurę w brzuchu.

– Naprawdę nie ma nic do opowiadania.

– No, ale jak się poznaliście? Kiedy?

– Byliśmy razem na roku, na studiach. Tylko sobie nie myśl, że to takie „razem". Ja się wtedy spotykałam ze Sławkiem, teraz moim eksmężem. Przez chwilę nawet chodziliśmy z Tomkiem na to samo koło chirurgiczne. Byliśmy kolegami.

– Tylko kolegami? Nie robił do ciebie maślanych oczu?

– Nie, po prostu się kumplowaliśmy. Na studiach nie byliśmy blisko. Sporo czasu spędzaliśmy na kole, ale poza zwykłe koleżeństwo nigdy nie wyszliśmy.

Powoli zaczęłam żałować, że wybrałam Ulę jako swoją obstawę.

– Chciałaś być w kole chirurgicznym? A fee… – Skrzywiła się. – Mnie te bebechy i śmierdząca krew zawsze odstraszały.

Jeśli przykre zapachy tak jej przeszkadzały, to nie potrafiłam pojąć, co robiła na psychiatrii. Nasi pacjenci byli znani z tego, że spora ich część unikała wody i mydła niczym diabeł święconej wody. I to nie tylko ci, którzy uważali, że są opętani. Część schizofreników była przekonana, że rząd dosypuje czegoś do kranówki, żeby kontrolować swoich obywateli.

Co prawda woda w Warszawie nie należała do najsmaczniejszych, więc można się było poważnie zastanawiać nad ich teoriami spiskowymi.

– Przez chwilę mnie to intrygowało. – Wzruszyłam ramionami, przypominając sobie beztroskie czasy studiów, kiedy nad nikim nie wisiało widmo oskarżenia o błąd w sztuce. Ach, te czasy… – Poza tym wiesz… członkostwo w tym kole nie było pozbawione zalet, byłam tam jedyną dziewczyną…

– A, w takim razie wszystko rozumiem. A przystojni chociaż?

– W większości. – Musiałam przyznać zgodnie z prawdą.

Chirurgia jest dla sporej części studentów medycyny pożądaną i prestiżową specjalizacją. Praktycznie każdy przechodzi krótki okres fascynacji tą działką.

Zwłaszcza na fali bardzo modnych seriali medycznych, takich jak amerykański *Grey's Anatomy*, polscy *Lekarze*, nie wspominając już o nieśmiertelnych *Na dobre i na złe* oraz *Ostrym dyżurze*. Wszystkie koleżanki z grupy nałogowo oglądały *Grey's Anatomy*, śniąc nocami o doktorach McDreamym i McSexym. Ja nie mogłam tego oglądać nawet pomimo przystojnych aktorów. Bolało mnie, gdy bohaterowie, z którymi zdążyłam się zżyć, umierali. Niestety, takimi prawami rządzą się wszystkie opery mydlane.

Chirurgia to dziedzina medycyny pozwalająca poczuć się wszechmocnym. Dotąd specjalizowali się w niej przystojni faceci, którzy lubią poczucie władzy. Od jakiegoś czasu trend się jednak zmieniał i coraz więcej dziewczyn wybierało tę specjalizację.

Ula, zupełnie jakby czytając mi w myślach, powiedziała:

– Ja nie mogłabym być chirurgiem. Wyobrażasz to sobie? Stać cały dzień? Nogi w dupę mogą wejść. A jak ma się okres? Albo jest się w ciąży? Nie można wziąć wolnego. Bez sensu. To zupełnie nie dla dziewczyn.

Weszłyśmy do szatni. Tuż przy wejściu na ławce siedział Łukasz. Spojrzał na nas spode łba. Chyba chciał coś powiedzieć, ale spłoszyła go idąca obok mnie Ula. Poczułam ulgę. Okazało się, że zabierając ją ze sobą, podjęłam dobrą decyzję. Ha!

Z drugiej jednak strony to przykre, że muszę uciekać się do takich sztuczek, żeby przejść w spokoju korytarzem.

– No, ale nadal nic mi o nim nie opowiedziałaś – zauważyła Ula.

– Bo nie ma o czym mówić.

– No, ale jaki jest? Jaki był? Zawsze taki przystojniak?

Zerknęłam na nią z ukosa. Chyba już dawno przepadła jak reszta kobiet w tym szpitalu. Urok Tomasza był naprawdę imponujący.

– Był trochę szczuplejszy. Chyba przypakował na siłowni.

– Pewnie po to, żeby mieć siłę stać nad tym stołem operacyjnym. – Zadumała się.

– Pewnie tak.

– Czyli nigdy nic pomiędzy wami nie było? – dopytywała.

– Kumplowaliśmy się, ale nigdy do niczego nie doszło.

– Ale chcesz się z nim spotykać?

Zatrzymałam się przy rzędzie szafek, na końcu którego znajdowała się moja.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Chyba nie. Nie jestem gotowa na nowy związek.

Ula poklepała mnie po ramieniu ze zmartwioną miną. Wiedziała o moim rozwodzie. Na imprezie u niej rozkleiłam się po dużej ilości alkoholu. Pocieszała mnie wtedy w ogródku, z dala od ludzkich spojrzeń. Na szczęście poza nią nikt nie wiedział o tym incydencie.

– Wiem, że moje rady pewnie puścisz mimo uszu, ale posłuchaj grubej niewyżytej desperatki – zaczęła. – To całe pieprzenie, że miłość sama cię znajdzie, gdy będziesz na to gotowa, można sobie schować tam, gdzie słońce nie dochodzi. Jeśli nie weźmiesz spraw w swoje ręce, to zostaniesz sobie rozwódką z kotem.

– Kota już mam – przypomniałam.

– No właśnie. To chyba nie jest dobry znak. Skoro on cię chce, to korzystaj. Może nic z tego nie będzie i przeżyjesz krótki płomienny romans, a może będzie piątka dzieci. Skąd możesz wiedzieć? Idę do domu, a tobie radzę umówić się z seksownym chirurgiem. Nawet gdyby to miało potrwać tylko parę nocy, chyba warto.

Nie zgadzałam się z nią, ale pokiwałam głową, żeby dała mi spokój.

– Czas zapomnieć o Sławku. Rozpamiętywanie tego małżeństwa do niczego cię nie doprowadzi.

– Byłoby łatwiej, gdybym zamiast rozwódki została wdową – mruknęłam ponuro.

– Ciesz się, że nie wzięliście ślubu kościelnego. – Starała się mnie pocieszyć. – Nadal masz szanse na bajkowy ślub w białej sukni.

– Tylko dzięki temu, że Sławek nie chciał poprowadzić mnie do ołtarza – prychnęłam.

– I dobrze. Od początku coś kręcił. A z Tomkiem może ci wypalić coś fajnego. Widziałam, jak na ciebie patrzy… – W jej głosie usłyszałam nutkę zazdrości.

Nie miałam wątpliwości, że chciałaby się znaleźć na moim miejscu. Aż zrobiło mi się głupio. Gdybym mogła, odstąpiłabym jej Tomka. Niestety, wszystko zależało od niego.

– Zobaczę – bąknęłam na pożegnanie.

– Idę! Muszę sprzątnąć dom, bo matka przyjeżdża na kontrolę, czy się zdrowo odżywiam. Zupełnie jakbym nadal była na studiach.

– A jak im się mieszka na Mazurach?

– Ciągle tam zimno.

Rodzice Urszuli wyprowadzili się do domu swoich marzeń, nad jedno z jezior mazurskich. Zostawili dom w Brwinowie do dyspozycji córki. Zastanawiałam się, czy nie czuła się w nim samotna.

– Dobra, idę! – Pomachała mi dłonią i ruszyła między szafkami.

– Będzie dobrze! – Teraz ja próbowałam ją pocieszyć.

– Nie znasz mojej matki…

Ale znam swoją. Jeśli są chociaż trochę podobne, przed moją koleżanką trudne chwile.

Ula skierowała się do swojej szafki, w drugim skrzydle szatni, przepychając się między pracownikami. Ja dostałam się na koniec rzędu, gdzie znajdowała się

moja. Na szczęście tym razem nie było uperfumowanego faceta i mogłam oddychać bez problemów.

Otworzyłam drzwiczki, modląc się, by na dnie nie spoczywał żaden prezent. Niestety, moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Pomiędzy butami leżała biała koperta, lekko zagięta i przybrudzona, bo nadawca wepchnął ją przez wąską szczelinę u góry drzwiczek. Z bijącym sercem ukucnęłam i rozdarłam papier.

Bawisz się ludźmi.

Nie wiem, czy już zacząć Cię nienawidzić, czy jeszcze na to za wcześnie.

Twój Wielbiciel.

List mi się nie spodobał. Bardzo się nie spodobał. Drżącymi dłońmi wsunęłam go do koperty i wepchnęłam do kieszeni kurtki. Usiłowałam sobie przypomnieć, co zrobiłam z poprzednimi. Postanowiłam je odnaleźć i komuś to zgłosić. Nie wiedziałam jeszcze komu, ale to mocne postanowienie poprawiło mi humor.

Poczułam bolesny ucisk w okolicy żołądka i falę mdłości. Pomasowałam dłonią brzuch. To na pewno z nerwów. Jeszcze nabawię się wrzodów! Jedzenie na drugie śniadanie francuskiego pieczywa z czekoladą i popijanie go kawą miało w tym swój udział.

Niestety, muszę zacząć zdrowo się odżywiać. Nie ucieknę przed tym.

– Ja już idę! – Usłyszałam głos Uli dobiegający spomiędzy szafek. – Do jutra!

– Zaczekaj! – krzyknęłam. – Ula?!

Chyba mnie nie usłyszała. Wsunęłam stopy w szpilki i zatrzasnęłam szafkę. Jedna z kłódek upadła na ziemię. Zaklęłam i ukucnęłam, żeby ją znaleźć. Nie chciałam zostać tu sama. Nie chciałam przechodzić koło Łukasza siedzącego przy wyjściu. Tylko nie to!

Wymacałam kłódkę pod szafką. Zamknęłam ją na drzwiczkach, sprawdziłam, czy mam wszystko ze sobą, i zaczęłam przepychać się w stronę wyjścia.

Urszuli już nie spotkałam. Zgrzytnęłam zębami. Przecież mi wspominała, że się spieszy, bo czeka ją wizytacja matki. Mogłam się tak nie grzebać!

– Coś ci wystaje z kieszeni – powiedział Łukasz, pojawiając się obok mnie.

Tak jak podejrzewałam, czekał na mnie.

– Och, dzięki.

Z płytkiej kieszeni skórzanej kurtki wystawał mi list. Jeszcze chwila i bym go zgubiła.

Łukasz także kończył swoją zmianę. Szlag by to trafił.

– Do widzenia – powiedziałam.

– Poczekaj. – Zatrzymał mnie, łapiąc za łokieć.

Czułam się pewniej, mając świadomość, że koło nas przechodzą ludzie.

– Idziesz do domu? – zapytał.

Odsunęłam się o krok, zmuszając go, by mnie puścił. Żołądek bolał mnie coraz mocniej.

– Tak, już wychodzę. Ten dzień na szczęście się kończy.

Ruszyłam korytarzem w stronę wyjścia. Szedł ze mną ramię w ramię.

– Może trzeba cię odwieźć? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

Wyjęłam z kieszeni kurtki kluczyki do samochodu i zabrzęczałam metalowym breloczkiem w kształcie kota.

– Mam swój transport.

– W takim razie do zobaczenia – powiedział, gdy wyszliśmy z budynku, i nie czekając na moją odpowiedź, ruszył w przeciwną stronę.

Muszę przyznać, że poczułam się głupio. Obraził się? Może byłam za ostra? A może to dobrze? Powinien przyjąć do wiadomości, że nie jestem nim zainteresowana.

Obeszłam budynek i skierowałam się w stronę trawnika, na którym zaparkowałam samochód. Moje wysokie obcasy chwiały się na krzywych płytkach chodnika. List od Tajemniczego Wielbiciela wypalał mi dziurę w kieszeni. Komu to powinnam zgłosić? Kadrowej? A nie wyśmieje mnie?

W oddali zobaczyłam Karola, który usiłował rozgryźć, jak wyjechać z miejsca, w którym ktoś go zastawił. Obchodził swoje auto, nie wiedząc, jak się do tego zabrać.

Pomachałam mu, dziękując w duchu, że nie mam takiego problemu.

– Asia!

Odwróciłam się zaskoczona. Karol szedł szybkim krokiem w moją stronę. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Co tam? – zapytałam. – Coś się stało?

– To ja powinienem zapytać, co się stało. Jesteś blada jak śmierć, a minę masz taką, jakby na twoich oczach ktoś przejechał kota! Co jest? Dobrze się czujesz? Przepraszam, że nękam cię na parkingu, ale w szpitalu nie było jak porozmawiać. Nie chciałem robić tego przy Urszuli. Jest przemiła, ale za bardzo lubi plotkować.

Roześmiałam się w duchu. Co jak co, ale Karol także uwielbiał plotki.

Wsunął dłonie w kieszenie kurtki, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Wbił czujne spojrzenie w moje oczy. Byłam zaskoczona i trochę wzruszona jego troską. Zupełnie się tego nie spodziewałam.

– Och, nie. Nic się nie stało – odpowiedziałam.

– Nie umiesz kłamać, Asiu.

– Wiem. – Zaśmiałam się.

– No, teraz na twoją twarz wróciły kolory. Już nie jesteś przezroczysta – skwitował. – Słuchaj, gdybyś miała jakiś problem, to wiesz, że zawsze możesz się do mnie zwrócić, tak? W końcu jestem twoim szefem i sprawuję opiekę nad twoją specjalizacją. Jeśli to pacjent zalazł ci za skórę, zawsze możesz mi go przekazać. Już ja spacyfikuję śmierdziela.

– Dziękuję, ale to nie Kartynowicz.

– Naprawdę, Asiu. Nieważne, jakie masz problemy. Możesz na mnie liczyć. Powinniśmy się wspierać. Coś się dzieje w pracy?

Poniekąd tak, w miejscu pracy…

– Nie, mam teraz po prostu kilka osobistych zawirowań. Zapewniam, że nie jest to nic, z czym bym sobie nie poradziła.

– W problemach osobistych też mogę pomóc. Pamiętaj, że jestem psychiatrą. Podobno całkiem niezłym.

Zaśmiałam się.

– To bardzo miłe z twojej strony – powiedziałam czule.

Wyciągnęłam ręce w jego stronę i serdecznie go uściskałam. Poklepał mnie niezdarnie po plecach.

Pożegnałam się szybko, żeby się nie rozkleić, czym zapewne jeszcze bardziej bym go zawstydziła, i w znacznie lepszym nastroju ruszyłam w drogę. Nawet list od Tajemniczego Wielbiciela przestał mi ciążyć w kieszeni kurtki.

Nie wróciłam prosto do domu. Postanowiłam zrobić zakupy i w końcu ugotować lekkostrawny obiad, bo żołądek cały czas mi dokuczał. W sklepie osiedlowym jak zwykle poza jedzeniem dla siebie kupiłam koci pasztet dla Kołtuna. Ula miała rację. Powoli zaczynałam się uzależniać od swojego futrzastego lokatora.

Obładowana zakupami ledwo wyszarpnęłam z torebki klucze. W drodze ze sklepu urwało mi się ucho torby foliowej, więc musiałam przytulać ją do siebie, opierając na biodrze. Niezdarnie poradziłam sobie z zamkiem drzwi prowadzących na klatkę schodową. Sapiąc z wysiłku, podeszłam do skrzynek na listy i zajrzałam do swojej przez wąską szczelinę, upewniając się, że w środku zalegają tylko kolorowe ulotki. Na szczęście rachunków nie było.

Odwróciłam się w stronę schodów i przerażona wydałam zduszony krzyk.

W połowie starych kamiennych stopni siedział Łukasz. Nie odezwał się ani słowem. Nawet nie drgnął, gdy weszłam na klatkę schodową, a ja, przyzwyczajona do codziennej rutyny sprawdzania poczty, powędrowałam w stronę skrzynek, zupełnie go nie dostrzegając.

Byłam tak przestraszona, że upuściłam torbę z zakupami, które zatańczyły na brudnej podłodze. Jedna z pomarańczy zatrzymała się koło schodów.

– Co tu robisz?! – krzyknęłam.

– Czekam na ciebie. Chciałem pogadać – powiedział, wstając.

Cofnęłam się kilka kroków, aż oparłam się plecami o ścianę przy skrzynkach pocztowych.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam?! – Panika w moim głosie była coraz bardziej słyszalna.

– Kiedyś za tobą pojechałem. – Wzruszył ramionami, jakby to nie było nic wielkiego, i zszedł po schodach.

Wsunął kciuki w kieszenie dżinsów i zatrzymał się naprzeciwko mnie. Jego poza wyrażała kompletne lekceważenie.

– Nie zbliżaj się do mnie! – zagroziłam trzęsącym się z emocji głosem.

Uniósł brwi. Wydawał się zaskoczony moim zachowaniem. Rozłożył ręce, chcąc chyba mnie zapewnić, że nie ma złych zamiarów.

Jasne!

– Chcę tylko porozmawiać – oznajmił.

– Porozmawiać?

Miałam ochotę wtopić się w ścianę za swoimi plecami, zniknąć. Gdzieś we wnętrzu zakiełkował paniczny strach, który powoli zaczynał mnie obezwładniać. A co, jeśli będzie chciał zrobić mi krzywdę? Czy ktoś przyjdzie mi na pomoc, jeśli krzyknę?

Wsunęłam dłoń do otwartej torebki i zaczęłam gorączkowo w niej szperać w poszukiwaniu telefonu albo starej, zapewne przeterminowanej, puszki gazu pieprzowego, którą dostałam do obrony od mamy, gdy po raz pierwszy opuściłam dom rodzinny i pojechałam do Warszawy na studia. Nosiłam ją raczej z przyzwyczajenia niż potrzeby. Jeszcze nigdy nie byłam zmuszona jej użyć.

Nie mogłam znaleźć gazu. Zupełnie jakby rozpłynął się w powietrzu. Moja ręka błądziła po omacku pomiędzy opakowaniem podpasek, chusteczek, kosmetyczką, plikiem paragonów a innymi śmieciami, które zawsze miałam przy sobie.

– Chcę wiedzieć, co cię łączy z tym bezczelnym chirurgiem i ze starym piernikiem z psychiatrii. – Ruszył w moją stronę.

– To ty wysyłasz listy… – Pobladłam, gdy zdałam sobie z tego sprawę.

– Słyszysz? Masz mi powiedzieć, o co tu chodzi. Myślałem, że coś jest między nami. Myślałem, że to przeznaczenie, bo ciągle się spotykamy, że dobrze się rozumiemy… Powiedz mi, czego ty chcesz! Czy chodzi o to, że pracuję w pralni? Uważasz, że jestem kimś gorszym? Że się nie nadaję?

– Co? – jęknęłam.

Cały czas zbliżał się do mnie. A ja nie miałam gdzie uciec.

– Chodzi o to, że jesteś lekarką? Co? Za wysokie progi dla mnie?

Wciąż nie mogłam wymacać w torebce gazu pieprzowego. Poczułam na

policzku jego lekko kwaśny oddech. Wszystkie chwyty, których nauczyłam się na zajęciach z samoobrony czy judo, zniknęły gdzieś w odmętach sparaliżowanej strachem pamięci. Poczułam się bezbronna jak dziecko.

– Co cię łączy z tym zarozumiałym chirurgiem? Co? – zapytał Łukasz natarczywie. – Słyszałem, jak rozmawiasz o nim z tą swoją koleżaneczką. On ciągle się koło ciebie kręci. Nie podoba mi się to. To nie jest mężczyzna dla ciebie. Znam takich jak on.

– Wyjdź stąd i mnie zostaw, proszę – wykrztusiłam.

– Nie rozumiesz, że on ci zniszczy życie. Wiem, co robił z innymi, znam plotki. On wykorzystuje kobiety. To ja jestem ci przeznaczony. Ja nie zrobię ci krzywdy. Musisz to tylko zrozumieć. Pomogę ci zrozumieć!

Mężczyzna nakręcał się coraz bardziej. Straciłam nadzieję na to, że zostawi mnie w spokoju.

Dobrze znałam jego spojrzenie. Często widziałam je na oddziale.

– RATUNKU! – wrzasnęłam.

Było późne popołudnie. Ktoś powinien być w budynku, ktoś powinien mnie usłyszeć. Nagle przypomniałam sobie, że to przecież owiana złą sławą Praga. Jak głosi fama – nawet jeśli ktoś mnie usłyszy, to nie wystawi nosa za drzwi ze strachu, że i jemu się oberwie.

– Hej, spokojnie! – Złapał mnie za ramię i potrząsnął.

– ZOSTAW MNIE! – pisnęłam i odepchnęłam go dłonią, w której trzymałam torebkę.

Łukasz zmarszczył brwi zaskoczony moim krzykiem.

– Nie chcę cię przestraszyć. Chcę tylko jasnej odpowiedzi. Nie możesz jednocześnie flirtować ze mną i z innymi facetami. Nie może tak być.

Zastanawiałam się gorączkowo, co on bredzi. Przecież ja z nim nie flirtowałam!

Nagle krata broniąca dostępu do piwnicy uchyliła się z głośnym zgrzytem dawno nieoliwionych zawiasów. Po podłodze potoczyła się opróżniona butelka po piwie z zielonego szkła. Ciężkie kroki na schodach sprawiły, że oboje spojrzeliśmy w tamtym kierunku. Dłoń Łukasza puściła moje ramię.

– Co tu się dzieje? – zapytał zapijaczony głos.

Głos, który dobrze znałam.

– Pomocy! – zawołałam.

– A co pan tu robi? – dołączył do niego drugi. – Pan tu chyba nie mieszka.

Korzystając z rozkojarzenia Łukasza i szorując plecami po ścianie, wycofałam się w stronę dwóch pijaczków, którzy najwyraźniej włamali się do piwnicy, żeby tam odespać po przepiciu.

– Pani doktor, dobrze się pani czuje? – zapytał pierwszy, chyba odrobinę bardziej trzeźwy. – Słyszeliśmy podejrzane krzyki.

– Tak, dziękuję panu.

– Czy ten pan coś pani zrobił?

– Nie, nie.

– A pani chce, żebyśmy my mu coś zrobili? – zapytał, jakby to było coś najzwyklejszego w świecie.

Łukasz pobladł odrobinę, gdy owionęły go zapachy moczu i nieprzetrawionego alkoholu, które silnie wydzielali moi wybawcy.

– Nie, chyba nie. – Pokręciłam głową i stanęłam obok nich. Mnie smród, który ich otaczał, zupełnie w tej chwili nie przeszkadzał.

– A teraz grzecznie pana poprosimy, żeby pan stąd spierdalał – poinformował go spokojnym głosem pijak. – Bo jak nie, to nie posłuchamy miłej pani i dostanie pan wpierdol. Jasne?

Łukasz pokiwał głową, ale posłał mi przy tym harde spojrzenie. A w każdym razie tak mi się wydawało. Jego zez za bardzo mnie rozpraszał.

– Masz tu nigdy więcej się nie pojawiać, jasne? – kontynuował pijaczyna. – Ani w tej kamienicy, ani na tej ulicy, a najlepiej nawet nie wchodź do tej dzielnicy. Won mi stąd!

– He, he, Zdzichu, ale żeś rymnął – zachichotał drugi, a następnie beknął.

Łukasz spojrzał na mnie ostatni raz, a następnie szybko wyszedł na dwór. Gdy trzasnęły za nim drzwi, popłakałam się jak dziecko. Po policzkach pociekły mi łzy jak grochy, wykrzywiłam usta w podkówkę i się usmarkałam. Nie potrafiłam płakać w taki elegancki sposób, jak czynią to heroiny w amerykańskich filmach.

– No już, już. Nie ma co płakać. To zwykły skurwysyn był. – Jeden z osiedlowych pijaczków chciał poklepać mnie po ramieniu, ale cofnął rękę, kiedy zauważył, jaka jest brudna.

Byłam mu za to wdzięczna.

– Już sobie poszedł. Ma pani szczęście, że akurat byliśmy w pobliżu – dodał drugi i kopnął zieloną butelkę poza pole mojego widzenia.

– Taaak, tak sobie zeszliśmy do piwnicy. Bo widzi pani, trochę dzisiaj mżyło na dworze. A kłódka i tak była urwana.

Zaczęłam szukać w torebce opakowania chusteczek higienicznych.

Znalazłam gaz pieprzowy…

– Jak dla mnie, to możecie, panowie, wchodzić tam, kiedy macie ochotę – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Nic nie powiem dozorczyni.

Pewnie i tak naskarżą na nich właściciele słoików z ogórkami, chomikowanych w piwnicach, które po pewnym czasie okazują się puste.

Powróciłam do szperania w torebce, przełykając smarki. Wyciągnęłam portfel i wyjęłam z niego pięćdziesiąt złotych. Podałam banknot pijaczkom.

– Może kupicie sobie, panowie, coś smacznego – powiedziałam.

– Nie, nie, nie, nie – szybko zaprzeczył jeden z nich. – Nie będziemy brać

pieniędzy za ratowanie damy z opresji. Przecież tak się zachowują dżentelmeny czy jak ich pies zwał…

Zauważyłam, że jednak spojrzał łakomie na banknot.

– Należy się panom. Byłoby ze mną krucho, gdyby panowie mnie nie usłyszeli. – Wepchnęłam mu pieniądze w ręce i zaczęłam zbierać z podłogi zakupy.

Po powrocie do domu od razu zadzwoniłam do policjanta, który przesłuchiwał mnie w sprawie zamordowanej kobiety.

19.

Postawiłam przed policjantem parujący kubek herbaty. Najładniejszy, jaki miałam, i nawiasem mówiąc, jedyny, na którym nie było namalowanych kotków.

Komisarz Pol z zainteresowaniem rozglądał się po mieszkaniu. Podążyłam za jego wzrokiem. W mojej kawalerce nie było wiele do podziwiania. Nie miałam ciekawych mebli ani nawet stołu. Posiłki jadłam przy niskim stoliku do kawy, co pewnie znacząco przyczyniło się do problemów z plecami i niestrawnością. Jedynym wygodnym siedziskiem była kanapa, a gdy pokój z salonu stawał się sypialnią, zamieniała się w wygodne łóżko.

Posadziłam gościa na kanapie, a sama przycupnęłam na pufie, po drugiej stronie prostokątnego stolika, ściskając swój kubek w kotki niczym tarczę.

Poczułam ogromną ulgę, gdy po wejściu do mieszkania zamknęłam za sobą drzwi na wszystkie zamki i łańcuch. Znalazłam na dnie torebki wizytówkę komisarza Pola. Dał mi ją po przesłuchaniu na wszelki wypadek, gdybym coś sobie przypomniała i chciała mu o tym powiedzieć.

Wątpiłam, że chciałby posłuchać o listach, które dostawałam, ale nie miałam pojęcia, do kogo się zwrócić. Spotkanie Łukasza na klatce schodowej za bardzo wytrąciło mnie z równowagi, żeby szukać logicznego wyjścia z sytuacji. Na szczęście Pol zgodził się pojawić jeszcze tego dnia.

– Bardzo dziękuję, że pan przyjechał – powiedziałam chyba po raz piąty, odkąd przekroczył próg mojego mieszkania.

– Nie ma za co. Jak już mówiłem, przejeżdżałem obok, więc to żaden problem. O czym chciałaby pani porozmawiać? Chce pani powiedzieć coś o Maryli Mądrawskiej?

Speszyłam się. W zasadzie to nie miałam nic do dodania w tej sprawie.

– Tak naprawdę… to nie. Chodzi o coś innego.

Komisarz ciężko westchnął. Miałam wrażenie, że po przymknięciu oczu policzył do pięciu, a następnie sięgnął po kubek z herbatą.

– W takim razie, czym mogę służyć? Przez telefon wydawała się pani bardzo wzburzona.

Odstawiłam kubek i sięgnęłam po odłożoną na blacie stertę zmiętych kopert. Przesunęłam je w jego stronę.

– Czy pamięta pan, jak powiedziałam, że spotkaliśmy z Tomkiem wtedy w piwnicy pracownika pralni? Łukasza? Pchał wózek z odpadami.

– Tak, Łukasza Kamińskiego. Już z nim rozmawialiśmy na temat morderstwa. Miał pełne prawo znajdować się o tej godzinie w podziemiach. Poza pralnią pracuje również na bloku jako salowy – wyjaśnił spokojnie Pol.

– On za mną chodzi – wyszeptałam.

Komisarz zmrużył oczy.

– Słucham?

– Łukasz Kamiński. On mnie prześladuje – powiedziałam odrobinę głośniej.

Komisarz Pol odstawił kubek i zerknął na koperty.

– Proszę mi to wyjaśnić – poprosił.

– Od pewnego czasu dostaję anonimowe listy. Ktoś podrzuca mi je do szafki w szatni. – Wskazałam palcem na plik kopert. – Ułożyłam je chronologicznie. Ten na górze był pierwszy.

Policjant zaczął po kolei przeglądać wiadomości zostawione mi przez Tajemniczego Wielbiciela. Nic nie powiedział, ale zauważyłam, że z każdą kolejną coraz bardziej marszczył brwi.

– Czy gdzieś to pani zgłaszała? – zapytał.

– Nie. Na początku myślałam, że to głupi żart, że może ktoś pomylił szafki. Ale listy zaczęły się robić coraz bardziej dziwne i agresywne. Poza tym wyraźnie odnoszą się do mnie. Gdy dostałam ten o czerwieni, miałam na sobie czerwoną bluzkę. Na pewno są kierowane do mnie. Przyznam szczerze, że zaczęłam się niepokoić. Nie wiem, co z tym zrobić.

– Skąd podejrzenie, że może być w to zamieszany pan Kamiński? – zapytał rzeczowo.

Opowiedział mu o częstych spotkaniach w szpitalu, o moich odmowach pójścia razem na obiad, a na koniec o dzisiejszym incydencie na klatce schodowej.

– Nie mieszka pani w zbyt bezpiecznej dzielnicy – zauważył.

– Gdyby nie lokalne pijaczki, to nie wiem, co by się stało – odparowałam. – Nie mam co prawda na to dowodów, ale wydaje mi się, że którejś nocy Łukasz zaczaił się na mnie w szpitalnej szatni. Kiedy szłam do swojej szafki, ktoś zgasił światło i zaczął iść w moją stronę. Na szczęście spotkałam kolegę z oddziału, który przepłoszył napastnika.

Pol wziął do ręki kubek i rozsiadł się na kanapie. Wydawał się nad czymś rozmyślać. Błądził przy tym spojrzeniem po mojej twarzy i włosach. Po raz drugi tego dnia poczułam się nieswojo.

– Czemu pan mi się tak przygląda? Coś nie tak? – zapytałam i założyłam za uszy grube pasma włosów.

Były puszyste. Szybko opadły mi na twarz.

Speszył się i wyprostował jak struna.

– Bardzo przepraszam. Po prostu przyglądałem się pani włosom. To naturalne loki? – zapytał i siorbnął łyk herbaty.

– Tak – odpowiedziałam zmieszana. – Kolor też naturalny, jeśli to pana interesuje.

– Czarne kręcone włosy – mruknął.

– Słucham?

– Nie, nie, nic takiego. Zacząłem myśleć o ofierze morderstwa.

Nie do końca wiedziałam, jak się zachować. Nie pochlebiało mi, że siedzący obok mężczyzna patrzył na mnie i rozmyślał o trupie w szpitalnej piwnicy…

Kołtun przebudził się po drzemce w łazienkowej umywalce. Nigdy nie przejmował się gośćmi. Nikogo nie witał w drzwiach. Czasami wydawało mi się, że gdyby umiał nasypać sobie karmy, to i ja nie byłabym mu potrzebna do szczęścia.

Usłyszałam chrobot pazurów, gdy wskoczył na komodę stojącą za moimi plecami. To był jego główny punkt obserwacyjny. Miał stamtąd widok na strategiczne miejsca w mieszkaniu: drzwi wejściowe, kuchnię, łazienkę oraz oczywiście salon.

Wzrok komisarza powędrował w stronę mojego pupila. Mężczyzna przekrzywił głowę zupełnie jak pies, który z uwagą czemuś się przygląda. Zerknęłam przez ramię. Kołtun wbijał w niego ponure spojrzenie swoich hipnotycznie błękitnych oczu. Czubek ogona drgał mu niecierpliwie niczym grzechotnikowi, zupełnie jakby właśnie się czymś irytował.

Chyba nie spodobał mu się policjant.

– To pani kot? – spytał Pol uprzejmie. – Jaka to rasa?

– Pers.

– Rozumiem.

– Co powinnam zrobić z tymi listami? – Nakierowałam rozmowę z powrotem na prześladującego mnie salowego.

– Po pierwsze, nie wiemy, czy listy faktycznie przychodzą od niego.

– A nie możemy sprawdzić odcisków palców?

Widziałam coś takiego w amerykańskim serialu. Tamtejsi policjanci potrafili zdjąć odciski palców ze wszystkiego.

– Nie. – Rozwiał moje nadzieje. – Listy nie były zabezpieczone. Pani dotykała ich bez rękawiczek, ja też. Część z nich wygląda, jakby zamokły…

– Rozlałam na nie dzisiaj kawę – wyjaśniłam. – Byłam zdenerwowana zajściem na klatce schodowej i przewróciłam kubek. Ale od razu je wytarłam!

– No właśnie – mruknął, patrząc w oczy mojemu kotu.

Szczerze bawiła mnie reakcja komisarza. Kot wydawał się całkowicie go rozpraszać. Spojrzenie mężczyzny cały czas uciekało z mojej twarzy na miejsce nad moim lewym ramieniem, gdzie siedział Kołtun.

– Przepraszam – mruknął speszony Pol. – Jego mordka bardzo przyciąga wzrok.

– Wygląda, jakby spotkał się w dzieciństwie z drzwiami – przyznałam i zaśmiałam się.

Świetnie zdawałam sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy Kołtun był brzydki jak noc. Był to jeden z powodów, dla których pokochałam go od pierwszego wejrzenia. Jego brzydota była tak straszna, że aż piękna.

Dopiero później odkryłam, że z powodu krzywej przegrody nosa przeraźliwie chrapie i smarka. Wbrew pozorom sprawiło to, że jeszcze bardziej zaczęłam się nad nim rozczulać.

– Tak… ma w spojrzeniu coś niepokojącego – mruknął mężczyzna i wygodniej usadowił się na kanapie. – Zupełnie jakby planował mnie zamordować, używając tego puchatego ogona.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami. Już się przyzwyczaiłam do tego spojrzenia. Kołtun patrzył w taki sposób nawet wtedy, kiedy mruczał zadowolony z głaskania za uszami. Po prostu miał już taki wyraz pyszczka.

– Jest pani pewna, że listy przysyła pan Kamiński? – Pol wrócił do tematu.

– Nie. W zasadzie to się do tego nie przyznał – powiedziałam, przypominając sobie rozmowę na klatce. – Ale także nie zaprzeczył.

– Proszę wybaczyć pytanie, ale czy w pani życiu nie ma nikogo, kto mógłby zachowywać się w ten sposób? Jakiś odrzucony kochanek? Mąż? – Jego spojrzenie powędrowało do mojej ręki.

– Jestem rozwódką. – Zacisnęłam dłonie w pięści. – Ale zapewniam, że mój były mąż ma mnie głęboko gdzieś. To na pewno nie on. Kilka miesięcy temu przeprowadziłam się do Warszawy. Nie zdążyłam jeszcze nikogo poznać na tyle, żeby mógł mnie prześladować.

– A jednak ktoś to robi. – Potarł brodę. – Kiedy przeprowadziła się pani do Warszawy?

– Pół roku temu – odpowiedziałam. – A od dwóch miesięcy pracuję w Szpitalu Wschodnim.

– A co pani robiła przez poprzednie cztery miesiące?

Speszyłam się. Przez te cztery miesiące głównie płakałam, przytulając się do Kołtuna, i oddzierałam Sławka z naszych wspólnych zdjęć. Wolałam jednak nie przyznawać się do takiego zachowania.

I tym bardziej nie zamierzałam dodawać, że mam w szafie tekturowe pudełko po butach, w którego wnętrzu przyklejone jest jedyne ocalałe zdjęcie Sławka. Nie zająknę się także nawet słowem o trzydziestu szpilkach, które są wbite w tę fotografię.

Nie wierzę w szamanizm i voodoo. Niemniej jednak nie zaszkodzi spróbować. Może dostanie od tego chociaż pryszczy.

– Szukałam pracy, załatwiałam formalności związane z przeniesieniem rozpoczętej specjalizacji – wyjaśniłam niefrasobliwie. – Meblowałam mieszkanie.

Pokiwał głową z niedowierzającą miną, ale nie ciągnął tematu. No i dobrze. Sławek był ostatnią osobą, o której chciałabym dziś rozmawiać.

– Nie mogę teraz niczego zrobić, ponieważ nie zgłosiła pani oficjalnej skargi. – Westchnął. – Może pani udać się na posterunek i zgłosić, że pan Kamiński panią prześladuje. Jednak ma pani przeciwko niemu tylko dzisiejsze zdarzenie,

którego świadkami było dwóch tutejszych pijaków. Nie jestem pewien, czy oficer potraktuje to zgłoszenie z należytą uwagą.

– Rozumiem…

– Powinna pani udać się do działu personalnego w szpitalu i poinformować pracodawcę, że ktoś panią nęka i podrzuca listy do szafki. Nie wiem co prawda, co w tej sytuacji może zrobić pracodawca, niemniej jednak powinien to gdzieś odnotować. Takie zgłoszenie może się przydać, gdyby chciała się pani z kimś procesować o naruszenie dóbr osobistych.

Podłoga usunęła mi się spod nóg. Czy to naprawdę oznaczało, że dopóki Łukasz nie zrobi mi krzywdy, a może raczej: „nie naruszy moich dóbr osobistych", nie mam co liczyć na pomoc? To bez sensu!

Pol chyba zobaczył niedowierzanie na mojej twarzy, bo powiedział:

– Mogę pani obiecać, że będę miał na oku Kamińskiego. Mogę go wezwać na ponowne przesłuchanie w sprawie Maryli Mądrawskiej. Mimochodem go zapytam, czy zbytnio się pani nie naprzykrza. A następnie pouczę, że to niedobrze.

Od razu poczułam się lepiej.

– Dziękuję panu.

– Nie ma za co. Tymczasem proszę na siebie uważać. Gdyby coś się stało, gdyby coś pani zobaczyła, proszę do mnie dzwonić bez wahania.

Pokiwałam głową.

– Dobrze. A co z szafką?

– Nie rozumiem.

– Czy powinnam z niej korzystać? Robi się ciepło. Mogę zostawiać ubrania na oddziale. Może nie powinnam w ogóle schodzić do szatni?

– Nie wydaje mi się to konieczne, ale jak pani uważa. Nie wiadomo, czy Wielbiciel nie będzie podrzucał liścików gdzie indziej. Niemniej jednak radzę unikać samotnego przebywania w szatni. W zaistniałej sytuacji i w związku z morderstwem, do którego doszło na terenie szpitala, proszę po zmroku nie spacerować samotnie po piwnicy.

– Dobrze.

– Zrobiło się późno. Będę już jechał.

Poczułam się niezręcznie. Nie powinnam go zatrzymywać, bo miał własne życie. Od rana pewnie nie był w domu. Na myśl o tym, że zaraz wyjdzie, zrobiło mi się zimno. Nie chciałam zostać sama.

– Ma pani moją wizytówkę. Proszę przepisać numer do komórki i w razie potrzeby dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Proszę się nie krępować.

Komisarz wstał z kanapy i ruszył do wyjścia. Narzucił na siebie lekki granatowy płaszcz. Zatrzymał się przy komodzie i po raz ostatni zmierzył Kołtuna poważnym spojrzeniem.

– Nie gryzie i nie drapie – powiedziałam. – Może go pan pogłaskać.

Wyglądało na to, że dotknięcie mojego pupila było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, ale dzielnie wyciągnął rękę i poklepał go po aksamitnym łebku. Biała naelektryzowana sierść kocura jakby tylko na to czekała. Od razu przylgnęła do rękawa granatowego płaszcza.

Czasem mam wrażenie, że sierść Kołtuna to osobny organizm, który rozsiewa zarodniki w postaci kłaków.

– Proszę na siebie uważać. Nadal nie złapaliśmy przestępcy – powiedział komisarz, patrząc na moje włosy, i wyszedł.

Zamknęłam dokładnie drzwi.

– Kołtun, chyba mam poważny problem. – Pogłaskałam pupila między uszami. – Ale nie martw się. Na pewno nie wrócimy do Gdańska. Tamten klimat nam nie służył. Ani tobie na futro, ani mnie na włosy. A tym bardziej na duszę…

20.

Bolał mnie brzuch i miałam mdłości. Przed wyjściem z domu nałykałam się środków na żołądek, które miałam pod ręką, ale nic nie dały. Nowy dzień nie zapowiadał się dobrze.

Nie zamierzałam wchodzić do szatni – postanowiłam unikać tego miejsca jak ognia. Wszystko dokładnie zaplanowałam. Było już w miarę ciepło, więc nosiłam cienką, wiosenną kurtkę, którą mogłam wieszać na oparciu krzesła w pokoju lekarskim. Poza tym nikt na psychiatrii nie oczekiwał, że będę zmieniała obuwie. Mogłam spacerować w ukochanych szpilkach. Nie chciałam też schodzić do szatni po fartuch. Zabrałam z domu zapasowy, tamten spisując na straty, dopóki znowu nie będę miała wystarczająco dużo odwagi, żeby tam zejść.

Koledzy z pokoju nie skomentowali zmiany mojego zachowania. Znacząco spojrzeli na czarne buty na wąskiej szpileczce, ale nic nie powiedzieli. Karol wydawał się coś podejrzewać, biorąc pod uwagę nasz ostatni dyżur, ale uszanował moją prywatność i nie pisnął słowa. Ula z kolei zaczęła chyba podejrzewać, że zmieniłam image, bo zdecydowałam iść za jej radą i poderwać chirurga.

Jedynie oddziałowa była zbulwersowana moim obuwiem. Zapowiadała mi – niczym grecka wieszczka – w przyszłości haluksy i kłopoty z kręgosłupem. Za każdym razem, gdy mnie widziała, wznosiła oczy do nieba.

Chyba powinnam jednak kupić trampki…

Kartynowicz w końcu wykazał pewną poprawę. Niestety, na razie dyskretną, ale byłam gotowa i za to dziękować Bogu na klęczkach. Już się nie bałam stawać obok. Moja ucieczka przed nim w butach na obcasach byłaby widowiskowa i z pewnością mało skuteczna.

Miałam go serdecznie dość, lecz nie mogłam okazywać zniecierpliwienia. Trochę ze strachu, że mnie skrzywdzi, a trochę z obawy, że złoży skargę. Nie mogłam jednak już patrzeć na tę bezczelną gębę ćpuna. Empatia ma pewne granice. Nawet u psychiatrów.

Mój nowy pacjent był jego przeciwieństwem. Młody chudziutki chłopak, przyjęty na oddział w nocy, skonfliktowany z całym światem i samym sobą, czego wynikiem była próba samobójcza. Na szczęście nieudana. Przecięcie żył na nadgarstkach było raczej na pokaz niż z faktycznej chęci odebrania sobie życia.

W myślach nadałam mu przydomek „Pony” na cześć kolorowych kucyków, którymi zachwycają się wszystkie dzieci znajomych. Barwny irokez bardzo przypominał mi końskie grzywy.

Pony był wystraszony. Sądził raczej, że rodzice rzucą mu się na szyję i go przeproszą, że nie kupili mu nowego iPhone’a. Nie spodziewał się, że po próbie samobójczej zamkną go na obserwacji, bez jego zgody, w szpitalu psychiatrycznym. No cóż. Tak to jest, gdy się ma już osiemnaście lat. Trafia się do

pierwszego lepszego szpitala psychiatrycznego, w którym akurat są wolne miejsca, a nie do Józefowa, gdzie rosną drzewka i wszyscy klepią młodego pacjenta po główce, rozczulając się nad jego pozbawionym miłości dzieciństwem.

Na szczęście, w swoim przerażeniu bądź może sparaliżowaniu strachem nie protestował, gdy go badałam, i spokojnie odpowiadał na wszystkie pytania. Nie kłamał. Tak jak podejrzewałam, był skonfliktowany z całym światem. Długo ukrywał swój homoseksualizm, którego nie rozumieli i z którym nie zgadzali się rodzice. Dodatkowo był weganinem, miał celiakię i aktywnie walczył o prawa zwierząt. Głównie wielorybów.

Z ciężkim sercem położyłam go na odcinku ogólnym. Nie nadawał się na izolatkę. Byli pacjenci w poważniejszym od niego stanie, którzy w każdej chwili mogli targnąć się na swoje życie. Chłopiec o BMI połowę niższym od mojego miał poważne zaburzenia, ale nie na tyle duże, że wymagałyby stałej obserwacji.

Miałam nadzieję, że pacjenci pokroju Kartynowicza nie zgnoją go za bardzo, kiedy znajdzie się na oddziale. Niestety, jego kolorowe włosy i obcisłe spodnie rurki mocno rzucały się w oczy. Zasugerowałam mu, żeby na oddziale siedział w kapturze i poprosił rodziców o przywiezienie dresu, ale mnie wyśmiał.

No cóż. Starałam się, jak mogłam i na ile pozwalały mi warunki panujące w szpitalu. Teraz wszystko zależało od niego. Zamierzałam włączyć leki dopiero wtedy, gdy psycholog oddziałowy także uzna, że to konieczne. Na razie ktoś powinien mu uporządkować parę rzeczy w głowie.

Kiedy nastała pora obiadowa, wyciągnęłam z torby jogurt i postawiłam na biurku. Ula i Karol posłali mi pełne zdziwienia spojrzenia. Nigdy nie jadałam w pokoju lekarskim. Zawsze z niego uciekałam, żeby mi nikt nie zawracał głowy podczas posiłku.

Poza tym nie jadałam jogurtów.

– Asiu, czy coś się stało? – zapytała Ula.

Jak na zawołanie zaczął mnie boleć żołądek.

– Nie, nie – zaprzeczyłam, pospiesznie zrywając celofanowe wieczko.

Nie cierpię jogurtów naturalnych. Niestety, nie miałam w lodówce niczego, co nadawałoby się do zabrania do pracy na drugie śniadanie.

– Jesteś pewna? – zapytał Karol. – Zachowujesz się dzisiaj inaczej.

– Tak, jestem pewna. – Najeżyłam się.

Obserwatorzy się znaleźli.

– Zupełnie jakbyś unikała podziemi szpitala – skwitował i posłał mi znaczące spojrzenie. – Najpierw nie zeszłaś do szatni, by zostawić tam kurtkę, a teraz nie idziesz do naszej knajpki.

Niech go szlag. Dosłownie sekundy dzieliły mnie od przesłuchania, które zapewne zaserwuje mi Ula.

– Od kilku dni chyba dokuczają mi wrzody. A co do kurtki, to utknęłam rano

w korku. Gdybym poszła do szatni, znów spóźniłabym się na odprawę – wytłumaczyłam szybko, licząc, że moja niepunktualność zapewni mi najlepsze alibi.

Karol znacząco patrzył na mój fartuch.

– A skąd wzięłaś fartuch? Musiałaś zajrzeć do swojej szafki… – drążył zaintrygowany.

Przysięgłam sobie uroczyście, że urwę mu później głowę.

– Fartuch wzięłam z domu, czysty – wycedziłam. – Poprzedni nadaje się do prania.

Nawet nie skłamałam za bardzo.

– Interesujące – mruknął.

Moja wymówka wydała się prawdopodobna, toteż wreszcie dali mi święty spokój. Nie wypytywali dłużej. Karol tylko zerkał na mnie spode łba. Nie wiem, czemu się uparł, by mi udowodnić, że coś jest nie tak.

Nie zdążyłam zjeść łyżki jogurtu, gdy zadzwonił telefon. Tomek. Ból w nadbrzuszu zaczął przechodzić w kłucie w okolicy pępka.

– Halo? – zapytałam.

– Cześć, piękna.

– Cześć.

Ugryzłam się w język, zanim zdążyłam wypowiedzieć jego imię. Wolałam, żeby Ula nie podsłuchiwała. I tak zawsze to robiła, niemniej jednak gdyby usłyszała, że rozmawiam ze Stalowcem, wytężyłaby słuch jeszcze bardziej.

– Słuchaj, pilnie potrzebuję twojej pomocy – powiedział.

– A co się stało?

– Bardzo poważny wypadek. Musisz natychmiast tu przyjść.

– Nie mam dzisiaj dyżuru – zaprotestowałam.

– Nie potrzebuję pomocy dyżurnego, tylko twojej.

Westchnęłam ciężko i potarłam dłonią twarz. Dzień robił się coraz dziwniejszy. Czego ode mnie chciał?

– To naprawdę coś pilnego? – jęknęłam.

– Tak.

– I na pewno muszę przyjść?

– Tak.

– A gdzie jesteś? – zapytałam zrezygnowana.

– W piwnicy pod blokiem psychiatrii. Zejdź do mnie na chwilę.

– Skoro naprawdę muszę…

– Musisz. – Rzucił słuchawką.

Zaskoczona odsunęłam telefon od policzka i wpatrywałam się przez chwilę w wyświetlacz, który po chwili zgasł.

– Jakaś ciekawa rozmowa? – Ula pochyliła się w moją stronę. – Czyżby

chirurg?

Naprawdę zastanawiają mnie jej zdolności. To albo szósty zmysł, albo wybitnie czuły słuch. Nie ma innego wytłumaczenia. Bardzo lubiłam Ulę, miała zwykle dobre intencje, ale też długi język. Byłam pewna, że wszystkim wygada o spotkaniach ze Stalowcem. Wolałam tego uniknąć.

– Nie bardzo – mruknęłam wymijająco. – Zaraz wracam.

Zapięłam fartuch i wyszłam z pokoju odprowadzana jej zaciekawionym spojrzeniem. W zakresie śledzenia i tropienia Ula ćwiczy się na Karolu od kilku lat, a na mnie od kilku miesięcy. Widać wyraźne postępy.

Nie skorzystałam z windy. Nie chciałam w niej spotkać Łukasza. Wolałam zejść schodami pomimo obuwia nieprzeznaczonego do pokonywania takich przeszkód.

Na dole zobaczyłam Tomka opartego niedbale o ścianę. Rzuciłam szybkie spojrzenia w obie odnogi korytarza. Nigdzie nie było salowego. Teren czysty.

Za to moja paranoja była coraz większa.

– Cześć. – Stalowiec pochylił się w moją stronę i cmoknął mnie w policzek.

Zachwycony powiódł spojrzeniem po moich nogach wydłużonych o dziesięć centymetrów przez szpilki.

– Cześć. Co się stało? – zapytałam.

Zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie mojej twarzy.

– To raczej ja powinienem zapytać, czy coś się stało. Wyglądasz zjawiskowo, chociaż… jesteś jakaś blada. Dobrze się czujesz?

– Tomku, nie mam czasu. O co chodzi? – irytowałam się.

– Mam dla ciebie niespodziankę! – Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Poza tym chciałbym zaprosić cię na randkę. Nie możesz odmówić.

– Dlaczego? – palnęłam, zanim zdążyłam się zastanowić.

– Co „dlaczego”? – Nie zrozumiał.

– Dlaczego nie mogę odmówić? – Westchnęłam.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Odsunął się ode mnie i oparł o ścianę.

– Musisz mi powiedzieć, co się stało – nalegał. – Widzę, że coś jest nie tak. Dziwnie się zachowujesz. Rano czekałem na ciebie w szatni, ale się nie pojawiłaś. Potem zajrzałem do knajpki, ale też cię nie było. Na Boga, musiałem wywabić cię z oddziału podstępem. Źle wyglądasz. O co chodzi?

Objęłam się ramionami. Może mogłam powiedzieć mu o wszystkim, co działo się w moim życiu? Może byłoby mi lżej, gdybym nie martwiła się tym wszystkim sama?

– Kojarzysz może tego salowego z brodą? – zapytałam.

– Tak, tego ze szklanym okiem.

– Co? Ze szklanym okiem? – zdziwiłam się. – Myślałam, że ma zeza!

– Nie, to nie zez. Ma szklane oko. Prawe. Jakiś czas temu mieliśmy na

oddziale niezłą bekę z niego, kiedy się o tym dowiedzieliśmy. Chyba mu się to nie spodobało, bo poprosił o zastępstwo. Zamienił się z kimś i wylądował na bloku. Myślał, że nas uniknie. Nie wiem, skąd mu przyszło do głowy, że na bloku nie ma chirurgów…

Mówił to lekkim tonem, jakbyśmy byli w szkole, gdzie naśmiewanie się z kolegów z klasy było na porządku dziennym.

– Mówisz o tym gościu z brodą, takim przeraźliwie chudym i tyczkowatym? Którego spotkaliśmy w piwnicy? – Chciał się upewnić.

– Chyba tak.

– Czekaj… jak on się nazywa? – Tomek mówił do siebie. – Mam to na końcu języka. Ka… Ko…

– Kamiński. Łukasz Kamiński – zasugerowałam.

– Tak, tak! To ten. Co z nim?

Zawahałam się. Chirurg dotknął mojego ramienia i zmusił mnie, żebym spojrzała mu w oczy. Z zaskoczeniem zauważyłam, że zasnuły się mgiełką gniewu.

– Co z nim?! – powtórzył. – Coś ci zrobił?!

– Nie, to nie tak. On po prostu za mną łazi.

– Jak to łazi?!

– Szedł wczoraj za mną do domu. – Wzruszyłam ramionami.

– Przecież ty jeździsz samochodem. Śledził cię w drodze do domu?!

Pokiwałam głową.

– Na Boga… Nie mogę w to uwierzyć. – Potarł dłońmi twarz i spojrzał w przestrzeń ponad moim ramieniem. – To… to…

– Przerażające – mruknęłam.

– W rzeczy samej – zgodził się. – Chcesz, żebym mu nagadał? Mogę też skrzyknąć chłopaków i go obijemy.

– Nie, nie. – Otworzyłam szeroko oczy zaskoczona propozycją.

Powoli dochodziłam do wniosku, że poskarżenie się Tomkowi nie było najlepszym pomysłem.

– Asiu, nie można tego tak zostawić – zaprotestował. – To nie jest normalne zachowanie.

– Zadzwoniłam na policję. Skontaktowałam się z policjantem, który przesłuchiwał mnie w sprawie twojej zamordowanej pacjentki.

Tomek zamrugał kilka razy, nie mogąc najwyraźniej uwierzyć w to, co powiedziałam.

– Dlaczego zadzwoniłaś akurat do niego? – zapytał. – Czemu nie poszłaś na komisariat?

– Bo nie wiedziałam, co robić. – Speszyłam się. – Dał mi wizytówkę… jest policjantem… jakoś to wydawało się logiczne. Poza tym ktoś zamordował pacjentkę w naszym szpitalu. Skoro Łukasz zachowuje się podejrzanie, to skąd

pewność, że nie jest mordercą?

– Policja też tak uważa?

– Nie wiem… może nie. Niemniej jednak powinni się nad tym zastanowić. Poważnie zastanowić.

– Masz rację. – Pokiwał głową. – Jeśli złapałaś policji mordercę, to powinni dać ci medal.

Stuknęłam go w ramię, żeby przestał się ze mnie nabijać.

– Żeby tylko nie chciał się na tobie zemścić, gdy policja się nim zainteresuje. – Mężczyzna spoważniał.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie…

– W takim razie, żeby poprawić ci humor, zapraszam cię na randkę – wrócił do głównego powodu naszego spotkania.

– Tomku, nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Nie dam się spławić. Nie tym razem. Jestem pewien, że randka poprawi ci humor.

– Tomku, ja nie wiem, czy mam ochotę – odpowiedziałam szczerze.

– Fakt, że tego nie wiesz, wezmę za dobrą monetę. Pomogę ci podjąć decyzję – nie ustępował. – Zresztą nie proponuję ci ślubu. Wyskoczmy gdzieś jak dwójka przyjaciół.

– Jesteś niemożliwy, wiesz?

– Znam fajną knajpę na Pradze. Wieczorami amatorzy grają tam na żywo ckliwe kawałki. Niektórzy są całkiem nieźli. Co ty na to, żeby pójść na piwo z koncertem w cenie?

Ciągle miałam wątpliwości, czy to dobry pomysł. Nie chciałam mu narobić nadziei. Z drugiej jednak strony ogromnie mnie korciło, żeby wyskoczyć gdzieś na miasto i o wszystkim zapomnieć.

– Dobrze – uległam. – Ale to nie będzie randka, tylko spotkanie przyjaciół! Rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem. W takim razie przyjadę po ciebie o dwudziestej. Podaj mi adres. – Zdawał się w ogóle nie słyszeć, co przed chwilą powiedziałam.

Wyciągnął z kieszeni spodni telefon i zamarł, czekając, aż mu podyktuję nazwę ulicy.

– Czekaj, czekaj. Jest środek tygodnia – upomniałam go. – Może lepiej spotkać się w piątek albo w sobotę?

– Czy ty przypadkiem nie usiłujesz tego odwlec?

– Jakżebym mogła – zakpiłam.

– W piątek mam dyżur. – Zmarszczył brwi. – W takim razie proponuję sobotę. Rano odeśpię, a potem po ciebie podjadę. Co ty na to?

– Jak na lato – westchnęłam.

– Moja droga, jeśli zdobywanie kobiety można porównać do zdobywania

górskich szczytów, to chyba jesteś Mount Everestem. Jeszcze nigdy się tak nie napracowałem, usiłując umówić się na randkę!

– Cieszę się, że stanowię dla ciebie wyzwanie – zaśmiałam się. – I przypominam, że to nie randka.

Gdy już mieliśmy się rozstać, zatrzymałam go.

– A niespodzianka? – zapytałam.

– Co?

– Mówiłeś, że masz dla mnie niespodziankę – przypomniałam.

– Dostaniesz ją w sobotę wieczorem. – Puścił do mnie oko. – Skoro mam cię zdobywać, to musisz poczekać.

21.

Szpital Wschodni, piwnica

Bartosz Niedźwiedziecki nienawidził swojej pracy. Prawie tak mocno jak siebie samego. Nienawidził długich powrotów do domu po całym dniu. Nienawidził domu, który przed laty kupił z żoną, prawie za bezcen. Nienawidził też tego, że stać ich było tylko na jeden samochód, z którego to ona korzystała.

Nienawiść – czasami wydawało mu się, że tak mocno przesiąkł tym uczuciem, iż nie zna już niczego innego.

Spojrzał na pękatą, wysłużoną torbę lekarską, którą codziennie nosił do pracy. Miał w niej wszystko, co było potrzebne do przeżycia dwugodzinnej podróży tam i z powrotem. Każdego ranka biegł na zapchany ludźmi peron pociągów podmiejskich, by wsiąść do swojego składu. Szczęściem w jego nieszczęściu było to, że wsiadał na tyle daleko od Warszawy, iż w wagonach były jeszcze wolne miejsca. Na kolejnych stacjach przybywało tylu ludzi, że nie było dnia, by któraś z kobiet nie zemdlała upchnięta między pasażerami jak szprotka w puszce. Kiedyś ustępował kobietom miejsca. Przestał, gdy zasłabł pewnego grudniowego poranka. Do dziś pamiętał ten dzień i niemoc, którą poczuł. Wtedy dotarło do niego, że jest już za stary na takie przygody.

Jednak był jeden powód, dla którego doktor Niedźwiedziecki codziennie szedł na pociąg z uśmiechem na ustach. Z tego samego powodu nie zanikała w nim jeszcze nadzieja, że w sercu miał miejsce na coś innego niż tylko nienawiść.

Każdego ranka wiedział, że w pociągu spotka Ją. Kobietę swoich marzeń. Miała trzydzieści parę lat, ślad po obrączce na palcu i smutne oczy. Wsiadała do pociągu stację wcześniej. Zawsze szedł przez skład tak długo, aż znalazł wagon, w którym siedziała. Nigdy nie odważył się zająć siedzenia obok Niej, jeśli było wolne. Zawsze siadał gdzieś z boku, raz tylko odważył się usiąść naprzeciwko. Posłała mu wtedy łagodny uśmiech i przesunęła nogi, żeby miał gdzie postawić torbę.

Jeździli tym samym pociągiem od sześciu lat, ale nie zamienili ze sobą ani słowa. Niedźwiedziecki trwał w swoim zauroczeniu. Nie miał ochoty na romans, nawet przez myśl mu to nigdy nie przeszło. Wystarczało mu, że mógł codziennie na nią patrzeć przez dwie godziny. Poza tym kochał żonę i dwójkę dorosłych już dzieci. Nie byłby w stanie ich skrzywdzić.

Szczerze żałował, że przez te sześć lat nigdy nie spotkał Jej w drodze powrotnej. O ile przyjemniejsze byłyby to podróże! Wsiadał do bardzo już zatłoczonego pociągu na stacji Warszawa Wschodnia. Nie miał szans na złapanie miejsca siedzącego, a tym bardziej przepychanie się przez cały skład, aby Ją

odnaleźć.

Mimo to nie tracił nadziei i każdego dnia po wyjściu z pracy przygotowywał się na ewentualne spotkanie. Dzisiaj także spieszył się do szatni. Po drodze uśmiechał się spod sumiastego, posiwiałego wąsa do pracowników szpitala, którzy nie mieli tyle szczęścia co on i musieli zostać na drugą zmianę.

Doktor Niedźwiedziecki był szpitalnym patomorfologiem. Pracował wyłącznie rano. Nie zgodził się na popołudniową zmianę, tłumacząc to przełożonemu problemem z dojazdem spod Warszawy. Tak naprawdę po prostu chciał codziennie jeździć pociągiem z Nią.

– Do widzenia! – krzyknął ktoś za nim, gdy przekroczył próg szatni.

– Do widzenia – pozdrowił jedną ze swoich podwładnych.

Kierował zespołem patomorfologów. Większość pracowała przy tak zwanych „szkiełkach", oglądając pod mikroskopami fragmenty tkanek pobranych między innymi podczas zabiegów operacyjnych głównie w poszukiwaniu śladów nowotworów bądź stanu zapalnego. Sam także się tym zajmował, ale czasami robił sekcje szpitalne.

Chociaż nie mówił tego głośno, wolał sekcje. Smród chemikaliów, w których konserwowane były tkanki i wycinki, przez lata przenikał jego ubrania, włosy i skórę. Niedźwiedziecki miał wrażenie, że nawet jego oddech pachnie chemikaliami i formaliną. Ludzkie ciała nie były sztucznie konserwowane i nie śmierdziały tak strasznie jak preparaty wsuwane na szkiełkach pod czujne oko mikroskopu.

Przez lata pracy w słabo wentylowanej piwnicy szpitala jego węch uległ znacznemu pogorszeniu. Nie czuł już wyraźnie chemicznego zapachu. Był jednak przekonany o jego obecności.

Postawił teczkę na podłodze i stanął przy swojej szafce. Otworzył drzwiczki i wciągnął powietrze. Poruszył sumiastymi wąsami. Czuł smród.

Ściągnął fartuch i szpitalną bluzę. Obficie spryskał klatkę piersiową dezodorantem o zapachu piżma, kilkakrotnie psikając rosnące na niej gęste kręcone włosy. Stojąc w obłoku dezodorantu, zaczął się przebierać.

Gdy zapinał koszulę, znowu pociągnął nosem. Cały czas miał wrażenie, że czuje zapach prosektorium, z którego przecież przed chwilą wyszedł. Obejrzał rękawy wiszącego w szafce fartucha, szukając na nim zacieków z płynów ustrojowych denata, którym się dzisiaj zajmował.

Rękawy były czyste. Nie wiedział, czy tylko wydaje mu się, że czuje smród rozkładu, czy może tak pracowała jego wyobraźnia. Na wszelki wypadek jeszcze raz psiknął się dezodorantem.

Szybko zatrzasnął szafkę i wybiegł z szatni. Miał niewiele czasu, by dotrzeć na dworzec. Bał się, że ucieknie mu pociąg.

***

Skołtunione frędzle mopa przesuwały się po brudnej podłodze. Położona kilkadziesiąt lat temu mozaika z kremowych i brązowych płytek popękała i zmurszała. Nie sposób było jej domyć.

Sprzątaczka nawet nie próbowała tego robić. Była zatrudniona nie przez szpital, lecz przez zewnętrzną firmę na umowę śmieciową. Nie zarabiała dużo, ledwie jej wystarczało na czynsz i rachunki. Nie zamierzała w związku z tym przejmować się faktem, że wodę w wiadrze zmieniła tylko raz i teraz tylko rozmazywała brud w szatni pracowniczej, zamiast sprzątać.

Nikt nie kontrolował efektów jej pracy. Nikt nawet nie wiedział, jak się nazywa. Była dla pracowników szpitala niczym powietrze albo raczej element wystroju wnętrza. Wszyscy traktowali ją tak samo obojętnie, nieważne – lekarz czy pielęgniarka. Salowych w szpitalach w zasadzie nie było. Może z nimi mogłaby nawiązać nić porozumienia. Gdyby jednak pracowało tu wiele salowych, nikt by jej nie zatrudnił.

Była głęboko przekonana o tym, że pracownicy szpitala nanoszący codziennie brud do szatni nie zasługiwali na to, żeby po nich sprzątać. Jej mąż z bolącym kręgosłupem wylądował na szpitalnym oddziale ratunkowym, gdzie czekał szesnaście godzin, aż się ktoś nim zajmie. Gdy głupie konowały dały mu tylko jedną kroplówkę i wysłały do domu z receptą na środki przeciwbólowe, straciła szacunek do polskiej służby zdrowia. Była święcie przekonana, że mąż powinien być obsłużony poza kolejnością. W końcu ona sobie tu ręce urabiała.

Ale nikogo to nie obchodziło. Dlatego ją przestało obchodzić to, czy podłoga jest czysta.

Nagle dotarł do niej smród. Skrzywiła się z niesmakiem. Śmierdziało, jakby coś się zepsuło. Weszła pomiędzy szafki, usiłując znaleźć starą kanapkę, którą jeden z tych konowałów mógł gdzieś dawno temu zostawić. Niczego jednak nie znalazła.

Zatrzymała się przy szafce, z której – jak jej się wydawało – wydostawał się nieprzyjemny zapach. Na drzwiach wisiały dwie kłódki. Nie miała szans, żeby wyrzucić śmierdzący obiekt.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Nie zamierzała się tym zajmować. To nie był jej problem.

***

– Pani Mario chciałabym zgłosić, że w szatni śmierdzi! – Wysoka pielęgniarka pracująca na ortopedii mogła konkurować z niejednym mężczyzną, jeśli chodzi o wzrost.

Starsza pani pracująca w szpitalnym depozycie zamrugała zaskoczona skargą. Sama skarga jej nie zaskoczyła. Wiadomo, że w szatni śmierdzi. W każdej

szatni śmierdzi. Zwłaszcza gdy tak jak ta jest położona w słabo wentylowanej piwnicy.

Zaskoczyło ją natomiast, że była to już czwarta skarga zgłoszona przez pracowników w ciągu ostatnich dwóch dni. Dotąd nie zdarzały się tak często. Tym razem smród musiał być niebywale dotkliwy.

Urzędniczka, poza zajmowaniem się szpitalnym depozytem pacjentów, sprawowała pieczę nad szatniami pracowniczymi. To od niej i jej starego brulionu w kratkę zależało, czy pracownik dostanie szafkę, czy nie. Depozyt położony był w podziemiach budynku E, niedaleko wind, którymi można było dojechać do pięter zajętych przez oddział psychiatrii. Nie miał telefonu do połączeń wewnętrznych.

Pracownikom rzadko chciało się przejść taki kawał drogi, by zgłosić skargę. Pokonywali labirynt podziemi tylko wtedy, gdy niedogodność była bardzo przykra. Najwyraźniej teraz smród osiągnął apogeum, skoro zmotywował tyle osób do odwiedzenia depozytu.

– Nie rozumiem. – Z wysiłkiem dźwignęła się z ugniecionego przez lata fotela, który stał koło okna. Na niegdyś miękkiej poduszce można było zobaczyć zarys jej pośladków w rozmiarze XXL. – Co się dzieje?

– Co się dzieje?! Śmierdzi! Nie dość, że syf jest tam taki, jakby dla sprzątaczek używanie ściery było zbyt skomplikowane, to jeszcze śmierdzi! – warknęła opryskliwie pielęgniarka. – Chcę złożyć skargę na firmę sprzątającą i żądam zajęcia się tą sprawą.

– Nie wiem, co mam z tym zrobić – zaprotestowała pani Maria. – Nie zajmuję się zatrudnianiem personelu sprzątającego. Musi pani iść do kadr.

– Smród wydobywa się z jednej z szafek. Na dodatek tuż obok mnie! Już tego nie zniosę. Do tego dzisiaj z tej szafki zaczęła się wylewać na podłogę jakaś śmierdząca breja!

Szefowa depozytu zmarszczyła brwi. Zajmowanie się szafkami niestety należało do jej zadań.

– O którą szafkę chodzi? – zapytała.

– 235. Czyja to?

– Już sprawdzam.

Pani Maria zaczęła kartkować swój brulion w kratkę. Na każdej stronie znajdowała się starannie narysowana tabelka z numerem szafki i personaliami osoby, która była jej użytkownikiem.

– Wie pani, zdarza się, że ktoś pojedzie na urlop i zapomni wyrzucić drugie śniadanie – usiłowała udobruchać rozsierdzoną pielęgniarkę.

– To nie jest smród zepsutego jedzenia – odparła tamta i zaczęła niecierpliwie tupać nogą. – To śmierdzi jak gówno.

– Mam. – Kobieta przesunęła palec po wypełnionej tabelce i zatrzymała go przy numerze 235. – Szafka należy do doktor Joanny Skoczek. Pani doktor pracuje

na psychiatrii.

– Proszę się z nią skontaktować i natychmiast to wyjaśnić! Jest piątek. Jeśli przez weekend to coś będzie się kisić w szafce, to w poniedziałek nie będzie tam można wejść!

Pani Maria nie pokusiła się o komentarz. Zamknęła tylko z głośnym klapnięciem swój brulion.

– Co ona trzyma w tej szafce?! – piekliła się pielęgniarka. – Muszę iść do pracy. Mam nadzieję, że do popołudnia ten problem zostanie rozwiązany!

Szefowa depozytu przewróciła oczami, gdy tylko za pyskatą pielęgniarką zamknęły się drzwi. W przeciwieństwie do niej nie zamierzała się spieszyć. Najpierw chciała udać się do szatni i za pomocą własnego nosa sprawdzić, czy rzeczywiście tam śmierdzi, a dopiero później zawracać głowę pani doktor.

Całe szczęście, że przynajmniej na psychiatrię nie miała daleko, gdyby faktycznie musiała się tam pofatygować.

22.

Karta informacyjna pacjenta, którego zamierzałam wypisać po prawie pięciomiesięcznym pobycie na oddziale, rozmywała mi się przed oczami. Miałam wrażenie, że litery w dokumencie się przestawiają, a cyfry w wynikach badań przeskakują linijki.

Był piątek i dawno temu wybiła szesnasta. Nie mogłam jednak iść do domu. Epikryza, zajmująca przeszło trzy strony, którą pracowicie stworzyłam wczoraj, nie spodobała się na odprawie profesorowi. Sam fakt, że kazał ją sobie przynieść do sprawdzenia, był dla mnie zaskoczeniem. Liczba poprawek, które polecił mi nanieść, już nie.

Przeklinając, na czym świat stoi, zostałam w pracy po godzinach, za które rzecz jasna nikt mi nie zapłaci, bo profesor miał kaprys, by dorzucić mi papierologii. Szukał dzisiaj chłopca do bicia i niestety, znalazł.

Normalnie napiłabym się o tej godzinie kawy, ale żołądek dokuczał mi coraz mocniej. Karol i Urszula już dawno poszli, oddział był opustoszały. Obaj dyżurni zniknęli gdzieś zajęci swoimi sprawami. Nie mogłam pójść do domu i dokończyć tego w poniedziałek, bo obiecałam pacjentowi, że dzisiaj pójdzie do domu. Miałam zasadę: nie łamać obietnic danych pacjentom.

Nawet jeśli oznaczało to nadgodziny.

Zaczęłam się zastanawiać, ile jeszcze lat będę się tak zachowywać. Wypalenie dopada każdego z nas. W którymś momencie stwierdza się, że własne życie i wygoda są ważniejsze. Intrygowało mnie, ile czasu upłynie, zanim przestanę „judymować".

Wreszcie, prawie krzycząc z radości, z czystym sumieniem wcisnęłam klawisz „drukuj". Drukarka, terkocząc jak szalona, wypluła kilkanaście kartek. Posegregowałam je, pospinałam i podbiłam swoją pieczątką oraz pieczątką oddziału. Sięgnęłam po pieczątkę Karola, którą zostawił, bym mogła przypieczętować wypis oraz podrobić jego podpis jako opiekuna. Mogłam teraz przekazać kartę pacjentowi i życzyć mu zdrowia.

Drzwi do pokoju lekarskiego były uchylone, jednak ktoś do niech zastukał. Odwróciłam się zaskoczona.

– Dzień dobry pani doktor! – W szparze tuż przy framudze pojawiła się zatroskana twarz ochroniarza. – Tak mi się wydawało, że jeszcze panią złapię. Przepraszam, że niepokoję.

– Coś się stało? – zdziwiłam się.

Bardzo lubiłam tego pana. Miał na imię Wacław i był zapalonym gołębiarzem. Kiedyś podczas dyżuru godzinami raczył mnie opowieściami o ptakach i pokazywał zdjęcia swoich czempionów. Nosił je w portfelu. Dzięki niemu dowiedziałam się, że istnieją specjalne wyścigi gołębi pocztowych,

w których jego pupile wielokrotnie brali udział.

Mile połechtany szczerym zachwytem nad rzadko dzisiaj spotykanym hobby zaproponował mi sprezentowanie gołębia. Przez chwilę miałam ochotę się zgodzić, rozczulona zdjęciem pisklęcia, które pozbawione piórek było tak brzydkie, że aż śliczne. Na szczęście szybko do mnie dotarło, że przecież mam w mieszkaniu kota.

Kołtun na pewno by się ucieszył.

Gołąb i pan Wacław trochę mniej.

– Przyszła pani Maria do pani – wyjaśnił. – Mam jej powiedzieć, że pani doktor jest zajęta i nie ma czasu?

– Pani Maria? – Nie miałam zielonego pojęcia, o kogo chodzi.

– Pani Maria z depozytu.

Nadal nie wiedziałam, o kogo chodzi, a tym bardziej, o co chodzi. Sapnęłam z irytacją. Jak coś się ma dziać, to oczywiście w piątek po południu.

– No dobrze, zobaczę, o co chodzi – mruknęłam i wyszłam z pokoju.

Na korytarzu przy biurku ochroniarza przycupnęła na ławce staruszka. Wydawało mi się, że skądś znam tę pucułowatą, dobrotliwą buzię bohaterki dziecięcych bajek.

Z jakiegoś powodu budziła jednak we mnie niepokój.

– Dzień dobry – powitałam ją.

– A dzień dobry. Szczerze mówiąc, to miałam nadzieję, że już pani o tej godzinie nie zastanę – odparła.

– Ja także myślałam, że o tej godzinie będę w domu – powiedziałam, nie wiedząc, jak się zachować.

Wolałabym, żeby nie zawracała mi głowy.

– Proszę mówić głośniej! Nie słyszę zbyt dobrze – upomniała mnie.

– Przepraszam. Mówię, że też nie sądziłam, że jeszcze tu będę…

– Głośniej!

– Przepraszam! Ja…! – ryknęłam.

– Pracuję w depozycie szpitalnym – przerwała mi bezceremonialnie.

Zaczęłam się zastanawiać, czy może któryś z moich pacjentów nie zostawił tam czegoś wartościowego i się po to nie zgłosił. Pierwszy raz jednak zetknęłam się z tym, by do takiej sprawy angażować lekarza zajmującego się pacjentem.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytałam uprzejmie i przesadnie głośno.

– Zajmuję się także szafkami pracowniczymi – dodała.

Natychmiast skojarzyłam, skąd znam tę pucułowatą twarz. Należała do bezwzględnej staruszki, która pierwszego dnia pracy zrugała mnie za to, że nie kupiłam sobie co najmniej dwóch kłódek. Jeszcze chyba nikt mnie tak nie poniżył, nie podnosząc głosu.

– Rozumiem – bąknęłam. – Ale przysięgam, że kupiłam dwie kłódki. Może pani sprawdzić.

– Nie o to chodzi – Pokręciła głową. Jej słuch nagle się wyostrzył, bo nie zwróciła uwagi na to, że ucichłam. – Pani sąsiedzi w szatni skarżą się na zapach wydostający się z pani szafki.

– Zapach?

– Dokładniej smród.

– Smród?

Posłała mi pełne niechęci spojrzenie.

– Czy mogła pani doktor zostawić w szafce coś, co się popsuło? Jeśli tak, proszę to natychmiast sprzątnąć.

– Niczego tam nie zostawiałam! – zaprotestowałam gwałtownie. – Szczerze mówiąc, od kilku dni nie korzystałam z szatni.

– A czemuż to? Jeśli można wiedzieć.

Zdałam sobie sprawę z tego, że się nie odczepi, jeśli nie powiem.

– Ktoś podrzucał mi do szatni liściki miłosne. – Wzruszyłam ramionami. – Raz wydawało mi się, że po zmroku ktoś za mną idzie. Wolałam przez jakiś czas unikać tego miejsca.

– Może pani zalotnik zostawił tym razem coś, co może się psuć. Musimy tam natychmiast iść i to sprawdzić.

Ochroniarz przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Może pójdę z paniami? – zaproponował. – Na wypadek, gdyby potrzebna była pomoc.

– Dziękuję, panie Wacławie. – Ścisnęłam go za ramię i uśmiechnęłam się serdecznie. – Damy sobie radę.

– Chodźmy – zakomenderowała staruszka i z wysiłkiem podźwignęła się z ławki.

– Dobrze. Chciałabym tylko najpierw dać pacjentowi wypis – zaprotestowałam.

– To może zaczekać. Zaraz kończy się moja zmiana. – Spojrzała ostentacyjnie na zegarek.

Powstrzymałam się od wypowiedzenia cisnącego mi się na usta przekleństwa i potulnie ruszyłam za nią w stronę windy. Gdy kabina zatrzymała się na naszym piętrze, zauważyłam po drugiej stronie brudnej szyby salowego Łukasza. A jednak ten dzień mógł być jeszcze gorszy. Profesor, szafka, on – najwyraźniej pech chodził trójkami.

Weszłyśmy do windy.

– Dzień dobry – przywitał nas Łukasz.

Odpowiedziałyśmy mu chórem.

– Jeszcze jesteś w pracy, Asiu? – zagadnął.

Byłam świadoma, że kłopoty ze słuchem, które rzekomo miała pracownica depozytu, znowu zniknęły jak za dotknięciem magicznej różdżki.

– Jakoś tak wyszło – mruknęłam.

– Ja mam dzisiaj popołudniową zmianę – wyjaśnił.

– Przykro mi. – Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– A mnie nie. – Uśmiechnął się. – Lubię pracować w piątkowe popołudnia. Szpital jest wtedy znacznie spokojniejszy. Spora część pracowników już siedzi w domach, a potencjalni pacjenci bawią się jeszcze wesoło, nie wiedząc, że za kilka godzin zawitają na nasz SOR.

Nie podzielałam jego entuzjazmu. Piątki na psychiatrii zawsze były do bani. Nadużywający leków narkomani nadużywali ich jeszcze więcej, pijacy pili, a chorzy psychicznie rozochoceni dniami wolnymi odstawiali leki.

– Dobrze, że znajdujesz pozytywy – skwitowałam.

Ciągle się do mnie uśmiechał.

– Dokąd idziecie?

Winda zatrzymała się na poziomie piwnic. Otworzył nam drzwi i odsunął kratę.

– Do szatni.

Postanowiłam nie wdawać się w szczegóły. Jednak moja towarzyszka zdecydowała się zrobić coś zupełnie innego.

– Z szafki pani doktor wydostaje się smród. Musimy to sprawdzić.

Dziękuję. Naprawdę dziękuję za rozsiewanie plotek.

– Ja kiedyś zostawiłem w weekend kanapkę z tuńczykiem. To był błąd – wyznał.

Mężczyzna skrzywił się, jakby poczuł ten niemiły zapach. Ja też się skrzywiłam.

– No nic! Powodzenia! – Odwrócił się na pięcie i odszedł korytarzem w przeciwnym kierunku.

Byłam zaskoczona tym zdawkowym pożegnaniem. Chyba że to depozytowa staruszka tak go odstraszyła.

W żółwim tempie dotarłyśmy do szatni. Pani Maria (jak szumnie głosił jej identyfikator – nazwiska na nim nie było) szła noga za nogą. Zupełnie jakby przestało jej się spieszyć. Spokojnie zdążyłabym oddać wypis pacjentowi, serdecznie się z nim wyściskać i ją dogonić.

Gdy przekroczyłyśmy próg szatni, do naszych nosów dotarła nieciekawa woń. Unosiła się w całym pomieszczeniu. Nie potrafiłam jej zidentyfikować. Wiedziałam jedynie, że określenie, jakiego użyła staruszka z depozytu, było słuszne.

W szatni śmierdziało, i nie był to smród przepoconego obuwia. Zdenerwowałam się. To naprawdę moja wina?

Wyjęłam z kieszeni pęk kluczy, na którego oczku zawieszone były te otwierające kłódki. Fetor nasilał się w miarę, jak zbliżałyśmy się do mojej szafki.

– No, moja droga, mam nadzieję, że twój tajemniczy zalotnik tym razem zamiast listu nie podrzucił ci padliny. Bo śmierdzi tak, jakby coś ci w tej szafce zdechło – stwierdziła pani Maria.

Pociemniało mi przed oczami, kiedy stanęłyśmy obok. Spomiędzy szafek wypływała brunatna substancja. Zrobiło mi się niedobrze, ledwo zdołałam powstrzymać odruch wymiotny.

– Hej, złotko. Tylko mi tu nie zemdlej. Otwieraj szafkę. Natychmiast! – Pani Maria klepnęła mnie w ramię, by dodać mi otuchy.

Otworzyłam jedną kłódkę, a następnie drugą. Drzwi zaskrzypiały, kiedy je uchyliłam.

Następnym dźwiękiem, który usłyszałam, był paniczny wrzask.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to ja wrzeszczę.

23.

Siedziałam skulona na drewnianym chybotliwym krześle. Miałam za sobą oddychanie do torebki, dużą dawkę środków uspokajających podanych domięśniowo przez lekarza będącego na dyżurze na psychiatrii oraz wizytę w toalecie w celu pozbycia się zawartości żołądka. Nic mi nie pomogło. Cały czas moim ciałem wstrząsały dreszcze i czułam nawracające mdłości.

Zrobiło się późno. Za wysoko położonymi w piwnicy oknami zapadł zmrok przerywany błyskiem niebieskich świateł kogutów policyjnych. Szatnia została zamknięta. Mundurowi porozwieszali żółte taśmy, gdzie się tylko dało. Największe ich skupienie było przy mojej szafce.

Nie było w niej zepsutej kanapki z tuńczykiem.

Ani zagłodzonego szczeniaka.

Było coś gorszego.

Coś? A może powinnam powiedzieć: ktoś? Tylko czy po śmierci nadal jesteśmy kimś? Poczułam, jak podczas tych refleksji żołądek ponownie podchodzi mi do gardła. Wciąż ściskałam w dłoniach papierową torebkę. Przyłożyłam ją szybko do ust i zaczęłam głęboko oddychać.

Pani Maria okazała się wyjątkowo silną kobietą. W przeciwieństwie do mnie nie krzyczała. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby padła na miejscu na zawał albo udar, jednak tak też się nie stało.

Złapała mnie za rękę i wyciągnęła na zewnątrz. Tam zwabieni moim wrzaskiem zaczęli zbiegać się ludzie. Kazała zadzwonić pierwszej osobie na policję. Ktoś zaprotestował, że poszkodowanej trzeba jak najszybciej pomóc. Pani Maria szybko ostudziła jego zapędy, tłumacząc, że gnijącym zwłokom pomóc mogą tylko policjanci.

Starałam się nie zamykać oczu. Za każdym razem, gdy to robiłam, miałam przed oczami jej twarz. Martwą twarz cycatej stażystki z chirurgii. W mojej szafce. Na litość boską – w MOJEJ szafce!

Nie wiem, w którym momencie, ale w szatni pojawił się komisarz Sebastian Pol. Kiwnął mi zdawkowo głową, a następnie skierował się do szafki. W przeciwieństwie do mnie nie krzyknął ani nie zwymiotował.

Pochyliłam się i wsadziłam głowę między kolana, starając się zwiększyć dopływ krwi do mózgu. Czułam, że mogę zemdleć. Przed oczami migotały mi białe plamy. Zamknęłam powieki. Spróbowałam się wyciszyć. Przywołałam w głowie obraz Kołtuna, który pewnie leżał teraz brzuszkiem do góry na kanapie, czekając, aż przyjdę dać mu jeść. Chociaż prędzej pewnie wetnie jakąś roślinkę doniczkową bądź spróbuje otworzyć szafkę w kuchni. Przez chwilę poczułam się lepiej.

Nie wiem po jak długim czasie dotarł do mnie kpiący, zachrypnięty głos:

– O ho, ho! Chętnie przyjąłbym taki prezencik, tylko odrobinę bardziej

żywy!

Podniosłam głowę. Nie mogłam jednak nic zobaczyć ponad plecami policjantów, techników i wszystkich świętych, którzy zawsze przyjeżdżają na miejsca zbrodni. Nie wiedziałam, kogo tak zachwycił mój „prezent".

Tak, prezent.

Cycata stażystka z chirurgii została zamordowana. Nie wiem jak, nie przyglądałam jej się zbyt dokładnie. Zanim odciągnęła mnie pani Maria, zdążyłam tylko zobaczyć, że była naga. Nie mam pojęcia, jak morderca zdołał wepchnąć ją do mojej szafki! Tylko przez chwilę widziałam jej twarz. Coś było w niej nie tak.

Do tego, do lewej nagiej piersi przypiął agrafką kartkę. Zwykłą białą kartkę z drukarki z napisem:

To prezent dla Ciebie. Podoba Ci się?

Twój Wielbiciel.

Tym razem nie włożył listu do koperty. Dołączył go do „prezentu". Kartka w miejscu, gdzie przebijała ją agrafka, zabarwiła się na czerwono. Mimo to krew nie rozmazała liter.

Lampy błyskowe policyjnych aparatów szybko zapisywały na kliszach makabryczną scenę. Przymknęłam oczy, żeby nie oślepiły mnie rozbłyski.

– Pani Skoczek? – Uniosłam głowę i spojrzałam prosto w zatroskane oczy komisarza Pola. – Mogę panią prosić na stronę?

Z trudem uniosłam się z krzesła. Komisarz złapał mnie za łokieć, gdy się zachwiałam.

Nie chciałam patrzeć w tamtą stronę, ale moja głowa sama się odwróciła, zupełnie jakby ktoś jej kazał. Nieszczęsna dziewczyna ciągle tam była. Grupa techników ubranych w fartuchy jednorazowe usiłowała ją wydostać. Nieudolnie. Moja szafka zaskrzypiała i pochyliła się, zazdrośnie strzegąc swojej zawartości.

Tuż obok sapiących z wysiłku techników, coraz głośniej zastanawiających się, czy nie zabrać po prostu całej szafki, stał wysoki brunet, posiadacz zachrypniętego głosu. Poznałam go dopiero, gdy zobaczyłam skórzane spodnie do jazdy na motorze i podkoszulek, na który narzucił zielony jednorazowy fartuch. To bezczelny motocyklista z parkingu.

Odwrócił się w moją stronę. Przypominał mi pewnego aktora amerykańskiego. Miał ten sam łobuzerski błysk w oku. Posłał mi szeroki uśmiech i uniósł rękę w geście powitania. Odruchowo chciałam odmachać, ale nie zdążyłam. Komisarz zdecydowanym ruchem pociągnął mnie w stronę wyjścia z szatni. Ledwo mogłam za nim nadążyć. Słabe nogi plątały mi się niepokojąco. Buty na szpilkach nie pomagały w utrzymaniu tempa marszu policjanta.

Przeszliśmy do pomieszczenia socjalnego firmy sprzątającej, które zostało

udostępnione policji. Jestem pewna, że sprzątaczki nie będą z tego powodu zachwycone. Ciekawe, czy będą musiały sprzątnąć moją szafkę. Ja się jej oficjalnie zrzekam. Gdybym mogła, od razu bym ją spaliła. Tylko że wtedy pani Maria kazałaby mi za nią zapłacić.

Na kanapie pod ścianą małego, ciemnego pomieszczenia pozbawionego okien siedziała tęga kobieta, paląc cienkiego papierosa. Dym wirował pod sufitem, czyli niewydolna wentylacja nie miała siły, by się go pozbyć.

– Tu nie można palić – powiedziałam.

Nie zaszczyciła mnie odpowiedzią. Uniosła tylko jedną zbyt cienko wyskubaną brew i ostentacyjnie strzepnęła popiół do stojącej na środku stołu szklanej popielniczki.

– To prokurator Natalia Świetlik – przedstawił ją komisarz. – Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Popchnął mnie delikatnie w stronę fotela. Usiadłam, międląc w dłoniach papierową torebkę. Natychmiast przestałam, gdy zirytowana szelestem prokurator przeszyła mnie ostrym niczym brzytwa spojrzeniem.

Chyba mnie nie polubiła.

– Pani Joanna Skoczek? – zapytała zachrypniętym od papierosów głosem.

– Tak.

– Ma pani jakiś dokument tożsamości?

– W portfelu, w torebce…

– W szafce…? – Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

– Nie, na oddziale. Jestem psychiatrą – dodałam na wypadek, gdyby i to chciała wiedzieć.

Nie notowała moich słów. Robił to policjant, który wszedł do pokoju za mną i komisarzem. Stanął w kącie przy drzwiach. Pol oparł się o ścianę obok mojego fotela. Żaden z mężczyzn nie skorzystał z możliwości zajęcia miejsca na kanapie obok pani prokurator.

Nie dziwiłam im się.

– Może nam pani wyjaśnić, skąd w pani szafce wziął się ten makabryczny prezent? – zachrypiała, ponownie strzepując popiół.

– Nie wiem. – Pokręciłam głową.

– Proszę spróbować się domyślić – wycedziła.

Opowiedziałam pokrótce o tym, że od jakiegoś czasu dostaję liściki. Pani prokurator nie powstrzymała się przed pełnym jadu komentarzem skierowanym do Pola, gdy tylko usłyszała, że wiedział o listach, ale nic nie zrobił.

– Wydawały mi się nieistotne w naszej sprawie – mruknął mężczyzna, gwałtownie czerwieniejąc.

– Naprawdę? – zakpiła. – A wygląd doktor Skoczek także wydał się panu nieistotny?

– Nie widziałem związku. Oku… nasz morderca nie zachowywał się do tej pory według takiego wzorca. Nie nawiązywał bliższych kontaktów z potencjalnymi ofiarami.

Co? Co? O czym oni mówią? Jaki wzorzec? Jaka potencjalna ofiara, do cholery?

– Przepraszam, że się wtrącam, ale komisarz Pol dopiero niedawno dowiedział się o liścikach. – Poczułam się w obowiązku bronić komisarza przed panią Świetlik. – Ja także uważałam, że te liściki to nic takiego. Bagatelizowałam je.

Spojrzenie pani prokurator było zimne i pełne złości. Miałam wrażenie, że wstawiając się za Polem, rozwścieczyłam ją jeszcze bardziej.

– Może zapragnął zmienić swój *modus operandi*. – Cmoknęła i zgasiła niedopałek w popielniczce. Od razu wyciągnęła z opakowania kolejnego papierosa.

– Przepraszam, ale nie jestem pewna, czy rozumiem, o czym państwo mówią – ponownie odważyłam się wtrącić.

– Na tym etapie śledztwa to dla pani nieistotne.

Kobieta posłała mi pełen złośliwości uśmiech. Zupełnie jakby cieszyła się z przewagi, jaką nade mną miała. Miała cechy osobowości psychopatycznej. Wydawało mi się, że jest pozbawiona empatii.

Zauważyłam, że komisarz otwiera usta, jakby chciał zaprotestować, ale sparaliżowany jej spojrzeniem dał sobie spokój.

Przepytywali mnie jeszcze przez pół godziny, wciąż wałkując te same szczegóły, jakby się spodziewali, że w którymś momencie zmienię zeznania.

– Będziemy w kontakcie – burknęła na koniec pani prokurator.

Czułam się, jakbym przeszła małe pranie mózgu. O ile wcześniejsze znalezisko w szatni mnie przeraziło, o tyle chłodny profesjonalizm bezdusznej, jakby mogło się wydawać, Świetlik wstrząsnął mną do głębi. Wydawało się, że zupełnie jej nie obchodzi śmierć dwudziestoczteroletniej Patrycji Czyżyk – bo tak nazywała się stażystka. Interesowało ją tylko złapanie mordercy.

– Przepraszam za prokurator Świetlik – powiedział Pol, gdy za kobietą i notującym moje zeznania policjantem zamknęły się drzwi. – Jest oschła w kontaktach, ale zapewniam, że to profesjonalistka.

– Nie ma sprawy…

– Może być pani pewna, że dokładnie sprawdzimy Kamińskiego. – Mrugnął do mnie.

Chyba chciał poprawić mi humor, ale szczerze mówiąc, wydawało mi się mało pocieszające, że musiała zginąć kobieta, żeby zaczęli się tym zajmować.

Wyszliśmy z pokoju socjalnego. Policja przepędziła gapiów. Za żółtą taśmą policyjną został tylko mężczyzna w uniformie motocyklisty. Siedział na ławce, którą często okupował Łukasz, i bawił się srebrną zapalniczką. Wstał na nasz

widok.

– Znowu się spotykamy – zagadnął.

Pol posłał nam zaskoczone spojrzenie.

– Znacie się? Chociaż w sumie nie powinno mnie to dziwić – mruknął do siebie i przewrócił oczami.

– Można powiedzieć, że jakiś czas temu spotkaliśmy się na parkingu – wyjaśnił klon amerykańskiego aktora, uśmiechając się dwuznacznie.

Zauważyłam, że gdy to robił, w kącikach jego oczu pogłębiały się kurze łapki. Często się uśmiechał. Szczerze mówiąc, do twarzy mu było z tym przekornym uśmiechem.

– Teraz już wiem, jak pani ma na imię – dodał.

– Ja za to nie wiem, jak pan się nazywa – skwitowałam.

– Marek Zadrożny, medyk sądowy, niepoprawny motocyklista.

– Joanna Skoczek, psychiatra, użytkowniczka szafki – odparłam sucho i podałam mu dłoń.

Lekarz trzymał moją lodowatą, lekko drżącą dłoń dłużej, niż wskazywały na to zasady. Komisarz stojący obok nas ponownie przewrócił oczami, co nie umknęło mojej uwagi. Klepnął Zadrożnego w ramię i posłał mu znaczące spojrzenie.

– Nie spoufalaj się z naszym świadkiem – powiedział.

– Nie spoufalam się – zaprzeczył Zadrożny, ale w jego oczach pojawiło się rozbawienie.

Mrugnął do mnie.

A ja, głupia, zachichotałam. To z pewnością wina nagromadzonego napięcia. Po prostu znalazło gdzieś ujście. W innym wypadku oznaczałoby niestety, że jestem żałosna.

– Widzisz, jak poprawiam humor pani doktor – stwierdził z rozbrajającym uśmiechem. – A teraz na poważnie. Niestety, musieliśmy zabrać wszystko, co znajdowało się w szafce. I ostrzegam, że szybko nie oddamy.

Pomyślałam o fartuchu, o który opierała się stażystka w stanie rozkładu, i o butach na dnie szafki, razem z wydzielinami jej ciała. Nie będę szaleć z żalu, jeśli nie oddadzą mi opakowania podpasek i czekolady na czarną godzinę, które leżały na półce. Nawet parasolkę w czerwone grochy mogą sobie zabrać.

– Nie obrażę się, jeśli ich nie odzyskam – powiedziałam. – Możecie wszystko zatrzymać. Nie chcę z niej niczego.

– Asia!

Odwróciłam się zaskoczona. W naszą stronę piwnicznym korytarzem biegł Tomek. Niby biegł, ale wydawało się, że wcale się nie spieszy. Jakby chciał mieć pewność, że wszyscy zobaczą, jak zmierza w naszym kierunku.

Pochylił się i przeszedł pod taśmą policyjną, zgrabnie omijając policjanta, który usiłował go złapać.

– Zaraz, proszę pana. Tu nie można wchodzić! – zaprotestował funkcjonariusz.

Tomek złapał mnie i przyciągnął do siebie. Jego ramiona otoczyły mnie tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. Chyba oplułam mu niechcący podkoszulek na piersi, gdy przydusił mi twarz do materiału.

– Przybiegłem, gdy tylko się dowiedziałem! Byłem na bloku, kiedy to się działo. Mój Boże! Przez co ty musiałaś przejść!

Odepchnęłam go zawstydzona wylewnością jego uczuć. Pozwolił mi się odsunąć, ale ciągle trzymał mnie za ramiona.

– Nic się nie stało. Nie musiałeś tu biec – zaperzyłam się.

– Jak to nie musiałem?! – oburzył się.

Odwrócił się w stronę towarzyszących mi mężczyzn, którzy nie spuszczali z nas czujnego wzroku. Obaj zdawali się analizować każdy gest nowo przybyłego i każdą zmarszczkę na mojej twarzy.

– Dobry wieczór, Tomasz Stalowiec, jestem chirurgiem w tutejszym szpitalu – powiedział zbyt głośno i zbyt wyniośle jak na mój gust.

Pol kiwnął mu głową.

– Tak, tak. Pamiętam pana.

– A ja pana nie znam. Marek Zadrożny, medyk sądowy. – Mężczyzna podszedł krok bliżej i podał dłoń chirurgowi.

Tomek spojrzał na lekarza i na wyciągniętą rękę. Nie wiem, o czym myślał, jednak wpatrywał się w nią zdecydowanie dłużej, niż powinien. Czyżby miał wątpliwości co do czystości rąk Zadrożnego? O czym myślał?

W końcu Tomasz puścił mnie i odwzajemnił uścisk.

Odsunęłam się od razu, tłumiąc westchnienie ulgi. Peszyło mnie jego zachowanie. Nie byliśmy parą ani nawet dobrymi przyjaciółmi. W żadnym razie nie miał powodów, żeby tak się zachowywać.

Zauważyłam, że Zadrożny zerka na mnie z ciekawością, zupełnie jakby usiłował odgadnąć, co łączy mnie ze Stalowcem.

– Aśka, zwolniłem się z pracy, gdy tylko usłyszałem, co się dzieje. Zawiozę cię do domu. – Tomek ponownie przeniósł swoje zainteresowanie wyłącznie na mnie.

– Nie musisz, przecież mam samochód – zaprotestowałam.

– Nie powinnaś prowadzić. Cały szpital huczy od plotek. To niewyobrażalne, co się tutaj dzieje! Najpierw ta pacjentka w piwnicy, a teraz ta biedna stażystka! – krzyknął, nie mogąc powstrzymać emocji.

– Dokładnie tak, panie Stalowiec. To zaskakujące, że obie ofiary są w jakiś sposób z panem związane – zauważył cicho komisarz.

– Co pan insynuuje! – warknął Tomek, nadymając się jeszcze bardziej.

– Skąd się pan dowiedział o tym, co dzisiaj zaszło? – zapytał policjant.

– Jak już panu mówiłem, cały szpital wprost huczy od plotek. Idziemy. – Stalowiec stawał się coraz bardziej opryskliwy.

– Jeszcze porozmawiamy na ten temat. – W słowach Pola zabrzmiała ledwie słyszalna groźba. – Do widzenia. Proszę na siebie uważać, pani Skoczek.

Komisarz chwycił Zadrożnego za ramię i pociągnął go w stronę wyjścia.

– Do zobaczenia! – krzyknął lekarz medycyny sądowej i schylił się, żeby przejść pod taśmą policyjną.

Naprawdę zupełnie przypadkiem moje spojrzenie zjechało na jego pośladki otoczone czarną skórą.

Zupełnie przypadkiem…

24.

Stanęłam przed lustrem, przyglądając się sobie krytycznie. Sukienka była ciemnoczerwona i obcisła. Wyzywająca pod względem koloru i kroju, ale grzecznie zapięta pod szyją i zakrywająca kolana. Loki spięłam w wysoki kok. Brakowało tylko okularów i przypominałabym seksowną bibliotekarkę z nastoletnich marzeń gimnazjalistów.

– Co o tym sądzisz, Kołtunie?! – zapytałam swojego persa.

Kocur zignorował mnie, drzemiąc na plecach w zmiętej pościeli w kwiatki. Nie chciało mi się ścielić łóżka ani składać kanapy. Cały dzień spędziłam pod kołdrą, oglądając w telewizji głupie programy paradokumentalne, a także rozczulając się nad sobą i stażystką z chirurgii.

W połowie dnia dotarło do mnie, że myśląc o niej, nie używam jej imienia. W mojej wyobraźni występowała wyłącznie jako „cycata stażystka narzucająca się Tomaszowi". Gdy zdałam sobie z tego sprawę, poczułam się jeszcze gorzej. Nie pomogło nawet przytulanie się do chrapiącego Kołtuna.

Jeszcze raz zmierzyłam się krytycznym spojrzeniem. Z jednej strony kobieca próżność kazała mi wystroić się, jakbym szła na bal, z drugiej jednak nie chciałam rozkochiwać w sobie Tomka. A ta sukienka mogła dać mu wiele nadziei co do przebiegu wieczoru.

– Masz rację, Kołtunie – mruknęłam i zburzyłam misterną fryzurę, pozwalając, by loki opadły mi z powrotem na ramiona.

Tak naprawdę kot nawet się nie przebudził. Leżał na plecach w uroczej pozie, pochrapując cicho przez półotwarty pyszczek. Mimo to wolałam mówić do niego niż do siebie. Wydawało mi się to zdrowsze. Już i tak zbyt często prowadziłam rozbudowane monologi, więc wolałam mu zadawać pytania.

Z Tomkiem miałam się zobaczyć w knajpie. Chciał co prawda odebrać mnie z domu, ale biorąc pod uwagę bałagan, którego nie udało mi się (a także nie chciało, jeśli mam być szczera) sprzątnąć, oraz fakt, że miejsce, do którego mnie zaprosił, znajdowało się trzy ulice dalej, wymyśliłam, żebyśmy się tam spotkali.

W zasadzie nie wiedziałam, dlaczego się na to zgodziłam. Miałam wrażenie, że to coś złego, nieodpowiedniego. Minęła doba, odkąd zostałam wciągnięta przez jakiegoś psychopatę w szalone gierki z policją, a teraz jakby nigdy nic szykowałam się na wieczorne wyjście na piwo. Nie wyglądało to dobrze. Dowodziło braku wrażliwości. Powinnam leżeć w ciemnym pokoju i kontemplować swoją traumę. Czyli, mówiąc krótko, kontynuować to, czym zajmowałam się od wczoraj.

Z drugiej jednak strony nie znałam tej dziewczyny. Nic mnie z nią nie łączyło. A do tego mnie irytowała.

Znalazłam ją jednak martwą.

W swojej szafce.

Z listem od MOJEGO Tajemniczego Wielbiciela.

– Kołtunie…? Zbyt często mówię do siebie, prawda? – Spojrzałam na kocura.

Na chwilę otworzył oko, ziewnął przeciągle i przewrócił się na bok, wykręcając się do mnie tyłkiem.

Zrozumiałam aluzję.

Ciekawe, jakby zareagował profesor, gdybym w poniedziałek nie przyszła do pracy, tylko poinformowała go, że idę na zwolnienie lekarskie w związku z zespołem stresu pourazowego?

Pewnie by się wkurzył…

A co gorsza – zadzwoniłby, żeby się przekonać, czy aby na pewno to mam. Znam na pamięć objawy PTSD, jednak nie jestem pewna, czy udałoby mi się skutecznie je symulować. Hm…

Po raz kolejny spojrzałam na siebie krytycznym okiem. Zdecydowanie powinnam się przebrać.

– Przebiorę się – poinformowałam kota, który nadal miał mnie gdzieś. – I chyba nie pójdę na zwolnienie lekarskie. Cholera…

Szkoda, że Tomek nie dał się dzisiaj spławić, gdy zadzwoniłam, próbując odłożyć spotkanie. Tak długo mnie przekonywał, aż zdołał mi wmówić, że zaczerpnięcie świeżego powietrza i zmiana scenerii dobrze mi zrobią.

Jakoś nie wydawało mi się, żeby w knajpie na Pradze było świeże powietrze. Niemniej jednak nie udało mi się być asertywną i niezależną. Nie miałam wyboru. Musiałam iść.

***

Knajpka o nazwie Czarny Kot bardzo przypadła mi do gustu. Znajdowała się w piwnicy jednej z przedwojennych praskich kamienic.

Budynek nie wyglądał zachęcająco. Gołe cegły i okiennice z odchodzącą olejną farbą straszyły. Wiele okien było brudnych i miało poszarzałe, podarte firanki. Nikt nie zawracał sobie tu głowy hodowaniem w doniczkach pelargonii. Drewnianych skrzynek pełnych wyjałowionej ziemi używano jako popielniczek.

Aby dostać się do knajpy, musiałam przejść przez śmierdzącą moczem bramę i podwórko między budynkami, potocznie nazywane studnią, w centrum którego znajdowała się otoczona kwiatami figura Matki Boskiej. Jej niegdyś pomalowane błękitną farbą szaty zmatowiły się przez lata deszczu i mrozu, a gips gdzieniegdzie popękał. Ktoś jednak wciąż zapalał światełko u jej stóp i dbał o świeże kwiaty. Uśmiechnęłam się do łagodnego oblicza figurki i ominęłam stojącą obok ławkę, na której siedzieli delektujący się tanią wódką bezdomni.

A może to nie bezdomni, tylko mieszkańcy tej kamienicy?

Praga przeżywała prawdziwy rozkwit dzięki pojawiającym się jak grzyby po

deszczu knajpom zwabionym tanim kosztem najmu. Powoli stawała się modną dzielnicą, w której artyści organizowali wernisaże, celebryci otwierali restauracje, a stołeczni hipsterzy jadali lunche w barach mlecznych, usiłując wszystkim udowodnić, że nie są zwykłymi korponiewolnikami, tylko grupą posiadającą w sobie gen szaleństwa.

Nie bałam się, idąc praskim podwórkiem. O tej porze w sobotę kręciło się tu mnóstwo ludzi.

Poza tym nie bałam się, bo w kieszeniach płaszcza czule ściskałam pojemnik z gazem pieprzowym.

Wejście do Czarnego Kota podświetlone było migającym czerwonym neonem przedstawiającym kota stroszącego grzbiet. Zeszłam po krzywych schodkach do mieszczącej się w piwnicy knajpki.

W przeciwieństwie do okolicy wnętrze od razu mi się spodobało pomimo dusznych indyjskich kadzidełek. Gęstą atmosferę można by kroić nożem. W środku stał rząd zmatowiałych aksamitnych foteli ze starego kina – pewnie Praha, które zostało zamknięte jakiś czas temu.

Poza tym mnóstwo tu było starych, rozklekotanych krzeseł, stołów, stolików, części kredensów. Istne pomieszanie z poplątaniem. Na każdym wolnym blacie stała lampka nocna. Ich przydymione abażury dodawały pomieszczeniu klimatu. Tuż przy wejściu swój zaciszny kąt znalazła zabytkowa maszyna do szycia marki Singer. Przechodząc obok, nie mogłam się powstrzymać przed muśnięciem palcami metalowego korpusu.

Moja babcia miała taką.

Dostrzegłam Tomka w głębi pełnego o tej godzinie lokalu. Siedział nieopodal prowizorycznej sceny, na której stało samotne krzesło. Nie było nagłośnienia. Ucieszyłam się, że zajął dobre miejsce. Chciałam usłyszeć muzykę, a panujący gwar mógłby ją skutecznie zagłuszyć.

Stalowiec na mój widok wytrzeszczył oczy i dopił duszkiem piwo, które sączył.

Zaczęłam się zastanawiać, czy wybór tej z kolei sukienki był właściwy. Włożyłam drugą ze swoich trzech wyjściowych kiecek – małą czarną. Nie opinała mnie za bardzo, ale za to ledwie zasłaniała pośladki. W połączeniu z niebotycznie wysokimi szpilkami świetnie wydłużała nogi. Do wyboru miałam jeszcze trzecią sukienkę, ale sięgała do ziemi i bardziej nadawała się na premierę do teatru niż piwo w knajpie.

Eh, trzeba było założyć dżinsy i jakąś bluzkę…

– Wyglądasz zjawiskowo – wymruczał, całując mnie w policzek. Owionął mnie niezbyt przyjemny zapach piwa i piżmowej wody toaletowej. Powstrzymałam chrząknięcie.

W najbliższej przyszłości powinnam zainwestować w sukienki, które nie

zwracają tyle uwagi.

– Dzięki!

Tomek wziął ode mnie płaszcz i powiesił go na krzywym wieszaku stojącym pod ścianą w pobliżu stolika. Wskazał dłonią głęboki fotel tuż obok swojego.

– Co do picia? – zapytał.

– Piwo. Jeśli mają syrop imbirowy, to z jego dodatkiem.

Gdy odszedł, usiadłam przy malutkim stoliku. Wpadłam w wysiedziane przez lata zagłębienie. Obciągnęłam sukienkę, która podjechała mi za wysoko, i założyłam nogę na nogę, by nikt nie dostrzegł moich majtek pod cielistymi rajstopami.

Wbiłam spojrzenie w wiszącą na przeciwległej ścianie starą reprodukcję *Ostatniej wieczerzy* Leonarda da Vinci, która aż kłuła w oczy przejaskrawionymi kolorami.

Tomek pojawił się po chwili z dwiema wysokimi szklankami. Tę z różową słomką przesunął w moją stronę.

– Imbirowe – powiedział.

– Dzięki!

Dla dodania sobie animuszu pociągnęłam solidny łyk. Stalowiec przesunął fotel bliżej mojego, żeby nie pochylać się nad stolikiem podczas rozmowy.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

Na jego policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Zaczęłam się zastanawiać, ile wypił, zanim przyszłam. Na pewno jedno piwo, bo na stoliku stała opróżniona szklanka. Czyżby jeszcze więcej?

– Spokojnie – żachnęłam się. – Po prostu widzisz mnie zawsze w fartuchu.

Jego spojrzenie ześlizgnęło się po moich nogach.

– To prawda, że teraz jesteś w czym innym – mruknął.

Prawie duszkiem wypił pół szklanki piwa. Zanim wygodnie rozsiadł się w fotelu, potoczył spojrzeniem po knajpie.

– Kogoś się spodziewasz? – zapytałam i pociągnęłam łyk.

Przypomniałam sobie, że niczego dzisiaj nie jadłam. Słodkie piwo zaspokoi głód, ale niestety, szybko uderzy do głowy. Odsunęłam szklankę, żeby do tego nie doszło.

– Nie, nie – zaprotestował.

– To dlaczego tak się rozglądasz?

– Eee… pamiętasz Iwonę?

Jakżebym mogła zapomnieć naburmuszoną pielęgniarkę z chirurgii?

– A co?

– Mieszka tu niedaleko – wyjaśnił.

Uniosłam brwi.

– Czyżbyś chciał mnie poczęstować jakąś historyjką?

– Przez pewien czas… jak by to powiedzieć… spotykaliśmy się. Jak sama widziałaś, nie przyjęła zbyt dobrze rozstania. No, ale bądźmy szczerzy… nie widziałem się na dłuższą metę w związku z pielęgniarką. – Pogarda w jego głosie była bardzo wyraźna.

Jeżeli kiedykolwiek Tomek trochę mi się podobał, to ta uwaga wystarczyła, żeby jego akcje spadły do zera.

Co ja tu robię? Chociaż lepiej byłoby zapytać: jak się z tego wyplątać?

– W każdym razie… ona mieszka w kamienicy obok – dodał konspiracyjnym szeptem.

– To co ci strzeliło do głowy, żeby przychodzić na piwo właśnie tutaj? – zapytałam. – W Warszawie są dziesiątki knajp. Mogliśmy jechać na drugą stronę Wisły.

Pewnie znał tę knajpę, bo często tu przychodzili.

– Jakoś nie pomyślałem. Fajna jest. No i ma w nazwie kota. Uznałem, że ci się spodoba. Zresztą jesteśmy z Iwoną dorośli. Nie będziemy unikać miejsc, do których wspólnie chodziliśmy.

Posłał mi swój chłopięcy uśmiech, który miał zmiękczyć moje serce. Nie zmiękczył.

– Dobra, przepraszam. – Uniósł dłonie. – Przepraszam. Szansa na to, że ona akurat tutaj przyjdzie, jest mikroskopijna. Wybacz, że popsułem nastrój. Już jestem twój. To był koszmarny początek randki.

– Tomek, musimy pogadać.

Złapałam go za rękę, żeby przestał nimi wymachiwać, bo ludzie zaczynali na nas patrzeć.

– Ustalmy to na początku – powiedziałam tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jest mi bardzo miło, że mnie zaprosiłeś. Zwłaszcza wobec tego, co się stało wczoraj. Bardzo potrzebowałam odskoczni od tej… makabry. To bardzo miłe z twojej strony! – Postanowiłam to podkreślić. – Ale nie nazywajmy naszego spotkania randką. Już ci mówiłam, że nie jestem gotowa na związek. Na jakikolwiek związek.

Mina trochę mu zrzedła, ale nie stracił humoru.

– Spokojnie, jestem cierpliwy. – Wzruszył ramionami.

Biorąc pod uwagę domyślną liczbę jego kochanek, trudno było w to uwierzyć.

– Poczekam cierpliwie, aż będziesz gotowa. A tymczasem proponuję spędzić miły wieczór. – Uniósł swoją szklankę z resztką piwa. – Za dzisiejszy wieczór!

Uśmiechnęłam się lekko i stuknęłam się z nim szkłem. Ledwie powstrzymałam się przed wypiciem całego piwa.

Byłam strasznie głodna!

– Zapomniałbym! Mam dla ciebie prezent. – Sięgnął do kieszeni.

– Tomek, nie chcę prezentów.

– Nawet nie wiesz, co to jest!

Wyciągnął z kieszeni aksamitne pudełeczko, w jakie zwykle jubilerzy chowają swoje wyroby. Chyba mogłam się domyślić, do jakiego gatunku prezentów to się zalicza.

– Tomku… – zaczęłam z naganą, ale mi przerwał:

– Chociaż zobacz. Na pewno ci się spodoba. To przyjacielski prezent na poprawę nastroju, zapewniam.

Otworzyłam pudełeczko. W środku znalazłam srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie kota.

– Jest naprawdę śliczny, ale nie mogę go przyjąć – powiedziałam.

Miałam jednak na to ogromną ochotę, bo bardzo mi się spodobał.

– Nie gadaj głupstw. Jest twój.

– Nie, naprawdę, Tomku. Tak nie może być.

– Posłuchaj, Asiu. – Wziął mnie za rękę. – Umówmy się, że to nie jest romantyczny prezent, tylko podarunek od przyjaciela na poprawę nastroju. Ostatnio nie miałaś zbyt wielu powodów do radości. Zobaczyłem go przypadkiem i uznałem, że ci się spodoba. Ciągle opowiadasz o swoim kocie. Zrobisz mi przyjemność, jeśli go przyjmiesz.

– Jesteś pewien, że to tylko przyjacielski podarek? – zapytałam.

– Oczywiście – odparł nieszczerze.

Miałam świadomość konsekwencji, jakie mogły mnie spotkać po przyjęciu prezentu. Wręcz czułam, że Tomek będzie mi wypominał ten wisiorek. Mimo to zaczęłam mu ulegać. Wisiorek bardzo mi się podobał.

– No dobrze, skoro to tylko przyjacielski podarek. Jest śliczny. Dziękuję bardzo.

– Zapnę ci go!

Pochyliłam się, by zawalczył z małym zapięciem. Srebrny kotek wyglądał bardzo ładnie na tle czarnego materiału sukienki. Musiałam przyznać, że Stalowiec znał się na rzeczy. Wiedział, jak uwodzić kobiety. Czyżby w moim przypadku potrzeba było tak niewiele?

– A jak się czujesz po… no wiesz… tym wczoraj? – zapytał.

– Tak sobie – mruknęłam, przypominając sobie twarz zamordowanej dziewczyny. – Nie wiem, dlaczego ja… Dlaczego akurat na mnie uwziął się ten psychol.

Twarz Tomka poczerwieniała. Pokręcił głową i wypił piwo.

– To była twoja stażystka, tak? – zapytałam.

– Tak… Patrycja Czyżyk. Była na chirurgii od kilku tygodni. Byłem jej bezpośrednim przełożonym, opiekunem stażu.

– Ładna dziewczyna – mruknęłam.

– Za to głupia jak but.

– Słucham?

– Przepraszam. – Potarł policzki, coraz wyraźniej czerwone. Zaniepokoiłam się. Czyżby miał uczulenie? – To mój sposób na odreagowanie. Zawsze głupimi komentarzami. Trudno mi w to uwierzyć. Gdy nie przyszła do pracy, po prostu uznałem, że mam szczęście, rozumiesz? Ucieszyło mnie, bo przestała się naprzykrzać. Mogłem wreszcie od niej odpocząć.

– Przecież nie mogłeś wiedzieć… – Poklepałam go po ramieniu.

– Nie wiem… nie mogę przestać o tym myśleć. To moje kolejne zaniedbanie. Najpierw pacjentka, teraz stażystka… Zupełnie jakbym przynosił pecha.

– Była taka młoda… – Ja także się zamyśliłam.

Poczułam dreszcz, gdy zrozumiałam, że ktoś zabrał jej życie, które miała przed sobą. Kto wie? Może udałoby się jej to, do czego dążyła? Może zostałaby żoną przystojnego chirurga?

– Policja znów się z tobą kontaktowała? – zapytał.

– Nie, na razie nie.

– A mówiłaś im o Kamińskim? Może to on za tym stoi? – zasugerował.

– Nie wiem, czy to Łukasz, ale policja o wszystkim wie. Mają go sprawdzić.

– Mam nadzieję, że znajdą coś na tego skurwysyna! – warknął.

– Zobaczymy, co wykaże śledztwo. Może to nie on?

– A nie sądzisz, że tu jest zbyt dużo zbiegów okoliczności? – prychnął Tomek. – Łaził za tobą, zaczepiał cię, a teraz w twojej szafce znaleźli zarżniętą stażystkę. Trochę to podejrzane.

– No może.

Dopiłam piwo i odwróciłam głowę. Nie chciałam o tym rozmawiać. Mój wzrok spoczął na *Ostatniej wieczerzy*.

– Okej, dość tych smutków. To miał być przyjemny wieczór w towarzystwie przyjaciela. Mam jeszcze coś, co poprawi ci humor. Zobacz!

Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął portfel. W przegródce, w której zwykle nosi się fotografie kochanych osób, trzymał stare zdjęcie. Z trudem je wyciągnął, a następnie mi podał. Rozprostowałam zgiętą na czworo fotografię.

Przedstawiała grupkę studentów w zielonych strojach operacyjnych. Wszyscy mieli czepki starannie zasłaniające włosy. Bez trudu poznałam siebie. Stałam na środku fotografii. Po prawicy miałam młodszą i szczuplejszą wersję Tomka. Otaczali nas członkowie koła chirurgicznego.

– No proszę! – Zaśmiałam się. – Nie pamiętam, kiedy zrobiliśmy to zdjęcie.

– Noszę je na pamiątkę. Mam je zawsze w portfelu. Przypomina mi, żeby dążyć do celu – wyznał.

– Kiedy je zrobiliśmy?

– Na trzecim roku studiów.

– Rzeczywiście! To było na obozie!

Przypomniałam sobie, że na praktyki wakacyjne wybraliśmy się do Ostrowi Mazowieckiej, by pracować na zaprzyjaźnionym oddziale chirurgicznym. Nasze koło zorganizowało prawdziwy obóz przetrwania. Spaliśmy w internacie świetnie pamiętającym czasy komuny. W niektórych łazienkach były dziury w ścianach i brakowało kafelków, a żeby spuścić wodę, trzeba było pociągnąć za urwany na niebotycznej wysokości sznurek.

Mimo to wiązałam z tym miejscem ciepłe wspomnienia. Chłopcy traktowali mnie jak księżniczkę, a może raczej maskotkę. Nie czułam się źle w ich towarzystwie. Starali się pomagać mi na każdym kroku.

Dopiero zaczynałam spotykać się ze Sławkiem. Mój wyjazd z dziesięcioma przystojnymi facetami był solidnym sprawdzianem naszego związku. Jak widać, obóz chirurgiczny nie zmienił moich uczuć do przyszłego męża. Jemu natomiast nie trzeba było wiele, by mnie zdradzić kilka lat później. Wystarczyła jedna, do tego brzydka, sekretarka w firmie.

– Sporo się zmieniliśmy – powiedziałam.

– Czy ja wiem? Jesteś piękna tak jak wtedy.

Parsknęłam śmiechem i oddałam mu zdjęcie.

– Mówię prawdę. A teraz zdradzę ci sekret: kochałem się w tobie – powiedział.

– Naprawdę? – zdziwiłam się. – Nie wiedziałam.

Dobrze pamiętałam ten wyjazd. Nie zauważyłam, żeby Tomek okazywał mi szczególne względy. Praktycznie się do mnie nie odzywał. Miałam nawet wrażenie, że za mną nie przepadał. Był chyba o wiele bardziej nieśmiały.

– Bo tego nie powiedziałem. – Wzruszył ramionami. – Byłaś nastawiona przede wszystkim na naukę. Nie w głowie ci były amory.

Ugryzłam się w język. Tłumaczenie mu, że to nie nauka, tylko Sławek sprawił, że nie zwracałam na niego uwagi, chyba nie byłoby na miejscu.

– Pójdę po piwo – zaproponował, zerkając na zegarek. – Zaraz przyjdzie gitarzysta i zrobi się kolejka przy barze. Ten gość ma sporo fanek. Aż mu zazdroszczę!

W odpowiedzi tylko przewróciłam oczami.

Tomek nie zdążył wrócić, gdy na scenę wszedł muzyk. Koło swojego stanowiska postawił ciemne piwo. Usiadł na skrzypiącym krześle i położył gitarę na kolanach. Chyba często tu grał, bo kilku bywalców na jego cześć uniosło szklanki. Pozdrowił ich wyciągniętą ręką i wesołym uśmiechem. Nie przedstawił się zgromadzonej publice. Nikt też nie zapowiedział jego występu. Możliwe, że była to jedna z knajpek, do których co weekend przychodzą ci sami ludzie, żeby pogadać nad piwem. Pewnie większość dobrze go znała.

O dziwo, ja także do nich należałam.

Aż zamrugałam zaskoczona.

Na krześle, kilka metrów ode mnie, siedział Marek Zadrożny, lekarz medycyny sądowej, z którym rozmawiałam wczoraj.

25.

Tomek wrócił, gdy Marek zaczął grać pierwszą piosenkę. Skądś znałam ten utwór. Pewnie słyszałam go w radiu. Nie grał swoich kawałków, tylko aranżacje przebojów.

Lekko zachrypnięty głos niósł się po zatłoczonym pomieszczeniu, a palce przesuwały się po strunach gitary. Rozmowy przy stolikach przycichły.

Nie mogłam oderwać wzroku od sceny, wciąż zaskoczona obecnością Zadrożnego w praskiej knajpie. Świat nie mógł być aż tak mały!

Wyglądał trochę inaczej, niż go zapamiętałam. Na brodzie malował mu się dwudniowy ciemny zarost przysłaniający kozią bródkę. Potargane włosy sterczały na wszystkie strony, sugerując, że przed chwilą wstał z łóżka. Pod oczami malowały się cienie pogłębiające drobne zmarszczki. Zamiast uniformu motocyklisty miał sprane dżinsy i czarny podkoszulek, na który narzucił flanelową koszulę w granatową kratę.

– Asiu? – Tomek stuknął mnie w ramię. – Ależ się na niego zagapiłaś!

Przysunął w moją stronę szklankę piwa. Sięgnęłam po nią i powiedziałam:

– Stawiam następną kolejkę.

– Daj spokój – żachnął się i spojrzał na gitarzystę, chyba żeby zrozumieć, co mnie tak w nim urzekło.

– Nie poznajesz go? – zapytałam zaskoczona.

– Ja? – zdziwił się. – A kto to?

– To lekarz medycyny sądowej, który w piątek był na miejscu zbrodni – szepnęłam, żeby nie zakłócać koncertu.

– Tak? To on? – zdziwił się.

Rozparł się na fotelu i popijając piwo, wbił pochmurne spojrzenie w artystę. Ja wsłuchałam się w balladę. Nie wiem, czy wplótł w nuty tęsknotę, która poruszyła moje serce, czy też czułą strunę poruszyły we mnie wspomnienia z czasów studiów i Sławka.

Sączyłam piwo, dumając nad życiem, które z roku na rok przepływało mi przez palce. Nawet cycata stażystka zniknęła z moich myśli.

– Asiu? – Tomek pochylił się w moją stronę.

– Co?

– Podoba ci się praca w szpitalu? – zagadnął.

– Może być. Jest jak wszędzie. W Gdańsku było podobnie. Może tu tylko przypada trochę więcej pacjentów na jednego lekarza.

– Mnie bardzo się podoba w Szpitalu Wschodnim. Wcześniej pracowałem w… – zaczął mówić, ale go nie słuchałam.

Wbiłam spojrzenie w Zadrożnego. Śpiewał z zamkniętymi oczami, jakby dawał się ponieść dźwiękom gitary. Nagle otworzył oczy i spojrzał prosto na mnie.

Jakby wyczuł mój wzrok.

Uniósł brew. Tempo granej przez niego piosenki się nie zmieniło, nie zająknął się, ale wiedziałam, że mnie poznał. Zawstydziłam się. Nie chciałam, by pomyślał, że przyszłam do Czarnego Kota z jego powodu.

Spojrzenie medyka sądowego ześlizgnęło się powoli na moje nogi. Jeśli nie zaczerwieniłam się, gdy mnie zauważył, to na pewno zrobiłam to teraz pod wpływem jego wzroku. Prawie czułam, jak dotyka moich ud.

Medyk spojrzał na towarzyszącego mi Tomka.

– Asiu? – W głosie Stalowca usłyszałam naganę.

Speszona odwróciłam się w jego stronę.

– Mówiłeś coś?

– Mówię do ciebie od kilkunastu minut. Czy ty mnie słuchasz? – zapytał z pretensją.

– Przepraszam. Zasłuchałam się w muzykę.

Tomek posłał Zadrożnemu spojrzenie pełne złości. Muzyk znowu śpiewał z zamkniętymi oczami. Wydawało się, że przestał zwracać na nas uwagę.

– Skończyło mi się piwo – oznajmił mój kolega. – Przejdziemy się do baru, by zamówić coś nowego?

– A nikt nas wtedy nie podsiądzie? – zapytałam.

– Nawet jeśli tak, to zajmiemy miejsce przy barze. Tam będzie łatwiej rozmawiać – burknął.

Był zły. Ja też. Trochę na siebie, trochę na niego, a trochę na Zadrożnego, który musiał się pojawić. Jakie były szanse na to, że znowu się spotkamy, i to na dodatek w praskiej knajpie?

Żadnych.

Wstałam i trzymając w dłoniach szklankę z piwem, ruszyłam za Tomkiem w stronę baru. Trudno mi było lawirować na obcasach pomiędzy bezładnie ustawionymi fotelami. Podłoga była wyłożona śliską terakotą i różnokolorowymi starymi dywanami. Cieszyłam się, że nie mam alergii na kurz. Pełen starych mebli Czarny Kot mógł być zabójczym miejscem dla astmatyka.

Idąc w stronę baru, składałam w duchu ciche modlitwy, by się nie przewrócić na oczach wszystkich. Mogłam się założyć o własną duszę, że kiecka podwinęłaby mi się wtedy do pasa i wszyscy mogliby zobaczyć moje różowe bawełniane majtki w serduszka. Darowałam sobie seksowną bieliznę. Już na początku wybierania stroju na dzisiejszy wieczór założyłam, że nie pójdę z Tomkiem do łóżka, w związku z czym nie miałam po co tego robić.

Zresztą wiadomo, że bawełniane gacie są sto razy wygodniejsze od koronkowych fikuśnych fig. Wystarczyło, że miałam niewygodne buty i niepraktyczną sukienkę. Mogłam odpuścić bieliznę.

Gdy dotarłam do baru, muzyka grana przez medyka ucichła. Chyba zrobił

sobie przerwę.

– Dobrze się znasz z tym doktorkiem? – syknął Stalowiec.

– Słucham? – wydusiłam.

Miał zaczerwienione policzki. Pewnie przez zaduch, który panował w knajpie, ale też co najmniej trzy piwa, które wypił w mojej obecności. Złapał kolejną szklankę niechętnie podaną przez barmana, który patrzył na niego spode łba. Gdybym miała tak krzaczaste brwi jak pracownik Czarnego Kota, to także spojrzałabym groźnie na Tomka.

Ale nie miałam takich brwi. W związku z tym powiedziałam przepraszającym tonem:

– Słuchaj, Tomku, zabrałeś mnie na koncert, żebym się odstresowała. Nic nie poradzę, że to takie fajne miejsce i że się zasłuchałam. Jeśli chcesz, możemy usiąść gdzieś w głębi i pogadać o starych dobrych czasach.

– Chodzi o to, że nie mamy rozmawiać o starych czasach! – warknął.

– To nie wiem, o czym…

– Aśka, podobasz mi się. Co tu jest do rozumienia?!

– Powiedziałam ci, że nie jestem gotowa na związek, a ty przyjąłeś to do wiadomości.

Moja cierpliwość się kończyła. Odstawiłam ze stukiem szklankę na blat, czym naraziłam się na ostre spojrzenie barmana.

– A co miałem powiedzieć, skoro tak postawiłaś sprawę? Aśka… to jeszcze mi się, kurwa, nie zdarzyło. Zabrałem cię do knajpy. Dałem ci nawet pieprzonego srebrnego kotka. Czego jeszcze chcesz? Złotej karocy?

Serio? To wszystko było jednak po to, by zaciągnąć mnie do łóżka? A ja łudziłam się, że możemy zostać przyjaciółmi.

Poczułam jeszcze większą satysfakcję z faktu, że założyłam bawełniane majtki. Sięgnęłam do szyi, żeby odpiąć wisiorek.

– Jesteś pijany. Nie będę z tobą dyskutować. Proszę. Bardzo chętnie oddam ci kotka – odparłam. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Najwyraźniej się myliłam.

– Daj spokój, nie chcę go. – Cofnął się.

Podałam mu wisiorek. Cofnął się jeszcze bardziej, zupełnie jakby błyskotka mogła go oparzyć.

– Nie chcę go – wycedził. – Masz go zatrzymać.

Zabrałam rękę. Nie wiedziałam, co zrobić. Sytuacja zrobiła się absurdalna. Trzeba było posłuchać instynktu i nie zgadzać się na wspólne wyjście.

Już nigdy się z nim nie umówię. Przysięgam uroczyście!

– Dobry wieczór! – Obok nas rozległ się wesoły zachrypnięty głos. – Nie spodziewałem się, że zobaczę w Czarnym Kocie znajome, lekarskie twarze.

Odwróciliśmy się w stronę Zadrożnego. Wepchnął się pomiędzy nas,

zwiększając dystans dzielący mnie od Tomka, i odstawił na bar pusty kufel. Mrugnął do barmana, a ten od razu podał mu pełen.

– Dobry wieczór – odpowiedziałam.

Tomek tylko coś mruknął. Nijak nie dało się tego zinterpretować jako miłe powitanie. Chirurg wbił we mnie wściekłe spojrzenie, jakby to była moja wina, że Zadrożny do nas podszedł.

– Idę – powiedział, kierując swoje słowa wyłącznie do mnie. – Mam nadzieję, że w poniedziałek o tym porozmawiamy. A kotka zatrzymaj. To był prezent.

I po prostu wyszedł. Oniemiałam. Nie mogłam uwierzyć w jego szczeniackie zachowanie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że zacisnęłam dłoń z wisiorkiem, dopóki ktoś delikatnie nie stuknął mnie w kłykcie.

– Hej, bo zrobi sobie pani krzywdę.

Spojrzałam w oczy lekarza medycyny sądowej.

– Co takiego? – wydusiłam.

Nie odpowiedział. Wziął mnie za rękę i odgiął palce. Mały srebrny kotek odcisnął się czerwonym śladem na mojej dłoni, a zapięcie łańcuszka wbiło się w skórę. Pojawiła się kropla krwi. Widok był tak melodramatyczny, że aż parsknęłam śmiechem.

– Przepraszam – powiedziałam do zdziwionego Zadrożnego, wycierając rękę o czarną sukienkę. – Myślałam, że niezły ze mnie psychiatra, ale właśnie się okazało, że nie potrafię dobrze odczytywać ludzi.

– Dlatego ja wolę zajmować się martwymi. Rzadko kiedy potrafią zaskoczyć. Dodatkową ich zaletą jest to, że nie pyskują – odparł z rozbrajająca szczerością.

Zaśmiałam się. Poczułam, jak napięcie powoli ze mnie uchodzi, wraz z oddalaniem się Tomka od tej knajpy. Na długo zapamiętam to spotkanie, oj na długo.

– Bardzo ładnie pan grał. Wydaje mi się, że często pan tutaj występuje, mam rację? – zagadnęłam, starając się pociągnąć rozmowę.

Nie chciałam, żeby odszedł i zostawił mnie samą. Tak żałośnie samą. Poza tym nie chciałam jeszcze wychodzić. Powrót do domu bardzo mnie nęcił, możliwe jednak, że gdzieś po drodze czaił się Tomek. Lepiej było odczekać kilka minut, aż sobie pójdzie. Na szczęście nie wiedział, gdzie mieszkam, więc nie będzie na mnie czatował na klatce schodowej jak Łukasz.

– A dziękuję. – Stuknął swoim kuflem o moją szklankę. – Lubię grać w tej knajpie. Chociaż daje to tylko smaczek, bo zarobkowo średnio się opłaca.

Mówiąc ostatnie zdanie, zerknął znacząco na barmana, który machnął na niego ręką, jakby odganiał uporczywego owada. Stał obok nas i opierał się dłońmi

o blat, czekając, aż ktoś złoży zamówienie. A przy okazji bezczelnie podsłuchiwał.

– Bardzo dziękuję, że pan do nas podszedł. Sytuacja powoli wymykała się spod kontroli – wyznałam.

– Nie ma problemu. Od czasu do czasu warto połechtać swoje ego, ratując damę z opresji – oznajmił z uśmiechem.

– No tak.

Pociągnęłam łyk piwa i odstawiłam szklankę. Nie zamierzałam więcej pić. I tak procenty uderzyły mi do głowy.

Najwyższy czas zbierać się do domu, do kota. I nieudany wieczór uznać za zakończony.

– Będę już szła. Miło było pana spotkać.

– Już pani ucieka? – Zadrożny wyraźnie się zmartwił. – Odprowadzę panią.

– Mieszkam trzy ulice dalej! Nie trzeba.

– Nalegam. To nie jest ciekawa okolica. Pełno tu szemranych typów.

– I w związku z tym powinnam pozwolić odprowadzić się mężczyźnie, z którym, praktycznie rzecz biorąc, rozmawiam po raz pierwszy w życiu?

A co tam. Jeszcze raz sięgnęłam po szklankę, której barman uparcie nie chciał sprzątnąć, i dopiłam swoje piwo. Byłam pijana. Stało się.

– Rozmawiamy trzeci raz. – Oparł się łokciem o ladę. – Pierwszy raz na parkingu, kiedy zrugała mnie pani, że palę. Po raz drugi rozmawialiśmy w szatni Szpitala Wschodniego. To jest nasza trzecia rozmowa. Zdecydowanie najdłuższa i najciekawsza z nich wszystkich.

– Mimo to wciąż mi się wydaje, że nie powinnam pozwolić się panu odprowadzić – odpowiedziałam przekornie.

– W takim razie poznajmy się lepiej. Trochę nieładnie, bo to pani powinna zaproponować, ale zacznijmy mówić sobie na ty. Jestem Marek.

– Asia. – Uścisnęłam podaną mi dłoń.

– Widzisz, Asiu, już całkiem nieźle się znamy, ale mogę udzielić ci jeszcze kilku informacji na swój temat. Jestem lekarzem medycyny sądowej. Lubię muzykę, motocykle, włoską kuchnię, dobre wino i piękne kobiety. – Mrugnął.

Barman zarechotał, słuchając naszej rozmowy, i pokręcił głową z niedowierzaniem. Mimo wszystko nie przestał nadstawiać ucha. Złapał jakąś ścierkę i udawał, że musi doczyścić blat obok nas.

– Jestem psychiatrą. Lubię książki, kawę oraz koty – odparłam odrobinę zawstydzona tą rozmową.

– No popatrz, ile rzeczy nas łączy! – wykrzyknął Marek.

W odpowiedzi posłałam mu zdziwione spojrzenie.

– Muzyka to powieść, której litery zamieniono na nuty. Włoska kuchnia słynie z przepysznej kawy. A co do kotów to uważam, że kobieta ma w sobie coś z tych pełnych wdzięku stworzeń.

Parsknęłam. Chyba nigdy nie widział otyłego persa!

– Ależ z ciebie czaruś. Dotąd myślałam, że to Stalowiec jest kobieciarzem…

Nie wiedziałam, dlaczego gram w tę grę. Przecież nie szukałam faceta. Zwłaszcza takiego jak on. Taki tylko rozkocha i porzuci.

Nie miałam co do tego złudzeń. Niestety, reprezentował ten sam typ co Tomek. Poza tym miałam Kołtuna i psychopatycznego mordercę na karku. Nie potrzebowałam większej liczby samców w swoim otoczeniu.

– Ten chirurg? Kobieciarzem? – Marek zerknął na drzwi knajpy, które dawno zamknęły się za Stalowcem. – Jakoś mi nie wygląda na osobnika rozkochanego w kobiecym pięknie, który umie gładko prawić komplementy. Wyszedł stąd obrażony niczym mała dziewczynka. O co w zasadzie się pokłóciliście?

Pokiwałam głową do jego słów. Czyżby podał właśnie definicję samego siebie?

Przyglądał mi się z niekłamaną ciekawością. Gdzieś z głębi sali dobiegły nas nawoływania, żeby wrócił i grał dalej, on jednak zdawał się ich w ogóle nie słyszeć.

– Zdradzisz mi ten sekret? – zapytał raz jeszcze, gdy nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Zarumieniłam się. Muszę przestać gadać do siebie w myślach. Zawieszam się przez to w trakcie zwykłej konwersacji.

– Szczerze mówiąc, to nie do końca jestem pewna. Chyba mieliśmy inne oczekiwania co do tego wieczoru, chociaż od początku mu mówiłam, że chcę, byśmy pozostali przyjaciółmi. – Poczułam się zobowiązana, żeby to wyjaśnić.

Wzrok Marka ześlizgnął się na moje nogi.

– Wybacz, ale w takim razie nie powinnaś się tak ubierać. Twoja sukienka mówi co innego. Wyglądasz niesamowicie pociągająco. Muszę przyznać, że cały wieczór zastanawiałem się, co masz pod spodem.

Toby się dopiero zdziwił, gdyby zobaczył moje bawełniane majtasy!

– Lepiej zwolnij, bo dogonisz chirurga za drzwiami – poradziłam mu życzliwie.

Barman parsknął.

– No cóż. Jeśli myślał, że zdobędzie twoje względy, stawiając ci piwo w takiej podłej knajpie – Marek zaakcentował ostatnie słowa i zerknął na barmana, który puścił je mimo uszu – i dając w prezencie błyskotkę, to srogo się mylił. Najwyraźniej nie docenił przeciwniczki.

– Strasznie jesteś elokwentny jak na osobę, która na co dzień pracuje ze zmarłymi – zauważyłam.

– Mam bardzo bogate życie wewnętrzne. Poza tym stan moich pacjentów bynajmniej nie przeszkadza mi w rozmowie. Po prostu rzadziej uzyskuję od nich

odpowiedź.

Dobrze mi się z nim rozmawiało. Czas uciekać.

– Bardzo miło mi się z tobą gawędzi, ale naprawdę chcę już iść do domu, więc…

– Odprowadzę cię – przerwał mi.

– Nie ma mowy.

– W takim razie pójdę w tym samym kierunku. Tego zabronić mi nie możesz. Masz jakiś płaszcz albo kurtkę?

– Płaszcz jest na tamtym wieszaku. – Wskazałam palcem. – Ale…

– Ten granatowy? – upewnił się. – Zaraz go przyniosę, tylko zabiorę swoją gitarę. Poczekaj na mnie.

– A nie musisz jeszcze zagrać?

– Nie, za słabo tu płacą.

Barman przewrócił oczami i odszedł na przeciwległy koniec długiego blatu, gdzie podeszli nowi klienci.

Wyszliśmy z Markiem na dwór. Chłodny wiosenny wiatr podwiał mi przykrótką kieckę. Usiłując ją opuścić, zachwiałam się, a obcas wpadł mi w przerwę między płytami chodnikowymi.

Marek złapał mnie za łokieć.

– Co prawda tylko przypadkowo idę obok w tym samym kierunku, ale chętnie wspomogę cię ramieniem.

Przełykając własną dumę, wzięłam go pod rękę. Wolałam nie wywalić się po pijaku w tych butach. Piwo zadziałało mocniej, niż podejrzewałam.

Pomacałam się po kieszeniach. Puszka z gazem pieprzowym była na miejscu.

– Nie jest ci zimno? – zapytałam, bo miał na sobie tylko flanelową koszulę narzuconą na podkoszulek.

– Nie, gorący ze mnie facet. Jesteś z Warszawy? – zagadnął.

– Nie, z Siedlec. Przeprowadziłam się po rozwodzie.

– Och, jesteś rozwódką? – zdziwił się.

– Zdarza się.

– Masz rację – zgodził się skwapliwie i zmienił temat: – Ja pochodzę z Warszawy. Całe życie mieszkałem po lewej stronie Wisły. Dopiero na starość zapragnąłem przenieść się na prawą.

– Tę lepszą.

– Oczywiście. Mieszkam na Saskiej Kępie.

– To chyba masz wyższą pensję ode mnie.

– Trochę. W końcu już skończyłem specjalizację. Ty jesteś w trakcie, prawda?

W świetle latarni, z rozczochranymi włosami, które miałam ochotę

przeczesać palcami, nie wydawał się wiele starszy.

– A ile masz lat? – palnęłam, zanim zdołałam ugryźć się w język.

– Trzydzieści sześć. A ty?

– Dwadzieścia dziewięć.

– Tylko siedem lat różnicy. Nie tak źle.

– Słucham?

– Staram się nie umawiać z kobietami młodszymi ode mnie o więcej niż dziesięć lat. Wiesz, trzeba mieć w życiu jakieś zasady.

Prychnęłam. Kolejny podrywacz.

– My się przecież nie umawiamy – zaznaczyłam.

– Jeszcze nie – potwierdził.

Zaśmiałam się głośno i odetchnęłam chłodnym wieczornym powietrzem. Nagle zrozumiałam, że dzięki wydarzeniom dzisiejszego wieczoru zdołałam się zresetować i naładować baterie.

Nawet zwolnienie lekarskie na PTSD chyba już nie będzie mi potrzebne.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Za co? – zdziwił się Marek.

– Poprawiłeś mi humor. Miałam nadzieję, że to wyjście z Tomkiem będzie odskocznią od piątkowych zdarzeń, ale to ty wyciągnąłeś mnie z dołka.

– W takim razie polecam się na przyszłość. A co do chirurga to wiesz, że oni z zasady wielkie mają tylko i wyłącznie ego…

26.

Warszawa, Praga-Północ, okolice ul. Ząbkowskiej

Dłonie w cienkich rękawiczkach zaciskały się w pięści i otwierały z głośnym skrzypieniem czarnej skóry. Robiły to coraz szybciej. Towarzyszyła im furia. Ślepa furia.

Odziana w czerń postać ruszyła za beztrosko śmiejącą się parą. Kobieta lekko chwiała się na wysokich obcasach, a mężczyzna z gitarą przewieszoną przez plecy wspierał ją swoim ramieniem.

Obsesja na punkcie tej kobiety stawała się coraz silniejsza.

Niczym dobra znajoma towarzyszyła postaci przez wiele lat, przypominając o sobie od czasu do czasu. Teraz wściekła wydawała się wrzeszczeć wewnątrz głowy.

Kopnięta przez nieuwagę butelka po piwie potoczyła się po chodniku. Postać wsunęła się pomiędzy czarne jak ona cienie starej bramy. Furia i obsesyjne myśli powoli zaczęły znikać.

Kobiecy śmiech ucichł. Para zatrzymała się i rozejrzała. Gdy nie dostrzegli niczego podejrzanego, ruszyli dalej.

Odziana na czarno postać śledziła ich aż do mieszkania kobiety. Oboje weszli do kamienicy.

Prawa dłoń zacisnęła się kurczowo na skalpelu w kieszeni.

27.

– Odprowadzę cię pod drzwi. W tych butach najprawdopodobniej spadniesz ze schodów i skręcisz sobie kark – powiedział Marek.

– Poradzę sobie!

Zachwiałam się, zaprzeczając swoim słowom. Przeklęłam się w myślach za zbyt dużą ilość piwa.

– Nie mam mocnej głowy – mruknęłam bardziej do siebie niż do niego.

Uderzyłam dłonią w kontakt na ścianie, by zapalić światło na klatce. Ciągle było ciemno. Ktoś chyba znowu ukradł żarówkę wkręconą ledwie przedwczoraj przez dozorczynię. Dla pewności kliknęłam kilka razy przełącznikiem.

Sapnęłam zirytowana. Marek przyglądał mi się zafascynowany.

– Co takiego? – Nie wytrzymałam.

– Nic.

– No, co? – Irytowałam się coraz bardziej.

– Zawsze uważałem, że psychiatrzy są dziwni. Czułem się nieswojo w ich towarzystwie, bo miałem wrażenie, że usiłują mnie analizować. Za to ty jako psychiatra jesteś uroczym i bardzo ciekawym zjawiskiem.

Nie byłam do końca pewna, czy to kpina, czy komplement.

– Nie potrzebuję pomocy przy wchodzeniu po schodach – oświadczyłam.

– Aha – przytaknął.

Zaczęliśmy wspinać się w kompletnych ciemnościach. Szłam pierwsza, trzymając się kurczowo poręczy, a Marek asekurował mnie z tyłu. Czułam przez płaszcz jego dłoń na swoich plecach.

Przez chwilę w zasnutym mgiełką alkoholu umyśle zakiełkowała chęć, by ta dłoń zsunęła się niżej. Kiedyś, jakby w innym życiu, Sławek czasami trzymał dłoń w tylnej kieszeni moich dżinsów…

Przyspieszyłam kroku, żeby Marek przestał mnie dotykać.

Stanęliśmy pod moimi drzwiami. Bez większej nadziei wcisnęłam podświetlony przycisk. Żarówka nad naszymi głowami rozświetliła się przykurzonym blaskiem.

No proszę! Tej nie wykręcili? Niedopatrzenie!

Zmrużyłam oczy, wpatrując się w klosz.

– Muszę napić się gorzkiej herbaty i iść spać – westchnęłam, pocierając twarz i czekając, aż znikną mroczki wirujące mi w polu widzenia.

– Zapraszasz mnie na herbatę? – ucieszył się.

– A użyłam słowa „zapraszam”? – prychnęłam.

– Przysiągłbym.

– Nie masz jakiejś stęsknionej rodziny, która na ciebie czeka? Twój motocykl będzie samotny…

– Poradzi sobie beze mnie. Już i tak ciężko zniósł wiadomość, że postanowiłem dzisiaj skorzystać z usług taksówki.

Zauważyłam, że nie odpowiedział na pytanie o rodzinę. Pewnie żonaty… W takim wieku raczej nie ma atrakcyjnych samotnych mężczyzn. Większość jest zaobrączkowanych bądź zajęta inaczej.

– Jak ty to robisz…? – zapytałam, szperając w miniaturowej torebce w poszukiwaniu kluczy.

Potrafiłam je zgubić nawet w niej. Brawo ja!

W końcu wyłowiłam breloczek w kształcie kota.

– Co takiego? – Szczerze się zaciekawił.

Nieporadnie usiłowałam trafić do zamka. Marek wziął z moich dłoni klucze i otworzył drzwi.

– Jak ty to robisz, że tak łatwo wkradasz się w łaski? – dokończyłam.

Wszedł do krótkiego korytarzyka w mojej kawalerce i zapalił światło. Nie musiałam go zapraszać do środka. Sam się zaprosił i na dodatek wszedł przede mną, żebym mu nie zatrzasnęła drzwi przed nosem.

Ku mojej rozpaczy rozejrzał się po zabałaganionym wnętrzu. Na szczęście w widocznych miejscach nie leżały części mojej bielizny. Bo w to, że gdzieś leżały, nie wątpiłam.

Kołtun, co nie zdarza mu się często, wstał z łóżka i podszedł do mojego gościa. Wyciągnął głowę i miauknął. Marek odstawił gitarę i ukucnął przy zwierzaku. Zaczął drapać go po karku, wywołując tym głośny, chrapliwy mruk.

– Masz kota! Jaki fajny! – wykrzyknął zachwycony niczym mały chłopiec. – Muszę przyznać, że chirurg naprawdę się starał, chociaż oryginalnością nie zgrzeszył. Sprytnie wykorzystał twoje zainteresowania, by zmiękczyć ci serce. Nie spodziewałem się tego po nim. Jak się wabi ta mrucząca kupka kłaków?

– Kołtun.

– Pasuje do niego!

– Wiem.

Zsunęłam ze stóp szpilki i odwiesiłam płaszcz. Rzuciłam się w stronę łóżka i przykryłam rozgrzebaną pościel kapą pełną kocich kłaków. Efekt nie był spektakularny, ale znacząco poprawił estetykę mojego mieszkania.

Marek stracił zainteresowanie kotem. Za moim przykładem zrzucił z nóg buty i podszedł do szafy, na której na wieszaku wisiała czerwona sukienka. Musnął palcem wskazującym lejący się materiał.

– Okej. Jeżeli chciałaś dziś włożyć tę sukienkę, to muszę przyznać ci rację. Ta, którą masz na sobie, jest prawie przyzwoita.

Nie wiedziałam, co robić. Już się zadomowił w moim mieszkaniu, bo zdjął buty. Powinnam go wyrzucić? Stanowczo pożegnać? Uwieść, żeby został na zawsze…?

– Nie uznaj tego pytania za dziwne, ale nie jesteś szalonym mordercą, prawda? – zapytałam. – Ani gwałcicielem?

Odwrócił się zaskoczony.

– Gdybym był, to chyba bym się jednak nie przyznał – odpowiedział powoli.

– Aha…

– Jeśli cię to uspokoi, to nie jestem. Ani mordercą, ani gwałcicielem.

– Zrobię herbatę… – mruknęłam, rzucając ostatnie spojrzenie na swój bałagan w poszukiwaniu zabłąkanych gdzieś staników albo majtek.

Marek usiadł w fotelu. Kołtun od razu znalazł się na jego kolanach. Siedem kilo mruku, futra i kociej otyłości rozsiadło się jakby nigdy nic na Marku i zaczęło dopominać się pieszczot. Rzuciłam w stronę pupila pełne zdziwienia spojrzenie. Ten kocur nikogo nie lubił, a zwłaszcza nie cierpiał mężczyzn. O wchodzeniu obcemu na kolana w ogóle nie było mowy. Zadrożny musiał wydzielać jakieś niesamowite feromony. Nie było innego wytłumaczenia.

Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że Kołtun nie czuje smrodu trupiarni, w której pracuje mój gość, i nie z tego powodu do niego lgnie.

– A co do twojego pytania to chyba znam odpowiedź. – Marek obserwował moje zmagania z opakowaniem herbaty.

Wyraźnie ucieszyło go, gdy upuściłam je na ziemię i przykucnęłam, nieopatrznie pozwalając, by sukienka prawie odsłoniła mi pośladki.

Zaklęłam głośno.

– Którego pytania? – burknęłam.

– Pytałaś, jak to robię, że tak łatwo wkradam się w łaski – przypomniał niezrażony. – Wydaje mi się, że jest to spowodowane faktem, iż jestem niesamowicie przystojny, niesamowicie charyzmatyczny, a na dodatek, o czym nie zdążyłem ci jeszcze wspomnieć, niesamowicie bogaty.

Czajnik brzdęknął, co oznaczało, że woda się zagotowała. Zalałam herbatę wrzątkiem, zastanawiając się nad tą deklaracją.

Przystojny jest. Przyznaję.

– Bogacz bawiący się w prosektorium? – zakpiłam, stawiając na małym stoliku kawowym dwie herbaty. – Nie mam cukru ani cytryny.

– Taka mała fanaberia. Nie słodzę, ślicznotko.

– Jakoś nie zauważyłam… – Usiadłam na rozłożonej kanapie, upominając się w myślach, żeby cały czas trzymać w tej niemożliwie krótkiej sukience złączone kolana.

Zadrożny zaśmiał się z mojego komentarza albo z powodu zakłopotania. Kołtun chyba zdał sobie sprawę z tego, że tak otwarte przymilanie się do obcych nie przystoi groźnie wyglądającym kotom, i zeskoczył mu z kolan. Mężczyzna odprowadził go rozbawionym spojrzeniem. Nie strzepnął z czarnego podkoszulka białych kocich kłaków. Wydawało się, że ich nie zauważa.

– Moja bratanica zawsze chciała mieć kota – wyznał. – Oszalałaby na punkcie Kołtuna.

– To niech twój brat jej takiego kupi.

– Tak…

Marek sięgnął po kubek i spróbował upić łyk. Skrzywił się, gdy herbata oparzyła go w wargi. Pełne i zgrabnie wykrojone – jeśli miałam być szczera.

– Mieszkasz sama? – zapytał.

– A co?

Grzałam dłonie o kubek. Mnie temperatura napoju nie przeszkadzała. Zaczęłam dmuchać w powierzchnię płynu i starając się za bardzo nie siorbać, pociągnęłam łyk. Od razu zrobiło mi się lepiej. Nawet tępy ból w śródbrzuszu, który odczuwałam od kilku godzin, jakby odrobinę przycichł. Miałam ochotę zacząć mruczeć niczym mój kot.

– Asiu, teraz tak na serio. Powinnaś na siebie uważać – powiedział Zadrożny.

Zaskoczona szerzej otworzyłam oczy.

– Bo mieszkam sama?

– Bo na wolności grasuje jakiś szaleniec. Skoro mnie tak łatwo udało się wkraść w twoje łaski, to i morderca może spróbować cię podejść.

Już prawie poprawił mi się humor, a on go zepsuł. Tak po prostu.

– Musiałeś mi o tym przypominać? – Westchnęłam.

– To nie są żarty. – Kpiący uśmiech stale goszczący na jego ustach zniknął. – Morderca zabija kobiety o czarnych, kręconych włosach. A jakie ty masz?

Klapka w mojej głowie zaskoczyła. Włosy! To dlatego Pol tak mi się przyglądał. Głupia gęś ze mnie… choć jestem psychiatrą.

– Dziwny ten morderca – mruknęłam. – Zamordowanie cycatej stażystki podpada pod jakiś fetysz, ale Mądrawskiej, o ile dobrze pamiętam nazwisko, to już nie bardzo…

Przypomniałam sobie sztuczną czerń spalonych farbą włosów i anorektyczną sylwetkę z nienaturalnie obfitymi piersiami.

A może to nie włosy są fetyszem mordercy? Może piersi? Zerknęłam na swój dekolt. Niestety, ja także miałam czym oddychać.

– No cóż… niektórzy lubią panterki. – Zaśmiał się. – A swoją drogą to makabryczny szlafrok do szpitala.

Poczułam ulgę, że nie tylko ja miałam takie zdanie na temat tej wyzywającej bielizny.

– Ty z pewnością wyglądałabyś w czymś takim znacznie lepiej – dodał.

– Jak ty to robisz? – Nie mogłam w to uwierzyć. – Znam cię bardzo krótko, a mimo to wpuściłam cię do mieszkania. I teraz rozmawiamy sobie o szlafroku w panterkę!

– Jak już mówiłem, jestem przystojny, charyzmatyczny i bogaty. Każda od razu wpuszcza mnie do domu. Szczerze mówiąc, dziwię się, że kobiety w ogóle wypuszczają mnie ze swoich mieszkań. A co do rozmowy o szlafroku to wydaje mi się on tematem w miarę neutralnym. Nie wyciągam na jednym z pierwszych trzech spotkań tematu bielizny. Swoją drogą to spod kaloryfera, za tobą, wystaje czarny koronkowy stanik. Ładny.

Spąsowiałam, ale nie rzuciłam się w stronę kaloryfera, czego najwyraźniej oczekiwał. Postanowiłam, że nie dam mu tej satysfakcji. Założyłam nogę na nogę i zamachałam w powietrzu stopą. Spojrzenie mężczyzny momentalnie przeniosło się na miejsce na moim udzie, gdzie sukienka odrobinę przesunęła się do góry. Już prawie było widać majtki.

– Kot go musiał tam zawlec – burknęłam.

– Kołtun ma dobry gust. Na jego miejscu także wybrałbym koronkowy.

Nie wątpię…

– A wracając do tego, o czym chciałem z tobą pomówić: Asiu, naprawdę na siebie uważaj – powiedział z troską w głosie. – Ten psychol najwyraźniej upodobał sobie kobiety w twoim typie. Na dodatek od jakiegoś czasu wysyła do ciebie wiadomości. Staraj się nie spacerować po ciemku. Unikaj miejsc, w których byłabyś sama – rzucał dobrymi radami.

– Usiłowałam unikać szatni. Skończyło się trupem w mojej szafce… Wiesz, co mnie najbardziej dręczy?

– Co?

– Że może gdybym poszła jednak do tej szafki, tobym ją uratowała. Może coś bym zdołała zrobić. A ja schowałam głowę w piasek i postanowiłam nie schodzić do piwnicy.

– Asiu, nie mogłaś jej pomóc. Wsadził ją do twojej szafki *post mortem*.

Herbata stanęła mi w gardle.

– Jakim cudem nikt nie zauważył, że morderca pakuje nagą kobietę do szafki pracowniczej? – wydusiłam.

– To pytanie do policji. – Marek wzruszył ramionami. – Kiedy dostałaś pierwszą wiadomość?

– Około półtora tygodnia temu, a co?

– Nic, byłem ciekawy.

Nie uwierzyłam mu. Wstrząsnął mną dreszcz. Morderca czaił się gdzieś dookoła mnie przez prawie dwa tygodnie. Musiał być blisko, skoro podrzucał mi wiadomości i wiedział, w co jestem ubrana. A ja w ostatnim czasie w ogóle się nie pilnowałam. Chodziłam nocą po piwnicach szpitala, wychodziłam nocą do sklepu. Miał mnóstwo okazji, żeby zrobić mi krzywdę.

– W jaki sposób je zabija? – zapytałam.

– Nie zrobiłem jeszcze sekcji „twojego prezentu” od mordercy. Zrobię

w poniedziałek. A co do poprzednich, nie mogę ci powiedzieć. Sebastian urwałby mi głowę.

„Mój prezent". Zrobiło mi się niedobrze.

– Poprzednich? To zginęło więcej kobiet? Nie tylko Mądrawska? – podchwyciłam.

Otworzył usta, a następnie je zamknął. Chyba nie zamierzał mi tego mówić. Rozparł się wygodnie w fotelu i oparł brodę na złączonych dłoniach. Zmrużył oczy. Wyglądał jak szczwany lis z bajek.

– Hej, i kto tu jest charyzmatyczny? – Zaśmiał się.

– Ile kobiet nie żyje?

– Mówię to tylko dlatego, żebyś zaczęła na siebie uważać. Rozumiesz?

– Tak.

– Łącznie z dwiema ostatnimi zabito pięć kobiet.

– Dlaczego nie było o tym informacji? Wszystkie zginęły w Szpitalu Wschodnim?

Byłam wstrząśnięta. Odstawiłam ze stukiem kubek z herbatą i podparłam się pod boki. Jak to się stało, że o tym nie słyszałam?!

Sukienka znowu podjechała do góry. Poznałam to po spojrzeniu Zadrożnego, które momentalnie skierował na moje nogi. Opuściłam ręce i ją poprawiłam. Musiał chyba dostrzec fragment moich majtek. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że przez siatkę rajstop nie sprawiały złego wrażenia.

– Były komunikaty w prasie. Trzy kobiety zginęły pół roku temu. To nie stało się w twoim szpitalu. Każda zbrodnia wydarzyła się w innym rejonie miasta – odpowiedział, nie odrywając wzroku od moich ud.

– Pół roku temu? – Informacje wpadały w mojej głowie na swoje miejsca. – To dlatego komisarz Pol tak dziwnie się zachował.

– Nie rozumiem.

– Pół roku temu przeprowadziłam się do Warszawy.

– Och. – Tytanicznym wysiłkiem spojrzał mi w oczy.

– Wszystkie miały czarne, kręcone włosy?

– Tak, ale tylko jedna szlafrok w panterkę. Wątpię, żeby morderca popełnił dwa razy ten sam błąd i zabił kogoś w takim szlafroku. Może kupisz sobie taki? Będzie cię chronił.

– W bardzo ciekawy sposób usiłujesz poważne sprawy obrócić w żart. Wiesz, że jest na to kilka określeń w psychiatrii?

– A wiesz, że chciałem spędzić miły wieczór w towarzystwie uratowanej z opresji damy, ale ona woli gadać o trupach?

– Ty zacząłeś.

– Fakt. – Zadrożny zmarszczył brwi. – To co? Masz szlafrok w panterkę?

Zaczął błądzić spojrzeniem po wnętrzu mojej kawalerki. Dłużej zatrzymał

się na czerwonej sukience. Na jego twarzy pojawił się tęskny uśmiech.

– Włożysz ją na następne spotkanie? – zapytał.

Wstałam z kanapy i obciągnęłam małą czarną.

– Obawiam się, że może nie być następnego spotkania. A teraz wybacz, ale jest już bardzo późno…

Wstał i ziewnął rozdzierająco.

– Masz rację. Chętnie bym się też położył, a skoro oboje mamy ochotę na to samo…

– Odprowadzę cię do drzwi, bo jeszcze się zgubisz w moich apartamentach – odparłam z szerokim uśmiechem.

– Musisz kiedyś wpaść do mnie – odparł, dając się poprowadzić w stronę wyjścia. – Też mieszkam w kamienicy. Moje mieszkanie zajmuje cały odnowiony strych.

Chyba nie kłamał, gdy mówił mi, że jest bogaty. Strychy nie są rozchwytywane z powodu upałów panujących w nich latem i chłodu zimą, ale na Saskiej Kępie z pewnością nie należą do tanich.

– To cudownie! – zagruchałam. – Gratuluję strychu! A teraz idź już do swojego motoru i zaśpiewaj mu kołysankę na dobranoc.

Mój kot podbiegł do nas i zaczął się plątać pod nogami.

– Dasz mi swój numer telefonu? – zapytał Marek, głaszcząc Kołtuna po głowie na do widzenia.

Kot sprzedawczyk rozmruczał się, jakby po raz pierwszy w życiu ktoś go podrapał za uszami.

– Nie.

– Wiesz, że Seba go ma i gdy go poproszę, to pewnie mi da?

– Komisarz Pol?

– Jesteśmy przyjaciółmi od przedszkola – wyjaśnił.

Zarzucił na ramię szelkę pokrowca na gitarę i przed wyjściem odwrócił się moją stronę. Zadarłam do góry głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Teraz, bez butów na wysokich obcasach, byłam dużo niższa.

– Chciałem jeszcze coś powiedzieć.

– Z całą pewnością to coś ważnego – skwitowałam.

– Co do tego nie ma dwóch zdań. – Uśmiechnął się lekko. – Ale skoro nie chcesz słuchać moich światłych myśli, to jeszcze raz proszę cię, żebyś na siebie uważała.

– Dobrze.

– W związku z tym, co się stało, weźmiesz może urlop? – zapytał, zatrzymując się w drzwiach.

– Nie. Zamierzam iść do pracy w poniedziałek. Nawet mam wtedy dyżur.

Chciałam wypchnąć go z mieszkania, ale zamarł z ręką na klamce

uchylonych drzwi. Miałam wrażenie, że się go nie pozbędę.

– Szkoda…

– A co?

– Mam domek nad morzem. Poza tym nie wykorzystałem jeszcze części urlopu z zeszłego roku. Gdybyś wzięła urlop, moglibyśmy wyskoczyć tam na parę dni.

– Twój tupet szczerze mnie zadziwia.

– Mnie czasem też – przyznał skwapliwie. – Przemyśl propozycję z domkiem. Wspominałem już, że jest na Majorce?

– Na litość boską! Rozmawiamy po raz pierwszy w życiu!

– Po raz trzeci, a mimo to jestem w nocy w twoim mieszkaniu i widziałem twój stanik – zauważył z rozbrajającym uśmiechem.

Przeszedł przez próg i jeszcze raz odwrócił się w moją stronę.

– A dostanę buzi na do widzenia?

W odpowiedzi trzasnęłam mu drzwiami przed nosem.

28.

Moja szafka, a także te sąsiadujące z nią zostały starannie zabezpieczone przez policję. Funkcjonariusze okleili je dookoła żółtą taśmą jak na amerykańskich filmach i nałożyli na drzwiczki plomby. W związku z tym, nawet gdybym chciała skorzystać z szatni, nie miałam takiej możliwości.

Mogłam się też założyć, że pani Maria z depozytu za żadne skarby świata nie przydzieli mi nowej szafki. Już nigdy. Chociaż z drugiej strony wcale jej się nie dziwię.

Na szczęście przyjaciele z pokoju lekarskiego nie mieli mi za złe, że trzymam kurtkę na krześle. W zamian opisałam im krwawe szczegóły z piątkowych wydarzeń. Ula wydawała się zafascynowana opowieścią, a Karol był prawdziwie wstrząśnięty. Chyba zdążył się już emocjonalnie zżyć z cycatą stażystką.

W żadnym razie nie miałam zamiaru wspominać im o listach od Tajemniczego Wielbiciela i o tym, że denatka była „prezentem" dla mnie od niego. Na szczęście chyba uwierzyli, że to całkowity przypadek, iż akurat w mojej szafce znalazły się zwłoki.

Miałam dzisiaj dyżur. Na profesorze Sieradzkim nie zrobił najmniejszego wrażenia fakt, że znalazłam ciało w swojej szafce i że mogło to na mnie źle wpłynąć. Nic nie powinno zakłócić grafiku oddziałowego, który szef ustalił na początku miesiąca.

Po wielu latach spędzonych na psychiatrii nabawił się takiej znieczulicy, że po odprawie wezwał mnie na dywanik i poradził, żebym wzięła się w garść, bo muszę odbyć dzisiejszy dyżur. Stwierdził, że gorsze rzeczy spotykają naszych pacjentów, więc mam się nie mazgaić.

Ula była jego przeciwieństwem. Przez cały ranek zerkała na mnie ukradkiem, jakby sprawdzała, czy nie zamierzam się rozpłakać i załamać. Nawet wyjęła na blat biurka opakowanie chusteczek jednorazowych, żeby w razie czego były pod ręką.

Mam nadzieję, że usłużnie nie dosypała mi czegoś do kawy, kiedy nie patrzyłam.

– Ula… przestań – burknęłam w którymś momencie.

Co chwilę na mnie spoglądała, co irytowało mnie jeszcze bardziej.

– Przepraszam. – Speszyła się i złapała plik papierów ze swojego biurka, udając, że je porządkuje. – Po prostu się o ciebie martwię. Jeśli chcesz, mogę wziąć za ciebie dzisiejszy dyżur. Może wolisz iść do domu?

Byłam jej wdzięczna za tę propozycję, ale po namyśle postanowiłam zostać w pracy, w otoczeniu ludzi. Niedziela spędzona z Kołtunem w zamkniętym mieszkaniu nie należała do najprzyjemniejszych. Cały czas nasłuchiwałam, czy

ktoś nie czai się za moimi drzwiami z wytrychem w dłoni. Poza tym rozmyślałam o cycatej stażystce. Tutaj mogłam o tym zapomnieć w wirze codziennych obowiązków.

Oprócz tego niepokojący od jakiegoś czasu ból brzucha nie ustępował, a nawet się nasilił. Czułam go bardzo wyraźnie podczas chodzenia. Musiałam zweryfikować swoje pierwsze podejrzenie, jakim była choroba wrzodowa. Postanowiłam, że jeśli do wieczora mi nie przejdzie, to przespaceruję się na radiologię i poproszę jakąś dobrą duszę o zrobienie USG brzucha.

– Zostanę. – Uśmiechnęłam się do Uli. – Ale bardzo dziękuję.

– Nie ma sprawy. W końcu się przyjaźnimy…

Zerknęłam na zegarek.

– Muszę się zbierać. Obiecałam chirurgowi, że wpadnę przed czternastą na konsultację. – Westchnęłam z cierpiętniczą miną.

Nie była to konsultacja u Tomka, ale obawiałam się, że mogę go spotkać na korytarzu. Nie odzywał się od soboty. Myślałam, że może zadzwoni i spróbuje mnie przeprosić. Jednak milczał. Pewnie był przekonany, że to on ma rację.

Na litość boską, tyle razy mu mówiłam, że nie szukam chłopaka!

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Przez szparę wsunął głowę pan Wacław, ochroniarz. Uśmiechnął się do mnie ciepło, ale mnie jego przyjście zmroziło. Ostatnio gdy się pojawił, w mojej szafce został znaleziony trup. Co tym razem?

– Doktor Skoczek? Przyszedł do pani kurier – oznajmił.

– Kurier? – zdziwiłam się.

– Z przesyłką.

– Przesyłką?

– Tak. Wygląda jak prezent, ma nawet czerwoną kokardę. Bardzo ładny. – Usiłował mnie zachęcić, widząc, że jakoś nie zrywam się podniecona z krzesła.

Po plecach przebiegł mi dreszcz strachu i spociłam się jak mysz. Byłam przerażona myślą, że to kolejny „prezent” od Tajemniczego Wielbiciela.

– Już idę. – Podniosłam się z krzesła na sztywnych nogach.

Ula rzuciła mi pełne przestrachu spojrzenie. Chyba dostrzegła u mnie kryzys, którego od rana się spodziewała.

Kurier wyglądał jak licealista albo nawet gimnazjalista. Błyszcząca skóra twarzy poznaczona była zmianami trądzikowymi. Spod czapeczki z szerokim daszkiem z logo firmy kurierskiej wystawały mu dość niechlujnie wyglądające dredy. Do tego wokół chłopaka unosił się subtelny zapaszek marihuany. Miał jaja, przychodząc w takim stanie na oddział psychiatrii.

– Pani Skoczek? – zapytał i podał mi białe płaskie pudło przewiązane czerwoną kokardą. – Przesyłka dla pani. Proszę tu czytelnie podpisać.

– Od kogo? – zapytałam nieufnie.

Pudło było podejrzanie lekkie. Pomyślałam, że nie powinno być w środku

żadnych amputowanych kończyn.

– Nie mam informacji. Może wewnątrz będzie jakiś liścik – mruknął i podał mi tablet, na którym za pomocą rysika złożyłam podpis.

Wyszedł mi krzywy kulfon, bo tak bardzo trzęsła mi się ręka. Miałam wrażenie, że zaraz upuszczę na ziemię tę przesyłkę.

Po drugiej stronie przeszklonych drzwi położonej nieopodal izolatki stał nowo przyjęty, nieznany mi jeszcze pacjent. Pokiwał z uznaniem głową, wskazując na prezent. A następnie pocałował z uczuciem dzielącą nas szybę. No cóż… miałam nadzieję, że prezent nie jest od niego.

– Do widzenia. – Kurier stuknął palcami w daszek czapki i odwrócił się na pięcie.

Szybko weszłam do pokoju lekarskiego, chcąc uciec od ciekawskiego wzroku ochroniarza. Musiałam jak najszybciej zobaczyć, co jest w pudle!

Ula o mało nie padła z wrażenia. Na szczęście z pudełka nic nie wyciekało. To dobry znak.

– Od kogo to? – spytała i stanęła obok, zaglądając mi przez ramię.

– Nie wiem…

– Może w środku będzie jakaś kartka? – zasugerowała. – Otwieraj, bo nie wytrzymam napięcia! Nigdy nie dostałam takiego prezentu… Ładny…

Położyłam pudło na blacie. Czując, jak gardło zaciska mi się ze strachu, pociągnęłam czerwoną kokardę. Wstążka opadła na ziemię. Złapałam brzeg tekturowej pokrywki i ją uniosłam. Wewnątrz znajdowała się sterta różowej bibuły, szczelnie ukrywając, co jest pod spodem. Odwinęłam ją i aż sapnęłam z irytacji.

Pod grubą warstwą bibuły leżał złożony w kostkę materiał. W panterkę rzecz jasna.

– Co to? – zdziwiła się Ula i sięgnęła po niego.

Satyna w jej dłoniach rozwinęła się, ukazując nam skąpy szlafroczek w panterkę. Lepszej jakości niż ten, który nosiła świętej pamięci Mądrawska, niemniej tak samo tandetny ze względu na ten deseń. Na dnie pudła leżały jeszcze czarne koronkowe majteczki i złożona na dwoje kartka.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, od kogo jest ten prezent.

– Kto ci to przysłał? – zdziwiła się Ula.

– Znajomy dowcipniś – mruknęłam. – Któremu solidnie się za to oberwie…

Zabrałam kartkę, zanim zdążyła ją chwycić, i przeczytałam napisaną odręcznie wiadomość, wykręcając się tak, by Ula nie mogła zobaczyć tekstu.

Asiu!

Przesyłam prezent na dzisiejszy dyżur: szlafrok w panterkę chroniący przed mordercami. Muszę przyznać – nie spodziewałem się, że będę miał tak duże trudności ze znalezieniem go w Warszawie. Udało mi się kupić dopiero w piątym

sklepie, do którego poszedłem. Najwyraźniej szlafroki w panterkę muszą być bardzo popularne. Majtki przesyłam w prezencie dla Twojego kota Kołtuna – będą pasować do koronkowego biustonosza, który tak mu się spodobał.

Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zadzwoń.

Marek

Niżej był zapisany jego numer telefonu. Spryciarz usiłował mnie podejść. Wiedział, że zirytuje mnie tym prezentem, i miał nadzieję, że zadzwonię do niego i go zwymyślam, zostawiając przy okazji swój numer.

„Gdybym czegokolwiek potrzebowała" – zapewne miał na myśli zawiązywanie troczków szlafroka! Ależ miałam ochotę zadzwonić i mu wygarnąć. Ledwo mogłam się powstrzymać.

A majtki?! Nagle mnie zmroziło. Czy to był tylko przytyk do mojego kota, czy może jednak zobaczył wtedy, że mam na sobie sprane gacie w serduszka? Zrobiło mi się słabo. Nikt nie powinien widzieć tych moich majtasów.

– Trochę… jakiś taki… – Ula nie mogła znaleźć słów, wpatrując się w błyszczący materiał.

– Obrzydliwy – podpowiedziałam usłużnie.

– No…

Oddała mi szlafrok, który byle jak wrzuciłam do pudła i szybko je zamknęłam. List wsunęłam do kieszeni fartucha.

– Nosisz taką bieliznę? – Kąciki ust Uli wygięły się delikatnie, kiedy usiłowała powstrzymać uśmiech.

– Nie… – mruknęłam.

Z całego serca podziękowałam losowi, że w pokoju nie było Karola. Ula zapewne podzieli się z nim informacją o moim prezencie, niemniej jednak cieszyłam się, że przynajmniej nie widział szlafroka.

– Idę na konsultację – westchnęłam.

– Okej. Mnie już pewnie nie będzie, jak wrócisz, więc do jutra – zaszczebiotała Urszula.

– Pa!

Stanęłam pod drzwiami windy i wcisnęłam guzik. Ból brzucha przeniósł się z nadbrzusza w stronę prawej pachwiny. Nie podobało mi się to. Postanowiłam dzisiaj unikać schodów i niepotrzebnego wysiłku.

W wiekowej windzie sięgnęłam do kieszeni, żeby jeszcze raz przeczytać liścik. Przyjrzałam się zamaszystemu, momentami trudnemu do przeczytania, charakterowi pisma Marka. Przesunęłam palcem po odrobinę krzywych literach. Napisał go piórem. Pod koniec atrament był odrobinę rozmazany, zupełnie jakby

Zadrożny zgiął kartkę, nie czekając, aż tusz wyschnie.

Wpisałam sobie numer jego telefonu do komórki.

Tak na wszelki wypadek. Bo nie miałam zamiaru go używać.

Nie mogłam uwierzyć w jego tupet. Jeszcze nigdy nikt tak bardzo się nie postarał. Tomek był dość konsekwentny w swoich zalotach, ale mimo wszystko nie tak śmiały. Sławek w zasadzie nie musiał mnie zdobywać. Nasze uczucie wyewoluowało podczas kolejnych spotkań ze znajomymi. A ten Marek…

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdy o nim myślałam. Wydawał się przeciwieństwem Sławka, który był spokojny, ułożony i niczym za bardzo się nie ekscytował. Nawet nie próbował mnie zdobywać. Jakoś tak wyszło, że poszliśmy na randkę, potem na kolejną i następne. Można powiedzieć, że byliśmy ze sobą, bo tak wyszło.

Nie mogę zapominać, że Marek nie nadaje się na faceta, z którym można spędzić resztę życia. Nie wygląda na odpowiedzialnego i rozsądnego. Jeździ na motocyklu. Ale o czym ja myślę, skoro nie mam nawet pewności, czy w domu nie czeka na niego żona.

Z drugiej jednak strony poukładany Sławek miał być mężczyzną na całe życie i co? Srogo zawiodłam się na tym wyborze.

A Tomek? Było w nim coś, co mnie zniechęcało. Może zbyt długo się znaliśmy?

Rozmyślając o mężczyznach, którzy nieoczekiwanie pojawili się w moim życiu, dokuśtykałam do windy w głównym budynku. Ból w prawej pachwinie był coraz bardziej uporczywy.

Krzywiąc się, weszłam do środka. Przyjrzałam się w lustrze swojemu odbiciu.

Co ci faceci we mnie widzą? Byłam niezdrowo blada. Poklepałam się po policzkach niczym podlotek, ale rumieniec nie chciał się pojawić.

Drzwi windy otworzyły się. Zapatrzona we własne odbicie, nawet nie spojrzałam, kto się dosiadł. Nagle poczułam mocne szarpnięcie za ramię. Uderzyłam plecami i głową o ścianę windy. Mignął mi przed oczami biały wózek do przewożenia odpadów medycznych.

Gdzieś w głębi dźwigu metalowy mechanizm zazgrzytał, gdy kabina się zabujała. Ze strachu o mało nie krzyknęłam.

Wbiłam przerażone spojrzenie w stojącego naprzeciwko Łukasza.

– Coś ty nagadała policji, co?! – warknął, plując drobinkami śliny.

– Co takiego? – jęknęłam.

– Nagadałaś o mnie psom, że jestem mordercą? Zdurniałaś?!

– Powiedziałam tylko, że zostawiałeś mi listy…

– Jakie, kurwa, listy?!

Uderzył pięścią w metalową ściankę obok mojej głowy. Dźwig zazgrzytał,

gdy napięły się utrzymujące go metalowe liny. Pisnęłam. Złapałam się kurczowo metalowej poręczy w złudnej nadziei, że coś mi to da, jeśli winda zacznie spadać.

– Patrz na mnie, jak do ciebie mówię! – prychnął. – Napisałem do ciebie jedną wiadomość, na samym początku! Słyszysz mnie? Jedną wiadomość, żeby ci było miło, że ktoś o tobie myśli! Sądziłem, że jesteś inna, ale jesteś taka jak oni wszyscy. Wielka pani, bo nosi biały fartuch! Myślałem, że mnie rozumiesz!

– Przepraszam – wydusiłam.

– Nikogo nie zabiłem, rozumiesz?!

Pokiwałam głową.

– Co powiedziałaś policji?!

– Dostawałam anonimowe listy. Opowiedziałam o nich policji. Powiedziałam, że zaczaiłeś się na mnie w kamienicy. Dodali dwa do dwóch.

– To za to się mścisz?! Chciałem tylko porozmawiać!

– Napisałeś list!

– Jeden! Ale jak powiesz o tym policji, to…

– To kto napisał resztę, jeśli nie ty? – przerwałam mu.

Odepchnęłam go. Był tak zaskoczony, że nie zareagował. Popchnął plecami pojemnik na odpady, aż odskoczyła klapa. Wnętrze windy wypełnił zapach rozkładających się tkanek. Zrobiło mi się niedobrze. Zawartość żołądka podjechała mi do gardła.

– Stój! – warknął.

Usiłował złapać mnie za ramię, ale okrążyłam wózek i uderzyłam w drzwi na wysokości, na której akurat byliśmy. Otworzyły się, głośno skrzypiąc.

Wytoczyłam się, zasłaniając dłonią usta. Stojący na drodze ludzie odskoczyli, całkiem słusznie podejrzewając, że zaraz zwymiotuję.

– Myślałem, że jesteś inna! – dobiegł mnie jeszcze krzyk Łukasza.

Pchnęłam drzwi prowadzące na klatkę schodową i pobiegłam po krzywych schodkach, jakby gonił mnie sam diabeł.

29.

Ból stawał się silniejszy. Pokonanie kolejnych pięter zabierało coraz więcej czasu. Klatka schodowa była opustoszała, moje kroki niosły się głuchym echem. Na wysokości siódmego piętra, gdzie mieściła się chirurgia, nie miałam co liczyć na wielu zwolenników chodzenia po schodach. Na niższych kondygnacjach mogłabym kogoś spotkać, ale nie tutaj. Byłam sama. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc albo usłyszeć, jak krzyczę. Zaciskając zęby, parłam do przodu, wmawiając sobie, że gdy tylko wejdę na to siódme piętro, ból minie.

Od drzwi prowadzących na poziom chirurgii dzieliło mnie kilkanaście schodków. Uznałam, że nie dam rady. Ze łzami w oczach skuliłam się na ziemi. Ból w podbrzuszu był tak silny, że widziałam przed oczami gwiazdy. Objęłam się ramionami i pochyliłam do przodu, starając się znaleźć pozycję, w której poczuję się chociaż trochę lepiej.

Zaczęłam płycej oddychać.

Podejrzenia, że trwający od kilku dni ból to objaw wrzodów albo bolesne jajeczkowanie, mogłam schować między bajki. Zacisnęłam zęby, przeklinając swoją głupotę. Wszystko wskazywało na zapalenie wyrostka robaczkowego. Przebiega często niecharakterystycznie, sugerując różne schorzenia, aż jest za późno i niezbędna staje się interwencja chirurgiczna.

Nacisnęłam dłonią brzuch, sprawdzając obecność objawów otrzewnowych. Aż zrobiło mi się ciemno przed oczami. Miałam objawy otrzewnowe świadczące o zapaleniu. Oby tylko nie doszło do perforacji, bo bolało mnie jak cholera!

Drzwi za moimi plecami zaskrzypiały, gdy ktoś je otworzył.

– Asia? – Usłyszałam zdziwiony głos Tomka.

Jeszcze nigdy nie ucieszyłam się tak na jego widok.

– Co się stało? – W jednej chwili znalazł się obok mnie i złapał mnie za ramię.

Był nie na żarty przestraszony, gdy spojrzał na moją wykrzywioną bólem twarz. Czułam, jak po policzkach płyną mi łzy.

– Asia! Co się dzieje? – powtórzył. – Jesteś biała jak ściana!

– Chyba wyrostek – wydusiłam.

– Co?

– Boli strasznie.

– Zabiorę cię na chirurgię. Musimy tylko pokonać te schody.

– Nie dam rady.

– Pomogę ci.

Złapał mnie pod pachy i uniósł. Jęknęłam, ale pozwoliłam się poprowadzić krok po kroku po schodkach.

– Boże, jesteś przezroczysta i rozpalona – mruczał do siebie. – Nie wiem,

czy nie masz gdzieś aktywnego krwawienia.

Super…

Otworzył kartą magnetyczną drzwi prowadzące na oddział. Spojrzenia wszystkich natychmiast skierowały się w naszą stronę. Nogi się pode mną ugięły, ale Tomek trzymał mnie mocno pod ramię. Zawisłam na nim.

– Co się dzieje? – zapytał nieznany mi starszy lekarz z sarmackim wąsem.

– Znalazłem panią doktor na schodach – wyjaśnił Stalowiec.

– Szłam na konsultację do waszego pacjenta – mruknęłam i posłałam mu słaby uśmiech.

Lekarz ruszył za nami gotów w każdej chwili pomóc.

– Tomek, zaprowadź panią do lekarskiego. Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. Co panią boli?

Tomek wprowadził mnie do pokoju, w którym kiedyś piliśmy kawę. Przepędził stażystów, którzy wypełniali papiery, i kazał mi usiąść na wersalce.

– Powiedz, co się dzieje – poprosił, dotykając mojego czoła. Złapał mnie za nadgarstek w poszukiwaniu tętna. Odwrócił się do starszego lekarza i grupki stażystów i oświadczył: – Ma gorączkę i przyspieszoną akcję serca.

Zsunęłam ze stóp buty i osunęłam się na wersalkę.

– Od mniej więcej tygodnia boli mnie żołądek i mam mdłości – powiedziałam. – Myślałam, że to może wrzody.

– Zaraz, czy to nie pani przypadkiem znalazła te zwłoki w piwnicy? – zapytał starszy lekarz.

Postanowiłam go zignorować.

– Ból przeniósł się dzisiaj do prawego podbrzusza. Chyba mam objawy otrzewnowe – sapnęłam, moszcząc się wygodniej na siedzisku.

– Tak, to ona znalazła zwłoki – odpowiedział za mnie Tomasz.

– Nie ma pani szczęścia – skwitował ponuro doktor.

Tomek uklęknął obok mnie. Spojrzał mi w oczy i powiedział:

– Zbadamy ci brzuch, dobrze?

Tylko kiwnęłam głową. Nie miałam ochoty, by ktokolwiek uciskał mój bolący brzuch, ale nie było wyboru. Żaden lekarz nie lubi zmieniać się w pacjenta pozbawionego kontroli nad sytuacją.

Starszy lekarz zawisł nad ramieniem Tomka jak sęp wpatrzony w bezbronną ofiarę. Czułam na sobie jego taksujący wzrok. Zachowywał się tak, jakby usiłował złapać mnie na symulowaniu objawów.

Stalowiec rozpiął mój fartuch i uniósł podkoszulkę. Energicznie potarł o siebie ręce, by je ogrzać. Jednak gdy położył dużą dłoń na wysokości mojego pępka, i tak się wzdrygnęłam.

– Wybacz, mam zimne ręce – mruknął.

Zamknęłam oczy, kiedy naciskał delikatnie okolice żołądka. Bolało, ale

dawało się wytrzymać. Gwiazdy zatańczyły mi przed oczami, dopiero gdy jego dłoń zjechała poniżej pępka.

– Twardy, deskowaty brzuch – mruczał do siebie. – Teraz nacisnę i puszczę, a ty mi powiesz, kiedy boli bardziej, dobrze?

Starszy lekarz wyprostował się w jednej chwili i wbił spojrzenie w stażystów, którzy zbili się w spłoszone stadko przy szafie.

– Jaki objaw będzie sprawdzał doktor Stalowiec? – rzucił w ich stronę.

– Objaw Blumberga – odparli chórem.

Byłam otępiała z bólu, ale po morderczych sześcioletnich studiach i roku stażu ledwo się powstrzymałam, żeby nie odpowiedzieć razem z nimi.

– I co za jego pomocą sprawdzamy? Może pan powie! – Palec lekarza wskazał na chudego chłopaka z niesamowicie wystającą grdyką, która poruszała się w górę i w dół, jakby żyła własnym życiem.

– Sprawdzamy, czy są objawy zapalenia otrzewnej – odpowiedział podniesionym, ale pewnym głosem. – Jeśli jest zapalenie otrzewnej, to podczas nacisku w punkcie McBurneya nie powinno bardzo boleć, ale przy gwałtownym zmniejszeniu nacisku przez zmianę ciśnienia i rozklejenie blaszek otrzewnej boli bardzo mocno.

Zareagowałam dokładnie tak, jak opisał młody stażysta. Ba, nawet przeklęłam Tomka za to, że mnie męczy.

– Już dobrze, cii… – uspokoił mnie i dalej gniótł mój brzuch.

– Doskonale – ucieszył się starszy lekarz. – A gdzie znajduje się punkt McBurneya?

– W jednej trzeciej odległości pomiędzy przednim górnym kolcem biodrowym a pępkiem – odparł zadowolony z siebie stażysta.

Nawet grdyka przestała mu już latać.

– A jakie jeszcze objawy możemy przy okazji sprawdzić? – Tym razem doktor rzucił pytanie do całej grupy.

– Objaw Rovsinga! – wykrzyknęła jedna z dziewcząt, jakby brała udział w jakimś teleturnieju.

– Doskonale – pochwalił ją doktor. Dziewczyna pokraśniała z radości i zaczęła się bawić długim warkoczem. Starszy lekarz odwrócił się do Stalowca i polecił: – Tomku, zaprezentuj to, proszę.

– A może… O cholera jasna! – jęknęłam, gdy ten posłusznie spełnił prośbę kolegi.

– To mój szef – syknął przepraszająco Stalowiec.

– Powinnam była doczołgać się na internę… – sapnęłam z krzywym uśmiechem.

– Tam za wiele by ci nie pomogli – odparł.

– Objaw Jaworskiego! – wykrzyknęła ta sama stażystka.

Miałam ochotę zadusić ją tym warkoczem. Wepchnąć jej go tak głęboko do gardła, żeby wyszedł drugą stroną!

– Okej. Panie doktorze, nie mam wątpliwości. Powinniśmy przyjąć doktor na oddział. To wygląda na klasyczne zapalenie wyrostka robaczkowego – powiedział Tomek, usiłując mnie uratować przed nadpobudliwymi stażystami. – Musimy zlecić USG i podać środki przeciwbólowe.

Niestety, jego szef miał wobec mnie inne plany. Pociągnął w zamyśleniu lewy wąs i odparł:

– Ma pan rację, doktorze Stalowiec. Tylko nie wiem, czy mamy wolne łóżka. Proszę iść do pielęgniarek i sprawdzić. My się zaopiekujemy panią doktor.

Posłałam Tomkowi pełne strachu spojrzenie, ale wyszedł, nawet się na mnie nie oglądając. Tak to się kończy, gdy daje się chirurgowi kosza podczas pierwszej randki. Nie ma co liczyć na współczucie.

Po pół godzinie, kiedy przećwiczyli już wszystkie możliwe objawy na moim znękanym brzuchu, dali mi spokój. Jako że nie było wolnych łóżek na oddziale, musiałam zostać w pokoju lekarskim ku uciesze stażystów, których puszczono w związku z tym wcześniej do domu. Zajęłam bowiem ich wersalkę.

Nieznana mi pielęgniarka przyszła i założyła wenflon, sprytne plastikowe urządzonko, które pozwala podawać bezpośrednio do żyły leki i płyny bez wkłuwania się za każdym razem. Postawiła obok metalowy stojak z kroplówką. Gdy wyszła, odczytałam namazany markerem napis na opakowaniu. Dostałam zwykłą sól ze środkiem przeciwbólowym i rozkurczającym. Szczerze mówiąc, nic więcej nie było mi w tym momencie potrzebne.

Zadzwoniłam do Uli. Na szczęście złapałam ją, zanim wyszła z pracy. Zgodziła się mnie zastąpić na oddziale i przejąć dyżur. Obiecała też, że wpadnie wieczorem w odwiedziny, kiedy już znajdą dla mnie łóżko, chyba że wyląduję na stole operacyjnym. Chichocząc, zapowiedziała, że podrzuci mi szlafrok, który dzisiaj dostałam.

Nie uznałam tego za dobry pomysł.

Przez pół godziny, gdy do żyły powoli wlewały się lekarstwa, mój brzuch zbadali chyba wszyscy lekarze oddziału. Każdy był ciekawy, która to lekarka czeka na wersalce na operację. Dodatkowego smaczku całej sytuacji dodawała informacja, że to ja znalazłam trupa w szafce.

Gdy zostawili mnie w spokoju, usiadłam i odchyliłam głowę. Starałam się jak najmniej ruszać.

Tomek wrócił do pokoju, zerknął na podłączoną do mojej żyły kroplówkę i zwiększył w niej przepływ. Wyraźnie unikał mojego wzroku, krzątając się po pomieszczeniu. W końcu usiadł za biurkiem, odwrócił się do mnie plecami i powiedział cichym, wypranym z emocji głosem:

– O szesnastej zwolni się łóżko w izolatce. Położymy cię tam. Przyszły już

wyniki twojego badania krwi. Masz podwyższone wskaźniki zapalne i leukocytozę. Zamówiłem USG na popołudnie. Musimy sprawdzić, czy nie jesteś w ciąży pozamacicznej.

Ciąża pozamaciczna zachodzi wtedy, gdy zarodek zagnieździ się w jajowodzie, cienkim kanale łączącym jajnik z macicą. Wiąże się to z dużym bólem i wskutek rośnięcia zarodka rozerwaniem jajowodu. Dochodzi wtedy do dużego krwawienia wewnętrznego, co bez interwencji chirurgicznej prowadzi do zgonu kobiety.

– Nie jestem w ciąży – mruknęłam.

Tylko wzruszył ramionami. Nikogo poza nami nie było w pokoju, więc mogłam pozwolić sobie na szczerość:

– Nie uprawiałam seksu od jakichś ośmiu miesięcy. Moim ostatnim facetem był Sławek. Wątpię, żebym dostąpiła w tym czasie niepokalanego poczęcia… – Doskonale słyszałam gorycz wylewającą się ze mnie przy każdym słowie.

Prychnął, ale na mnie nie spojrzał. Udawał, że coś pisze w dokumentacji pacjenta. Z mojej perspektywy wyglądało to tak, jakby rysował szlaczek z boku kartki.

– Tomku?

– Jestem zajęty. Pracuję.

– Będziesz udawał, że mnie nie widzisz? – Westchnęłam.

Po paru chwilach odwrócił się. Był zły. Mięsień na jego żuchwie drgał rytmicznie. Rzucił długopis na biurko i wykręcił się w moją stronę.

– Nasza randka była nieudana, nie sądzisz?! – warknął.

– Mówiłam ci już dawno, że nie chcę się z nikim wiązać. Nie jestem na to gotowa. Ten prezent i wszystko inne… – Zabrakło mi słów. – Tego jest za dużo. Za dużo naraz.

Nie odzywał się, tylko wpatrywał się we mnie w napięciu.

– Okej, może wysyłałam sprzeczne sygnały – przyznałam, przypominając sobie reakcję Marka na moją sukienkę. – Przepraszam. Nie możesz mnie jednak oskarżać. Od początku mówiłam ci, że szukam przyjaciela, a nie partnera.

Czułam się jak idiotka, przepraszając za jego złe zachowanie, ale nie chciałam, żeby pozostały pomiędzy nami niedomówienia. Już miałam jednego wielbiciela na karku, który zostawiał mi makabryczne prezenty w szafce. Nie potrzebowałam kolejnych wrogów.

Ramiona Tomka opadły, zupełnie jakby nagle opuściła go nagromadzona wściekłość. W zamyśleniu potarł szczękę z niedogolonym zarostem.

Zaczęłam się zastanawiać, ile razy jeszcze muszę mu powiedzieć, że nie chcę się z nim wiązać, by wreszcie to do niego dotarło.

– A ten facet? – zapytał.

– Marek? Wczoraj rozmawiałam z nim… po raz pierwszy w życiu. –

Zająknęłam się, bo Zadrożny skutecznie wbił mi do głowy, że to nasza trzecia rozmowa. – Zajmuje się sprawą morderstw w szpitalu. Nie wiedziałam, że gra w knajpach. Zresztą to ty wybrałeś miejsce. Dlaczego masz do mnie pretensje, że go spotkaliśmy? Jakim cudem to moja wina?!

– Muszę ci coś wyznać – powiedział Tomek.

Patrzyłam, jak wstaje i wsuwa do zamka w drzwiach klucz. Przekręcił go, zostawiając go w mechanizmie, by nikt z zewnątrz nie mógł się dostać do pokoju. Odrobinę mnie to zaniepokoiło, starałam się jednak zachować kamienną twarz.

Zanim usiadł obok mnie, wyciągnął z tylnej kieszeni dżinsów portfel. Obserwowałam, jak wysuwa zdjęcie wykonane przed laty na obozie.

– Powiedziałem ci, że się w tobie podkochiwałem. Pamiętasz? – Podał mi fotografię.

– Tak.

Rozprostowałam zagięcia na zdjęciu i uśmiechnęłam się na widok radości, jaka malowała się wtedy na naszych twarzach. Byliśmy tacy młodzi i… no cóż… niewinni w jakiś sposób. Wtedy jeszcze wiele drzwi było przed nami otwartych. Dzisiaj sytuacja całkiem się zmieniła.

– To prawda, a nie tani tekst na podryw. Byłem w tobie po uszy zakochany. I mi nie przeszło – wyznał cicho.

– Słucham?

Poczułam się nieswojo. Nie byłam pewna, czy chcę słuchać tego wyznania. Naprawdę trzeba było doczołgać się na internę. Zrobiliby mi takie same badania, podaliby takie same kroplówki, a potem zgłosili mnie na konsultację chirurgiczną. Do tego czasu Tomek może wyszedłby z pracy albo ja bym w spokoju umarła…

– Nadal coś do ciebie czuję. Byłaś moją pierwszą miłością – wyznał.

Wbił we mnie spojrzenie spaniela bliskiego płaczu. Cholera jasna.

– Pierwsze miłości często są wyidealizowane – mruknęłam.

– Odkąd zniknęłaś z Warszawy, szukałem dziewczyny podobnej do ciebie. Prawie każda kobieta, z którą się spotykałem, była brunetką tak jak ty. W ten sposób usiłowałem znaleźć ciebie. Chociaż małą część. Z żadną jednak nie udało mi się stworzyć czegoś stałego.

– Okej… ja nie wiem, co o tym myśleć.

Facet miał najwyraźniej obsesję.

– Nic. Chciałem ci tylko o tym powiedzieć, jakoś się wytłumaczyć… To dlatego tak na ciebie naciskam. Nie chcę przegapić tej szansy. – Znowu posłał mi to swoje spojrzenie.

– Tomku…

– Nie, pozwól mi mówić. To dla mnie naprawdę ważne. Asiu, ja nie mam w zwyczaju o nic prosić. Nie chcę, żebyś pomyślała, że cię o coś teraz proszę, rozumiesz? Daj mi wyjaśnić.

– No dobrze.

Wyjął mi z dłoni zdjęcie i wsunął je z powrotem do portfela. Odetchnął głęboko i kontynuował:

– Ja po prostu za bardzo chcę. To dlatego tak naciskam, zrozum. Przez lata wydawało mi się, że jesteś kobietą mojego życia, którą wypuściłem z rąk. Wiele razy wyrzucałem sobie, że może powinienem był cię gdzieś zaprosić, powiedzieć, co do ciebie czuję. Ja zawsze miałem to, co chciałem. Zawsze. Gdy zechciałem dostać się na medycynę, to się na nią dostałem. Gdy zechciałem zostać chirurgiem, to nim zostałem. A z tobą mi się nie udało. Zabrakło mi odwagi, żeby cię zdobyć. Aż nagle pewnego dnia spotkałem cię w szpitalu, na swoim oddziale. Odczytałem to jako znak, rozumiesz? Kolejną szansę, której nie mogę stracić.

Ciągle trzymał portfel w dłoniach. Na zmianę otwierał go i zamykał.

– Tomku, wydaje mi się, że przez lata wyidealizowałeś w głowie mój obraz. A on odbiega od rzeczywistości. Zmieniłam się od tamtych czasów. – Wskazałam na portfel. – Nie jestem już osobą, w której kiedyś się zakochałeś.

– To wszystko wina twojego byłego męża. To przez niego zrobiłaś się taka… oschła.

Pokręciłam głową.

– Trochę pewnie tak, ale posłuchaj, Tomku, ja zwyczajnie dorosłam. Nie jestem już tamtą dziewczyną. Jej już nie ma. Przykro mi. Musisz zaakceptować to, kim jestem teraz, i albo się z tym pogodzisz i dalej będziemy się przyjaźnić, albo…

– Postaram się! – Nie dał mi nawet skończyć zdania.

Zerwał się z kanapy jak oparzony, gdyż ktoś szarpnął klamką z drugiej strony drzwi.

– Postaram się zmienić dla ciebie – dodał, a następnie otworzył drzwi i uciekł.

Cholera jasna, nie o to mi w całej tej mojej przemowie chodziło!

Pielęgniarka zdziwiona nagłym wyjściem Stalowca powiedziała:

– Pani doktor, przygotowaliśmy dla pani łóżko. Będzie pani w szóstce. Odłączę kroplówkę.

Wstałam z wersalki. Środki przeciwbólowe zaczęły działać i czułam tylko lekkie ciągnięcie w podbrzuszu. Oparłam się ciężko o wieszak z kroplówką. Wychodząc z pokoju, zerknęłam na dokumentację, w której mazał Tomek.

Na pustej kartce papieru narysował z boku geometryczny szlaczek.

30.

– Tylko nasyp mu połowę miski, dobrze? – poprosiłam po raz trzeci. – I uważaj, gdy będziesz wychodził, żeby nie uciekł ci między nogami na klatkę schodową. Intrygują go zapachy z korytarza. Moja sąsiadka chyba codziennie przyrządza jakąś śmierdzącą rybę. Kołtun natychmiast zaczyna się ślinić.

– Niczym się nie przejmuj – cierpliwie powtórzył Tomek po raz kolejny. – Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym został?

Siedzieliśmy w izolatce, w której mnie położono w oczekiwaniu na operację. W związku z dużymi dolegliwościami bólowymi i jednoznacznym obrazem w badaniach miałam trafić pod nóż jeszcze tego wieczoru.

– Nie masz dzisiaj dyżuru – powiedziałam.

– To co? Dla ciebie mogę zostać.

– Nie.

– Mogę iść na blok i osobiście przypilnować, żeby ci ładnie zszyli brzuch – zaproponował.

Przez chwilę wydało mi się to nawet kuszące. Szybko jednak zmieniłam zdanie, gdy dotarło do mnie, że jako najmłodszy chirurg pewnie będzie rozkładał chusty jednorazowe, zabezpieczając pole operacyjne, i dezynfekował mój brzuch. A ja będę tam leżeć bez ubrania i bielizny. Będzie musiał tak przykleić chusty do mojego brzucha, by mogli zrobić nacięcie tuż nad spojeniem łonowym.

Nie miałam ochoty, aby oglądał moje spojenie łonowe. Już i tak byłam zażenowana, gdy wpadł do izolatki, w której mnie położono (nazywanej tu nawet salą VIP), z jednorazową maszynką do golenia i zasugerował, bym ogoliła włosy poniżej linii majtek, bo wyrwą mi je podczas odklejania plastrów z opatrunkami.

Nie miałam ochoty rozmawiać z Tomkiem na temat moich okolic bikini, a tym bardziej nie chciałam, żeby je oglądał. Nie po tym, co powiedział mi dzisiaj.

– Dziękuję. Już i tak zapadam się pod ziemię ze wstydu, że tutejsi chirurdzy i anestezjolodzy będą się gapić na mój brzuch. Ty nie musisz – mruknęłam.

– Jesteś bezlitosna.

– Wiem. Przydaj mi się do czegoś innego. Nakarm mojego kota, a będę ci za to bardzo wdzięczna.

I po raz kolejny wytłumaczyłam mu, w którym miejscu w szafie mam piżamy. Obiecał, że przywiezie jedną z nich.

Całe szczęście, że nie mam okresu. Nie wyobrażałam sobie poproszenia go o podpaski.

– Robisz się mało sympatyczna, czekając na operację… – zauważył.

– Zgadnij dlaczego – burknęłam.

– A ręcznik? – zapytał. – Jakieś kosmetyki? Nie trzeba ci przynieść jakichś rzeczy?

– W łazience na pralce leży różowa kosmetyczka. W środku jest wszystko, czego potrzebuję. Ręczniki mam na półce nad piżamami. Weź pierwszy z brzegu. I proszę cię, nie zwracaj uwagi na bałagan, który panuje w moim mieszkaniu. Nie miałam ani nastroju, ani siły do sprzątania.

– Spokojnie.

– I uważaj na Kołtuna, proszę. Nie pozwól mu wyjść na korytarz. Nie wygląda na takiego, ale jest bardzo szybki i trudno go złapać, jeśli nie ma na to ochoty.

Nie podobało mi się, że daję Tomkowi klucze do mieszkania i wpuszczam go tam samopas. Zwłaszcza że koronkowy stanik, który zauważył Marek, wciąż leżał pod kaloryferem, bo nie chciało mi się go sprzątnąć.

Niestety, nie miałam wyboru. Wychodząc rano w popłochu, zapomniałam wsypać kotu więcej karmy do miski, tak by nie był głodny, kiedy będę na dyżurze. Zakładałam, że pod wieczór urwę się z pracy na godzinkę, by go nakarmić, i wrócę do szpitala, zanim ktokolwiek zauważy moją nieobecność.

Niestety, nie udało mi się to. Po prostu Kociara Roku!

Moje zapominalstwo najbardziej ucieszyło Ulę. Tak jak obiecała, odwiedziła mnie na chwilę, ale uparła się, że wpadnie jutro po dyżurze do mojego mieszkania, by zająć się kotem.

Kiedy dowiedziała się, że przekazałam klucze Tomkowi, a ona będzie musiała je od niego odebrać, o mało nie padła ze szczęścia. Gdy wymieniali się numerami telefonów, trzy razy pomyliła się, dyktując własny. W ogóle przez cały jej pobyt na chirurgii miałam wrażenie, że większą uwagę zwracała na przechadzających się korytarzem chirurgów niż na mnie. Ale nie miałam jej tego za złe. Co więcej – nie obraziłabym się, gdyby zainteresowała sobą Tomka.

Może wtedy dałby mi spokój.

– Wszystko będzie dobrze, Asiu. – Stalowiec pogładził mnie po dłoni, zmuszając, żebym przestała myśleć o niebieskich migdałach, tylko skupiła uwagę na nim. – Anestezjolog już z tobą rozmawiał?

– Tak – westchnęłam. – Wytłumaczył mi, jak będzie wyglądała operacja.

Chirurdzy mieli zamiar przeprowadzić zabieg metodą laparoskopową, żebym szybciej stanęła na nogi i ku uciesze mojego profesora mogła prędzej wrócić do pracy.

Trochę przerażała mnie wizja, że zamiast rękami będą grzebać w moim ciele metalowymi szczypcami. Kojarzyło mi się to z jedzeniem makaronu za pomocą chińskich pałeczek. Jednak jako kobieta wolałam mieć trzy małe blizny (z czego jedną w pępku, więc niewidoczną) niż jedno długie cięcie. Poza tym cieszyło mnie, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to już po kilku dniach będę mogła wrócić do domu.

Do Kołtuna.

– Wiesz, że dzwoniła do mnie prokurator Świetlik? – zagadnął Tomek.

Chyba starał się sprawić, żebym zapomniała, iż za kilka godzin ktoś mnie uśpi, a ktoś inny pokroi. Udało mu się.

– Co chciała? – zapytałam zaciekawiona, odrywając spojrzenie od monotonnie kapiącej kroplówki.

– Rozmawialiśmy przez chwilę o Patrycji. Podobno śledztwo nie posuwa się do przodu. Jak to ujęła: ciągle są na etapie sprawdzania śladów i poszlak… Potem zapytała, czy się znamy, ty i ja. Powiedziałem, że właśnie jesteś przygotowywana do zabiegu operacyjnego. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

– Nie. – Wzruszyłam ramionami. – To żadna tajemnica.

– Powiedziała, że mam cię pilnować, bo jesteś ważnym świadkiem w sprawie.

– Serio? – zdziwiłam się. – Świadkiem? Niby czego?

Jak na razie to chyba wyłącznie świadkiem nieprzepisowego wykorzystania szafki na rzeczy osobiste…

– Nie wiem, ale zamierzam jej posłuchać i cię pilnować. Ja także uważam, że jesteś ważna.

– Dobra, dobra. Lepiej już jedź do mojego kota – ucięłam.

Nierad wstał z plastikowego krzesełka. Potoczył spojrzeniem po pokoju. Chyba nie był zadowolony z tego, co zobaczył. Mnie się podobało. Było tu znacznie ładniej niż na psychiatrii.

Sala jednoosobowa na chirurgii nie była luksusowa, ale w państwowym szpitalu stanowiła marzenie każdego pacjenta. Miała nawet łazienkę wyremontowaną przed kilkoma laty.

Leżąc w takiej sali, miało się pewność, że nikt się nie zabarykaduje w toalecie i nie zajmie jej, uniemożliwiając skorzystanie.

Do pokoiku wielkości garderoby wepchnięto łóżko, szafkę i mały stolik z krzesłem. Na pomalowanej na brzoskwiniowo ścianie wisiał telewizor, w który trzeba było wrzucać monety, żeby zadziałał. Nie było tu zbyt ładnie, ale czysto i co najważniejsze – cicho.

Po codziennej pracy na psychiatrii, gdzie napatrzyłam się na ściany, z których pacjenci z natręctwami zdrapywali z uporem tynk, i nasłuchałam się wrzasków o różnych porach dnia i nocy, sala VIP na chirurgii naprawdę była dla mnie VIP-owską.

– Może później jeszcze do ciebie przyjdę – zapowiedział Tomek.

– Po co? Przecież będę leżeć nieprzytomna w sali wybudzeń, a potem na obserwacyjnej. Najwcześniej wrócę tutaj jutro. Wątpię, żebym dziś była rozmowna.

– Ale…

– Idź do domu i się wyśpij. Spotkamy się jutro. Wszystko będzie dobrze. –

Teraz to ja go uspokajałam.

– No dobrze…

Pochylił się i cmoknął mnie w policzek. Opierając się na łóżku, niechcący nacisnął przewód kroplówki, do której byłam podłączona. Syknęłam. To wstyd, ale bałam się zastrzyków, wenflonów i pobierania krwi. Nie miałam żadnych oporów, żeby wbić się komuś w tętnicę udową strzykawką do pobierania krwi na gazometrię, padał jednak na mnie blady strach, gdy ktoś usiłował naruszyć MOJĄ skórę.

– Przepraszam – szepnął.

– Nie ma sprawy – mruknęłam.

Tomek trzymał swoją twarz na wysokości mojej odrobinę dłużej, niż było to konieczne. Miałam wrażenie, że chce mnie pocałować w usta. Pokonał jednak to pragnienie, bo chrząknął i odsunął się zakłopotany.

– Do zobaczenia – szepnął.

– Dziękuję za koszulkę! – zawołałam, gdy wychodził.

– Nie ma sprawy. Do twarzy ci w niej. Możesz ją nawet zatrzymać.

Westchnęłam z ulgą, kiedy wreszcie wyszedł. Miałam chwilę spokoju.

Zerknęłam na koszulkę. Stalowiec poratował mnie swoim zapasem, żebym nie musiała siedzieć pod szpitalną kołdrą w koszuli wizytowej, którą miałam dzisiaj w pracy.

Poza jego podkoszulkiem miałam na sobie jedynie majtki i skarpetki. Dlatego byłam przykryta niemal pod pachy. Byle tylko nie zobaczył fragmentu mojej gołej skóry i nie daj Boże, nie pomyślał, że go kuszę.

Na wieszaku koło telewizora wisiał mój fartuch lekarski. Dżinsy zwinęłam w rulon i schowałam do szafki przy łóżku.

Wiedziałam, że będę musiała wszystko zdjąć przed udaniem się na blok operacyjny. Że dostanę gustowną narzutkę wiązaną na plecach za pomocą cienkich troczków. Z jednej strony zapewnia ona obserwatorom świetny widok na gołe pośladki, a z drugiej, w związku z tym, że jest trochę przezroczysta, dobry widok na piersi.

Moja komórka zaczęła wibrować. Sprawdziłam, kto dzwoni.

Marek Zadrożny.

Skąd wziął mój numer?!

Z niepokojem zerknęłam na wskaźnik baterii. Nie zostało zbyt wiele energii. Zapomniałam poprosić Tomka o przyniesienie ładowarki…

Telefon uparcie dzwonił. Miałam tracić baterię na rozmowę z Markiem…? Może jeszcze o szlafroku w panterkę?

Szlag by go trafił.

– Halo? – zapytałam.

– A dzień dobry. Mówi Marek Zadrożny. Asia?

– Skąd masz mój numer? – zaatakowałam.

– A więc dobrze się dodzwoniłem. – W jego głosie usłyszałam śmiech. – Słyszałem, że trafiłaś do szpitala, to prawda?

Pokręciłam głową, nie mogąc uwierzyć w jego bezczelność. Po prostu nie mogłam w nią uwierzyć.

– Skąd o tym wiesz? I skąd masz mój numer?

– Ojej. Widzę, że pobyt po drugiej strony barykady, czyli przeistoczenie się w pacjenta, ci nie służy. Pociesz się tak: z dwojga złego lepiej być pacjentem chirurgicznym niż jednym z tych, którzy leżą teraz przede mną. Mogę się założyć, że znacznie ładniej też pachniesz…

– Skąd masz mój numer? – powtórzyłam ze złością.

– Dostałem od Sebastiana, gdy wyraziłem swoje zaniepokojenie tym, że się do mnie nie odzywasz.

W głowie mi się to nie mieściło. Takie zachowanie nie pasowało do zasadniczego komisarza.

– Oczywiście, że zmyślam. – Parsknął śmiechem. – Gdy Sebastian wyszedł do łazienki, spisałem numer z notatnika, który nieopatrznie zostawił na moim biurku. Akurat był otwarty na stronie z twoimi danymi osobowymi. Taki przypadek. Teraz wiem, kiedy masz urodziny.

– Łajza z ciebie, wiesz?

– A o tym, że jesteś w szpitalu, dowiedziałem się od naszego, jak samo nazwisko wskazuje, promyczka, czyli prokurator Świetlik – kontynuował, nie zważając na moją uwagę. – Wygadał jej się twój chirurg. Do niego możesz mieć pretensje. A najlepiej obraź się śmiertelnie i nigdy więcej do niego się nie odzywaj.

– Chciałbyś… – burknęłam.

– No oczywiście, że tak! Ale masz humor! Tak bardzo boisz się krojenia?

W jego zachrypniętym głosie pobrzmiewał śmiech. Wyobraziłam go sobie stojącego nad zwłokami w prosektorium w poplamionym fartuchu.

– Nie twój interes – odpowiedziałam.

– Mam nadzieję, że nie operuje cię Stalowiec, co? Jeszcze zostałaby ci po tym zabiegu blizna w kształcie serduszka albo co gorsza, kotka. Słodkie, ale mało profesjonalne.

– Nie, nie będzie mnie operował.

– A jak ci się podoba szlafroczek? – Teraz już nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Stoisz teraz nad zwłokami? – zapytałam.

– Co? – zapytał zbity z tropu. – Nie, siedzę w domu i piję kawę. Pomyślałem o tobie, więc zadzwoniłem.

Zerknęłam na zegarek.

– Siedemnasta to dość późna pora na kawę – zauważyłam.

– No cóż… taki ze mnie nocny Marek.

Parsknęłam śmiechem na ten suchar, którym mnie poczęstował.

Pomimo że podczas rozmowy odpowiadałam dość niegrzecznie, wciąż się uśmiechałam. Marek miał w sobie coś, co zjednywało mu ludzi. Poza tym podobał mi się jego zachrypnięty głos. Był zmysłowy.

Gdyby tylko był trochę mniej bezczelny…

– Dlaczego pytasz, gdzie jestem? Chcesz, żebym cię odwiedził? – Tym razem w jego głosie usłyszałam nadzieję.

– W żadnym razie. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Zacmokał.

– To powiedz, co sądzisz o szlafroku, bo wydaje mi się, że unikasz tematu.

– Nie podoba mi się.

– Nie włożysz go?

– Nie.

– A majteczki?

– Mogę je przekazać Kołtunowi.

Usłyszałam, jak się śmieje.

– Jestem przekonany, że będzie mu do twarzy w czarnej koronce.

– Nie możesz przysyłać mi takich rzeczy – powiedziałam.

– Dlaczego? – zapytał zaciekawiony.

– Bo tak nie wypada!

– No to co?

Muszę przyznać, że nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Zbił mnie z tropu.

– Bo…

– Hm, czyżbyś nie wiedziała, co odpowiedzieć? Na pewno nie chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

Chwilę trwało, zanim otrząsnęłam się z osłupienia. Rozmowa stawała się z każdą minutą coraz dziwniejsza.

– Nie!

– Na pewno? Chętnie dotrzymam ci towarzystwa. Zwłaszcza gdy będziesz leżała otumaniona narkozą, naga i jakby bez życia. Mam doświadczenie z takimi pacjentami.

– Nie chcę – wycedziłam.

– No dobrze, dobrze. W takim razie wpadnę jutro.

– Po moim trupie.

– Bo zapeszysz. Jeszcze cię nie pokroili.

Poczułam, jak w gardle staje mi gula strachu. Spojrzałam na pojemnik z solą fizjologiczną, który wisiał na wieszaku nad moją głową. Spojrzenie ześlizgnęło się po rurce, która znikała pod bandażem w zgięciu łokciowym prawej ręki. Na

bandażu była kropla krwi. Poczułam, jak kula strachu opadła do żołądka. Zrobiło mi się niedobrze.

– Jeśli umrę, to przez ciebie, bo przez ciebie to powiedziałam! – pisnęłam.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Po chwili Marek odezwał się:

– Asiu, wszystko będzie dobrze. Zapalenie wyrostka robaczkowego to dość powszechne schorzenie. Ja je przeszedłem jako trzynastolatek. Ten zabieg to pestka. Komu potrzebny do szczęścia wyrostek robaczkowy? Nawet nie zauważysz, że zniknął. To twoja pierwsza operacja?

– Tak…

– W takim razie pomyśl o tym jako o nowym doświadczeniu. Wreszcie masz okazję zobaczyć wszystko od drugiej strony.

– Jakoś nie mam ochoty.

– Wiem, kochanie, ale nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Będę o tobie ciepło myślał i mocno trzymał kciuki.

– Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie „kochaniem", to wepchnę ci ten wstrętny szlafroczek do gardła.

– Rozumiem.

Ponownie zerknęłam na zegarek. Zgodnie z zapowiedziami anestezjologa za pół godziny pielęgniarka przyjedzie zabrać mnie na blok. Nie chciałam, żeby Marek się rozłączył. Nie chciałam zostać sama przez te pół godziny. Nawet jeśli miałabym przez to wyczerpać baterię w telefonie.

– Robiłeś dzisiaj sekcję stażystki? – zapytałam, zmieniając temat.

– Tak. Odwiedziła mnie dzisiaj w zakładzie. Muszę ci powiedzieć, że… nie, zaraz. Nie powinienem ci mówić.

– Nie wierzę. Nie złamiesz zasad? Ty? Od kiedy to się zrobiłeś taki poprawny? – Usiłowałam go podpuścić.

– Mhm… umiesz wziąć mnie pod włos. Zrobiłem sekcję. Wniosek jest jeden, Asiu. Musisz na siebie bardzo uważać. Najwyraźniej morderca, którego szukamy, zainteresował się teraz tobą.

– To niedobrze.

– Niedobrze – przyznał.

– A powiedz mi… zdążyłam odrobinę się jej przyjrzeć. Dlaczego… Czemu… – Zaczęłam się plątać, gdy po raz kolejny stanął mi przed oczami obraz tej biednej stażystki.

Miałam wrażenie, że będę ją widziała w najstraszniejszych koszmarach. Przerażające było to, że była naga i że ktoś wepchnął ją na siłę do małej szafki. Jednak znacznie większe wrażenie zrobiła na mnie jej okaleczona, niegdyś ładna twarz. Miała na policzku wyciętą cyfrę pięć. Dopiero po rozmowie z Markiem w moim mieszkaniu zrozumiałam dlaczego. Morderca odliczał.

– Co?

– Chodzi mi o jej buzię.

– Nie wiem, Asiu. Nie wiem, dlaczego wyłupuje swoim ofiarom oczy i wycina im na policzkach cyfry. Może chce się popisać przed policją? Może ma to jakieś szalone przesłanie… Kto to wie? – gdybał.

– Wyłupuje oczy? – wydusiłam.

– Och, nie wiedziałaś?

Przełknęłam ślinę. Informacji o wyłupywaniu oczu chyba nie dostałam. Zdołałam zarejestrować tylko cyfrę wyciętą na policzku.

– Nie… – przyznałam.

– Hm… gdyby Sebastian pytał, to nie wiesz tego ode mnie. – W jego głosie nie słyszałam ani cienia zakłopotania.

– Czy ona cierpiała? – zapytałam.

– Tak. Nie rozmawiajmy o tym, Asiu. Zadzwoniłem do ciebie, żeby dodać ci otuchy. Muszę też przyznać, że liczyłem na mały seks przez telefon… Zawsze chciałem z kimś tego spróbować, ale nigdy nie miałem okazji.

– Łajza. Na dodatek zboczona łajza – prychnęłam.

– I oto chodzi! Od razu humor ci się poprawił. Zawsze tak działam na kobiety. A teraz powiedz mi, co kupić ci w prezencie, żebym miał pewność, że to włożysz?

– Masz mi niczego nie kupować.

– Żadnych majtek?

– Żadnych…

– To może stanik?

– Nie…

– Koszulkę nocną?

– Nie…

– Pas do pończoch?

– Nie, ty fetyszysto…

– Twardy z ciebie negocjator, ale wiesz, że i tak zrobię to, na co będę miał ochotę.

Zaśmiałam się.

– Kochanie, masz piękny śmiech.

– Skończysz marnie ze szlafrokiem w gardle.

– No zobacz. Rozmawiamy już czwarty raz i kłócimy się jak stare dobre małżeństwo!

Dzięki Markowi nawet nie zauważyłam, kiedy minęło pół godziny oczekiwania na zabieg.

31.

Przeżyłam operację, ale następny dzień zupełnie zniknął z mojej świadomości. Pierwszą jego połowę spędziłam na sali obserwacyjnej, gdzie jeszcze spałam, później wylądowałam pod szóstką i się zaczęło. Źle zniosłam narkozę. Wymiotowałam jak mój kot, kiedy naje się za dużo swoich kłaków.

Z powodu skurczów brzucha bolały mnie świeże rany i czułam się, jakbym umierała. Nie widziałam różnicy pomiędzy czasem, gdy miałam zapalenie wyrostka, a momentem kiedy zostałam już pozbawiona tego organu.

Tomek co chwilę wpadał w odwiedziny i tylko zmieniał nerki, czyli metalowe miski, do których wymiotowałam wszystkim, co wzięłam do ust. Usłyszałam od niego, że operacja poszła znakomicie. Mój zaropiały i zapalony wyrostek został usunięty, a brzuch przepłukany i zszyty. O przebytym zabiegu świadczyły trzy małe rany na podbrzuszu, przez które wskutek skurczów przy wymiotach przeciekała świeża krew. Tomek usiłował mnie też pocieszyć, że te wymioty to coś normalnego. Wyjaśnił, że niektórzy po prostu tak reagują i że należę do tych nieszczęśliwców.

Cudownie.

Pamiętałam jak przez mgłę jego odwiedziny. Resztki narkozy i leki przeciwbólowe skutecznie usypiały mnie w przerwach między torsjami. Pełną świadomość odzyskałam dopiero późnym wieczorem.

Uchyliłam powieki i wpatrzyłam się w ciemność za oknem. Mała lampka włączona nad moją głową rzucała ciepłe światło i malowała w kątach powykręcane, straszne cienie. Zapaliła ją pielęgniarka, gdy jakiś czas temu odłączała mnie od kroplówki.

Westchnęłam ciężko. Tą pielęgniarką była znana mi już Iwona. Najpierw jej nie poznałam. Przefarbowała swoje cienkie włosy na czarno, a przylizanego zwykle pazia nastroszyła. Wyglądała przerażająco. Nie zdziwiłabym się, gdyby zamiast środków przeciwbólowych podała mi do żyły bolus potasu, który zabiłby mnie na miejscu. Wyglądała na taką.

Pamiętałam jej niechęć, gdy teraz pochylała się nade mną.

– Jest pani żałosna – syknęła.

– Słucham? – zdziwiłam się.

– Łazi pani za doktorem Stalowcem, zachowując się jak rozkapryszony szczeniak.

– Słucham? – powtórzyłam.

– Doktor Stalowiec jest dla pani za dobry. Nie powinna się pani mu narzucać. Tylko miesza mu pani w głowie.

Z irytacją odłączyła moją kroplówkę, szarpiąc złośliwie wenflon. Pisnęłam z bólu.

– Och, proszę uważać, bo żyła może się uszkodzić i będziemy musieli założyć nowy wenflon – zaszczebiotała.

Nałożyła koreczek na odpływ wenflonu. Nie użyła do tego celu nowego, jałowego, tak jak powinna. Założyła ten sam, który miałam poprzednio, a który przeleżał nie wiadomo ile czasu na brudnym blacie stolika. Widziałam, jak sprzątacze myli te blaty. Zupełnie nie zważali na higienę. Używali jednej i tej samej ścierki do wycierania szafek wszystkich pacjentów na oddziale.

A potem administracja dziwi się, że na oddziale wszyscy nagle mają biegunkę albo łapią jakieś zakażenie, przeważnie dość oporne na antybiotyki.

– Proszę założyć mi nowy koreczek. Ten nie jest jałowy – powiedziałam.

Policzki jej pociemniały, ale wyjęła z kieszeni cały plik nowych koreczków zapakowanych w plastikowe torebeczki. Odpakowała nowy i szarpiąc mnie za wenflon, zakorkowała go, tryskając moją krwią na pościel i bandaż chroniący rękę. Bandaża rzecz jasna nie zamierzała zmieniać.

– Jak sobie pani życzy – syknęła.

– Jeśli przefarbowała się pani dla Tomka, to życzę powodzenia. – Nie mogłam się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć, gdy przestała się mną zajmować.

Nie odezwała się. Trzasnęła tylko drzwiami. Byłam więcej niż pewna, że ze złości odłączy na dyżurce mój guzik wzywania pomocy, żebym nie mogła wezwać pielęgniarki, gdybym czegoś potrzebowała.

Próbowałam usiąść, ale ból brzucha to uniemożliwił. Opadłam na poduszki, oddychając przez zaciśnięte zęby. Środki przeciwbólowe chyba przestały działać. Zerknęłam na guzik wzywania pomocy.

Przez chwilę korciło mnie, żeby go wcisnąć.

Nagle usłyszałam buczenie. Zamarłam, nasłuchując. Dziwny dźwięk powtórzył się. Brzmiał tak, jak wyciszony telefon.

Z wysiłkiem uniosłam się na łokciu. Na szafce obok leżała moja komórka podłączona na długim kablu do ładowarki pożyczonej od Tomka. To nie ona dzwoniła, terkocząc o plastikowy blat.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że obok niej, w uciętej w połowie butelce po wodzie mineralnej, stoi bukiet czerwonych róż. Nie pamiętałam, żeby ktoś je tutaj stawiał. Najwyraźniej musiałam wtedy spać.

Przeturlałam się na bok, starając się nie kurczyć poprzecinanych mięśni brzucha, i odepchnęłam się ręką, ostrożnie siadając. Spuściłam nogi i zaczęłam macać stopami podłogę w poszukiwaniu butów.

Przyjrzałam się kwiatom. Nie widziałam dołączonego bileciku, z którego mogłabym się dowiedzieć, kto mi je podarował. Teoretycznie nie wolno było przynosić do szpitala żadnych roślin, ponieważ wiele osób ma na nie uczulenie. Pewnie tylko dlatego, że leżałam w izolatce, gdzie nikomu nie mogły

przeszkadzać, pozwolono mi je zatrzymać.

Zachwycona musnęłam płatki. Już nawet nie pamiętałam, kiedy ostatnio dostałam kwiaty. Sławek nigdy ich nie kupował, uważał to za banał.

Nie obchodziło go, że lubię banały.

Ponownie usłyszałam buczenie. Dobiegało z kieszeni białego fartucha przewieszonego niedbale przez oparcie krzesła koło stolika. Do kieszeni na długopisy przypięty był identyfikator ze zdjęciem. Poznałam tę ostrzyżoną na zapałkę głowę.

To fartuch Tomka.

Nie wymacałam swoich butów. Pewnie zostały wsunięte pod łóżko. Wstałam i w skarpetkach, które pomógł mi założyć Tomek, jako że nie mogłam się zginać, podeszłam powoli do krzesła. Nie mogłam się wyprostować. Sapnęłam z bólu. Może wstawanie zaledwie dobę po operacji nie było zbyt mądre?

Sięgnęłam do kieszeni fartucha Stalowca w poszukiwaniu jego komórki. Sapnęłam ponownie i delikatnie ugięłam nogi w kolanach, żeby nie zginać tułowia.

Tomek nie powinien był zostawiać tu telefonu. To mogło być coś ważnego. Może coś się stało na szpitalnym oddziale ratunkowym i go potrzebowali?

Poza tym ja przez cały dzień leżałam nieprzytomna. Teoretycznie ktoś mógł wejść do mojej sali i ukraść mu aparat. W szpitalach jest to bardzo powszechne. Ludzie wstydu nie mają, okradając chorych, ale swoim oburzeniem i tak tego nie zmienię. Nie ma pieniędzy na ochronę, a kamer w pokojach pacjentów nie wolno instalować, bo to pogwałcenie prywatności.

Stalowiec miał dzisiaj dyżur. Tyle zdołałam sobie uzmysłowić, bo rano przez chwilę z nim rozmawiałam. Cieszył się, że będzie miał mnie na oku przez całą dobę. Telefon przestał wibrować, gdy wyjęłam go z kieszeni. Niechcący wyciągnęłam razem z nim małą kopertę. Było na niej wypisane moje imię.

Spojrzałam na wyświetlacz komórki. Dzwoniła Iwona…

Nie zdążyłam odłożyć telefonu z powrotem do kieszeni, kiedy przyszedł esemes. Przez chwilę początek wiadomości wyświetlił się na ekranie. To znowu była Iwona: „Kotku, czekam na Ciebie w dyżurce”.

Zamrugałam zaskoczona. No proszę, proszę!

Odłożyłam komórkę na miejsce i wróciłam do łóżka z małą kopertą. Była rozerwana, a kartka z wiadomością w środku pognieciona. Ktoś przeczytał wiadomość, zgniótł ją, a następnie wyprostował i wsunął z powrotem do koperty.

To nie ja. A w każdym razie nie przypominałam sobie takiego zdarzenia. Chociaż z drugiej strony byłam dzisiaj nieźle otumaniona.

Zaciekawiona otworzyłam liścik.

Słyszałem, że przeżyłaś operację. A nie mówiłem? Tym razem przesyłam w prezencie kwiaty. Ciągle jednak uważam, że bielizna jest zabawniejsza.

Marek

Odłożyłam bilecik na stolik. Wściekłam się na Tomka. Nie powinien był otwierać listu zaadresowanego do mnie, a tym bardziej go kraść. Nie miałam złudzeń. Zrobił to celowo. Zwłaszcza jeśli domyślił się, co to za Marek.

Położyłam się do łóżka, ale nie mogłam w nim wytrzymać. Brzuch zaczął mnie mocniej boleć, a sen nie nadchodził. Postanowiłam poszukać pielęgniarki, by dostać coś przeciwbólowego albo nasennego, ale nie Iwony, bo ta jeszcze „przypadkiem" mnie zabije. Podjęłam decyzję, że prześpię ten pobyt na chirurgii. To będzie najrozsądniejsze wyjście z sytuacji.

Zamachałam nogą pod łóżkiem, ale nie namacałam butów. W zasadzie chodzenie na obcasach w moim stanie nie było zbyt mądre. Zapomniałam poprosić Tomka, by przywiózł mi z domu kapcie.

W skarpetkach, trzymając się za bolący brzuch, wyszłam na korytarz. Chyba było już późno. Na oddziale panowała cisza, od czasu do czasu przerywana piskiem jakiejś aparatury. Drzwi do sal pacjentów były zamknięte. Nigdzie nie było słychać telewizorów. Najwyraźniej wszyscy poza mną spali.

Doszłam do konsoli pielęgniarek położonej pomiędzy dwiema częściami oddziału. Za biurkiem nikogo nie znalazłam. Z westchnieniem ruszyłam do drugiej konsoli, na kolejnym odcinku oddziału.

Po drodze musiałam minąć pokoje lekarzy. Drzwi do jednego były uchylone, a na podłogę korytarza wylewał się zachęcająco wąski snop światła. Zatrzymałam się i oparłam o ścianę. Pomyślałam o telefonie, który Tomek zostawił w moim pokoju. Powinnam mu go oddać.

Przez chwilę gryzłam się z myślami, ale w końcu postanowiłam zajrzeć do środka w poszukiwaniu kolegi. Miałam także ochotę zrugać go za bezczelne wścibstwo i kradzież.

Większość drzwi pokoi dyżurnych w szpitalach ma zamontowane od strony korytarza okrągłe klamki, za pomocą których nie można otworzyć drzwi bez przekręcenia klucza, a od wewnątrz – normalne metalowe, umożliwiające otwieranie bez ograniczeń. To specjalne zabezpieczenie, by nikt nie wszedł do środka, gdy biegnący do nagłego przypadku lekarz trzaśnie za sobą drzwiami, nie pamiętając bądź nie zawracając sobie głowy zamykaniem ich na klucz.

Pociągnęłam za otwarte drzwi i zajrzałam przez szparę, nie chcąc zbytnio się naprzykrzać, gdyby w środku nie było Tomasza.

Był tam, ale nie sam.

Zatrzymałam się w pół kroku. Nie otworzyłam drzwi do końca, a wręcz szybko je przymknęłam, gdy zdałam sobie sprawę z tego, na co patrzę.

Iwona leżała na biurku z szeroko rozłożonymi nogami. Jej króciutka biała spódniczka była zawinięta wysoko nad pośladki, a dopasowany fartuch rozpięty.

Pomiędzy jej nogami stał ze spuszczonymi spodniami Tomek. Miałam świetny widok na jego pośladki pokryte rudawymi włoskami.

Mało nie parsknęłam śmiechem na widok gwałtownych ruchów jego bioder. Wyglądał, jakby dopadł go atak padaczki.

Iwona pojękiwała modulowanym falsetem.

– Cicho bądź! – uciszył ją szeptem.

Wycofałam się powoli, kręcąc głową z niedowierzaniem, że nawet nie zamknęli drzwi.

Dopiero chwilę później doszłam do pewnej konkluzji – Marek Zadrożny miał zgrabniejsze pośladki, chociaż widziałam je tylko w spodniach.

Ciągle kręcąc z niedowierzaniem głową, ruszyłam dalej. Zachowanie Stalowca nie mieściło mi się w głowie. A może jest uzależniony od seksu? Z jednej strony usilnie zapewnia mnie o niegasnącej miłości, a z drugiej bzyka Iwonę.

Dziwny człowiek. Powinnam się trzymać od niego z daleka!

Przy drugiej konsoli znalazłam pielęgniarkę, która wysłuchawszy mnie, podała mi środek przeciwbólowy i tabletkę nasenną.

Kiedy szłam powoli do swojego pokoju, trzymając się dłonią za brzuch, minęłam Iwonę. Jej włosy były bardziej potargane. Posłała mi pełen wyższości uśmiech.

– Jednak nowa farba działa – prychnęłam.

Pożałowałam swoich słów, gdy zobaczyłam, jakie mi posłała spojrzenie.

Zabije mnie we śnie jak nic.

Byłam pewna, że po tabletce usnę od razu, gdy tylko położę się do łóżka, ale sen nie nadchodził. Zaczęłam zastanawiać się nad motywami szalonego mordercy, który od tygodni grasował po mieście. Mordował czarnowłose kobiety.

Ze złośliwą satysfakcją pomyślałam, że Iwona pasowała teraz do profilu jego ofiar. Od razu zganiłam się za te myśli. Zachowałam się jak pies ogrodnika. Nie chciałam Tomka, ale jednocześnie nie chciałam, żeby miała go Iwona.

I tylko dlatego, że była wredna i głupia.

Telefon Tomka znowu zawibrował. Zamknęłam oczy, usiłując go zignorować.

Nie wytrzymałam. Wstałam, narzekając pod nosem, i wyjęłam go z kieszeni fartucha kolegi. Tym razem dzwonił chyba jeden z chirurgów mających dyżur razem ze Stalowcem. Pewnie Tomek był gdzieś potrzebny.

Już miałam odłożyć aparat na miejsce, gdy na wyświetlaczu zauważyłam sygnaturkę albumu ze zdjęciami. Wyświetlały się miniatury. Pierwszą z nich była moja twarz. A w każdym razie tak mi się wydawało.

Skonfundowana usiadłam na łóżku z telefonem w ręku. Ekran już się wygasił. Gdy przycisnęłam jeden z guzików, ożył, ale zażądał wyrysowania palcem hasła. Spróbowałam kilku prostych kombinacji takich jak kwadrat i trójkąt. Nie

zadziałały. Litera „T” także nie. Moim kolejnym typem był kształt z grubsza podobny do zespołu QRS w zapisie EKG.

Zadziałał.

Podejrzewam, że co drugi lekarz ma takie hasło do telefonu, bo myśli, że to oryginalne. W każdym razie ja takie miałam, ale od razu postanowiłam je zmienić.

Przez chwilę nadstawiałam ucha, czy z korytarza nie dobiegają żadne kroki. Wolałabym, by Tomek nie przyłapał mnie na grzebaniu w swoim telefonie. Zachęcona panującą ciszą i spokojem kliknęłam w symbol albumu i zaczęłam przeglądać zdjęcia.

Pierwsze z nich faktycznie przedstawiało mnie. Tomek musiał mi je zrobić, gdy leżałam pogrążona we śnie w szpitalnym łóżku. Widać było tylko moją trupiobladą twarz z zapadniętymi policzkami i burzę czarnych włosów na białej poduszce. Nie wyglądałam zbyt pociągająco. Całe szczęście, że z półotwartych, spierzchniętych ust nie wyciekała ślina.

Poczułam się nieswojo, kiedy dotarło do mnie, że Tomek obserwował mnie, gdy leżałam nieprzytomna, i zrobił mi zdjęcie. Postanowiłam sprawdzić, czy nie ma ich więcej.

Na następnych fotografiach dostrzegłam kilka nieznanych mi kobiet. Każde zdjęcie zamiast automatycznie dodawanego numeru miało w nazwie imię i ewentualnie numer, gdy dana osoba pojawiała się więcej niż jeden raz.

Przewijałam galerię i następujące po sobie: Anię, Izę, Karolę, Klaudię. Czasem kobiety wiedziały, że są fotografowane, czasem zdjęcia były zrobione ukradkiem tak jak moje.

Jedna z kobiet zwróciła moją uwagę. Była bardzo piękna: wysoka i szczupła, stała przy automacie do kawy w jakiejś kawiarni, zajęta pracą. Na jej ustach błąkał się delikatny uśmiech. Zdjęcie było podpisane: Sandra.

Nagle dotarło do mnie, że wszystkie kobiety na zdjęciach mają czarne, kręcone włosy. Tomek faktycznie miał na moim punkcie obsesję, jak sam mi wyznał. Przerzucałam następne zdjęcia. Ułożone były w kolejności alfabetycznej. Moje znajdowało się na początku galerii tylko dlatego, że jako jedyne w nazwie miało zamiast imienia numer. Najwyraźniej jeszcze nie zdążył tego zmienić.

Kolekcjoner brunetek się znalazł.

Mój palec zatrzymał się nad wyświetlaczem na zdjęciu ostatniej czarnuli. To była Patrycja Czyżyk. Posyłała do obiektywu zalotne spojrzenie znad przygryzionej wargi. Miała na sobie tylko różowy, koronkowy stanik. Zalała mnie fala złości. Skurczybyk miał z tą biedną stażystką romans! I nie przyznał się do tego policji! Udawał, że nic go z nią nie łączyło. Kłamca!

Usłyszałam stukot chodaków na szpitalnej podłodze. Szybko wycofałam się z galerii, wygasiłam telefon i odłożyłam go na szafkę obok otwartej koperty z liścikiem. Poprawiłam prześcieradło na kolanach i przywołałam na twarz

uprzejmy uśmiech.

Do pokoju wszedł Stalowiec. Od razu przestałam się uśmiechać. Mężczyzna był w doskonałym nastroju, nawet chyba pogwizdywał pod nosem. Najwyraźniej nieźle się odstresował przed chwilą…

Na widok mojej nachmurzonej miny zatrzymał się w pół kroku.

– Och, myślałem, że o tej godzinie będziesz już spała. Jest dobrze po północy – powiedział bez zająknięcia. – Jak się czujesz?

Podszedł bliżej i pochylił się, by pocałować mnie w policzek, ale odsunęłam się, narażając brzuch na bolesne szarpnięcie. Owionął mnie zapach wody kolońskiej, którą musiał się przed chwilą obficie skropić. Mimo to i tak wyczułam kwiatowe perfumy pielęgniarki.

– Dziękuję, dobrze. Obudził mnie twój telefon. Dzwonił kilka razy – odparłam ponurym głosem i wskazałam na aparat leżący na szafce.

– To pewnie z SOR-u – mruknął i zapytał z naganą w głosie: – Odebrałaś?

– Nie. Sprawdziłam tylko na wyświetlaczu, kto dzwoni, na wypadek gdyby to było coś ważnego. Przy okazji znalazłam w twojej kieszeni kopertę zaadresowaną do mnie – dodałam zjadliwym tonem.

– Doprawdy?

Swoim oświadczeniem zbiłam go z tropu. Odwrócił się do mnie plecami i sięgnął po fartuch. Narzucił go na strój chirurgiczny, który miał na sobie, i dopiero wtedy na mnie spojrzał. Zauważyłam, że jego policzki pociemniały ze wstydu, ale oczy rzucały wrogie iskry.

– Dlaczego przeczytałeś bilecik dołączony do kwiatów? Był zaadresowany do mnie – zaatakowałam.

– Marek to ten patolog, tak? – prychnął z pogardą. – Facet krojący trupy? To teraz twój chłopak czy co?

– Nie, to znajomy.

– Znajomy, który kupuje ci bieliznę?

– Ma dość nietypowe poczucie humoru – fuknęłam. – Ale to nie ja powinnam się teraz tłumaczyć z treści liściku, tylko ty z jego lektury. Jakim prawem go przeczytałeś?

Zabrał z blatu telefon i go odblokował, by sprawdzić wiadomości. Jego dłoń zawisła na chwilę nieruchomo, bo pewnie zobaczył esemesa od Iwony.

– Aha, dzwoniła też Iwona – dodałam złośliwie. – Może chciała się pochwalić nowym kolorem włosów.

Nic nie odpowiedział. Schował telefon do kieszeni fartucha.

– Myślę, że jesteśmy kwita – stwierdził. – Ja przeczytałem twój liścik, a ty moją wiadomość od Iwony.

Adrenalina buzująca mi we krwi opadła. A może po prostu leki zaczęły mnie usypiać z opóźnieniem? Poczułam, jak ogarnia mnie zmęczenie.

– Okej, jesteśmy kwita – zgodziłam się. – Ty nie czytaj więcej listów do mnie, a ja nie będę zaglądać ci do komórki.

– Zgoda. Muszę iść na SOR. Zajrzę do ciebie rano. Teraz idź spać – nakazał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Pochylił się w moją stronę i cmoknął mnie w policzek. Nie odsunęłam się. Ledwie powstrzymałam grymas odrazy. Wciąż miałam przed oczami roznegliżowane zdjęcie stażystki.

Poczułam unoszący się dookoła niego zapach perfum, ślad po niedawnym spotkaniu z pielęgniarką.

– Spokojnej nocy – mruknęłam.

Stojąc w drzwiach, zatrzymał się jeszcze i odwrócił do mnie.

– Chyba jednak coś do mnie czujesz, skoro jesteś zazdrosna – powiedział niby do mnie, ale raczej bardziej do siebie.

Chciałam zaprotestować, ale już wyszedł.

Usnęłam otulona wątpliwościami.

32.

Ula siedziała na krzesełku koło mojego łóżka i jak to miała w zwyczaju, wesoło paplała, gwałtownie gestykulując. Dowiedziałam się od niej, że mój kot ją zachwycił. Koleżanka w swoim zauroczeniu (fatalnym zauroczeniu według mnie – nie mieści mi się bowiem w głowie, jak bardzo trzeba być zaślepionym, by twierdzić, że Kołtun jest najpiękniejszym kotem na świecie) zaproponowała mi nawet, że bardzo chętnie będzie się nim opiekować, gdy wyjadę na urlop.

Aż żal byłoby nie skorzystać z takiej propozycji. Od razu ją przyjęłam.

Następnie opowiedziała mi najnowsze ploteczki na temat ludzi pracujących w szpitalu, których w życiu na oczy nie widziałam.

– Co jesteś taka przygaszona? – zapytała, gdy zdała sobie sprawę, że od kilkunastu minut słucham jej tylko jednym uchem.

– Ja? Nie, wszystko okej – zaprzeczyłam nieszczerze.

– Przecież widzę.

Nie wiem, jak Ula to zrobiła, ale zdołała wydobyć ze mnie wszystkie informacje. Opowiedziałam jej o Łukaszu, Tomku i najbardziej ogólnikowo, jak się dało, o Marku. Potem naszkicowałam jej kłopoty, w jakie się wpakowałam. Oczy Urszuli rosły z każdym wypowiadanym przeze mnie zdaniem.

– Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – zirytowała się.

– Policja kazała mi nic nie mówić.

– No, ale zanim znalazłaś martwą stażystkę i policja nakazała ci milczeć, miałaś całkiem sporo okazji, żeby coś powiedzieć – wytknęła obrażona.

– Myślałam, że ogarniam sytuację i nie mam powodu do zmartwień – wyjęczałam, niebezpiecznie zbliżając się do granicy płaczu.

Pokręciła głową, jakby właśnie dumała nad moją głupotą. Miała wszelkie powody, żeby mnie potępiać. Mówiąc potocznie, językiem znanym kociarzom, spokojnie można było stwierdzić, że nie ogarniam kuwety.

– Ale się wpakowałaś – skwitowała. – Podejrzewałam już od dawna, że dzieje się u ciebie coś złego. Dziwnie się ostatnio zachowywałaś. Nawet szlafrok w prezencie nie poprawił ci humoru.

Przed oczami stanął mi szlafroczek w panterkę. Ciekawe, gdzie on jest? Chyba został w pokoju lekarskim na moim biurku. Zupełnie o nim zapomniałam. Zerknęłam spod rzęs na Ulę. Wciąż jej nie powiedziałam, od kogo go dostałam. Była chyba święcie przekonana, że od Tomka.

Wolałam na razie tego nie zmieniać. Z jakiegoś powodu chciałam, żeby Marek pozostał jeszcze tajemnicą. A w każdym razie, żeby został nią do momentu, kiedy sama zrozumiem, o co chodzi.

Przecież to nie był mężczyzna dla mnie.

– No, a później wylądowałaś na chirurgii – kontynuowała. – Nie

współpracujesz ze mną, jeśli chodzi o szpitalne ploty. Już dawno powinnaś mi o tym powiedzieć, może mogłabym jakoś pomóc. Wstydź się.

– Hm… Co takiego? – mruknęłam.

– Sądzisz, że morderca poluje na ciebie? – zapytała teatralnym szeptem, zerkając na drzwi do pokoju.

Na jej policzki wpełzł rumieniec podniecenia, a oczy zabłyszczały. Ręce mi opadły. Najwyraźniej moja koleżanka poczuła się jak detektyw w serialu amerykańskim. W swojej wyobraźni już pewnie miała wizję samodzielnego rozwiązania tej sprawy.

– Nie wiem… Ale, Ula, trzymaj się od tego z daleka. To jakiś psychol! Nie wiadomo, do czego może się posunąć.

– Ale dlaczego uwziął się na ciebie? Co takiego zrobiłaś? – Kompletnie zignorowała moje ostrzeżenia.

– Właśnie nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Myślę, że ma na moim punkcie obsesję. Tak podejrzewa policja.

– Przecież mówiłaś, że zaczął mordować, zanim przeprowadziłaś się do Warszawy – przypomniała. – W takim razie nie może mieć obsesji na twoim punkcie.

– Nie wiem, Ula… Podobno zaczął mordować pół roku temu. Ja pół roku temu przyjechałam do Warszawy. Zaczęłam starać się o przeniesienie do Szpitala Wschodniego. Może to się łączy? Może zobaczył mnie na ulicy?

– I zabija z twojego powodu czarnowłose kobiety? – Cały czas miała wątpliwości. – Nie wiem, ale trochę to naciągane. Nie sądzisz?

– Może po prostu przypadkiem zaczęłam mu pasować do profilu ofiar? Gdzieś musiałam mu wpaść w oko. Zostawia te makabryczne prezenty.

Westchnęła niepocieszona.

– Ja to nawet psychopacie nie wpadam w oko…

– Ula!

– Oj, tak sobie narzekam. A co sądzisz o moich włosach? – Poklepała się po krótkiej fryzurce.

Zerknęłam na nowy, czarny kolor, który sobie zafundowała. Miałam wrażenie, że kolejna kobieta usiłuje się do mnie upodobnić.

Co one z tą czernią?!

– To chyba nie najlepszy pomysł farbować się na czarno, gdy morderca zabija brunetki – zauważyłam kwaśno.

– Ale musisz przyznać, że mi pasuje. – Przewróciła oczami. – Poza tym fryzjerka mnie namówiła. Powiedziała, że czerń ładnie podkreśli kolor moich oczu, a to cięcie wyeksponuje mi policzki.

Fryzjerka miała rację. Ula była jedną z nielicznych kobiet, którym było do twarzy z czarną farbą. I do tego faktycznie fryzura wyszczupliła jej twarz.

– Wyglądasz bardzo ładnie – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Ucieszyła się, ale zaraz spochmurniała.

– A wracając do naszej rozmowy. Te prezenty są makabryczne, ale jak mam być szczera, to nie będę jakoś specjalnie tęsknić za tą stażystką…

– Okropna jesteś! – oburzyłam się.

– Mówisz, że teraz Tomek spotyka się z pielęgniareczką Iwoną? – zapytała, ze smutkiem zmieniając temat. – Kurczę, a myślałam, że może coś będzie między wami. W końcu dał ci szlafroczek i bieliznę… A poszliście chociaż do łóżka?

– Nie…

Odruchowo dotknęła swoich czarnych włosów. Doszłam do wniosku, że miała raczej nadzieję, że dojdzie do czegoś pomiędzy nią a Tomkiem.

– Ula. – Zganiłam ją. – Opowiadam ci, że prawdopodobnie poluje na mnie psychopatyczny morderca, a ciebie wyłącznie interesuje, z kim bzyka się Tomek?

Jej pucułowate policzki poczerwieniały. Poprawiła się na krześle i strzepnęła z fartucha nieistniejący paproch.

– Może to nie psychopatyczny morderca? Może ma jakieś powody? – zastanawiała się głośno.

– Do mordowania? – prychnęłam.

– Interesuję się psychologią morderców – wyznała. Jej oczy znowu zabłyszczały. – Czytałam kiedyś, że większość seryjnych morderców ma osobowość dyssocjalną i cierpi na zaburzenia wydzielania endorfin w mózgu. Często są to wady receptorowe. Autor twierdził, że ich skłonność do mordowania to nie choroba psychiczna, tylko uwarunkowanie biologiczne. Z drugiej strony zdarza się też całkiem często, że seryjni mordercy w dzieciństwie mieli urazy głowy, podczas których dochodziło do uszkodzenia kory czołowej.

Nie spodziewałam się takich zainteresowań po koleżance. Ale też nie powinno mnie to dziwić. Taki Karol jest z kolei święcie przekonany, że opętania są możliwe, i z tego powodu trzyma dwudziestocentymetrowy krucyfiks w szufladzie biurka. Każdy z nas ma jakiś odchył.

– Okej, niemniej jednak nie wiem, jak to ma mnie teraz pocieszyć – skwitowałam.

– Nie ma. Tak po prostu chciałam ci to powiedzieć. Pierwszy raz w życiu miałam okazję błysnąć przed kimś tą wiedzą. – Zaśmiała się cicho.

– Spoko.

– Czyli Tomek, jak to malowniczo ujęłaś, bzyka się teraz z pielęgniarką Iwoną?

– A jednak wracasz do tego tematu…

Nie była tym zmieszana. Najwyraźniej uznała, że wykazała już maksimum współczucia, jakiego od niej oczekiwałam, i może z czystym sumieniem przejść do pogaduszek o Tomku.

– Jest ciekawszy od mordercy, sorry. Powiem ci szczerze, że jestem nim zawiedziona – stwierdziła.

– Mordercą?!

– Nie! Tomkiem!

Odrobinę się uspokoiłam.

– Dlaczego?

– Wydawał się takim fajnym facetem. Przez chwilę nawet się łudziłam, że może zwróci na mnie uwagę. – Westchnęła rozmarzona i szybko dodała: – No i oczywiście na ciebie. Ty masz o wiele większe szanse niż ja. Przecież nawet przysłał ci ten pozbawiony gustu prezent.

Ponownie poczułam się źle. W sumie to ją okłamałam w sprawie tego szlafroka. No, ale z Markiem łączy mnie tylko nic nieznaczący flirt. Wspomniałam o nim wyłącznie w kontekście zazdrości Tomasza. Pominęłam jego obecność w moim mieszkaniu. Przyznałam się jedynie do bukietu kwiatów, które wciąż stały na stoliku.

Nie chciałam psuć dobrego humoru koleżanki, więc nie skomentowałam wyznania na temat jej planów co do Stalowca. Uwielbiam rozgadaną Ulę, ale obawiam się, że nie miałaby u Tomasza żadnych szans. Udowodnił mi, że zamiast romantycznych związków kończących się małżeństwem preferuje raczej krótkie romanse i szybki seks w pracy…

Przypomniałam sobie scenkę rodzajową z zeszłej nocy.

…a konkretnie na blacie biurka.

Co kto lubi.

– Tomek należy do facetów, którzy myślą jedną częścią ciała – mruknęłam.

– A ty?

– Co: ja?

– Nigdy nie chciałaś, żeby między wami zaiskrzyło? Przecież on ma wszystkie cechy idealnego faceta: przystojny, wysoki, pewny siebie i na dodatek lekarz. Jak dla mnie zdecydowanie znajduje się w pierwszej dziesiątce ewentualnych kandydatów na partnera. Przecież byłaś z nim na randce. Nic się wtedy nie wydarzyło?

– To nie była randka – zaperzyłam się. – Poszliśmy na piwo… Znamy się z Tomkiem od studiów. Może to z tego powodu nie widzę go w roli swojego chłopaka. Nie wiem. Coś mi w nim nie pasuje. Nie ma chemii pomiędzy nami.

Nie opowiedziałam jej o tym, że nosi w portfelu moje zdjęcie. Chyba wolałam, żeby tego nie wiedziała.

– A w ogóle to skąd wiesz, że się widzieliśmy? – zdziwiłam się.

Nie przypominałam sobie, żebym jej się tym chwaliła.

– Gdy znaleźli trupa w piwnicy i potem Tomek cię odwoził do domu, to minęliście się z Karolem. On usłyszał, jak Tomek mówił o waszym sobotnim

spotkaniu. A potem mi o tym opowiedział.

– Jestem pod wrażeniem twoich kontaktów – burknęłam.

Naprawdę byłam pod wrażeniem. To, że wiedziała o trupie, jeszcze łatwo można wytłumaczyć, jednak jej wiedza na temat mojego czasu wolnego była imponująca i niepokojąca jednocześnie.

Ula skojarzyła mi się z ośmiornicą, której macki sięgały dookoła ofiary.

– To może dobrze zrobiłam, że ufarbowałam się na czarno? – Westchnęła z nadzieją. – Może Tomasz zwróci na mnie uwagę?

– Nie wiem, Ulu, ale życzę ci tego z całego serca.

– Chyba tylko czarnowłose kobiety go podniecają. Jak sama twierdzisz, pielęgniarka na tym skorzystała… A tak przy okazji, wiesz, że są spokrewnieni?

– Kto? – Nie potrafiłam nadążyć za jej tokiem myślenia. – Tomek z Iwoną?!

– Pielęgniarka i twój salowy – wyjaśniła.

Aż usiadłam na łóżku, nie zważając na swoje szwy.

– Iwona i Łukasz?! – wykrzyknęłam.

– Tak. Są rodzeństwem, o ile mi wiadomo.

– Rodzeństwem?

– Tak. W zeszłą zimę stałam w kolejce w kadrach po dodatek świąteczny, a Iwona stała przede mną. Poprosiła kadrową o wypłacenie też dodatku dla brata Łukasza Kamińskiego. Zdziwiłam się, bo ta pielęgniarka nazywa się Kopylińska. Popytałam tu i ówdzie i dowiedziałam się, że jest rozwódką.

Jej dociekliwość, jeśli chodziło o plotki, po raz kolejny mnie zadziwiła. Ileż musiała mieć w sobie ciekawości i determinacji!

– No nic. – Wzruszyła ramionami. – Muszę uciekać na oddział. Mam jechać dzisiaj do ciebie nakarmić kota?

– Nie, chcę namówić Tomka, żeby mnie wypisał wieczorem do domu. Dam sobie radę.

– Jak chcesz, ale to dla mnie żaden kłopot. Kołtun jest cudowny. Jestem w nim zakochana bez pamięci. Ma takie mięciutkie futerko. A jego pyszczek? Tak rozkosznie bezmyślny! I pamiętaj, że gdybyś czegokolwiek potrzebowała, daj mi znać.

– Dziękuję.

– Pa, pa!

Gdy zamknęły się za nią drzwi, powoli wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Oparłam się ciężko o parapet i wyjrzałam na ulicę, próbując zebrać myśli. Słusznie podejrzewałam, że Ula zna każdą plotkę w szpitalu. Najwyraźniej była zaznajomiona nawet z genealogią pracowników.

Nie wiedziałam, co myśleć o ostatniej informacji, którą usłyszałam. Czy fakt, że Łukasz i Iwona byli spokrewnieni, miał jakiekolwiek znaczenie? Czy Iwona wiedziała, że Tomek wraz z kolegami chirurgami trochę poznęcał się nad jej

bratem? Czy angażując się w romans z nim, chciała się w jakiś sposób zemścić?

Czy powinnam powiedzieć o tym Tomkowi?

Sięgnęłam do klamki, by otworzyć okno i wpuścić do środka trochę powietrza, gdy nagle zdałam sobie z czegoś sprawę. Moja dłoń zawisła nad klamką i zaczęła drżeć.

Kobiety z telefonu Stalowca! Wszystkie miały czarne włosy, tak jak ja!

Ofiary tajemniczego mordercy miały wyłącznie czarne włosy.

Czy Tomek był związany z morderstwami? Rzuciłam się do swojej komórki i w notesie zapisałam imiona z jego telefonu, które zapamiętałam. Gorąco żałowałam, że nie wysłałam do siebie tych zdjęć. Jak brzmiały te imiona?! Sandra? Iza? Ze złości, że nie mogę sobie tego przypomnieć, przygryzłam wargę do krwi.

Sięgnęłam po telefon, chcąc od razu zadzwonić do komisarza Pola.

Nagle drzwi do pokoju otworzyły się. Do środka wszedł Tomek.

33.

Ciepła woda spływała po moim ciele, rozkosznie pieszcząc skórę. Przymknęłam powieki i z ulgą wsunęłam się pod kojący strumień prysznica. Odetchnęłam zapachem różanego płynu do kąpieli i palcami przeczesałam włosy, z których spływała nałożona wcześniej odżywka. Umycie się we własnej łazience po trzech dniach spędzonych w szpitalu było cudownym przeżyciem.

Musnęłam wodoodporne opatrunki na brzuchu, które przykleił mi Tomek, bym mogła wziąć prysznic. Ochota na pluskanie się w wodzie szybko mi przeszła. Spłukałam mydliny i zakręciłam kurki. Na moim ciele pojawiła się gęsia skórka.

Sięgnęłam po wiszący na drzwiach puchaty ręcznik.

Kołtun nie towarzyszył mi tym razem w łazience, ze stoickim spokojem obserwując z bezpiecznego miejsca na umywalce wodę spływającą po szkle kabiny, jak to miał w zwyczaju. Dzisiaj wolał pilnować gościa, który siedział na kanapie w pokoju.

Wróciłam myślami do tego, co się wydarzyło po południu.

Stalowiec nie pozwolił mi wrócić do domu od razu po rozmowie z Ulą. Zgodził się, chociaż i tak niechętnie, wypisać mnie ze szpitala w trzeciej dobie po operacji. Wcześniej oczywiście narzekał, przestrzegał mnie, a nawet straszył możliwymi powikłaniami.

– Słychać cichą perystaltykę, leniwą – stwierdził około godziny siedemnastej, tuż przed wręczeniem mi wypisu.

Zerknęłam na słuchawkę stetoskopu, którą przyłożył do mojego brzucha, a następnie na wydruk karty informacyjnej, który położył na stoliku. Bardzo chciałam dostać go już w swoje ręce.

– Pokaż – zażądałam. – Ja posłucham.

Podał mi stetoskop. Wsunęłam oliwki do uszu i wysłuchałam, co mój brzuch ma do powiedzenia.

Usłyszałam delikatny bulgot. Nie było to przelewanie, jakie słychać podczas biegunki, ale bez przesady. Nie można było się do niczego przyczepić. Moje jelita pracowały.

– Nie jest źle – stwierdziłam. – Coś słychać. Poza tym od czego mam mieć żywą perystaltykę, skoro mało jem?

– Nie podoba mi się to. Uważam, że powinnaś zostać na oddziale – zaprotestował. – Pod obserwacją.

– Marzę o nocy we własnym łóżku. A jeszcze bardziej o wzięciu prysznica w swojej łazience – oponowałam.

– Z prysznicem i szorowaniem się gąbką po brzuchu to jeszcze tydzień poczekaj, aż zdejmę ci szwy.

– Tak jest, doktorze. To co? Mogę iść do domu? Obiecuję, że będę grzecznie

przestrzegać zaleceń.

Uśmiechnęłam się zalotnie pomimo oporów, jakie czułam, odkąd zszokowały mnie zdjęcia brunetek w jego telefonie. Nie chciałam, by zauważył, że zaczęłam inaczej go traktować. Bałam się, że mógłby zacząć podejrzewać, że ja… no cóż… podejrzewam go o różne rzeczy.

– No… – mruknął niechętnie.

– Tomku, nie wygłupiaj się. Przecież jestem lekarzem. Gdy tylko zauważę, że coś jest nie tak, przyjadę do szpitala albo do ciebie zadzwonię – gorąco go zapewniłam.

– Jakoś nie zdiagnozowałaś się, że masz zapalenie wyrostka – przypomniał całkiem słusznie.

– Ono rzadko kiedy przebiega typowo – usiłowałam się bronić. – Już się tak nie wymądrzaj. To co? Mogę iść?

– Tylko pod warunkiem że cię odwiozę. – Uśmiechnął się.

Żołądek przewrócił mi się na drugą stronę.

– Mogę jechać taksówką – powiedziałam niefrasobliwie.

– Nawet się nie wygłupiaj. Odwiozę cię.

Otworzyłam usta, ale mi przerwał:

– Swoim samochodem nie możesz wrócić, bo odstawiłem go pod twoją kamienicę. Poza tym nie powinnaś jeszcze sama prowadzić. Musisz co najmniej tydzień odpoczywać. To co? Pozwolisz się odwieźć? Bo nie dam ci wypisu.

Nie potrafiłam wymyślić żadnych argumentów przeciwko, a nie mogłam mu przecież wykrzyczeć, że podejrzewam go, że jest zabójcą.

– Umowa stoi – zgodziłam się.

Miałam mętlik w głowie. Odkąd doszłam do wniosku, że może być zamieszany w morderstwa, utwierdzałam się w tym przekonaniu, a zarazem całkowicie w nie wątpiłam. Coś mi tu nie pasowało. Owszem, Tomek był zapatrzonym w siebie arogantem, ale nie miał powodu, by mordować młode kobiety.

No, chyba że był wariatem. Wtedy miałby mnóstwo wydumanych powodów.

Chociaż czy aby na pewno nie miał poważnych powodów? Od niepamiętnych czasów nosił w portfelu moje zdjęcie. Umawiał się tylko z brunetkami. To na pewno nie było normalne. Miał jakieś zaburzenia.

Może to obsesja… Tak długo nie mógł mieć tego, co chciał, a chciał mnie, że jego frustracja musiała gdzieś znaleźć ujście.

Coraz gwałtowniej tarłam puchatym ręcznikiem o skórę. Pojawiły się na niej czerwone plamy.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Tomka dochodzący z pokoju:

– Asiu, wszystko okej?

Zmiętam w dłoniach wilgotny ręcznik. Nie wiem, co Stalowiec sobie

wyobrażał, ale po odwiezieniu mnie do domu uparł się, że poczeka, aż wezmę prysznic, a następnie zmieni mi opatrunki i upewni się, że na pewno dobrze się czuję.

Dłonie zaczęły mi drżeć. Czy Tomek jest mordercą? Czy wpuściłam mordercę do mieszkania? Czy zrobi mi teraz krzywdę?

Spojrzałam na pralkę, na której leżała moja torebka. Zabrałam ją na wszelki wypadek. W środku ciągle spoczywała puszka gazu pieprzowego.

– Asia? Asiu, wszystko okej?! – zawołał po raz kolejny. W jego głosie słychać było zaniepokojenie.

– Tak, tak! – odkrzyknęłam. – Już wychodzę!

Szybko włożyłam pod piżamę bieliznę i narzuciłam na ramiona szlafrok. Do kieszeni wsunęłam puszkę. Odrzuciłam na plecy mokre, powoli zwijające się w sprężynki włosy, odetchnęłam głęboko, przywdziałam na twarz uśmiech i weszłam do pokoju.

Na mój widok zerwał się z kanapy i wskazał mi ją ręką.

– Połóż się i odsłoń brzuch – polecił.

Wydawał się zdenerwowany. Ścisnęło mnie w dołku.

Posłusznie zaległam na kanapie i odsłoniłam opatrunki. Nie przestawałam się uśmiechać.

Mężczyzna uklęknął obok i otworzył swoją torbę lekarską. Rozłożył na stoliku do kawy świeżą gazę i plaster. Jednym, szybkim ruchem oderwał stary opatrunek z mojego brzucha. Syknęłam, gdy zapiekła skóra.

– Leż spokojnie – nakazał.

Uniosłam głowę i zerknęłam na brzuch. Gdyby nie fioletowe końcówki nici sterczących nad supełkami na wysokości jednego centymetra, małe rany byłyby praktycznie niewidoczne. Chłodne palce Tomasza delikatnie ucisnęły skórę po bokach ran, by sprawdzić, czy pod spodem nie zbiera się ropna wydzielina świadcząca o zakażeniu. Nie było wycieku ropy ani krwi. Nawet już nie bolało.

– Wszystko wygląda dobrze – mruknął.

– Zabrzmiało, jakby wcale cię to nie cieszyło – prychnęłam.

– Po prostu się o ciebie martwię. Nie podoba mi się, że będziesz tu sama.

– Mam Kołtuna.

– Wiele to on nie pomoże.

Oboje spojrzeliśmy na kocura, który leżał na komodzie. Uniósł do góry tylną nogę i zaczął wylizywać sobie miejsce, w którym kiedyś miał jajka, jakby wiedział, że jest obserwowany. Został wykastrowany tuż po tym, jak dwa razy obsikał mi buty. Pierwszy raz mu wybaczyłam, ale drugi, gdy żywota dokonały moje markowe czółenka za trzysta złotych, miarka się przebrała.

Jajka poszły pod nóż!

– Boli cię, gdy tu uciskam? – Tomek wbił palce w mój brzuch.

Trochę zabolało, ale zaprzeczyłam. Chciałam, żeby już sobie poszedł.

Stalowiec zalepił świeżymi opatrunkami rany i pomógł mi usiąść. Opatuliłam się szlafrokiem.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Mogę zostać, żeby cię obserwować – zaproponował.

– Nie, nie. Nie ma takiej potrzeby – odparłam szybko. Zbyt szybko.

– Jak uważasz – burknął.

Zauważyłam, że na stoliku leży jego telefon. Przygryzłam wargę. Wiele bym dała, by móc jeszcze raz przejrzeć zdjęcia. Zastanawiałam się, czy jest jakaś możliwość, żeby sprawdzić, jak nazywały się ofiary mordercy. Czy znajdę te informacje w internecie?

Tomek podniósł telefon i wsunął go do kieszeni. Zdusiłam jęk zawodu.

– W takim razie pójdę. Powinnaś odpoczywać. – Złapał torbę i przeszedł do korytarza. Zauważyłam, że ominął Kołtuna szerokim łukiem.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziałam, powoli człapiąc korytarzem.

– Zadzwonię do ciebie jutro, by sprawdzić, jak się czujesz – obiecał.

W drzwiach pochylił się, żeby mnie pocałować. Obróciłam lekko twarz, dzięki czemu cmoknął mnie w policzek zamiast w usta, jak najwyraźniej zamierzał.

– Aśka, czy wszystko między nami jest okej? – zapytał. – Mam wrażenie, że inaczej się zachowujesz, od…

„…odkąd odkryłam twój telefon” – dokończyłam w myślach.

– …odkąd przeczytałem ten liścik dołączony do kwiatów – dodał.

– Nie, wszystko jest okej – powiedziałam. – Po prostu jestem zmęczona.

– Chodzi ci o tego esemesa od Iwony? – zapytał. – Nic mnie z nią nie łączy. Jest dla mnie nikim. To ty jesteś ważna.

Biedna kobieta, nawet nie wie, co on o niej myśli. A z niego to niezła świnia.

– Wszystko jest okej – powtórzyłam.

– Pa – mruknął niezadowolonym tonem.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, przekręciłam wszystkie zamki, zasuwki i założyłam łańcuch. Następnie rzuciłam się do telefonu. Wiedziałam, skąd mogę się dowiedzieć, jak nazywały się ofiary i jak wyglądały!

Szybko odnalazłam numer Marka Zadrożnego. Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie. Był co prawda piątkowy wieczór, ale nie wybiła jeszcze dziewiętnasta. Miałam nadzieję, że odbierze, nawet jeśli szykował się na występ w jednej z praskich knajp.

Tylko czy wypadało do niego dzwonić? Trudno było nas nazwać przyjaciółmi.

Dzwonić?

Nie dzwonić?

Odebrał po drugim dzwonku.

– Asia? Cześć. – W jego głosie słychać było lekkie zdziwienie. – Coś się stało?

– Nie, pomyślałam sobie, że do ciebie zadzwonię. – Skrzywiłam się, gdy usłyszałam takie słabe wyjaśnienia.

– Och, naprawdę? – Jego zdziwienie było coraz większe. – W takim razie bardzo mi miło. Jak tam w szpitalu? Dostałaś już niejadalną kolację? Czy ciągle żywią cię wyłącznie płynami?

– Nie jestem już w szpitalu. Namówiłam Stalowca, żeby mnie wypisał, i siedzę u siebie w mieszkaniu.

– Nie za szybko? – Tym razem wydawało mi się, że usłyszałam w jego głosie nutkę zaniepokojenia.

Zaczęłam się zastanawiać, co mógł teraz robić i w czym mu przerwałam.

– Jak dla mnie to w sam raz. W każdym razie nie o tym chciałam mówić…

– Czekaj, ale po co będziemy rozmawiać przez telefon, skoro jesteś w domu. Jeśli dasz mi godzinę to przyjadę do ciebie z jakąś kolacją. Co ty na to? Jaką kuchnię lubisz? Włoską? Indyjską? Sushi? Czy może raczej coś lekkostrawnego?

– Nie, nie chcę, żebyś przyjeżdżał. Chciałam cię tylko o coś zapytać.

– Asiu, to żaden problem. Daj mi chwilę, żebym ogarnął coś do jedzenia, i jestem u ciebie.

– Zaraz! Ja cię nie zapraszam! Dajże mi dojść do słowa!

– Za późno. Już wychodzę z domu. Do zobaczenia!

Rzucił słuchawką. Wpatrywałam się jak oniemiała w gasnący ekran telefonu.

– Te chłopy chyba małpiego rozumu dostały! – powiedziałam do Kołtuna.

Mój kot nadal z czułością wylizywał sobie miejsca po jajkach i kompletnie nie obchodziły go moje żale.

Spróbowałam jeszcze raz wybrać numer Zadrożnego. Nie odbierał. Najwyraźniej naprawdę zamierzał przyjechać. Potoczyłam spojrzeniem po zakurzonym, pełnym kocich kłaków mieszkaniu. Nie prezentowało się najlepiej. Dotknęłam wilgotnych włosów i przejechałam opuszkami palców po przesuszonej skórze twarzy. Ja także nie prezentowałam się najlepiej.

Chwilę później rzuciłam się do łazienki, żeby zrobić delikatny makijaż. Nie dlatego, żeby mi zależało na Marku, po prostu chciałam ładnie wyglądać.

Dla siebie.

Dla Kołtuna.

No dobra, także dla Marka.

34.

Przyjechał wcześniej, niż się spodziewałam. Miał poprzecierane dżinsy i czarny podkoszulek, a marynarkę niósł w ręku. Ucieszyło mnie, że się nie wystroił. Oczywiście nie przyjęłam go w szlafroku, miałam już na sobie luźne dżinsy i niebieską bluzkę z dekoltem w kształcie serca. Nie chciałam, by pomyślał, że się starałam.

Chociaż starałam się, i to bardzo. Niestety, założenie skarpetek przekroczyło moje możliwości. Ba, zdołałam nawet ogarnąć bałagan. Większość ciuchów wrzuciłam do kosza na brudną bieliznę, a podłogę zamiotłam. Musiało wystarczyć. Na więcej nie miałam siły.

– Wcale cię nie zapraszałam – powiedziałam po otworzeniu drzwi.

– Wyczytałem zaproszenie pomiędzy wierszami – oznajmił z uśmiechem i podał mi papierowe torby. Jego wzrok omiótł mój dekolt.

Smakowicie zapachniało. Zostawiłam Marka w korytarzu, gdzie karnie ściągał buty, i rozłożyłam torby na kuchennym blacie. W jednej z nich znalazłam dwie butelki półwytrawnego czerwonego wina, a w drugiej plastikowe pojemniki wypełnione pachnącym makaronem.

– Szczerze mówiąc, nie miałem zielonego pojęcia, która restauracja w mieście ma odpowiednie dla ciebie jedzenie, więc po prostu poszedłem do włoskiej knajpy – powiedział, wchodząc do pokoju. – Kluchy chyba zawsze są lekkostrawne.

Zatrzymał się przy Kołtunie i zaczął miętosić jego białe, pełne kołtunów futro. Niteczki sierści od razu przylgnęły do jego czarnego podkoszulka.

Kocur rozmruczał się na całe gardło.

– Ale… wino z pewnością nie jest lekkostrawne – oceniłam.

– To najwyżej sam wypiję obie butelki. – Puścił do mnie oko. – Wydaje mi się, że nie będę miał z tym większych problemów.

Położyłam na blacie sztućce i kieliszki. Niestety, nie miałam stołu. Mogliśmy jeść tutaj lub przy stoliku do kawy i na kanapie, które zresztą służyły mi za jadalnię. Uznałam jednak, że blat barowy, choć mniejszy, mimo wszystko był wygodniejszy. Nie będę musiała się pochylać, jedząc.

Marek zajął się otwieraniem wina, a ja przełożyłam na talerze obłędnie pachnący makaron z łososiem w sosie koperkowo-śmietanowym. Nie wiem, jakie Zadrożny miał kryteria kuchni lekkostrawnej, ale to, co przywiózł, na pewno nią nie było. Przez moment przebiegło mi przez myśl, że wskutek łakomstwa rozchoruję się po dzisiejszym wieczorze.

Ale trwało to tylko chwilę. Ponownie powąchałam, jak pachnie ten makaron, i już wiedziałam, że rzucę się na niego, jakbym nic nie jadła od co najmniej tygodnia. Po mdłościach, które ogarniały mnie po narkozie, nie było nawet śladu.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Kołtun od razu znalazł się obok, żebrząc o kawałki łososia. Nawinęłam na widelec długie nitki makaronu i skosztowałam potrawę. Rozpływała się w ustach, a ja razem z nią. Od razu mój poziom sympatii do Marka wzrósł. Uwielbiałam wszystkich, którzy przynoszą mi jedzenie.

Zadrożny wbił we mnie spojrzenie ciemnych oczu. W przeciwieństwie do mnie nie rzucił się na posiłek.

– Jak się czujesz po operacji? – zapytał.

– Dobrze. – Wzruszyłam ramionami. – Muszę tylko poruszać się w miarę ostrożnie, ale nacięcia były tak małe, że szybko dojdę do siebie.

– Czyli dzisiaj nici z łóżkowych ekscesów? – Zrobił smutną minę.

Makaron zsunął mi się z widelca i pacnął o talerz, rozpryskując sos po całym blacie.

– Hej, hej! – Marek rozłożył ręce, dusząc się ze śmiechu. – Tylko żartowałem! Wcale nie liczę na to, że oddasz mi się po jednej porcji klusek. Wiem, że do czegoś takiego potrzeba co najmniej trzech posiłków. No, chyba że wino policzymy jako drugi posiłek, a po trzeci, na przykład po lody, skoczę na dół do spożywczaka.

– Ja to cię chyba nie lubię – mruknęłam, plując sobie w brodę, że w ogóle do niego zadzwoniłam.

Szczerze tego teraz żałowałam.

– Każdy mnie lubi, głupstwa pleciesz.

Tylko przewróciłam oczami i nawinęłam na widelec kolejne nitki makaronu. Kołtuna odepchnęłam od stołu. I tak był gruby. Nie powinien jeść tego przepysznego łososia.

– Bardzo smaczne jedzenie. Dziękuję – powiedziałam z pełnymi ustami.

– Mój Boże, jakże przegłodzili cię w tym szpitalu. – Sięgnął po kieliszek z winem i upił kilka łyków. – Mhm… spróbuj wina. Nie chciałbym się chwalić, ale wybrałem bardzo dobre.

– No nie wiem… nie zaszkodzi mi? – Miałam wątpliwości.

– Nie wiem. – Rozłożył ręce. – Moim „pacjentom” raczej już nic nie zaszkodzi. Nie mam doświadczenia.

– Tylko łyczek – spróbowałam usprawiedliwić się sama przed sobą. – Na łyczek chyba mogę sobie pozwolić.

Marek miał rację. Wino było wyśmienite.

– A co z tobą? – zapytałam. – Nie masz obowiązków rodzinnych, że tak szybko przyjechałeś? Jest piątkowy wieczór. Nie powinieneś mieć randki, koncertu, czegokolwiek?

– No randkę to chyba właśnie mam…

Zmierzyłam go ostrym spojrzeniem.

– Albo nie… – Westchnął teatralnie i roześmiał się tubalnym głosem. –

A wracając do twojego pytania – w Czarnym Kocie gram średnio raz w miesiącu. Nie miałem na dzisiejszy wieczór żadnych planów, chociaż bratanica usiłowała mnie namówić na partyjkę Monopolu.

– No wiesz… zawiodłeś dziecko! – oburzyłam się. – Ile ma lat?

– Dziesięć. Nie martw się. Wyrasta na niezłą zołzę. Odbije sobie na mnie, że się nie zgodziłem. Nie wiem zresztą, co ją w tej grze bawi. Zawsze ze mną wygrywa, chociaż oboje oszukujemy. Skubana jest w tym lepsza ode mnie.

– A twój brat i szwagierka nie będą ci mieli za złe, że miałeś zajmować się dzieckiem, a zrezygnowałeś w ostatniej chwili?

– Marta ma dziesięć lat. Umie się sobą zająć. Pewnie siedzi teraz na Facebooku, Twitterze, Instagramie, czy na czym tam teraz te dzieci siedzą. Poza tym piętro niżej ma sąsiadkę z dwunastoma kotami, która ją ubóstwia. A Marta ubóstwia jej koty. Istnieje więc spora szansa, że zawraca jej teraz głowę. Ta pani Kowalczyk to taka nieformalna niania mojej bratanicy, można powiedzieć, przybrana babcia. Rzadko wychodzi z domu i traktuje Martę jak wnuczkę. Zawsze wymyśla dla niej jakieś babskie rozrywki w stylu: pieczenie babeczek, robótki na szydełku czy haftowanie kotków na poszewkach poduszek.

– Haftowanie?

Pozazdrościłam małej. Ja tylko potrafiłam przyszyć odpadający guzik.

Marek przywdział minę cierpiętnika.

– Tak… Marta cały czas coś dzierga i potem obdarowuje mnie swoimi wyrobami. Zgadnij, ile mam poduszek z koślawo wyhaftowanymi kotkami?

Nie wiem.

– Osiem. Osiem poduszek z kotkami, które muszą, podkreślam – muszą, leżeć na mojej kanapie w salonie. Wyobraź sobie, jak to działa na kobiety, które zapraszam do mieszkania. Każda jest przekonana, że to robota mojej żony, której przecież nie mam. A gdy już się wytłumaczę i jakimś cudem mi uwierzą, cały nastrój pryska, gdy wpatruje się w nas tyle żółtych i zielonych kocich oczu.

Śmiałam się, trzymając się za brzuch, żeby szwy nie puściły.

– Ale dość już o mnie. – Uniósł kieliszek i opróżnił go. – Doleję sobie wina i porozmawiamy o tobie. Ciebie – mimo wszystko – wolałbym nie upijać, wybacz. Jeszcze naprawdę ci zaszkodzi. O coś chciałaś mnie jednak zapytać, prawda?

Sięgnął po butelkę. Patrzyłam, jak wino wpływa do kieliszka. Marek sobie nie żałował, a moje kieliszki nie należały do najmniejszych. Opróżnił już pierwszą butelkę.

– Tak… chciałam. Jednak zanim zadam pytanie, musimy sobie coś wyjaśnić.

– Hm?

– Nie możesz mi się tak wpraszać do mieszkania. – Postanowiłam być twarda.

– Nie mogę?

– Nie możesz.

– Nie mogę przysyłać ci prezentów, nie mogę cię odwiedzać. Jesteś bezwzględna. Rujnujesz wszystkie moje plany.

– Jakoś to przeżyjesz.

– Zapewne – westchnął.

– Poza tym ja nie szukam sobie mężczyzny, okej? Nie chcę chodzić na randki, nie chcę mieć chłopaka.

– A dlaczego? – zapytał, upijając łyk wina. – Nie pytam z przekory. Jestem autentycznie ciekawy.

– Mam za sobą nieudany związek i nie jestem gotowa na kolejny. – Westchnęłam zirytowana, że nikogo ten argument nie przekonuje.

Moja irytacja nasiliła się, gdy, patrząc w czarne oczy Marka, sama zaczęłam wątpić w to, co mówię.

– Zgoda, a o co chciałaś spytać? – Nie drążył już tematu moich związków.

– O mordercę.

– O Okulistę? – zdziwił się.

– Tak. Bardzo mnie ta sprawa intryguje, zwłaszcza dlatego, że niejako jestem w nią zamieszana.

– A co chcesz wiedzieć?

– Jak najwięcej o ofiarach… tego Okulisty.

Moje słowa zawisły w powietrzu. Marek nawinął solidną porcję makaronu na widelec i wpakował sobie do ust. Odrobina białego sosu została mu w kącikach ust. Powstrzymałam chęć, by wyciągnąć rękę i go zetrzeć. Marek przeżuł jedzenie i przełknął. Dopiero wtedy odpowiedział:

– Hm… w zasadzie to nie wiem, czy mogę ci mówić cokolwiek. Chyba trochę wiąże mnie tajemnica zawodowa.

– No przecież nie proszę o podanie nazwisk – powiedziałam, chociaż o to właśnie mi chodziło. – Możesz chyba wyjawić mi imiona, jakieś cechy wspólne…

Nie wyglądał na przekonanego. Sięgnął po serwetkę i otarł usta. Zaczęłam się zastanawiać, jak one teraz smakują. Sosem śmietanowym? Ciężkim winem? A może papierosami, które namiętnie palił?

– Chcę ocenić ryzyko, jakie mi grozi – kłamałam w żywe oczy.

– No nie wiem…

Chyba dla dodania sobie animuszu po raz kolejny sięgnął po kieliszek.

– Nie chodzi mi o szczegóły… – próbowałam go przekonać.

Pochyliłam się do przodu w taki sposób, że mój dekolt odsłonił rąbek koronki stanika. Podpatrzyłam ten patent u zamordowanej stażystki. Spojrzenie mężczyzny od razu powędrowało do wcięcia bluzki.

– Ale obiecaj, że nie powtórzysz nikomu, co ci powiedziałem, okej? Mógłbym za to solidnie oberwać – zaznaczył.

– Obiecuję.

Wyprostowałam się, żeby mógł się skupić.

– Okulista był aktywny pół roku temu. Zabił wówczas trzy kobiety w ciągu trzech tygodni. Zupełnie jakby wszystko sobie zaplanował. Jedna ofiara na tydzień. Każda miała czarne, kręcone włosy. Poza tym i oczywiście poza płcią nie miały one żadnych punktów wspólnych. Były w różnym wieku. Najmłodsza miała dwadzieścia dwa lata, a najstarsza czterdzieści, chociaż akurat wyglądała bardzo dobrze jak na swój wiek.

– I co jeszcze?

– Dwie z nich były samotne, trzecia miała męża i dzieci. Znajomi jednej z ofiar, pierwszej, twierdzili, że niedawno poznała jakiegoś faceta. Ale sukinsyn dobrze zacierał za sobą ślady. Nikt go nie widział, nawet sąsiedzi. Podobno poznali się w kawiarni, w której pracowała, lecz współpracownicy nie potrafili nic powiedzieć. Dziewczyna należała do tego typu kobiet, które flirtują z każdym. Nikt nie mógł stwierdzić, czy jakiegoś faceta specjalnie wyróżniała.

W mojej głowie od razu rozdzwonił się sygnał alarmowy. Zdjęcie jednej z dziewczyn w telefonie Tomka było zrobione w kawiarni.

– Pracowała w kawiarni? – zapytałam, udając obojętność. – A co to za kawiarnia? W pobliżu Szpitala Wschodniego?

– Nie, nie. Po drugiej stronie miasta. Malutka kawiarenka Carmel&Vanilla, położona w pobliżu centrum handlowego Złote Tarasy, samo serce Warszawy. Z powodu dobrej lokalizacji codziennie przewijają się tam setki klientów. Właściciele nie zainstalowali monitoringu. Policja nie miała żadnego punktu zaczepienia, żadnych śladów, świadków. Nikt nic nie pamiętał.

Usilnie starałam się przypomnieć sobie szczegóły zdjęcia. Całą uwagę poświęciłam wtedy ładnej dziewczynie, a nie elementom tła. Jednak tak… teraz dotarło do mnie, że wnętrze za jej plecami utrzymane było w kolorze toffi z kremowymi akcentami. Za to gdy wysiliłam szare komórki, dotarło do mnie, że nad głową kobiety był znak „&” z dużego napisu na ścianie.

Zrobiło mi się zimno.

– A jak nazywała się dziewczyna z kawiarni?

– Asiu, nie mogę ci powiedzieć.

– Rozumiem… – Byłam zawiedziona. – A co możesz mi powiedzieć? Coś o kolejnych kobietach?

– Druga ofiara miała męża i dwójkę dzieci. Nie pracowała, zajmowała się domem. Wydawać by się mogło – przykładna pani domu. Jednak podczas śledztwa mąż przyznał się, że w małżeństwie nie układało się najlepiej. Najwyraźniej miała romans. Pytanie tylko, z kim i gdzie go poznała… Nie pisnęła słowem nawet najlepszej przyjaciółce, a pamiętniki kobiety piszą chyba tylko w filmach. Nie dzwoniła do kochanka ze swojej komórki, a nie znaleziono innego aparatu,

z którego by korzystała. Nie wiemy, gdzie się spotykali, nie wiemy, jak on wyglądał. Nic nie wiemy. Rodzina twierdziła, że kobieta bez dzieci wychodziła z domu tylko po zakupy i do lekarza.

– Do lekarza? – podchwyciłam.

– Tak. Miała cukrzycę typu pierwszego. Była pod opieką kilku specjalistów.

W głowie pojawiła mi się pewna niepokojąca myśl. Nie była starą kobietą, ale osoby z cukrzycą typu pierwszego, borykające się z tym schorzeniem od dzieciństwa, często przy niedostatecznej kontroli glikemii mają szybko rozwijające się charakterystyczne powikłania. Czy możliwe jest, że kobieta borykała się na przykład ze stopą cukrzycową, objawiającą się niegojącymi się ranami na stopach, powstałymi głównie wskutek niewłaściwie dobranego obuwia? Jeżeli tak, to mogła być pod opieką chirurga…

A chirurgiem zajmującym się między innymi takimi schorzeniami był Tomek.

– Czy przychodziła do poradni w Szpitalu Wschodnim? – zapytałam.

– Nie. Leczyła się w szpitalu na Banacha. – Pokręcił głową, studząc moje podejrzenia. – Pol odezwał się teraz do jej rodziny. Mąż twierdzi, że nigdy nie była w Szpitalu Wschodnim. Ślepy zaułek. Zupełnie jakby to było przypadkowe powiązanie.

– No nie wiem… – Miałam co do tego wątpliwości.

– Pierwsza ofiara, ta z kawiarni, nie miała żadnych związków z jakimkolwiek szpitalem. Podobno była okazem zdrowia, wierzyła w naturalne sposoby na zwalczanie przeziębień. Nawet nie przyjmowała tabletek antykoncepcyjnych.

Pokiwałam głową. Na razie tylko Patrycja, Maryla i mężatka miały kontakt ze służbą zdrowia.

– A trzecia kobieta? – zapytałam.

– Trzecia ofiara z zeszłego roku miała dwadzieścia sześć lat. Była ładna, czarnowłosa, wysportowana. Jej powiązanie z medycyną może być tylko takie, że obsesyjnie dbała o ciało. Była stałą klientką gabinetów odnowy biologicznej.

Poczułam ukłucie niepokoju. Często w takich miejscach pracują dermatolodzy albo chirurdzy wstrzykujący botoks i przeprowadzający zabiegi, do których nie mają uprawnień kosmetyczki. Może to było powiązanie, którego szukałam?

– W jej telefonie znaleźliśmy czułe esemesy z „Pieseczkiem”. Niestety, nie wprowadziła do pamięci telefonu jego imienia i nazwiska, a wiadomości były pisane tak bezosobowo, że w zasadzie nawet płci „Pieseczka” nie można być pewnym. Telefon „Pieseczka” to zwykła jednorazówka na kartę, nie do namierzenia. Pewnie ją zniszczył.

Marek wydawał się zirytowany. Zauważyłam, że chyba zaangażował się w tę

sprawę bardziej, niż sam przed sobą przyznawał.

– Czyli tylko pierwsza ofiara – z kawiarni – nie miała związku z medycyną – podsumowałam.

– Niby tak. Była pierwsza.

– Może dopiero się rozgrzewał? – zasugerowałam. – Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

– Do tej pory Okulista porzucał ofiary w miejscach, w których je mordował – kontynuował, skubiąc kozią bródkę. – Wydaje się, że teraz zmienił postępowanie. Raczej ktoś by usłyszał, gdyby kobieta została zamordowana w szatni. Poza tym zagadką pozostaje jej ubranie. Gdzie się podziało? Gdzie jest telefon? Miała aparat zarejestrowany na swoje nazwisko. Nikt nie zgłosił zaginięcia, bo mieszkała sama, a z rodzicami kontaktowała się raz na kilka miesięcy, nie miała bliskich przyjaciółek. Trudno stwierdzić, kiedy została uprowadzona i ile czasu Okulista przetrzymywał ją gdzieś w zamknięciu, zanim zamordował.

Pod wpływem wina Markowi rozwiązał się język. Gorączkowo zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Powiedzieć coś? Delikatnie naprowadzić na Tomka? Co będzie, jeśli policja miała mordercę tuż pod nosem, a on wymknie się, bo nic im nie powiedziałam?

– Okulista nikomu nie wysyłał wiadomości. Jesteś pierwsza. Nic w tej sprawie do siebie nie pasuje…

– I naprawdę nie macie nikogo podejrzanego? – zapytałam.

– Sebastian ma na oku kilku facetów, ale na żadnego nie ma twardych dowodów.

Wstał i otworzył drugą butelkę wina. Odsunęłam od siebie talerz i przeniosłam się ze swoim kieliszkiem na fotel. Z westchnieniem ulgi opadłam na poduchy. Mój brzuch był pełen klusek. Powoli zaczynałam tego żałować.

Postanowiłam, że na razie nic nie powiem Markowi. Istniało prawdopodobieństwo, że wszystko sobie wyobraziłam. Może Tomek nie zrobił nic złego? Jeśli powiem o nim policji, zniszczą mu karierę. Gdy zostanie zatrzymany jako podejrzany o morderstwo, to nawet po oczyszczeniu z podejrzeń smród sprawy będzie się za nim ciągnął przez całe życie. Uznałam, że najpierw muszę zdobyć dostęp do telefonu Tomka i upewnić się w swoich podejrzeniach. Skopiuję jego zdjęcia i pokażę je Markowi. Wtedy będę miała pewność.

– A Stalowiec? – zapytałam, udając obojętność. – Był przesłuchiwany przez policję. Jest jednym z waszych podejrzanych?

Zadrożny rozparł się na kanapie naprzeciwko mnie i pociągnął łyk wina.

– Stalowiec to bardzo ciekawa postać w całej tej historii – powiedział. – Był związany z dwiema ostatnimi ofiarami, które też miałaś okazję poznać.

– Niby tak – odparłam.

– Jest też związany z tobą. Dużo tych jego związków.

Zrozumiałam, że otwarcie nie powie mi, czy go podejrzewają. Postanowiłam nie naciskać.

– A wracając do ofiar. Mówisz, że wszystkie były czarnowłose. A ładne? Tak twoim męskim okiem. Co sądzisz? Czy może morderca zabija kobiety, które mu się podobają? – zapytałam.

Marek pokiwał głową w zadumie.

– Wszystkie ofiary, razem z tą Czyżyk, były… jakby to ująć, żeby brzmiało poprawnie politycznie? Miłe dla oka? W różnym wieku, ale atrakcyjne. Zastanawiasz się, czy nie miał z nimi wszystkimi romansów?

– Może – przyznałam.

– Nie wiem… może. Policyjny profiler twierdzi inaczej. Uważa, że dla mordercy ważne są kobiety czarnowłose. Wiąże to z jakąś traumą z dzieciństwa. Sądzi, że ma to związek z matką.

– Z matką? A co ma do tego matka? Wydumane to troszkę…

– Ty mi to wyjaśnij, przecież jesteś psychiatrą. Profilerzy zawsze wszystko zwalają na problemy z matką… Jak dla mnie psychol i tyle.

– A da się sprawdzić, czy morderca… hm… czy… obcował z nimi, zanim je zabił? – dokończyłam kulawo, nie bardzo wiedząc, jak zadać to pytanie.

Byłam święcie przekonana, że ta informacja powie między innymi, jakiej płci jest morderca.

– Nie wiem. Możliwe. Tak naprawdę, wbrew temu, co pokazują w telewizji, czasami trudno ocenić w trakcie sekcji, czy ofiara była napastowana seksualnie. Wydaje mi się, że Mądrawska i Czyżyk przed śmiercią uprawiały seks, ale nie mam na to twardych dowodów.

Zaśmiał się. Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– Z czego się śmiejesz?!

– Przepraszam! – Otarł oczy. – Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że powiedziałem „seks", a potem „twarde dowody". „Twarde dowody", łapiesz? Och, chyba mam już dość wina na dzisiaj.

– Chyba tak – odparłam, ale kącik ust uniósł mi się nieznacznie, gdy dotarło do mnie, jaką gafę popełnił.

– Niemniej jednak, wracając do naszej rozmowy, policja i profilerzy uważają jedno, a ja uważam drugie. Sądzę, że Okulista jest sprytny. Kto wie? Może miał romans z nimi wszystkimi i po prostu mordował swoje kochanki? Może ma jakąś obsesję na punkcie czarnowłosych kobiet – kontynuował. – Jednak mnie się wydaje, że z nami pogrywa, wiesz? Ta Mądrawska strasznie mi tu nie pasuje. Była bardzo… jakby to ująć… plastikowa. Na tle innych ofiar naprawdę się wyróżniała. Nie wiekiem, ale… tak całokształtem. Po prostu do nich nie pasowała.

Było widać, że Zadrożny czuje się niezręcznie. Nie wiedziałam, jak wyglądały wcześniejsze ofiary. Mądrawska miała kilka przygód z chirurgiem

plastycznym, wydawało mi się jednak, że Marek trochę przesadza. Nie była ofiarą operacji poprawiających urodę.

– Chociaż… – Zawiesił głos.

– Co?

– Była bogata. Może to odegrało jakąś rolę? Może nasz morderca to nie tylko psychol, ale i żigolo?

– Pamiętaj, że nosiła szlafroczek w panterkę – przypomniałam.

– Zapewniam, że ten, który ci podarowałem, tani nie był. Panterka kosztuje, moja droga.

– Minął już tydzień. – Zmieniłam temat.

– Słucham? – Marek nie nadążył.

– Minął już tydzień od ostatniej śmierci, a on nie zabił trzeciej kobiety z tej serii. Spóźnia się. Nie zachowuje się tak jak w zeszłym roku. Jesteście pewni, że to ten sam morderca? Nie zabija w czasie, kiedy „powinien". – Pokazałam znak cudzysłowu i ziewnęłam przeciągle.

Mimo że bardzo interesowała mnie ta rozmowa, w końcu dopadło mnie zmęczenie pogłębione alkoholem i ciężarem posiłku w żołądku.

Przecząc swoim zapewnieniom, mój gość dopił wino i odstawił kieliszek.

– Chyba chce ci się spać – zauważył.

– Nie, nie – zaprzeczyłam szybko. – To po prostu wino i pełen żołądek. Jakoś tak mnie rozłożyło. Za dużo ostatnio wrażeń…

– Aż nie mogę uwierzyć w to, co powiem, bo to zupełnie do mnie niepodobne, ale już pójdę. Jesteś zmęczona. Odpocznij.

Wstał z kanapy. Powoli podniosłam się z fotela, uważając na obolały brzuch.

– Nie, nie idź jeszcze. Tak dobrze nam się rozmawia!

Pokręcił głową rozbawiony.

– Chyba przyniosłem za mocne wino. Następnym razem podczas kolacji nie podam ci nawet kropli alkoholu. Ciekawe, czy wtedy też nie będziesz chciała mnie wypuścić z mieszkania?

– To nie tak! – Zaczerwieniłam się. – Po prostu chciałam porozmawiać. Nic więcej!

Przeszedł obok komody i na pożegnanie pogłaskał po głowie Kołtuna. Kocur zamruczał donośnie, jakby miał pod brodą zamontowany silnik. Podążyłam za Markiem. Nie dowiedziałam się wszystkiego, czego byłam ciakawa, chociaż musiałam przyznać, że Zadrożny okazał się dobrym źródłem informacji.

Włożył buty i wziął do ręki marynarkę. Dopiero wtedy na mnie spojrzał. W kącikach jego oczu czaiły się drobne zmarszczki. Pogłębiły się, gdy wyszczerzył zęby.

– Idę – oznajmił. – Dobranoc, Asiu. Gdybyś kiedyś miała ochotę na spotkanie, to dzwoń do mnie. Nie zważaj na porę dnia i nocy. Dla ciebie zawsze

znajdę czas.

– Okej. Dziękuję za kolację. Była naprawdę pyszna – mruknęłam zawiedziona, że już sobie idzie.

– Interesująca z ciebie kobieta. – Przekrzywił głowę niczym pies, przyglądając mi się w zamyśleniu. – Nie potrafię jeszcze cię rozgryźć.

Nie wiedziałam, jak się zachować.

Niespodziewanie podszedł do mnie, uniósł mój podbródek i delikatnie pocałował mnie w usta. Byłam tak zaskoczona, że uchyliłam wargi pod wpływem tej nieoczekiwanej pieszczoty.

– Mhm, chciałem sprawdzić, jak smakujesz. Całkiem miło – szepnął mi prosto w usta. – Skoro nici z ekscesów w łóżku, bo jeszcze jakieś szwy ci puszczą, to lepiej już pójdę.

– Po moim trupie pójdę z tobą do łóżka – odszepnęłam z nachmurzoną miną, gdy się odsunął.

– I to jest Asia, którą polubiłem! Do następnego razu! Pa!

Kiedy wyszedł, oparłam się plecami o drzwi, nasłuchując jego kroków na schodach. Spojrzałam na Kołtuna, który wbijał we mnie swoje lekko zezowate spojrzenie.

– W co ja się pakuję, kocie, co?

Oczywiście nie odpowiedział. Zeskoczył tylko z komody i podszedł do pustej miski. Znacząco zaczął drapać w podłogę zniesmaczony porcelanowym dnem, które ujrzał.

35.

Następnego dnia nie obudziłam się mądrzejsza. Wciąż byłam przekonana, że Tomek tkwi w tym po same uszy. Było zbyt wiele zbiegów okoliczności.

Mimo wszystko nie mogłam uwierzyć, że bez mrugnięcia okiem eliminowałby po kolei swoje kochanki. Świetnie pasował do pozbawionego skrupułów seksoholika, ale nie do mordercy. Naprawdę słaby ze mnie psychiatra.

Całą noc rzucałam się po łóżku, gorączkowo zastanawiając się, czy zdradzić policji swoje podejrzenia i powiedzieć o jego komórce. Dręczyło mnie to okrutnie. W końcu zdecydowałam, że tego nie zrobię. Nie chciałam, żeby Tomek miał problemy. Może to tylko rojenia mojej wybujałej wyobraźni?

Zaczęłam się zastanawiać, jak zdobyć nazwiska kochanek Stalowca. Nagle wpadłam na genialny pomysł. Przecież Urszula znała każdą plotkę, a Tomasz od dawna był na jej celowniku! Możliwe, że dziewczyna nie zdaje sobie sprawy z tego, że wie tak ważne rzeczy.

Następnego dnia do niej zadzwoniłam i umówiłam się na kawę. W kawiarni Carmel&Vanilla, rzecz jasna. Prywatne śledztwo czas zacząć.

Koleżanka była co prawda zaskoczona lokalizacją, ale przekonałam ją, że to fajne miejsce, o którym niedawno się dowiedziałam, i zapewniłam, że kawa mi nie zaszkodzi.

Przyjechałam wcześniej, żeby trochę się rozejrzeć. Postanowiłam zagrać *va banque*. Gdy stanęłam przy kasie i zamówiłam kawę i ciastko, które nijak nie pasowało do lekkostrawnej diety, ale cudownie wyglądało, zapytałam obsługującego mnie kasjera z udawaną obojętnością:

– Przepraszam! Chciałam zapytać o czarnowłosą dziewczynę, która pracowała tu z pół roku temu. Dawno do państwa nie zaglądałam, ale ją zapamiętałam. Niestety, wypadło mi z głowy jej imię… Już tu nie pracuje?

– Przykro mi, rotacja pracowników jest bardzo duża. Nie wiem, o kogo może pani chodzić. – Wręczył mi paragon, usiłując uciąć rozmowę. – To pani ciastko i kawa. Proszę się rozgościć.

– Może jednak pan ją pamięta. Taka miła. Rozmawiałyśmy kilka razy. Była trochę podobna do mnie. Też miała czarne kręcone włosy. To dlatego się polubiłyśmy – kłamałam jak najęta. – Bardzo mi zależy na odnowieniu tego kontaktu.

Uśmiech spełzł z twarzy kelnera. Wyglądał na mniej więcej dwadzieścia lat. W każdym razie sugerowały to solidne pryszcze na policzkach. Zbyt gęste brwi zbiegły mu się razem na środku czoła, gdy dość nachalnie się dopytywałam. Wyglądał jak spłoszony informatyk, który nagle znalazł się w obcym dla siebie środowisku.

– Ma pani chyba na myśli Sandrę Kowalik – odpowiedział. – Przykro mi, ale

ona nie żyje.

Mężczyzna stojący obok nas przy witrynie z ciastkami rzucił nam szybkie spojrzenie i się oddalił. Nikt nie chce słuchać o śmierci w słoneczny dzień.

– Słucham? – Udałam zdziwienie i zaskoczenie, starając się jednocześnie ukryć radość, że dotarłam do informacji, jak nazywała się pierwsza ofiara Okulisty.

– Została zamordowana pół roku temu – wyjaśnił kelner. – Rzeczywiście długo pani u nas nie było.

– Ale jak to? Przez kogo? Złapano mordercę? – zarzuciłam go pytaniami, korzystając z tego, że akurat nikt nie stał w kolejce.

– Jest pani dziennikarką? – Chłopak nagle się spłoszył.

– Nie! – oburzyłam się.

Nie wiem jak, ale go to uspokoiło, i jeśli miał wątpliwości, przestał je mieć w jednej chwili.

– Nie wiadomo, kto ją zabił – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Do dzisiaj nie rozwiązano tej sprawy. Te dupki z policji tylko przeżerają pieniądze podatników. – W jego głosie słychać było gorycz. – Jak ta cała pieprzona budżetówka. Wszyscy są tacy sami. Siedzą i przejadają pieniądze z naszych podatków.

– Rozumiem pana. To ja już sobie usiądę przy stoliku. Dziękuję za informacje – powiedziałam i wycofałam się, zanim młodzian się rozpędził w swoich narzekaniach.

Szybko wyciągnęłam z torebki komórkę i otworzyłam Notatnik, w którym zapisywałam ważne rzeczy. Otworzyłam plik podpisany „Ofiary Okulisty" i zapisałam Sandrę Kowalik przy krótkiej charakterystyce pierwszej zamordowanej, którą podał mi wczoraj Marek. Nie wiedziałam, co zrobię z tą wiedzą. Miałam ochotę skonfrontować ją z Tomkiem i zobaczyć, co będzie.

Dzwoneczek zawieszony nad drzwiami kawiarni rozdzwonił się, gdy do środka weszła Ula. Uniosłam się z krzesła i jej pomachałam. Wskazała palcem na ladę i poszła zamówić kawę.

Obserwowałam ją, gdy stała, usiłując wybrać napój. Widziałam, jak wdała się w rozmowę ze sprzedawcą, który wskazał jej półkę z ciastkami z kremem. W końcu skierowała się w moją stronę. Bez ciastka.

Zmarszczyłam brwi, coś było nie tak. Urszula szła lekko zgarbiona, z opuszczonymi ramionami. Odwróciła się w stronę lady, na której leżały desery.

– Cześć, Ula – przywitałam ją. – Coś się stało? Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Mam bardzo zły dzień. – Opadła ciężko na siedzenie. – Od rana nic mi nie wychodzi, pojawiły mi się pryszcze i kolejny kilogram na wadze…

– Ja nie widzę żadnych pryszczy – usiłowałam ją pocieszyć.

– Bo są pod dwoma centymetrami podkładu – prychnęła. – No dobra, gadaj, po co chciałaś się ze mną spotkać, i to na dodatek w takim dziwnym miejscu.

Tłukłam się prawie godzinę w korkach, żeby tu dojechać.

Poczułam wstyd, że skłoniłam ją, by tu przyjechała. Nie podobało jej się od początku, że mamy spotkać się w centrum.

Osunęła się na siedzeniu miękkiego fotela i położyła ręce na brzuchu, wpatrując się we mnie wyczekująco.

– Udało ci się zaparkować? – zapytałam.

– Tak, ale opłaciłam parkometr na dwie godziny, więc wiesz… – spojrzała na zegarek – musimy się streszczać.

– Jasne! – przytaknęłam.

Łyżeczką zgarnęła bitą śmietanę ze swojej kawy. Spałaszowała ją z przyjemnością i w końcu na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– No to cóż to takiego pilnego? – zapytała.

– Chcę porozmawiać o Tomku. Musisz mi powiedzieć, co wiesz o jego poprzednich dziewczynach – odparłam.

– Słucham? – zdziwiła się.

– Opowiedz mi, co o nim wiesz, odkąd pojawił się w Szpitalu Wschodnim, czy… – Urwałam, gdy do stolika podszedł kelner i zapytał, czy wszystko nam smakuje.

Urszula odprowadziła go wzrokiem, drapiąc się po brodzie.

– A czemu chcesz to wiedzieć? – zapytała. – Przecież uparcie twierdzisz, że cię nie interesuje.

Nie chciałam jej mówić o swoich podejrzeniach. Bałam się, że mogłaby to komuś powtórzyć.

– A jakoś tak. Ostatnio poświęcił mi dużo uwagi. Chciałabym się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Mam wrażenie, że nie mówi mi wszystkiego – rzucałam ogólnikami. – Wiesz, że nie jest ze mną do końca szczery.

Pokiwała głową. Na jej twarzy malował się delikatny zawód. Chyba naprawdę miała nadzieję, że odstąpię jej Tomasza.

– Rozumiem, ale co dokładnie chcesz wiedzieć? Wydaje mi się, że znasz go lepiej ode mnie. Przecież nawet wysyłacie sobie prezenty – przypomniała.

Ugryzłam się w język, by niepotrzebnie nie wyprowadzać jej z błędu.

– Wiesz coś na temat jego dziewczyn? Jak długo trwały te związki? Wiesz, takie tam ploteczki. – Machnęłam ręką.

– Taa… takie tam… – Ula potoczyła spojrzeniem po kawiarni. – A umówiłyśmy się tutaj, bo pewnie nie chciałaś go przypadkiem spotkać, tak? Czyli co? Chcesz z nim być? W zasadzie uratował cię przed śmiercią.

Aż tak nie przeceniałabym jego zasług. Przecież w końcu dotoczyłabym się po schodach na tę chirurgię.

Chyba bym się dotoczyła.

– No i jest taki przystojny! – Ula nie mogła przestać się nim zachwycać.

– To co ciekawego możesz mi powiedzieć? – Przerwałam jej litanię zachwytów.

– Okej. Rozumiem. Chcesz poczuć się pewniej. Już służę pomocą. Przede wszystkim Tomek zaczął pracować w Szpitalu Wschodnim jakoś… niech pomyślę… niecały rok temu. Wcześniej pracował w szpitalu na Banacha.

Pokiwałam głową. Faktycznie coś mi o tym wspominał. Nagle w mojej głowie rozdzwoniły się dzwonki. Przecież Marek mówił, że druga ofiara miała cukrzycę i leczyła się w poradni w tamtejszym szpitalu! Nie musiało to o niczym świadczyć. Szpital przy ul. Banacha to moloch, mogli się nigdy nie spotkać.

Ula zaczęła skubać papierową serwetkę. Po chwili blat stolika pokryty był kawałkami papieru. Posłała mi niepewne spojrzenie.

– Na pewno chcesz słuchać o jego byłych? – zapytała. – Nie wiem, czy na początku związku powinnaś dowiadywać się takich rzeczy.

– Wal śmiało. Nie ruszy mnie to.

– Wątpię, czy cię nie ruszy – mruknęła. – No więc, tylko nie pomyśl, że jestem jakaś wścibska, czy coś…

– Przez głowę mi to nie przeszło – zapewniłam ją.

– Gdy zaczął pracować w szpitalu, to czasem rano odprowadzała go aż do drzwi jedna babka. Migdalili się przez chwilę, a potem ona sobie szła.

– Czyli miał dziewczynę?

– No… dziewczynę? Trochę za stara była na to określenie. Myślę, że miała jakieś cztery dychy na karku. Widać było po niej desperację. Patrzyła wilkiem na każdą, która miała choćby odrobinę śmiałości, by na niego spojrzeć.

– Och, a jak wyglądała?

Przypomniałam sobie, że Tomek wspominał o swojej zazdrosnej dziewczynie. Ich znajomość skończyła się po jakiejś konferencji. Z kolei jedna z ofiar Okulisty była dojrzałą matką dwójki dzieci.

– Miała czarne, kręcone włosy. Całkiem zgrabna, zadbana, ale zmarszczki na szyi było widać. W dodatku miała na palcu obrączkę. Zupełnie się z tym nie kryła. Za to Tomek nie miał na palcu obrączki. Wniosek?

Sięgnęła po kubek i pociągnęła długi łyk.

– To nie była jego żona – odpowiedziała na swoje pytanie.

Ledwo mogłam usiedzieć z ekscytacji. Czy to mogła być druga ofiara Okulisty?! A w takim razie co z pierwszą?

– A inne dziewczyny? – zapytałam.

– Bezpośrednio po tej mężatce spotykał się z kolejną czarnulą. Całkiem ładną. Miałam pewną nieprzyjemność z tym związaną. – Skrzywiła się, patrząc w swój kubek.

– Jak to?

– Przyłapałam ich. – Zaczerwieniła się.

– Co?

– Zupełnie niechcący! Przysięgam! Na szczęście mnie nie widzieli, ale do dzisiaj siedzi mi ten obraz w głowie.

– Jak to ich przyłapałaś? Gdzie? Co robili?

– Na parkingu. – Wzruszyła ramionami. – Spóźniłam się do pracy. Przyjechałam koło dziewiątej i zaparkowałam niedaleko bloku H, bo bliżej nie było wolnych miejsc. Stwierdziłam, że daruję sobie spacer do szatni, tylko pobiegnę trawnikiem pomiędzy samochodami, bezpośrednio do budynku psychiatrii.

– No i?

– W jednym samochodzie byli oni. Uprawiali seks na tylnym siedzeniu. Nie wiem, skąd im przyszło do głowy, że to świetny pomysł. Wszystko było widać… to było takie strasznie… sama nie wiem… zwierzęce – skwitowała gorzkim tonem.

– A jak ta dziewczyna wyglądała? – dopytywałam.

– No… miała czarne włosy i różową bieliznę.

– Nie wiesz, jak się nazywała?

– Nie wiem. – Zaperzyła się. – A po co ci to?

– A po nic. Ciekawa jestem.

Napiłam się zimnej już kawy. Poczułam mdłości. Mój żołądek chyba nie był jeszcze gotowy na takie napoje. Odsunęłam od siebie kubek.

– Wyglądała na dwadzieścia kilka lat – dodała Ula. – Ładna była, szczupła.

Zerknęłam na koleżankę. Humor znacznie jej się przeze mnie pogorszył. Czyżby sobie wyrzucała, że tak nie wygląda?

– Tomek to chyba seksoholik – powiedziałam.

– Ale nie jest niewybredny – burknęła. – Preferuje tylko czarnowłose ślicznotki.

– To może świadczyć o jego słabości – pocieszyłam ją.

Poprawiła czarną fryzurę i pokręciła głową.

– A teraz powiedz mi prawdę. Dlaczego mnie o to pytasz?

– Po prostu jestem ciekawa.

– Kłamiesz i to widzę. Bardzo mi przykro z tego powodu, wiesz?

Zaczerwieniłam się.

– Przepraszam…

– Nie przepraszaj, tylko powiedz, o co chodzi – nalegała.

Nagle wytrzeszczyła na mnie oczy i nabrała głęboko powietrza.

– Ty podejrzewasz, że Tomek może być powiązany z tymi morderstwami? Myślisz, że to on ci przesyłał te listy?

– Co? Ja? Nie! – zaprotestowałam gwałtownie, ale Ula ani myślała mi uwierzyć.

– W sumie to coś w tym może być. Przecież ta stażystka wyraźnie się do niego lepiła. Miała czarne włosy. Kto wie, może ze sobą spali? Ba! To więcej niż

pewne! Pamiętasz, jak ona na niego patrzyła? – krzyczała.

– Ula, ciszej – nakazałam jej szeptem, gdyż kilka głów odwróciło się w naszą stronę.

– Mówiłaś policji o swoich podejrzeniach? – zapytała.

– Nie! – Tym razem ja wykrzyknęłam.

Niektórzy klienci kawiarni odwrócili się w naszą stronę, posyłając nam spojrzenia pełne dezaprobaty. Skuliłam się na fotelu pewna, że wszyscy nas teraz obgadują.

– Może powinnaś… – stwierdziła.

– Może… Jutro na chwilę wpadnę do szpitala. Później może porozmawiam z komisarzem.

– Obiecujesz? Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– Obiecuję.

36.

Wyszłam z działu kadr. Oddałam zwolnienie lekarskie. Mogłam teraz w spokoju dochodzić do siebie, nie martwiąc się, że w moich papierach będzie coś nie tak. Kadrowa była bardzo miła w przeciwieństwie do profesora, który nie był zadowolony, że poddałam się operacji.

No cóż. Nie mój problem, w jaki sposób zapełni grafik dyżurów. Może ruszy tyłek i sam po latach podyżuruje.

Szłam wolnym krokiem przez piwniczny korytarz. Kadry, tak jak szatnia, znajdowały się na najniższym poziomie. Szczerze współczułam pracującym tam paniom. Nie chciałabym spędzać codziennie ośmiu godzin w podziemiach.

Chociaż obiecałam Uli, że porozmawiam z komisarzem Polem, mimo wszystko biłam się z myślami. Jeśli to nie Tomasz, naprawdę mogłam zniszczyć mu karierę.

Już miałam skręcić do szatni, żeby w świetle dnia rzucić okiem na swoją, ciągle zabezpieczoną przez policję szafkę, gdy dobiegły mnie w wejściu podniesione głosy. Zatrzymałam się w pół kroku, gdy rozpoznałam głos Łukasza.

– Jak możesz z nim sypiać?! – krzyknął.

– A ciebie gówno to obchodzi! – odkrzyknęła kobieta.

Delikatnie wysunęłam głowę zza załomu ściany. Naprzeciwko siebie stali Łukasz i Iwona. Schowałam się z powrotem, żeby mnie nie zobaczyli.

– Przez tego sukinsyna przesłuchuje mnie policja! – warknął.

– Nie przez niego, tylko przez tę lekarkę. Tomka zostaw w spokoju!

– Jestem twoim bratem! Powinnaś stać po mojej stronie, a nie dawać się rżnąć temu sukinsynowi!

– Zamknij się, Łukasz. Nic nie wiesz i nic nie rozumiesz. Myślisz, że mi to sprawia przyjemność? Rozkładanie nóg zawsze, kiedy mu się spodoba? Musiałam się ufarbować na czarno, żeby znowu zaciągnąć go do łóżka! Wyglądam teraz jak ta kretynka z psychiatrii.

O, wypraszam sobie. Zupełnie nie wyglądała tak jak ja!

Zresztą, zaraz. O czym oni rozmawiają? Czego ona chce od Tomasza, skoro najwyraźniej zmusza się do seksu z nim?

– A w ogóle to jak się czujesz? – Głos Łukasza złagodniał.

– Mdli mnie codziennie. Nie wiem, kiedy dziewczyny się połapią. Ciągle chodzę rzygać – odparła szorstko. – A ten sukinsyn ciągle się upiera na prezerwatywy. Mam coraz mniej czasu.

W mojej głowie zapaliła się lampka. Jest w ciąży! Chce wmówić Tomkowi, że nosi jego dziecko! A to lafirynda!

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? A co, jak nie uzna dziecka?

– Uzna, uzna. Zrozumie, że powinien ze mną być.

W głębi korytarza rozległy się kroki i gwar rozmowy. Zbliżały się do mnie.

– Ktoś idzie – syknęła Iwona. – Nie wracajmy do tego tematu. Słuchasz mnie?

– Tak, tak…

Ich głosy także zaczęły się zbliżać! Szli w moją stronę! Drgnęłam przestraszona. Zaraz się wyda, że podsłuchiwałam! Rozejrzałam się gorączkowo. Dostrzegłam niedaleko siebie drzwi. Podbiegłam do nich na palcach i z nadzieją nacisnęłam klamkę.

Ciemne wnętrze stanęło otworem. Wskoczyłam do środka i najciszej, jak się dało, zamknęłam za sobą drzwi. Nie zapalałam światła. Przytuliłam twarz do starej sklejki i nasłuchiwałam. Iwona jeszcze coś powiedziała, ale jej głos był niewyraźny. Nic nie mogłam zrozumieć.

Trzęsłam się jak w gorączce. Poczekałam jeszcze chwilę, aż głosy ucichły. Przesunęłam dłonią po ścianie w poszukiwaniu kontaktu. Wąski pas światła wpadający pomiędzy drzwiami a podłogą niewiele mi pomagał. W końcu namacałam przełącznik.

Świetlówka nad moją głową zapaliła się z głośnym stukiem startera. Zamrugałam. Stałam w małym pomieszczeniu firmy sprzątającej, w którym nie tak dawno rozmawiałam z prokurator Świetlik.

Ścisnęło mnie w gardle na to wspomnienie. Oparłam się ciężko o drzwi. Co knuje Iwona? Na pewno chce wmanewrować Tomka w dziecko, które nie jest jego. Pytanie, czy tak bardzo chce z nim być, że posunęła się do likwidacji konkurentek?

Pokręciłam głową, od razu odrzucając to szalone podejrzenie. Marek mówił, że chyba dwie ofiary przed śmiercią uprawiały seks. Mordercą musiał więc być mężczyzna.

Wszystko wskazywało na to, że był nim Tomek.

Porozmawiam z policją. Zadzwonię do komisarza Pola. Powinni jednak sprawdzić Tomasza. Jakoś po cichu. Może jest taka możliwość?

Miałam wrażenie, że podjęcie tej decyzji zdjęło z mojej piersi ciężar. Wreszcie mogłam przestać się zadręczać.

Wyszłam na korytarz, chcąc jak najszybciej wydostać się ze szpitala. Wolałam tutaj nie rozmawiać z policją.

Już wychodziłam z budynku, gdy ktoś za moimi plecami zawołał:

– Asia!

Spanikowana odwróciłam się. Tuż obok stał Tomasz.

– Ależ jesteś zamyślona! – zawołał. – Przeszłaś obok i nie zauważyłaś, że ci macham.

– Ja… nie zauważyłam cię.

– No przecież mówię. Czemu jesteś taka blada? – Zmarszczył brwi. – Coś się stało? I co ty robisz w szpitalu? Powinnaś leżeć w łóżku i odpoczywać.

– Przywiozłam zwolnienie do kadr – odpowiedziałam.

– Mam w planie operację, więc nie mogę odwieźć cię do domu – oświadczył.

– Przyjechałam autem. Poradzę sobie – odrzekłam spanikowana.

– Co się dzieje?

Jego głos stwardniał, a oczy zaczęły rzucać niepokojące błyski. Ogarnęła mnie panika. Czy on wie, że go podejrzewam? Rozejrzałam się. Otaczały nas dziesiątki osób. Każdy pędził w swoją stronę, mogłam mieć jednak nadzieję, że usłyszą, gdyby chciał mi zrobić krzywdę.

Na szczęście zaparkowałam na płatnym parkingu dla pacjentów. Wiedziałam, że na pracowniczym znalezienie miejsca o tej godzinie będzie graniczyło z cudem, więc wydałam te pięć złotych.

Poczułam ulgę, że nie będę musiała iść przez parking pracowników. Tam, pomiędzy drzewami, z dala od głównego budynku, nikt by nie zauważył, gdyby coś mi się stało.

– Asia?

– Nic się nie dzieje, naprawdę – odparłam szybko.

Zbliżył się do mnie, a ja odruchowo cofnęłam się o krok.

– Asiu, co się dzieje? – Niski głos Tomka był pełen złości.

– Muszę już iść. Po prostu muszę iść – szybko odpowiedziałam.

– Odprowadzę cię na parking – zaoferował. – I tak muszę iść do samochodu. Zostawiłem w środku ładowarkę do telefonu.

– Nie trzeba. Moje auto stoi tutaj. – Wskazałam palcem na wysłużonego opla.

Mina mu zrzedła. Wpatrywał się we mnie z napięciem. Mięsień na policzku zaczął się kurczyć. Był zły.

– Wpadnę wieczorem do ciebie – powiedział.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Nalegam.

– Nie chcę. Poza tym może mnie nie być w domu.

– Umówiłaś się z tym patologiem?! – warknął.

– Do widzenia.

Odwróciłam się na pięcie i na tyle szybko, na ile pozwalał mi obolały brzuch, dotruchtałam do samochodu. Gdy wsiadłam do nagrzanego od słońca wnętrza, zobaczyłam, że Tomek wpatruje się we mnie z niechęcią. Nagle odwrócił się i szybkim krokiem skierował w stronę parkingu.

Chyba się obraził.

Odetchnęłam z ulgą i uruchomiłam silnik. Nawiew, zamiast chłodzić, buchnął mi w twarz rozgrzanym powietrzem. Wycofałam gwałtownie i ruszyłam, lawirując pomiędzy samochodami.

Nagle moja komórka zaczęła dzwonić. Sięgnęłam ręką do torebki. Marek.

Odrzuciłam połączenie. Nie chciałam z nim rozmawiać podczas jazdy. Po chwili telefon zabuczał, bo przyszedł esemes.

Myślami byłam już gdzie indziej. Gdy tylko wejdę do mieszkania, zadzwonię do Pola. Jego wizytówka ciągle leżała na stoliku kawowym.

Wyjątkowo szybko pokonałam drogę do domu, a na koniec zgrabnie wpasowałam się między dwa samochody zaparkowane na chodniku. Pięć centymetrów dalej i urwałabym lusterko o stojącą obok latarnię.

Wzięłam do ręki telefon. Dłonie tak mi drżały, że nie mogłam trafić we właściwe miejsca. Odblokowałam aparat.

Esemes od Marka był radosny. Pytał, czy będę miała coś przeciwko, jeśli wieczorem do mnie wpadnie. Odpisałam szybko, że wolę być sama, bo muszę kilka rzeczy przemyśleć.

Odetchnęłam głęboko i ruszyłam do mieszkania. Schody stanowiły nie lada wyzwanie po operacji. Szłam powoli, po jednym schodku, zastanawiając się, kiedy wrócę do dawnej formy.

Przekręciłam klucz w zamku, nasłuchując. Zawsze gdy otwierałam drzwi, po drugiej stronie było słychać uderzenia pazurków Kołtuna. Zniecierpliwiony stawał na tylnych łapach i drapał w drzwi przekonany, że to on je otwiera, kiedy wracam.

Lubiłam to, chociaż drzwi ciężko znosiły tę zabawę. Dzisiaj nie słyszałam drapania. Czyżby tak mocno spał?

Zaniepokojona weszłam do środka.

– Kołtun?! – zawołałam.

Z głębi odpowiedziało mi miauczenie. Zamknęłam drzwi i zrzuciłam z nóg buty. Weszłam do salonu. Moją uwagę przykuły drzwi do łazienki. Były zamknięte.

– Zamknęłam cię? – jęknęłam.

W łazience chociaż była kuweta. Przynajmniej kot miał się gdzie załatwić. Byłam jednak przekonana, że będzie na mnie wściekły, bo odseparowałam go od miski z karmą.

– Kołtunek – zagruchałam, idąc do łazienki.

Kątem oka zauważyłam jakiś ruch. Z zagłębienia kuchennego wyszedł czarny cień. Nie zdążyłam zareagować. Nawet nie krzyknęłam.

Poczułam na twarzy dotyk mokrego materiału.

A potem już nic nie czułam.

37.

Powoli zaczęłam się budzić. Miałam wrażenie, jakby ktoś przykładał mi do twarzy poduszkę. Wszystkie dźwięki i kolory wydawały się przytłumione, odrobinę nierealne niczym obraz ze starego telewizora.

Czy to ranek? Co się stało? Tak bardzo chciało mi się spać. Miałam ochotę z powrotem zamknąć oczy i usnąć. Było mi ciepło i wygodnie.

Zaraz! Na pewno było mi wygodnie?

Chciałam podnieść ręce, ale nie mogłam. Poczułam ukłucie bólu w karku, gdy wygięta pod dziwnym kątem szyja zaprotestowała skurczem mięśni. Uchyliłam powieki. Wszystko się rozmywało. Znowu je zamknęłam. Były takie ciężkie.

– Asia? – Usłyszałam czyjś głos.

Przebijał się do mojej świadomości. Początkowo wydawał się głuchy, ale dziwnie znajomy. Potem zamienił się w pisk. Jakby ktoś bawił się pokrętłem głośności w mojej głowie.

Co się dzieje?

Jeszcze raz zmusiłam się do otwarcia oczu. Obraz zaczął się powoli wyostrzać. Zobaczyłam nad sobą krzywo zawieszoną papierową lampę imitującą chiński lampion. Były na niej ślady kocich pazurów. Nie uchroniłam jej przed zapędami Kołtuna. Rzucił się na nią od razu po tym, jak ją kupiłam, zanim jeszcze zdążyła zawisnąć.

Dom. Jestem w domu.

Tylko co się ze mną dzieje?

– Asiu, słyszysz mnie? – W głosie obok pojawiło się rozbawienie.

Zamrugałam gwałtownie. Spróbowałam przełknąć ślinę, ale mój język zamienił się w suchy wiór. Musiałam dość długo leżeć z otwartymi ustami.

Leżałam na plecach, na kanapie. Nie mogłam ruszyć nogami, które miałam skrępowane w kostkach, ani rękami. Czułam sznur wrzynający się w skórę. Gdy szarpnęłam dłońmi, poczułam, jak lina ciągnie mnie za stopy.

Zrobiło mi się zimno, bo zrozumiałam, że znalazłam się w bardzo dużych tarapatach.

Przekręciłam głowę i spojrzałam na fotel, w którym tak bardzo lubiłam się wylegiwać z książką w ręku i kotem na kolanach.

Teraz ktoś bezcześcił go swoją obecnością.

– Ale z ciebie śpiąca królewna. Przesadzasz albo jesteś strasznie wrażliwa!

– Co? – wydusiłam. – Co się dzieje?

Mój język był jak kołek. Zakaszlałam.

– No, no, no… jeszcze nie wiesz? Naprawdę trzeba ci to wyjaśnić? Gówniany z ciebie psychiatra, moja droga.

– Co…? – wybełkotałam.

– Nie przesadzaj. Szmata była nasączona sewofluranem. Mogło ci od tego jedynie spaść ciśnienie. Od początku chodziło mi tylko o efekt zwiotczający mięśnie.

– Sewofluran?

Naprzeciwko mnie siedziała Urszula. Założyła nogę na nogę i machała stopą. Jej baleriny były przykurzone, jakby chwilę wcześniej przeszła przez wydeptany trawnik pod moją kamienicą. Dłonie odziane w czarne skórzane rękawiczki położyła na kolanie, pozując na grzeczną pensjonarkę.

Posłała mi pełen wyższości, jadowity uśmiech.

– Och, to nietrudne, by go zdobyć. W białym fartuchu, na dodatek z identyfikatorem, wpuszczą cię wszędzie. Odlałam sobie jakieś dwadzieścia mililitrów z buteleczki, którą znalazłam w pokoju przygotowań na bloku operacyjnym. Cała butelka miała jakieś dwieście mililitrów. Myślę, że nikt nie zauważy, że trochę ubyło.

Miałam mętlik w głowie. Nie potrafiłam zrozumieć, co się dzieje. Przecież Ula to moja koleżanka. Wczoraj piłyśmy kawę i obgadywałyśmy Tomka. Siedzimy obok siebie w pracy! Opiekowała się moim kotem!

Co ona tu robi? Przecież to Tomek…

– Coś zbladłaś – zauważyła. – Ciśnienie dalej ci spada? Nie, po prostu za bardzo histeryzujesz – monologowała. – To świństwo aż tak mocno nie działa.

Na jej twarzy znowu zagościł uśmiech.

– Wiesz, co jest najpiękniejszego w sewofluranie? – zapytała, wskazując palcem na stolik kawowy.

Posłusznie spojrzałam w tamtym kierunku. Na blacie stała mała, plastikowa buteleczka z rodzaju tych, w które przelewa się szampon, kiedy jedzie się na wakacje. Na dnie było jeszcze trochę przezroczystego płynu.

– Nie – wydusiłam z siebie.

– Nie istnieją żadne testy mogące go wykryć. Żaden zarozumiały patolog nie wykryje w swoim laboratorium, że ten lek został użyty.

– Lekarz medycyny sądowej – sapnęłam.

– Co?

– Nie mówi się patolog, tylko lekarz medycyny sądowej.

Zaśmiała się.

– Masz jaja, Asia. Nie spodziewałam się, że będziesz mnie dziś pouczać. Myślałam, że się popłaczesz i zsikasz w majtki.

Gdy o tym wspomniała, zdałam sobie sprawę, że bardzo chce mi się siusiu.

– Gdzie mój kot? – zapytałam.

– Zamknęłam go w łazience. Nic mu nie jest. W wielu sprawach cię okłamałam, jednak nie w zachwytach nad tym kudłaczem. Mam nadzieję, że kiedy

już umrzesz, policja pozwoli mi go zatrzymać. Będzie miał ze mną dobrze. Nie musisz się o to martwić. W zasadzie będzie miał ze mną lepiej niż z tobą, bo zamierzam go regularnie czesać.

No kamień z serca po prostu…! Mój ukochany kot, dziecko niemalże, znajdzie się w łapach psychopatki! Bo nie miałam już wątpliwości, że Ula ma nie po kolei w głowie. Nie wiem, może to kwestia zaburzeń hormonalnych, może łyknęła za dużo leków na tarczycę i rozwinęła w sobie psychozę, może zbyt dużo czasu spędziła na psychiatrii z pacjentami.

Nie wiem… i nie chcę tego teraz wiedzieć.

Wreszcie udało mi się przełknąć ślinę. Miałam mętlik w głowie. Nic nie rozumiałam.

– Ula… to wszystko da się jeszcze odkręcić – powiedziałam naiwnie.

Było mi niewygodnie. Leżałam na plecach, na swojej wysłużonej kanapie, ale tyłek wpadł mi w wysiedziany dołek, a nogi i ręce drętwiały. Mięśnie karku zaprotestowały gwałtownie, gdy wykrzywiłam głowę w bok, by patrzeć jej prosto w oczy.

– Co się da odkręcić? – prychnęła rozbawiona. – Jestem wielokrotną morderczynią. Nic nie da się tutaj odkręcić.

– Ja nikomu nic nie powiem. Jestem pewna, że odpowiednia terapia…

– Proszę cię, Asia – przerwała mi. – Nie rób ze mnie głupiej. Trochę szacunku. Obie wiemy, że musisz umrzeć, bo po pierwsze, poznałaś moją tożsamość, a po drugie, właśnie ci się przyznałam do kilku morderstw. Nic, co mi teraz powiesz, tego nie zmieni. Przykro mi.

– Jak tu weszłaś?

– Dorobiłam sobie klucze, kiedy mi je dałaś. Nic łatwiejszego. Z żalem muszę przyznać, że nie stanowisz wyzwania.

Nie mogłam oderwać wzroku od czarnych, skórzanych rękawiczek, które miała na sobie. Poruszyła palcami, gdy zdała sobie sprawę, że im się przyglądam.

– Widzę, że wpadły ci w oko – zagadnęła zadowolona z siebie. – Są skórzane, delikatne, bardzo wygodne. Poleciłabym ci sklep, w którym je kupiłam, ale obie wiemy, że raczej się tam nie wybierzesz. Niestety, nie mogę ich zdjąć, wybacz. Bardzo starannie zacieram ślady. Przy szóstym morderstwie człowiek już ma pewne rzeczy we krwi. Wcześniej używałam lateksowych rękawiczek, ale niestety zaczęły mnie uczulać. Musiałam kupić skórzane.

Zaczęłam się rozglądać po wnętrzu. Nie wiedziałam, czego szukam. Broni? Pomocy? Zaraz! Gdzie mój telefon?! W torebce? W kieszeni? Co z nim zrobiłam, kiedy wysiadałam z samochodu?

Poruszyłam skrępowanymi dłońmi, które coraz bardziej zaczynały mi cierpnąć. I tak nie zdołam się uwolnić.

Szkoda, że Kołtun nie jest psem. Może wyczułby, że coś jest nie tak, i zaczął

wściekle ujadać? W takich sytuacjach sąsiedzi zwykle wołają policję, żeby właściciel niesfornego czworonoga miał kłopoty.

Przydałaby mi się teraz policja.

– Ula, ale dlaczego? – zapytałam. – Przecież jesteśmy przyjaciółkami.

– O nie, moja droga. Jesteśmy koleżankami z pracy. Na pewno nie przyjaciółkami. Przyjaciółka szybciej by mi powiedziała, że czyha na nią morderca. Nie musiałabym z przyjaciółki wyciągać takich informacji.

– Chciałam cię chronić.

– Trele-morele – zakpiła.

Sięgnęła do małej, eleganckiej torebki, która leżała na podłodze. Patrzyłam, jak otwiera złoty zatrzask i wyjmuje skórzane etui jak do okularów. Otworzyła je i położyła na stole tak, bym mogła widzieć jego wnętrze. A w środku, na czarnej, satynowej chusteczce, leżał srebrny skalpel osadzony w metalowym trzonku. Nie okulary, jak początkowo się spodziewałam.

Chwilę później na blacie wylądował słoik pełen mętnego płynu. Pomimo że był szczelnie zakręcony, poczułam delikatny zapach formaliny.

– To na oko – wytłumaczyła.

– Oko – powtórzyłam głucho.

– Oko – przytaknęła.

– Ula… ale dlaczego?

Zacmokała, pokiwała głową do własnych myśli (a może głosów w głowie) i odpowiedziała:

– Bo mogę.

Tak po prostu. Jedno krótkie zdanie składające się z dwóch słów. W sumie dlaczego nie? Jakaś metoda w tym szaleństwie była.

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci nie tak dawno, że interesuję się psychopatologią i psychiatrią morderców? – zagadnęła lekkim tonem, jakbyśmy siedziały w kawiarni na ploteczkach.

Surrealizm tej sytuacji kompletnie mnie dobijał.

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, czy mogę liczyć na czyjąś pomoc. Z Tomaszem się pokłóciłam. Zapewne się obraził i nie mam co liczyć na nieoczekiwaną wizytę.

A Marek? Z nim nic nie wiadomo. Może zapuka do moich drzwi, a może wyśle kuriera z kolejną parą majtek… Zresztą niedawno się widzieliśmy i chyba pojął, że ze mną trzeba obchodzić się jak z jajkiem, bo inaczej zerwę kontakt.

Na znajomych bezdomnych nie miałam co liczyć. Nie zapuszczali się na moje piętro.

Panika coraz mocniej zaciskała mi gardło. Jeżeli szybko czegoś nie wymyślę, będzie po mnie. Mogłam liczyć tylko na siebie.

Bo na Kołtuna, rzecz jasna, nie. Pewnie ze złości zwymiotował na dywanik

łazienkowy i usnął w umywalce.

– Pamiętam, co mówiłaś – odparłam głucho, bo najwyraźniej czekała na moją reakcję.

– Postanowiłam sprawdzić, czy możliwe jest dokonanie zbrodni doskonałej. Jak na razie idzie mi całkiem nieźle. Po pierwsze, jestem kobietą. Kobiet raczej się nie podejrzewa o takie rzeczy. W końcu jesteśmy delikatne i tak dalej. W historii nie było wiele kobiet morderczyń. Wiesz, bo my głównie w afekcie działamy, a wtedy łatwiej popełnić błąd, i rzadko udaje się zostać seryjną morderczynią.

– To ty nie działasz w afekcie? Przecież zabijasz czarnowłose kobiety, które podobają się Tomkowi…

– Taaak… a wiesz, że miałam z Tomkiem krótki romans?

Gdzieś w mieszkaniu zaczął wibrować telefon. Dzwonek był wyciszony, ale aparat buczał. Obie zamarłyśmy.

To mój telefon. Pomoc!

– No proszę, proszę! – wykrzyknęła moja koleżanka nie mniej zdziwiona ode mnie. Najwyraźniej nie spodziewała się, że ktoś może nam przeszkodzić.

Zeskoczyła z fotela i idąc za dźwiękiem, odnalazła komórkę. Była w mojej torebce, która leżała w przejściu. Ula uniosła brwi, patrząc na wyświetlacz.

– Dzwoni Marek – oświadczyła. – Pozwolisz, że odrzucimy połączenie? Żaden mężczyzna nie powinien nam przeszkadzać w ploteczkach.

Nie czekając na moją odpowiedź, wcisnęła przycisk na obudowie. Wibrowanie ucichło.

Usiadła z powrotem w fotelu, a mój telefon położyła na stoliku obok swoich narzędzi zbrodni.

Aparat ponownie zaczął brzęczeć, podskakując na blacie..

– Uparta cholera – skwitowała Urszula i to połączenie także odrzuciła.

38.

Praga-Północ, Centrum Handlowe „Wileńska”

Marek zamruczał niezadowolony, patrząc na ekran telefonu. Nie spodziewał się, że Asia będzie odrzucać połączenia. Wsunął aparat do kieszeni dżinsów i wzruszył ramionami.

Jeszcze raz zerknął na wystawę, na której stały najkoszmarniejsze kapcie, jakie kiedykolwiek widział. Miały mały koturn i odsłonięte palce. Całość pokryta była aksamitem w mało gustowną, przerysowaną panterkę. Na przodzie każdego kapcia, niemalże przysłaniając wycięcie na palce, pysznił się pompon przypominający ogonek kreskówkowego króliczka. Duży, puchaty… i różowy.

Marek jeszcze raz pokiwał głową, utwierdzając się w przekonaniu, że są perfekcyjnie obrzydliwe.

Zrobił im zdjęcie przez szybę. Sprzedawczyni po drugiej stronie zmrużyła oczy i zaczęła stukać paznokciami o ladę na znak niezadowolenia.

Spojrzał na fotografię. Przez chwilę chciał wysłać ją w wiadomości do Asi, ale szybko stwierdził, że wiadomości też nie przeczyta.

Ponownie rzucił okiem na wystawę.

– A co tam! – zdecydował i śmiało pchnął drzwi.

Da jej te kapcie w prezencie. Będą pasowały do szlafroka.

– Dzień dobry! – Uśmiechnął się do sprzedawczyni.

– W czym mogę pomóc? – zapytała uprzejmie.

– Chciałbym kupić te kapcie z wystawy. W panterkę – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Och, spodobały się panu? – Odrobinę złagodniała.

– W zasadzie to nie. Po prostu jestem ciekawy, jak mocno moja znajoma zdoła nimi we mnie rzucić – wyjaśnił. – Koturn wygląda na twardy. Sporo ryzykuję.

39.

– A więc wracając do naszych ploteczek… Miałam z Tomkiem romans – przypomniała Ula.

Spodziewałam się wszystkiego, ale nie tego. Ula nijak mi nie pasowała do Tomasza.

– Przeleciał mnie, a potem nawet się nie odezwał. – Skrzywiła się. – Nie spodziewałam się tego po nim, przyznaję. To stało się po kursie bhp, gdy zaczął pracować w Szpitalu Wschodnim. Ja musiałam być na tym nieszczęsnym szkoleniu, bo okazało się, że w kadrach zaginął świstek, że coś takiego odbyłam. Nasze kadry jak zwykle spisały się na medal…

Ta część opowieści niespecjalnie mnie zdziwiła. Różne rzeczy ginęły w naszych kadrach.

– Poszliśmy potem na piwo i jakoś tak się stało – kontynuowała opowieść. – Nawet dużo nie wypiliśmy, po dwa piwa. Niestety, od razu uderzyły mi do głowy. Nawet nie wiem, kiedy wylądowaliśmy u mnie w domu. Seks był szybki. Nie powiedziałabym, żeby fascynujący. Niemniej jednak szalony. Pożegnaliśmy się jakby nigdy nic, pojechał do domu. Myślałam, że się odezwie, zadzwoni…

Gdyby nie fakt, że zaraz mnie zabije, pokręciłabym głową i pocieszyła Ulę, że Tomek ją po prostu zbałamucił. Teraz jednak nie miałam najmniejszego zamiaru się nad nią rozczulać.

– Nie zadzwonił… A jak przy jakiejś okazji do niego zagadałam, odpowiedział, że nie jestem w jego typie. Nic mi nie obiecywał, to prawda, ale mimo wszystko mógł się lepiej zachować. A zachował się jak ostatni cham. Jakoś nie miał wtedy problemu z tym, że nie byłam w jego typie!

Aż się gotowała ze złości. Na zmianę zaciskała i rozluźniała dłonie. Skrzypienie jej skórzanych rękawiczek doprowadzało mnie do szału.

– Od dawna fantazjowałam, że kogoś zabiję i zobaczę, jak to jest. – Jej głos był pełen złości. – Chciałam sprawdzić, czy da się popełnić zbrodnię doskonałą. To, jak mnie potraktował, tylko naprowadziło mnie na właściwy tor i wybór ofiary.

– Więc zaczęłaś zabijać jego kochanki?! – Nie wytrzymałam.

– Nie, nie wszystkie – obruszyła się. – Gdybym miała zabić wszystkie, to nie miałabym ani jednego wolnego wieczora w kalendarzu. Łajdak! Playboy! Zdecydowałam, że pozbędę się trzech. – Uniosła ręce i zaczęła odliczać na palcach: – Tej, która odprowadzała go do szpitala. Tej, z którą gził się w samochodzie, i tej, o której ci jeszcze nie opowiedziałam. Bałam się, że coś załapiesz, jak się wygadam na temat dziewczyny z kawiarni. Swoją drogą, idąc wczoraj na naszą kawę, myślałam, że mnie podejrzewasz. A tu się okazało, że prowadzisz śledztwo w sprawie Stalowca. Naprawdę zabawne.

Położyła dłonie na kolanach. Skóra rękawiczek zaskrzypiała. Ula odetchnęła

głęboko, a na jej twarzy pojawił się spokojny uśmiech. Jakby poczuła ulgę, że mi to wyznała.

– A wiesz, dlaczego wybrałam akurat te kobiety? – zapytała, a następnie sobie odpowiedziała, nie czekając na moją reakcję: – Gdy byliśmy w tym pubie, zanim mnie przeleciał, poszedł do łazienki i zostawił portfel na stole. Chciałam sprawdzić, czy nie ma w środku zdjęcia szczęśliwej rodzinki. Podejrzewałam, że może być żonaty. W końcu był przystojny i z pozycją. Wolni fajni faceci w jego wieku należą do rzadkości. Zdjęcia rodziny nie znalazłam. Była za to fotografia ze studiów, na środku której stałaś ty. Spod czepka wystawał ci czarny lok, a Tomek patrzył na ciebie z cielęcym oddaniem nastolatka. Dopiero później odkryłam pewien wzorzec. Jego typem były czarnowłose kobiety. Dlatego swoją złość skupiłam na takich laskach. Oczywiście miał kochanki o różnych fryzurach i kolorach włosów. Dla mnie liczyły się jednak tylko czarnowłose.

– Dlaczego przestałaś, dlaczego tylko trzy? – zapytałam.

Chciałam poznać wszystkie szczegóły, bo jako psychiatrę naprawdę fascynowało mnie jej szaleństwo. Chciałam zrozumieć, dlaczego policja jej nie złapała.

Poza tym musiałam grać na czas. Nie wiem po co. A nuż ktoś mnie uratuje? Może Marek wpadnie w odwiedziny?

– Bałam się – wyznała. – Pamiętaj, że to miała być zbrodnia doskonała. Z jednej strony chciałam, żeby te kobiety coś łączyło, czyli Tomasz. Prócz tego pozostawiałam, niby okruszki, masę niepotrzebnych dodatków, takich jak wyłupione oko sugerujące, że morderca to kolekcjoner, oraz liczbę porządkową, dającą do zrozumienia, że działa kompulsywnie. Dzięki temu byłam poza podejrzeniami. Już sam fakt, że dusiłam swoje ofiary, nakierowywał policję na mężczyznę. Kobiety zwykle są subtelniejsze, nie lubią brudzić rąk. Naszą bronią od setek lat, a nawet tysiącleci jest trucizna. Duszenie sugeruje, że z ofiarą coś nas łączy, że chcemy patrzeć, jak ucieka z niej życie.

Zmroził mnie ton jej głosu. Mówiła o tym, jakby dyktowała mi przepis na ciasto.

– Chciałaś zrzucić podejrzenia na Tomka? – zapytałam.

– Tak. Niestety, z jednej strony zawiodłam się na nieudolności policji, która nie potrafiła znaleźć kochanka żadnej z tych trzech kobiet, a z drugiej zachwyciła mnie przezorność Tomasza. Nie sądziłam, że tak dobrze potrafi się kryć. Bardzo się starał zachować swoje związki w tajemnicy przed wszystkimi. W zasadzie tylko tamta najstarsza z jego kobiet odwiedzała go w szpitalu. Druga najdalej dotarła na parking, gdzie się bzykali. Stalowiec bardzo dokładnie oddzielał swoje życie prywatne od szpitalnego. Sprzyjało to jego romansom w pracy, które rzecz jasna miał równolegle z tymi poza pracą. Fałszywy sukinsyn.

Urszula się rozkręcała. Opowiadała coraz gwałtowniej, na nowo przeżywając

odrzucenie, którego doświadczyła z jego strony. Niedopasowanie do standardów urody, które według niego były kanonem piękna, miało na nią niezwykle destrukcyjny wpływ.

Zaczęłam się zastanawiać, czy gdyby nie odrzucenie Tomasza, to czy zdecydowałaby się wprowadzić w życie swoje fantazje. Może nadal tylko by je planowała?

A może ta skaza jej psychiki i tak wyszłaby na światło dzienne? Tomasz był tylko zapalnikiem?

– Od początku miałam plan – wyznała. – Chciałam zabić trzy kobiety, każdą w odstępie tygodnia, a potem zniknąć. Naprawdę liczyłam na to, że policja dotrze do Tomka, a on trafi do więzienia za to, co z nimi zrobił, co zrobił ze mną… Niestety, jak widzisz, zawiodłam się…

– To czemu znowu zaczęłaś? – zapytałam.

– Przez ciebie – odpowiedziała, tak jak się tego spodziewałam. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki szok przeżyłam, gdy pewnego dnia pojawiłaś się na odprawie, a profesor oświadczył, że jesteś naszą nową rezydentką. Od razu cię poznałam. W ogóle się nie zmieniłaś od czasu tamtego zdjęcia. Nie mogło być mowy o pomyłce. Byłam pewna, że to ty.

– Nic nie dałaś po sobie poznać.

– Za kogo ty mnie masz? Oczywiście, że podeszłam do tego na chłodno. Zaczęłam cię obserwować, a…

Mój telefon na stoliku znowu zaczął wibrować. Obie spojrzałyśmy w jego kierunku.

40.

Praga-Północ, Centrum Handlowe „Wileńska”

Marek wpatrywał się w wyświetlacz telefonu. Asia znowu odrzuciła połączenie. Powstrzymał się przed ponownym wybraniem jej numeru. Musiała mieć jakiś powód, dla którego nie chciała z nim rozmawiać.

Napisał do niej esemes. Szedł bezmyślnie przez centrum handlowe, oczekując na odpowiedź, ale ta nie nadchodziła. Wysłał kolejną wiadomość.

Czemu go ignorowała?

Po plecach przebiegły mu ciarki. Nie miał żadnych podstaw, żeby podejrzewać, że coś jest nie tak, a mimo wszystko nie mógł pozbyć się wrażenia, że Aśce grozi niebezpieczeństwo.

Nagle dostrzegł w cukierni swojego przyjaciela. Sebastian siedział na miękkim fotelu, metodycznie mieszając łyżeczką w filiżance parującej kawy. Obok niego stał pucharek pełen lodów, obficie polanych sosem czekoladowym. Sąsiedni fotel zajęty był przez jego sportową torbę, z której wystawała butelka wody mineralnej.

– Seba! – wykrzyknął uradowany Marek.

Policjant drgnął nerwowo, słysząc swoje imię. Uspokoił się, gdy dostrzegł przyjaciela. Sięgnął po torbę i rzucił ją na ziemię. Marek rozsiadł się obok zadowolony, że spotkał bratnią duszę.

– Kupiłeś sobie buty? – zagadnął komisarz, wskazując na różowe pudło w foliowej torebce w kwiatuszki, które jego przyjaciel położył sobie na kolanach.

– Eee, powiedzmy – mruknął Marek. – A ty, co? Uzupełniasz kalorie spalone na siłce?

– Masa, Marku. Najpierw masa, później rzeźba – poinformował go Pol.

– Lodami?

– A ty jakie obuwie kupiłeś? Sportowe?

– Martwię się o Asię. – Zadrożny gładko zmienił temat.

– A o co tym razem? – zapytał komisarz, pakując sobie do ust łyżkę pełną lodów.

Zamruczałby z zadowolenia, gdyby nie siedzący obok Marek. Pol miał zasady, których starał się bezwzględnie przestrzegać. Raz na miesiąc pozwalał sobie na małe szaleństwo i wizytę w cukierni. Wybierał wtedy największe ciastko albo największy deser i zjadał je bez wyrzutów sumienia. Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie mieli skłonność do otyłości. Panicznie bał się, że pewnego dnia obudzi się jako gruby policjant z dowcipów, dlatego już dawno narzucił sobie restrykcyjne zasady, jeśli chodzi o dietę i ćwiczenia.

– Nie odbiera ode mnie telefonów. Coś jest dzisiaj nie tak – poskarżył się Marek.

– Wiesz, że to podpada pod nękanie? – zapytał Sebastian. – Dajże tej kobiecie spokój. Najwyraźniej nie jest tobą zainteresowana.

– Nie w tym rzecz. Jest mną zainteresowana, tylko boi się związków – zbył go. – Chodzi mi raczej o to, że dzisiaj coś jest nie tak.

– Co przez to rozumiesz?

– Nie odbiera telefonu.

– Może jest zajęta?

– Nie, na pewno nie to. Słuchaj, Seba, mam złe przeczucia.

Pol westchnął przeciągle i wpakował sobie do ust kolejną łyżkę lodów. Nie podobało mu się, do czego zmierza ta rozmowa.

– Szczerze, to ja na jej miejscu też bym nie odbierał od ciebie telefonów – burknął.

– Właśnie o to chodzi, że ona te połączenia odrzuca. Widzi, że dzwonię, ale odrzuca. Z premedytacją. Może sprawdzimy, co u niej słychać? – zaproponował Marek. – Mieszka niedaleko. Gdybym poszedł sam, to byłoby faktycznie nękanie, ale jeśli pójdę z policją…

– Jestem po służbie.

– Obaj wiemy, że nigdy nie jesteś po służbie. Mogę się założyć, że w torbie masz pistolet.

Sebastian nie zaprzeczył, bo kolega miał niestety rację.

– Naprawdę mam złe przeczucia. Seba, przecież mnie znasz. Nie jestem histerykiem – przekonywał Zadrożny.

– Pod jej kamienicą stoi patrol. Dziewczyna jest pod stałą obserwacją, odkąd znaleźliśmy drugą ofiarę – odparł Pol, na wszelki wypadek jedząc coraz szybciej.

Marek poczuł się odrobinę lepiej, jednak nie doznał całkowitej ulgi. Najchętniej by sprawdził, co słychać u Asi.

– A możesz się z nimi skontaktować? – zapytał.

– A odczepisz się wtedy ode mnie? – westchnął Sebastian.

– Nie obiecuję.

Pol sięgnął do torby. Chwilę później dzwonił do policjanta siedzącego w nieoznakowanym radiowozie. Kiwał głową, od czasu do czasu rzucając do słuchawki pojedyncze słowa. Marek ledwie mógł wysiedzieć z emocji. Nie mógł się wyzbyć przeczucia, że coś jest nie tak.

Nie rozumiał do końca, co się z nim dzieje, i bardzo mu się to nie podobało.

– Odwiedziła ją koleżanka – powiedział Pol, zrywając się z krzesła. – Jedna z lekarek ze Szpitala Wschodniego.

Rzucił ostatnie tęskne spojrzenie na niedokończony deser i złapał torbę. Zaniepokojony Marek również wstał. Przytulił do siebie pudło. Jego twarz

pobladła.

– Jeśli to jej koleżanka, to dlaczego wychodzimy? – zapytał.

– Bo przyszła w odwiedziny godzinę wcześniej od Skoczek i bez problemu weszła do budynku. Kto jej otworzył, skoro właścicielki nie było w mieszkaniu? – burknął.

Szybkim krokiem przepychali się pomiędzy ludźmi, kierując się prosto w stronę wyjścia.

– Oni już tam wchodzą? Do jej mieszkania?! – krzyknął Marek.

– Nie, czekają na nas.

– A nie lepiej, żeby weszli do środka?

– Są same w mieszkaniu już ponad godzinę. Jeśli coś miało się stać, to się stało. Może to nic złego. Może koleżanka ma klucze do jej mieszkania. Nie wiem. Nie chcę siać popłochu. Zapukamy i zobaczymy, co słychać.

– A czemu biegniemy?

– Bo ja też zaczynam mieć złe przeczucia.

41.

Ula rozbawiona wpatrywała się w wyświetlacz mojego telefonu. Wygasiła ekran i położyła go na stoliku.

– Zabawny ten Marek. Chyba mu na tobie zależy, wiesz?

– Wątpię – mruknęłam.

– Napisał, że ma dla ciebie prezent. O! To mi o czymś przypomniało.

Zaczęła grzebać w swojej torebce. Po chwili wyciągnęła z niej czerwoną wstążkę. Już gdzieś ją widziałam…

– Ukradłam ci ją. Było nią przewiązane pudło ze szlafrokiem od Tomka. Pomyślałam, że może to nakieruje policję na właściwy trop. Zamierzam zawiązać ci kokardę na szyi, gdy już z tobą skończę. Kiedy policja zacznie się zastanawiać, dlaczego akurat wstążka i co może znaczyć, jak po nitce dojdą do sklepu i odkryją, że Tomasz robił tam zakupy. Na tej wstążce nadrukowana jest nazwa butiku. A jeśli policja będzie mnie przesłuchiwać, nie zamierzam milczeć na temat tego obleśnego prezentu. Czy to nie genialne? Wreszcie będzie dowód przeciwko Stalowcowi!

Zrobiło mi się słabo, mimo to poczułam mściwą satysfakcję. Na pewno nie nakieruje to policji, bo mogłam mieć stuprocentową pewność, że Marek pozna kokardę. Całe szczęście, że nie powiedziałam jej, od kogo to prezent!

Ula w zamyśleniu przesuwała palcami po wstążce.

– Będzie pasowała do krwi – mruknęła.

– Ula, nie rób tego – poprosiłam.

– W zasadzie cieszę się, że to już koniec. – Nie zwracała uwagi na moje słowa. – Naprawdę. Dobrze, że jesteś moją ostatnią ofiarą. To piękne zakończenie. Wszystko się od ciebie zaczęło i na tobie się skończy. Stażystka i pacjentka były tylko preludium do tego, co stanie się dzisiaj.

Ula się myliła. Nie była zimnym mordercą, za jakiego chciała uchodzić. Miała po prostu dobry plan, ale zabijała w afekcie. Jej teoria nie była prawdziwa.

– Wiesz, że to się kiedyś wyda? – zapytałam.

– Na razie się nie wydało. Wątpię, żeby policja doszła do prawdy.

– Tomasz jest niewinny. Odkryją związki z ofiarami, ale nie będą mieli żadnych dowodów – zaprotestowałam.

– Będą mieli. Nie jestem głupia. Podrzuciłam mu do ogródka użyte wcześniej skalpele, zdjęcia i słoiki z oczami. Zakopałam je za tą ruiną, którą on nazywa domem. Pierwszy lepszy policyjny burek je odnajdzie.

Opadłam z sił. Zapas adrenaliny, który do tej pory mnie napędzał, właśnie się wyczerpał. Poczułam rozpacz i powoli zaczęłam godzić się z tym, co zaraz miało nastąpić. Nie łudziłam się, że ktoś mnie uratuje. Prowadziłam życie samotniczki. Nikogo nie zapraszałam do mieszkania, traktowałam je jak twierdzę.

Nie znałam dobrze sąsiadów. Nie było nikogo, kto by nagle zapukał do moich drzwi.

Urszula wstała z fotela i sięgnęła po skalpel.

– Wydaje mi się, że już dość tych rozmów, nie sądzisz? – zapytała.

Ostrze błysnęło w świetle lampy. Ula posmutniała. Odłożyła skalpel z powrotem do etui na okulary.

– Najpierw cię uduszę – oświadczyła. – Kiedy już będziesz martwa, wyłupię ci oko i wytnę numer na policzku. Nie będziesz tego czuła.

– Niezbyt mnie to pociesza.

– W sumie to żałuję, że cię zabijam. Lubiłam cię. Naprawdę dobrze mi się z tobą pracowało. Kto wie? Może zdołałybyśmy się zaprzyjaźnić? No i Karol pewnie będzie za tobą tęsknił. Szkoda mi Karola.

Jej ramiona opadły, zniknęła cała wesołość.

– Nie rób tego – powiedziałam słabo.

– Muszę. Mogę jednak znowu cię uśpić. Nic wtedy nie poczujesz – zapewniła. – Na początku naprawdę cię nienawidziłam. Nie mogłam na ciebie patrzeć. Wyobrażałam sobie, jaką wielką przyjemność sprawi mi patrzenie na twoją śmierć, twoją walkę i strach. Ale tak nie jest.

Nie wiedziałam, co jeszcze mogę powiedzieć. Czułam, że Ula się waha. To moja szansa!

– Ja też bardzo cię polubiłam – powiedziałam.

Zaśmiała się chrapliwie.

– Nie ugrasz niczego komplementami i kłamstwami – oświadczyła i klasnęła w dłonie. – Dobrze, nie będę się więcej zastanawiać, bo jeszcze odwiedziesz mnie od tego, co zamierzam zrobić. Za daleko zaszłam, żeby teraz się wycofać. Obiecuję jednak, że nie będziesz cierpieć. Uśpię cię sewofluranem i uduszę. Nie będziesz tego czuła. Zrobiłam to z tamtymi kobietami, zrobię i z tobą.

Przechyliła buteleczkę nad szmatką i przyłożyła mi wilgotny materiał do twarzy. Usiłowałam się wyrwać i przekręcić głowę, ale drugą ręką złapała mnie mocno za włosy. Po policzkach pociekły mi łzy. Szloch szarpnął moją klatką piersiową. Starałam się nie oddychać, ale płuca domagały się coraz mocniej powietrza.

Tak bardzo nie chciałam umierać!

– No już, już – szeptała. – Wszystko zaraz się skończy. Już zaraz.

Gdy płuca zaczęły palić mnie ogniem, odetchnęłam.

Nagle w mieszkaniu rozległ się przeraźliwy brzęk dzwonka do drzwi. Miałam wrażenie, że ściany zadrżały od tego dźwięku. Zabrzmiał zbyt głośno, zbyt natarczywie. Zupełnie nie na miejscu wobec tego, co miało się stać.

Ula pobladła. Cofnęła się gwałtownie. Zabrała rękę ze szmatą z moich ust. Zakaszlałam, starając się pozbyć zdradzieckiej substancji.

Zakręciło mi się w głowie. Obraz zaczął się zamazywać.

Dzwonek powtórzył się.

– Na po…! – spróbowałam krzyknąć, ale Ula ponownie przyłożyła mi szmatę do twarzy.

Zaczęłam się wyrywać. Nowe pokłady adrenaliny uderzyły mi do głowy, starając się przegnać działanie sewofluranu. Jęczałam, próbowałam gryźć, szarpałam się. Stopniowo jednak czułam, jak siły mnie opuszczają, a mięśnie wiotczeją.

Nagle do moich uszu dobiegł głośny trzask, huk. Ktoś coś krzyczał. Ucisk na moją twarz zmniejszył się, a wilgotna szmatka zsunęła się na podłogę. Powieki ciężkie niczym ołowiane odważniki zamknęły się i zobaczyłam ciemność.

42.

– Asia! Asia! Słyszysz mnie?! Karetka już jedzie! Asia!

Uchyliłam powieki i poczułam, że oczy rozjeżdżają mi się na boki, robiąc zeza. Po raz drugi miałam wrażenie, że powietrze otaczające moją głowę zamieniło się w poduszkę.

– Asia? Asia!

Mocne klepnięcie w policzki przywróciło mi przytomność. Nadal wszystko było rozmazane i wirowało szaleńczo przed oczami, ale powoli zaczynałam rozpoznawać kształty.

– Marek? – wychrypiałam.

Na jego lekko rozmazanej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Oczy były jednocześnie pełne strachu i ulgi.

– Wiesz, że robisz ślicznego zeza? – zapytał.

– Co się stało?

Szarpnęłam gwałtownie dłońmi, ale okazało się, że nie są już skrępowane. Niechcący uderzyłam go w bark.

– Spokojnie, spokojnie, Asiu. – Złapał mnie za ręce i pociągnął do pozycji siedzącej. – Już nie jesteś związana.

Świat gwałtownie mi zawirował po zmianie perspektywy. Poczułam mdłości. O mało na niego nie zwymiotowałam.

– Oj, Asiu, może się jednak połóż!

Z powrotem popchnął mnie na kanapę. Mdłości zaczęły ustępować. Obraz wreszcie zrobił się ostry.

Usłyszałam czyjś szloch i zawodzenie. Spojrzałam, skąd dochodziły. Na podłodze obok fotela leżała na brzuchu Urszula. Ręce miała skrępowane na plecach kajdankami. Wtulała twarz w mój dywan i coraz głośniej zawodziła.

Gdzieś na ulicy rozległ się sygnał karetki. Zbliżała się, najwyraźniej pędząc mi na ratunek.

– Asiu, wszystko dobrze?

Odwróciłam wzrok od Uli i spojrzałam w pełne niepokoju oczy Marka. Uśmiechnęłam się. Za nim stał komisarz Pol. Nie spuszczał wzroku z mojej koleżanki, wydając komuś komendy przez krótkofalówkę.

– Już dobrze – odpowiedziałam.

– Umówisz się ze mną na randkę? – zapytał niespodziewanie Marek.

– Och, na litość boską! Dajże kobiecie spokój w takim momencie! – Usłyszałam pełen oburzenia głos komisarza.

– Co? Randka? Nie! – szybko odpowiedziałam.

– Ech, miałem nadzieję, że półprzytomna się zgodzisz – oświadczył Zadrożny z uśmiechem.

– Karetka już jest! – zawołał ktoś.

Komisarz Pol klepnął Marka w ramię i mrugnął do mnie.

– Już po wszystkim, pani Skoczek – powiedział.

W drzwiach mieszkania zapanował harmider. Pojawiła się ekipa ratunkowa z noszami. Za nic nie mogli przedrzeć się przez grupę policjantów w korytarzu.

– Kupiłem ci kapcie – poinformował zadowolony z siebie Marek, korzystając z zamieszania. – Będą ci pasowały do szlafroka.

– Ewentualnie możemy iść na kawę. Niech stracę… – odparłam z westchnieniem.

Podziękowania

Chciałabym jak zwykle serdecznie podziękować mojej najbliższej Rodzinie: Mężowi Jankowi, Mamie Basi i Babci Mirce za to, że byliście przy mnie, wspieraliście mnie i znosiliście moje humory. Gdyby nie Wy, nie wiem, czy dałabym sobie radę.

Ta powieść nie powstałaby bez pomocy moich przyjaciół, a jednocześnie kolegów po fachu, którzy cierpliwie znosili najdziwniejsze pytania o najróżniejszych porach dnia i nocy. Jesteście kochani!

Magdo Kwiatkowska – dziękuję za pomoc w zakresie medycyny sądowej, wyjaśnienie prawidłowego tytułowania lekarzy medycyny sądowej oraz za ważne wskazówki mówiące mi między innymi o tym, co tacy lekarze powinni mieć ze sobą w plecaku na miejscu zbrodni.

Leszku Laskowski – Tobie dziękuję za konsultacje psychiatryczne i wyjaśnienie mi różnic pomiędzy obsesjami a innymi zaburzeniami. Gdyby nie Ty, tytuł tej powieści mógłby brzmieć zupełnie inaczej!

Maćku Załuska – od Ciebie mogłam usłyszeć radę anestezjologiczną na temat bardzo niecnego zastosowania sewofluranu przez jednego z moich bohaterów. Ponadto bezczelnie ukradłam kilka Twoich cech dla jednego z bohaterów. Trzymam kciuki, żebyś kiedyś stał się sławnym artystą, i czekam na kolejny koncert w jakiejś praskiej knajpce.

Aniu Danowska – Tobie dziękuję za rady z zakresu funkcjonowania szpitala. Dzięki temu wiedziałam, jak poprowadzić moich bohaterów. Wydaje mi się, że całkiem nieźle opisałam naszą szafkę pracowniczą (oczywiście bez jej makabrycznej zawartości) z okresu stażu podyplomowego, nieprawdaż? ;-)

Ta powieść nie powstałaby także bez zaangażowania redakcji oraz działu promocji Wydawnictwa W.A.B. Podziękowania należą się zwłaszcza Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie oraz Paulinie Panek-Jedlińskiej. Od samego początku wierzyłyście w mój pomysł i pomagałyście mi go rozwinąć!

Dziękuję Wam!

Redakcja: Agnieszka Jędrzejczak

Korekta: Julia Celer, Anna Jagiełło

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Fotografie wykorzystane na okładce: © Judy Kennamer/arcangel.com, ©momentimages/Tetra images/Getty Images, © Hero Images/Getty Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4778-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.